



***COLLEEN  
THOMPSON***



***Fałszywe ujęcie***

Tytuł oryginału Triple Exposure



*Wszystkim, którzy mają odwagę szybować  
w kabinie samolotu,  
na kartkach książki  
czy po bezkresnym niebie wyobraźni.*

## *Rozdział I*

*Przed początkiem lat  
Powstał człowiek  
Czas z darem łez;  
Smutek z opróżnioną szklanką;  
Radość z zaczynem bólu;  
Lato z kwiatami, które opadną;  
Pamięć upadła z niebios;  
Wściekłość powstała z piekieł;  
Siła bez rąk do ciosu;  
Miłość, która cierpi bez oddechu  
; Noc, cień światła  
I życie, cień śmierci.*

*Algernon Charles Swinburne Atlanta in Calydon (Atalanta w Kaledonii)*

Atramentowy mrok przeszło jasne światło - częsty widok na pustynnych równinach otaczających niewielkie miasteczko Marfa w Teksasie.

Tajemnicze światła, światła duchów - zdaniem miejscowych pojawiają się od czasów, gdy mieszkali tu jeszcze rdzenni mieszkańcy. Niektórzy uważają, że to ogniska dawno wymarłych plemion. Inni głoszą teorie o przybyszach z kosmosu, a jeszcze inni snują przypuszczenia oparte na zasłyszanych tu i ówdzie naukowych hipotezach -o zjawiskach atmosferycznych, światłach odległych reflektorów czy nawet tajemniczej poświacie okrywającej pustynne króliki. Ponieważ nikt nie potrafi tego zjawiska wyjaśnić, tajemnicze światła od lat przyciągają ciekawskich, ekscentryków, a nawet szaleńców. Podobnie było tej nocy.

Teleskop wszystko przybliżał: świecąca zielonkawą plamkę, która najpierw unosiła się w powietrzu, a następnie pomknęła wzdłuż horyzontu. W pobliżu słychać było jedynie pohukiwanie sowy, gdy światło podążało szlakiem u podnóża Gór Chinati, ukrytych pod aksamitnym pluszczem nocy.

Zieleń zmieniła się w fiolet, potem biel, aż w końcu plamka podzieliła się na dwie bliźniacze kule. Jak uwaga obserwatora, zaniepokojonego wieściami o nowym przybyszu. Kłopotliwa iskra wdarła się do jego świadomości, niczym tłący się na dywanie żar.

Zagrożenie, które trzeba szybko unicestwić, zanim zdąży zamienić się w rozszalały pożar, który wszystko pochłonie. Zagrożenie, które trzeba zdławić, stłumić lub ugasić. Nieważne jak, byle je - byle ją-zniszczyć.

W cieniu gór jedno ze światel zgasło, a drugie rozbłysło później. To znak, pomyślał obserwator. Jego oddech stawał się coraz szybszy, a głowa huczała od myśli.

Przewodnicy Dusz wysłali wiadomość, której nie można zignorować.

Wtorek, 5 lutego

Rachel Copeland po raz ostatni zerknęła na rysującą się w oddali sylwetkę Mount Livermore i przeszła przez oszklone drzwi, zostawiając za sobą chłodny wiatr, który towarzyszył jej przez całą drogę z Filadelfii. Odgarnęła do tyłu kasztanową grzywkę i rozejrzała się. Na widok znajomego miejsca odetchnęła z ulgą, zapominając o tym, jak bardzo chciała kiedyś stąd uciec. Zapominając o wszystkim, z wyjątkiem znajomych poobiednich zapachów. Grillowanych hamburgerów i tacos. Krążków cebuli i frytek. Unoszącego się w powietrzu dymu z papierosów i aromatu sosnowego płynu do czyszczenia. Głęboko wdychała powietrze, jakby miała

przed sobą bukiet egzotycznych kwiatów, a nie najgorszy koszmar Departamentu Zdrowia.

- Powiedziałałam twojemu ojcu, że wcześniej czy później się zjawisz.

Zza lady małego baru uśmiechała się do niej okrągła twarz Patsy Copeland, nie na powitanie, raczej z satysfakcją, że miała rację. Patsy nigdy nie była zbyt atrakcyjna ze swoimi szerokimi biodrami, praktycznym fartuszkim narzuconym na zwyczajne legginsy i białymi pasemkami upiętymi ciasno z tyłu głowy. Nigdy też nie próbowała zastąpić matki Rachel. I ani razu nie zadzwoniła do pasierbicy od czasu wydarzeń, które zeszłej zimy całkowicie odmieniły jej życie.

Rachel starała się nie mieć jej tego za złe. Ze wszelkich sił próbowała opanować drżenie kolan. Przypomniła sobie jedną z pierwszych lekcji ojca: „Nigdy nie rezygnuj z twardego lądowania, jeżeli nie masz na widoku czegoś lepszego”.

Wprawdzie została uniewinniona i ominęła ją przyjemność goszczenia w więzieniu stanowym w Pensylwanii, ale po opłaceniu prawnika była bez grosza. Poza przyjazdem tutaj nie miała zbyt wielu możliwości. Lepiej więc uważać na to, co się mówi.

- Też się cieszę, że cię widzę.

Miała nadzieję, że na jej twarzy pojawił się uśmiech, a nie krzywy grymas. Modliła się, żeby Patsy nie kazała jej wsiadać z powrotem do zardzewiałej furgonetki i ruszać w siną dal.

Zsunęła z obolałego ramienia wytarty pasek torby i położyła ją na podłodze z czarno-białych płytek. Oprócz niej i Patsy w barze nie było nikogo. Jednak każdy okruszek dokładnie zmieciono, wszystkie powierzchnie lśniły czystością, a fotografie szybowców wisiały w

równiutkich rzędach na błękitnych ścianach. Trzeba przyznać, że Patsy bardzo dbała o porządek w swoim barze. Mieszkańcy nazywali go Grzędą, nie tylko na cześć lotników, którzy wpadali tu na szybką przekąskę, ale również z powodu olbrzymich sów, które uparcie wiły na dachu gniazdo. Wchodząc do baru, Rachel kątem oka zauważyła wielkiego puchacza, który przyglądał jej się zaspanymi, złocistymi oczami.

Pomyślała wtedy, że żaden zabójca nie okazuje zbyt wielkiego entuzjazmu na widok drugiego.

Patsy obejrzała ją od stóp do głów, przyglądając się wymiętym w podróży džinsom i kremowej koszulce, na którą Rachel narzuciła skórzaną kurtkę.

- Chyba przydałoby ci się coś do jedzenia. Co powiesz na pizzę--burgera? Zawsze je lubiłaś.

Uznając, że Patsy nie ma jednak zamiaru wyrzucić jej za drzwi, Rachel wreszcie wypuściła powietrze. I choć burczało jej w brzuchu, powiedziała:

- Dzięki, ale nie wiesz, gdzie jest... ? Muszę zobaczyć się z ojcem. Bardziej niż jedzenia potrzebowała mocnego, niedźwiedziego uścisku. Ojciec przyjechał do niej przed procesem. Nie mógł jednak na dłuższy czas zostawić ani firmy, ani chorowitej, osiemdziesięciosześcioletniej matki, którą chronił przed wszelkimi wieściami o kłopotach Rachel.

- Pewnie cały czas siedzi w holowniku. Szykuje dużą grupę szybowców, w ten weekend mają jakiś konkurs.

- A Bobby? - Pechowy włóczęga, którego ojciec wiele lat temu przygarnął pod swoje skrzydła, był pilotem mechanikiem, a jednocześnie bliskim przyjacielem rodziny. Rachel zawsze traktowała go jak wujka.

- Znasz Bobby'ego. - Przez chwilę na twarzy Patsy pojawił się ślad uśmiechu. - Ten facet albo grzebie w jakimś silniku, albo jest wysoko w chmurach.

Wrzuciła kawałek mięsa na rozgrzany grill. Gdy chodziło o jedzenie, nigdy nie wierzyła w zdrowy rozsądek pasierbicy. „Dziewczyna jest wystarczająco bystra i potrafi unikać kłopotów, ale nie ma za grosz zdrowego rozsądku”, stwierdziła Patsy wkrótce po tym, jak wyszła za Waltera Copelanda, kiedy Rachel miała szesnaście lat.

I chociaż od tamtego czasu minęło już siedemnaście lat, Rachel wciąż pamiętała, jakim szokiem była dla niej „ucieczka” tych dwojga do Vegas i obrączki, z którymi wrócili. Jeśli o nią chodziło, uważała, że ojciec powinien nadal nosić żałobę po matce, zmarłej zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej.

Do tej pory Rachel wzdrygała się na samą myśl o rumianej twarzy ojca, którą rozjaśnił szeroki uśmiech, kiedy przekazywał jej tę wiadomość. I jak entuzjastycznie kiwał głową, gdy mówił: „Teraz wreszcie będziemy rodziną. Czy to nie wspaniale?”

Pobił wtedy absolutny rekord świata w konkurencji o nazwie Nie Mam Pojęcia, O Co Chodzi i zdawał się nie dostrzegać, jak otwiera się przepaść, której ani córka, ani nowa żona nie potrafiły pokonać. Zamiast zbliżyć się do siebie, jak sobie w duchu wymarzył, obydwie robiły, co mogły, by przetrwać dwa długie trudne lata. W końcu Rachel, z wydatną pomocą Patsy, wyjechała studiować sztuki piękne do najbardziej oddalonej uczelni, która zaproponowała jej stypendium.

Ojciec Rachel cały czas miał nadzieję, że córka wróci i będzie pracować razem z nim. Ale ona miała własne marzenia, które niedawno runęły

niczym stary hotel w Vegas. Nie prześladował jej jednak odgłos wyburzania, a echo wystrzału z małego pistoletu kaliber 38, który w desperacji kupiła do obrony własnej.

Zapach smażonego hamburgera przypominał jej gryzący swąd dymu z pistoletu. Jednak nic nie powiedziała. Usiadła przy blacie i patrzyła, jak Patsy smaruje bułkę sosem do pizzy i układa na niej ser, dodając kilka świeżych listków bazylii. To ostatnie oznaczało, że bardzo się stara.

Biorąc pod uwagę dzielącą je kwestię pieniędzy, Rachel pomyślała, że ta kanapka była prawdopodobnie jedynym symbolem powitania, na który mogła liczyć. Jednak przyjechała tu, bo chciała znowu przejąć kontrolę nad własnym życiem i spróbować odzyskać przynajmniej część z tych dziesięciu kilogramów, które straciła od zeszłego grudnia. A Patsy, królowa grillowanego czerwonego mięsa i mlecznych koktajli, zdolna usmażyć dosłownie wszystko, co nie zdołało czmychnąć jej z drogi, była najbardziej odpowiednią osobą, by jej w tym pomóc. Pod warunkiem że nie będą skakać sobie do oczu.

Patsy przerzuciła hamburgery. Przyglądając się jej szerokim plecami, Rachel rzuciła z wahaniem:

- Posłuchaj, cała ta sytuacja, to, że tu jestem, nie będzie trwać wiecznie.

Patsy spojrzała na nią przez ramię.

- Wiem. Bo inaczej na pewno byśmy się w końcu pozabijały... Nagle urwała. Jej okrągła twarz oblała się rumieńcem, a bladoniebieskie oczy rozszerzyły z przerażenia.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - wyjąkała.



Rachel zrobiła wtedy ostatnią rzecz, o którą by siebie podejrzewała. Po raz pierwszy od ponad roku roześmiała się. I to tak, że nie mogła złapać tchu. Zbywając usprawiedliwienia macochy machnięciem ręki, zdołała wreszcie wykrztusić:

- Przepraszam, nie powinnam się śmiać, ale nigdy wcześniej nie słyszałam, żebyś coś takiego powiedziała. To zupełnie nie w twoim stylu!

Patsy uśmiechnęła się lekko, ale w jej oczach pojawiła się ostrożność. Szybkim ruchem położyła na talerz hamburgera i wyjęła z lodówki napoje. Jej bladą twarz nadal pokrywał rumieniec, a nad górną wargą i na czole pojawiły się kropelki potu.

- To miała być tylko metafora - powiedziała, stawiając danie na blacie, a jej słowa zabrzmiały ostro jak kawałki połamanego plastiku. - Nie chciałam żartować sobie z tego, co się stało... zresztą sama wiesz.

Rachel szybko oprzytomniała. Doskonale pamiętała, że jej macocha nie cierpiała czuć się zażenowana. I do czego była zdolna, żeby każdy choć trochę odczuł jej skrepowanie.

„Nawet twarde lądowanie jest lepsze niż żadne”.

- Przynajmniej mamy to już z głowy - powiedziała Rachel. - Obydwie doskonale wiemy, że wokół tego, co się wydarzyło, nie da się chodzić na paluszkach. Umarł człowiek - dodała, a w głowie słyszała echo ponurych słów prokuratora: „Dziewiętnastolatek nie jest mężczyzną. Jeszcze nie. A przez Rachel Copeland nigdy nim nie będzie”. - Nie możemy udawać, że nic się nie stało, choćbyśmy nie wiem, jak bardzo tego chcieli.

- Modliłam się za ciebie. - Patsy chwyciła z półki paczkę paprykowych chipsów i rzuciła ją w stronę Rachel. - Każdej nocy. Żebyś dostała to, na co zasługujesz.

Rachel z trudem przełknęła cisnące się jej na usta pytanie: „A co to ma, do diabła, znaczyć?” Zamiast tego wzięła spokojny wdech i powiedziała:

- Dostałam, dziękuję.

I jeszcze za to, że nie byłeś świadkiem w mojej sprawie, uzupełniła w myślach.

Patsy uśmiechnęła się, a Rachel ugryzła kawałek pizzy-burdera i zaczęła powoli przeżuwać. Od Tamtej Nocy nie czuła żadnych smaków, z wyjątkiem kwaśnego smaku własnych soków żołądkowych.

- Bazylia to świetny pomysł. Wspaniale podkreśla smak pomidorów - zagaiła pojednawczo. Tak naprawdę kanapka mogła być równie dobrze zrobiona z kartonu.

Patsy lekko wydeła usta.

- Zaczęłam uprawiać własne zioła. Ojciec rozbudował okno w kuchni.

- Jakim cudem udało ci się go do tego namówić? - Przez całe lata ojciec obiecywał to matce, podobnie jak podróż do Las Vegas. Ale co roku wynajdował nowe wymówki, by spędzić więcej czasu z odwiecznymi rywalkami matki, swoimi samolotami.

Patsy odwróciła się, by wyszorować grill.

- Wcale nie musiałam go namawiać - rzuciła przez ramię. - To była niespodzianka na moje urodziny.

Rachel przełknęła kolejny kawałek hamburgera, a wraz z nim wzbierającą w niej złość. I co z tego, że ojciec nauczył się czegoś na błędach, które popełnił w czasie pierwszego małżeństwa? Tym lepiej dla niego. Dla nich obojga. Zresztą to nie była jej sprawa.

Patsy zmarszczyła brwi, jakby chciała jeszcze coś dodać. Ale dźwięk telefonu wybawił je od dalszej rozmowy. Macocha podbiegła do aparatu i podniosła słuchawkę już przy drugim dzwonku. W tej samej chwili Rachel usłyszała odległy, ale dobrze znany warkot silnika małego samolotu. Był to holownik ojca, model Piper Pawnee. I chociaż od czasu, kiedy nim ostatnio leciała, samolot przeszedł kapitalny remont, wszędzie rozpoznalaby tę muzykę.

Już miała ruszyć w stronę okna, ale Patsy przeszła ją wzrokiem i uniosła palec, ostrzegając, by zachowała milczenie.

- Nie, nie ma jej tutaj i nie odzywała się do nas - stwierdziła twardo Patsy. Jej głos zdawał się stawiać opór jak mur obronny. - Już wam mówiłam, przestańcie dzwonić.

Rachel odsunęła od siebie talerz z niedojedzonym hamburgerem, a serce podeszło jej do gardła. Czy to był dziennikarz, czy może jeden z tych świrów, którzy wydzwaniali do jej mieszkania, aż uznała, że czas opuścić Miasto Braterskiej Miłości, dopóki jeszcze może? Jakaś kobieta, której głos brzmiał szczególnie obłąkańczo, zdobyła nawet numer jej telefonu komórkowego, zanim Rachel zdążyła się go pozbyć. Pomyślała wtedy, że w Marfie będzie bezpieczna. Miasteczko leżało na uboczu i tylko ktoś wyjątkowo uparty mógł jej tu szukać. Było też na tyle małe, że obcy od razu rzucał się w oczy.

- Nie nazywaj jej morderczynią, skoro ława przysięgłych ją uniewinniła - ciągnęła Patsy. - I posłuchaj, na to, co teraz robisz, są odpowiednie paragrafy, a biuro szeryfa właśnie namierza twój numer.

Po chwili dodała:

- Takie groźby jeszcze bardziej cię pogrążają, paniusiu. Mam nadzieję, że odłożyłaś już pieniądze na dobrego prawnika.

Rachel wstrzymała oddech. Znowu ta kobieta. Najgorsza z nich wszystkich i najbardziej wytrwała. Jedyna pociecha, że była w Filadelfii, oddalona o dobre trzy tysiące kilometrów.

Patsy uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z siebie.

- No proszę, rozłączyła się.

A ty chcesz mnie chronić, zdziwiła się Rachel i była jej za to wdzięczna.

- Naprawdę dzwoniłaś do szeryfa? Patsy pokręciła głową.

- Do Harlana Castilla? Nie poprosiłabym go o pomoc, nawet gdyby mi ktoś przystawił pistolet do głowy.

Najwyraźniej Harlan Castillo - wcześniej zastępca szeryfa - dochrapał się wreszcie najwyższego stanowiska. Wiele lat temu Patsy była jego żoną. Rachel nie wiedziała, dlaczego się rozstali, ale kiedyś usłyszała, jak Patsy powiedziała do jednej ze swoich nielicznych przyjaciółek, że gdyby się palił, nie przeszłaby na drugą stronę ulicy, nawet żeby na niego nasikać.

- Kto to był? - zapytała.

Ale zanim Patsy zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach. Rachel podskoczyła, przewracając przy tym zapomnianą szklankę lemoniady.

Widząc, jak kobieta zareagowała na jego widok, Zeke Pike pomyślał, że jego ucieczka właśnie dobiega końca.

Zeke, który po tylu latach zdążył przyzwyczać się do tego imienia, zdawał sobie sprawę, że rzuca się w oczy. Od najmłodszych lat wysoki jak na swój wiek, zawsze był tym dzieciakiem, któremu nic nie uchodziło na

sucho. Dorośli lubili stawiać go za przykład, a chłopcy w jego wieku chcieli się z nim bić, by coś sobie udowodnić. Nic nie mógł na to poradzić. Z kobietami było podobnie, zawsze przyciągał nie te, co trzeba.

Miał prawie metr dziewięćdziesiąt i ważył ponad sto kilogramów. Do tego zielone oczy, które zawsze wywoływały zbyt dużo komentarzy. Musiał się nieźle napracować, by wtopić się w społeczność małego miasteczka. Towarzyski z natury, zamienił się w ponurego, małomównego osobnika, którego ludzie wkrótce zaczęli nazywać gruboskórnym żółwiem. Jednak kiedy już pojawiał się w mieście, mówili mu dzień dobry, a z czasem zaczęli nawet polecać nadzianym przybyszom jego ręcznie robione meble. Ale najczęściej zostawiali go w spokoju.

A już na pewno nikt nie podskakiwał na jego widok, jakby go użądliła osa. Był więc pewny, że ta szczupła kobieta o wielkich brązowych oczach doskonale wie, kim on naprawdę jest i wie wszystko o Williem Tylerze. Krew uderzyła mu do głowy i już miał wybiec z baru, gdy dostrzegł, jak Patsy Copeland powoli kręci głową.

- Wszystko w porządku - uspokajała młodszą kobietę. - To Zeke Pike, Rachel. Zawsze przychodzi tu o tej porze. Znamy się... ile to już lat, Zeke? Dwanaście, a może czternaście?

Zeke zastygł w bezruchu, próbując zrozumieć, co się dzieje. A potem skojarzył jej imię, Rachel.

Oczywiście. To musiała być córka Waltera. Miasteczko aż huczało od plotek, które dotarły nawet do takiego odludka jak on. Nawet zdążył wyrobić sobie na ich temat opinię.

Z tego co słyszał, w przeciwieństwie do Williego, ten cholerny gnojek, który stał się ofiarą Rachel, mógł winić tylko i wyłącznie siebie za to, że

wąchał teraz kwiatki od spodu. Tutaj, w zachodnim Teksasie taka sprawa nawet nie trafiłaby do sądu. Ale ludzie mówili, że chłopak pochodził z bogatej rodziny z koneksjami, a Zeke aż za dobrze wiedział, co to oznacza.

Rachel Copeland popatrzyła na niego uważnie i pokiwała głową.

- Przepraszam. Wzięłam cię za kogoś innego.

Przez chwilę Zeke zastanawiał się, czy chłopak, którego zastrzeliła, też był postawny. A może po tym, co przeżyła, bała się wszystkich mężczyzn. Szkoda, pomyślał, jest całkiem ładna. Na oko tuż po trzydziestce, bardzo szczupła, z dużymi sarnimi oczami częściowo ukrytymi za długą grzywką. Resztę ciemnych kasztanowych włosów związała w niedbały kucyk, który opadał jej na plecy.

- Mogę wyjść-zaproponował.

Pokręciła głową, a jej twarz oblała się rumieńcem.

- Nie, proszę tego nie robić. Wejdz i zjedz swój lunch.

Jej głos poruszył w nim jakąś zapomnianą strunę. Wyobraził sobie, jak rozwiązuje jej włosy i zanurza w nie dłonie, przeczesuje je palcami albo bawi się nimi, kładąc ją na...

- Tak będzie chyba lepiej - zaproponował, poirytowany swoimi myślami. Od kilku lat żył praktycznie w celibacie, nie licząc tych kilku niechlubnych wyskoków, ale efekt był taki, że zamiast całkowicie zapomnieć o seksie, coraz więcej o nim myślał. Zaczął zastanawiać się nad losem księży i mnichów. Jak oni sobie z tym, do cholery, radzą, gdy on nawet tę wychudzoną, wystraszoną kobietę zaczął sobie wyobrażać nago.

- Poczekaj, przygotuję ci kanapkę - powiedziała Patsy. - Na koszt firmy.

- Chyba żartujesz - zachnął się Pike.

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyła ramionami. -To co ma być, sałatka z kurczakiem?

Zeke zrobił krok do przodu i lekko się uśmiechnął.

- W końcu dziś jest wtorek, prawda?

On i Patsy opracowali to w najdrobniejszych szczegółach. Zeke pojawiał się tuż po lunchu, kiedy w barze panował już spokój, i każdego dnia zamawiał coś innego, a za wszystko płacił w piątek. Zawsze gotówką. W poniedziałki zamawiał cheeseburgera z frytkami. We wtorki sałatkę z kurczakiem z pieczonymi ziemniakami. W środy kanapkę z bekonem i kolejną porcję frytek. W czwartki sałatkę z plasterkami zimnego mięsa, a w piątek piezonego kurczaka, w nagrodę za to, że poprzedniego dnia zjadł coś zielonego. Po każdym posiłku dostawał kawałek świeżego ciasta, w zależności od tego, co tam Patsy miała pod ręką. Zake uwielbiał wszystkie jej domowe wypieki, a potem wstawał i na piechotę wracał do siebie. Najpierw wzdłuż autostrady, a potem długą, prywatną drogą, która prowadziła prosto do jego domu. Zwykle pracował do późnej nocy.

Ich relacje ograniczały się do minimum, bez zbędnych uprzejmości. I co najważniejsze, nie musiał sam sobie gotować. Podejrzewał, że jego kuchnia nie przeszłaby nawet w więzieniach Trzeciego Świata.

Zerknął na swoje stałe miejsce przy oknie, nieco na uboczu, aby zniechęcić potencjalnych rozmówców. Ale po raz pierwszy od niepaństwianych czasów nie ruszył od razu do stolika, by jak najszybciej odwrócić się tyłem do obecnych w barze osób i gapić przez okno na pełne wdzięku długoskrzydłe samoloty, które przypominały poruszające się z gracją latawce.

Nie mógł spojrzeć Rachel w oczy. Zbyt długo unikał tego typu kontaktów. Czuł jednak, że słowa same cisną mu się na usta. Torowały sobie drogę jak kolce kaktusa. Chciał je powstrzymać, ale zamiast tego chrząknął i powiedział:

- Powinni dać ci medal za to, co zrobiłaś. Większość ludzi w miasteczku też tak uważa.

- Cieszę się, że mam twoje poparcie - odparła Rachel, a w jej głosie słychać było nie tylko ulgę, ale też sarkazm i wyzwanie.

Spodobało mu się to. Wyczuł w niej siłę, która przekonała ją, by raczej zabić, niż samej stać się ofiarą. Pomylił się, wyobrażając ją sobie jako wymizerowanego kociaka. Była raczej małą lwicą, która przechodziła ciężkie chwile.

- Dasz sobie radę. - Pokiwał głową i poczuł, że znowu się uśmiecha, już drugi raz tego samego dnia. Potem odwrócił się i usiadł na swoim miejscu, żeby podziwiać powietrzne akrobacje Waltera Copelanda, który akurat zawrócił, pomachał skrzydłami i zszedł do lądowania.

Zeke usłyszał za sobą lekkie kroki i poczuł bliskość Rachel Copeland, która pochyliła się obok niego, by również wyjrzeć przez okno. Pachniała miodem i cytryną. Zastanawiał się, czy to tylko jej szampon, czy może cała tak pachnie? Musiał nieco zmienić pozycję, podejrzewając, że mogłaby narobić krzyku albo nawet zastrzelić go, gdyby zorientowała się, co się z nim dzieje pod stołem.

- Mój staruszek, ten facet nigdy się nie zmieni.

Z jaką czułością powiedziała te słowa i jak szybko poderwała się, wybiegając przez drzwi. Minęła zdezelowaną, złotą furgonetkę z pensylwańską rejestracją, a potem przyspieszyła i niemal wbiegła na



lotnisko. Płynnie, z wdziękiem, przepelniona radością. Wróciła do domu, do ojca, który nie będzie zadawał żadnych pytań i zawsze przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Zeke nie miał zamiaru użalać się nad sobą i właściwie mógłby powiedzieć - gdyby poza jego koźmi miał go kto wysłuchać - że wykorzenił i zwyciężył resztki tego uczucia. Ale to było tak jak z popędem seksualnym. Człowiek mógł z nim walczyć, jednak nigdy nie mógł tak naprawdę wygrać. W tym momencie przeszło go bowiem ostre i bolesne uczucie żalu.

Żalu, który ponownie uświadomił mu cenę, jaką przyszło mu zapłacić za dokonany wybór.

RS

## *Rozdział 2*

*Tam się wąż gnieździć będzie i znosić jaja,  
wysiadywać młode i zgarniać je pod swój cień.*

Księga Izajasza 34, 15\*

\* Wszystkie cytaty za: *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2000.

Wreszcie sama. Od pogrzebu męża Mary Alice nie marzyła o niczym innym. Wydawało jej się, że trwało to całe wieki. Najpierw musiała wysłuchiwać niezręcznych frazesów żałobników, którzy po ceremonii pogrzebowej zjawili się w jej domu. Każdemu z nich chciała krzyknąć w twarz: „Nie pamiętacie? Ostatnim razem mówiliście to samo. I nic nie pomogło”.

Jej dorosłe córki, Marlene i Kathy, musiały zauważyć, co się święci, bo szybko zaprowadziły ją do kuchni i próbowały uspokoić ziołową herbatką i uściskami. Mary Alice nie potrzebowała ich czułości ani czyjegokolwiek pocieszenia. Jedyne, czego pragnęła, to ich brata, swojego utraconego syna, do którego dołączył teraz jej mąż. I to przed nią, cóż za niesprawiedliwość!

Nienawidziła za to Jima, Boże dopomóż, i jeszcze jak i za to, że uczynił z niej obiekt tak bezużytecznego współczucia. Nie potrzebowała litości, tylko porządnego łomu, którym mogłaby wreszcie otworzyć jedyne zamknięte na górze pomieszczenie.

Wymknęła się tylnym wyjściem i przeszła obok basenu, zastanawiając się, dlaczego jej żyjące dzieci się od niej nie odwróciły. Mimo że od lat właściwie je ignorowała, córki nadal chciały ją wspierać. A może same szukały pocieszenia? Obie wydawały się wstrząśnięte nagłą śmiercią ojca.

Nic dziwnego, w końcu po tragedii, która dotknęła ich rodzinę, tylko on rozumiał ich smutek i dostrzegał ich istnienie.

Dookoła pojawiły się białe płatki, ale Mary Alice, choć ubrana jedynie w szarą jedwabną bluzkę i czarne spodnie, nie zauważyła ani śniegu, ani przenikliwego chłodu. Wiedziała, że powinna mieć poczucie winy, ponieważ przyczyniła się do rozpadu rodziny. Powinna też odczuwać ból po stracie mężczyzny, który przez wszystkie te lata spał przy jej boku. Jednak dzień, w którym odebrano jej syna, pozbawił ją wszelkich uczuć.

Dzień, w którym jej ukochany chłopiec został zamordowany.

Zacisnęła mocno powieki, aż przed oczami zawirowały jej kolory. Szkarłat i obsydian: ostre światła policyjnych wozów na tle czarnego nieba. Wycie syren i jej własny szloch tworzyły ścieżkę dźwiękową tego wspomnienia. Jak zawsze.

Drżąc bardziej z bólu niż z zimna, podeszła do starannie pomalowanej szopy i zmarszczyła brwi. Jej zapominalski zazwyczaj mąż jednak pamiętał, by zamknąć drzwi, podobnie jak zamknął przed nią pokój syna. I zgubił gdzieś klucz. Ale ponieważ Jim uwielbiał krzątać się przy swoich różach i kameliach, podejrzewała, że gdzieś w pobliżu musi być zapasowy klucz.

- I tym razem nie będziesz mógł mnie powstrzymać - odezwała się do mężczyzny, którego właśnie pochowała. Mężczyzny, który zawsze myślał, że wie, co jest dla niej najlepsze.

Wydawało jej się, że słyszy jego słowa: „Będziesz musiała wreszcie o tym wszystkim zapomnieć”, podobnie jak mawiał parę miesięcy po śmierci ich syna. Najpierw próbował przekonywać ją delikatnie. Później coraz bardziej stanowczo. A w końcu zaczął ją wozić po gabinetach różnych

terapeutów i psychologów, aż trafiła do psychiatry, który próbował ją leczyć pigułkami.

Pozbyła się każdej z nich. Nie chciała stępić jedynych uczuć, które jej pozostały. Gdyby utraciła swój ból, wściekłość i rosnącą nienawiść, co by jej pozostało, poza szarą bezkształtną otchłanią?

Umarłaby w tej nafaszerowanej lekami pustce. Pozbawiona mrocznych snów o zemście, przerażających wizji, w których gorąca krew tryskała na jej czystą skórę, pełnych zapachu i smaku ludzkiego mięsa, rozszarpywanego jej zębami, uczucia mocy, gdy deptała obcasem po sercu zabójcy.

Szukała na kolanach, niszcząc wełniane wyjściowe spodnie. W końcu znalazła klucz pod glinianą doniczką. Wokół pojawiło się więcej płatków śniegu. Jej mąż nigdy nie był zbyt pomysłowy, nawet jeżeli chodziło o wybór kryjówki, pomyślała i zdumiona otarła łzę.

Weszła do szopy. I znalazła narzędzia potrzebne, by otworzyć zamknięte drzwi do pokoju syna.

Dzisiejszej nocy będzie spać w pościeli, która może jeszcze nosić ślad jego zapachu i położyć głowę na jego poduszce. Dzisiejszej nocy nareszcie zaśnie spokojnie, a mroczne sny będą musiały poczekać.

Walter Copeland zeskoczył z jaskrawożółtego, jednośmigłowego samolotu i spojrzał w kierunku córki. Na początku jej nie poznał, ale gdy tylko zawołała „tato”, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Ruszył w jej stronę, wykrzykując jej imię i wymachując ramionami.

Cały ojciec. Nigdy nie potrafił ukryć swoich uczuć. Nosił je na wierzchu, wystawione na publiczny widok niczym farbowany podkoszulek. Kiedy kogoś kochał, to z całego serca. Kiedy był urażony lub wściekły, dąsał się jak dwuletni berbec.

Rachel kochała go za to, chociaż gdy była nastolatką próbującą za wszelką cenę dopasować się do rówieśników, czuła się tym śmiertelnie zażenowana. Przez długi czas obwiniała ojca o to, że nie została zaakceptowana przez grupę. Koledzy zawsze nabijali się z jego manii samolotowej, lotniczych okularów, błękitnego kombinezону, krótko obciętych rudych włosów i wylewnych uścisków, którymi obdarowywał córkę na oczach wszystkich.

Dopiero później zrozumiała, że jej obsesja na punkcie robienia zdjęć i pewien szczególnie niechlubny popis akrobacji lotniczej, gdy była w drugiej klasie liceum, wystarczyły, żeby wykluczyć ją z wąskiego grona wybrańców. Taki numer przeszedłby pewnie u gwiazdy footballu, gdyby odważyła się zanurkować samolotem tuż nad głowami bawiących na pikniku uczniów ze starszych klas, zmuszając ich do ucieczki. Nie wydawał się jednak zabawny w wykonaniu niezdarnej, trochę późno dojrzewającej nastolatki z aparatem na zębach, kiepską cerą i nosem czerwonym od licznych alergii.

Czy to z powodu jej szczególnego poczucia humoru, czy też wyglądu, a może obu tych rzeczy naraz, Rachel nie chodziła na randki aż do czasu studiów. W kolejnych latach zmieniła się na tyle, że mężczyźni zaczęli zwracać na nią uwagę, ale ona sama nadal widziała w lustrze nieciekawą kujonkę. Kiedy więc prasa zaczęła przedstawiać ją jako ognistą femme fatale, nie mogła wyjść ze zdumienia.

Pobiegła prosto w ramiona jedyne go mężczyzny, który zawsze uważał ją za piękną.

- Tato, tak dobrze cię widzieć.

Poczuła się głupio, rozklejając się na oczach wszystkich. Domyślała się, że nie tylko sowa o złocistych oczach przygląda się tej scenie, ale i ten obcy, prostolinijny facet z baru, który tak ją przestraszył. Od tak dawna jednak zmuszona była kontrolować swoje emocje, że już dłużej nie mogła powstrzymać łez.

Ojciec też się rozplakał i jeszcze mocniej ją przytulił.

- Już dobrze. Wszystko będzie dobrze, Wiewióreczko.

I chociaż stare przezwisko z dzieciństwa nie ułatwiało sprawy, Rachel wzięła się w garść, świadoma obecności faceta przy oknie.

- No cóż...

Popatrzyła w niebo, desperacko szukając czegoś, co pozwoliłoby im zmienić temat i dostrzegła parę czarnych sępów niesionych prądem powietrza. W pobliżu zobaczyła trzy szybowce, które wzbijały się w górę unoszone tą samą kolumną powietrza.

- Wspaniały dzień na szybowanie - powiedziała.

Ojciec zrozumiał aluzję, uśmiechnął się i odsunął ją od siebie, wciąż wpatrując się w jej twarz. Zauważyła, że zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, a na skroniach pojawiła siwizna. Wydawał się też niższy, jakby skurczył się w ciągu tego ostatniego roku. Może jemu było jeszcze trudniej, przez to że musiał wrócić do miasteczka, by opiekować się matką i doglądać firmy, podczas gdy jego serce zostało o trzy tysiące kilometrów stąd.

Cierpienie ojca to kolejna pozycja, jaką mogła dodać do rachunku Kyle'a Underwooda. A może własnego.

Ale ojciec nic o tym nie wspomniał. Chrząknął i powiedział:

- Tak, niebo jest dzisiaj bardzo czyste. Mogą latać godzinami.

Pokiwała głową i z ulgą wdała się w pogawędkę o prądach powietrznych i niedorzecznych według ojca pomysłach instalowania w szybowcach silników.

- Co dalej? Doczepią jeszcze śmigła helikopterów? - Ojciec się oburzał.

Rachel się uśmiechnęła. Tu się nigdy nic nie zmienia, pomyślała. Mogliby spokojnie zacząć tam, gdzie skończyli, kiedy w wieku osiemnastu lat wyjechała na studia. W Marfie może zacząć wszystko od nowa i może tym razem jej marzenia nie zamienią się w koszmar.

„Nie możesz udawać, że przeszłość nie istnieje”, przypomniała sobie łagodne napomnienie doktora Thomasa. Szybko odsunęła je od siebie, zastępując wizją tak piękną, że mogła jedynie słuchać tego, co mówił ojciec. Gardło miała tak ściśnięte od tłumionego płaczu, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

W końcu dostrzegła jego zatroskaną twarz.

- Czy słyszałaś choć słowo z tego, co mówiłem? - zapytał. Pokręciła głową i przełknęła łzy.

- Przepraszam. Próbowałam to wszystko ogarnąć. Że znowu tu jestem, że rozmawiamy o szybowaniu. Jak za dawnych czasów.

Jak gdyby nic się nie wydarzyło, pomyślała. Twarz ojca pojaśniała.

- To może masz ochotę wskoczyć do kabiny i gdzieś polecieć? Na chwilę przymknęła oczy. Zatęskniła za dawnymi czasami, kiedy nie zajmowała się niczym innym.

- Wiesz, że nie mogę - powiedziała. Ojciec zaczął protestować

- To jak jazda na rowerze. Tego się nie zapomina. Do diabła, przecież ty praktycznie wychowałaś się w powietrzu.

- To nie byłoby zgodne z prawem.

Już dawno zapomniała o lotach kontrolnych i badaniach lekarskich, bez których nie mogła być czynnym pilotem. W Filadelfii nie było to dla niej ważne. Latała, ponieważ była córką Waltera Copelanda i wszyscy tego po niej oczekiwali, ale to nie była jej pasja. Właściwie brakowało jej latania tylko podczas tych krótkich wizyt w rodzinnym mieście, kiedy wpadała, by odwiedzić ojca i babcię.

- A od kiedy to tak bardzo przejmujesz się przepisami? Pamiętam, że kiedyś...

Zanim na dobre zaczął rozpamiętywać wydarzenie, za które dostała przecież szlaban, powiedziała:

- To było, jeszcze zanim odkryłam, że istnieje grawitacja. I że nawet samo oskarżenie o przestępstwo może zniszczyć człowiekowi życie.

Ojciec wbił wzrok w ziemię.

- Nie martw się, Wiewióreczko. Niedługo wszystko sobie przypomnisz. Pomogę ci opanować nowe przepisy i poćwiczymy loty.

- No nie wiem, minęło tyle czasu - powiedziała niepewnie.

- Zanim się obejrzysz, będziesz znowu w powietrzu. Jesteś urodzonym pilotem, zawsze byłaś. Poza tym przydałaby mi się jakaś pomoc. Poza szybowcami mam też cessnę, której używam jako powietrznej taksówki. Przywożę tu ludzi z większych lotnisk.

Rachel odwróciła się i spojrzała w kierunku hangarów.

- A to? Też jakiś nowy samolot? - zapytała. Ojciec pokiwał głową.

- Cessna nie jest wystarczająco elegancka i ma za mało miejsca dla tych wszystkich ważniaków i ich bagażu.



Ojciec zerknął przez ramię, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

Rachel to rozumiała. Liczba mieszkańców Marfy malała, a miasteczko od lat desperacko walczyło o przetrwanie. Położone pośrodku pustyni miało tylko tajemnicze światła i Jamesa Deana, który nakręcił tu swój ostatni film - *Olbrzym*. Co prawda piloci szybowców uwielbiali tę okolicę ze względu na wspaniałe widoki i korzystne prądy powietrzne, dzięki którym mogli latać przez cały rok, jednak niszowe hobby mogło utrzymać jedynie ojca oraz kilku póletatowych pracowników.

To się zmieniło, kiedy pustynne światła i zaniedbane, ale urocze domki z suszonej cegły zwróciły uwagę bogatych przybyszów z zewnątrz, którzy za bezcen wykupili połowę miasta. Wkrótce ceny nieruchomości stały się zbyt wysokie, jak na skromne możliwości mieszkańców Marfy, a rodzinne sklepiki zastąpiono ekskluzywnymi winiarniami i pretensjonalnymi restauracjami. Wielu miejscowych marzyło o tym, by nowi mieszkańcy, najczęściej ludzie sztuki, zabrali swoje odessane z tłuszczu tyłki z powrotem do Aspen. Taos czy innych małych miasteczek, które zamienili w snobistyczne place zabaw.

Jednak niewielu mogło pozwolić sobie na to, by zrezygnować z przywiezionych przez artystów pieniędzy. Podobnie było w przypadku Waltera Copelanda, który poświęcił większość oszczędności swojego życia, by uchronić ukochaną córkę przed więzieniem.

- O wilku mowa - powiedział, spoglądając na srebrnego range rovera, który właśnie wjechał na lotnisko i zmierzał w ich stronę. - To na pewno Antoinette Gallinardi. Od tygodnia męczy mnie, żebym z tobą porozmawiał.

- Kto to jest?- zapytała Rachel.

Ojciec powtórzył nazwisko i mruknął pod nosem:

- Myślałem, że chociaż pozwoli ci się rozpakować i da mi trochę czasu, żeby wprowadzić cię w temat.

- Jaki temat?

- Pani Gallinardi jest dyrektorem Fundacji Czyste Płótno. To grupa, która walczy o to, by w Marfie nie pojawiły się kawiarnie Starbucks, supermarkety Wal-Mart i inne, czekaj, jak oni je nazywają? Już wiem „kiczowate pozostałości podmiejskiej zarazy”.

- Aha, rozumiem. Faktycznie koszmar - prychnęła szyderczo Rachel. W tej chwili oddałaby wszystko za *chai latte*.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Mówią, że chcieliby zachować wyjątkowy charakter miasta.

- Zapewne przy użyciu płyty akrylowej jak w jednym ze swoich muzeów.

Ojciec pokiwał głową.

- Gallinardi i jej ekipa artystycznych snobów uznałoby to za świetny pomysł. Ale mają rację, jeśli chodzi o zmiany. Gdyby tylko mogli przekonać do tego miejscowych. Ludzie przyjeżdżają do Marfy, bo mają dość tego, że wszystko wokół nich jest takie same. Zrobiłaś mnóstwo zdjęć ludzi i miasteczka, więc na pewno to doceniasz.

- Doceniam, jestem tylko w bojowym nastroju, to wszystko. I brakuje mi kofeiny, pomyślała Rachel.

- Tak naprawdę mój barometr spadł już w dół i teraz jestem po prostu wykończona.

- Nie dziwię się - odparł ojciec. - Musiałaś nieźle przycisnąć, żeby tak szybko tu dojechać. Ile czasu ci to zajęło, dwa i pół dnia?

Rachel zdążyła już zapomnieć o podróży: trzy tysiące kilometrów autostrady międzystanowej, szybkie przekąski w przydrożnych barach i zdecydowanie za mało snu.

- Mogę poprosić panią Gallinardi, żeby przyszła kiedy indziej. Postaraj się tylko być miłą, dla mojego dobra. Ona zna wszystkich, i to z wyższej półki.

- Jednego nie rozumiem - zastanowiła się głośno Rachel. - Czego ona może ode mnie chcieć?

Od czasu rozprawy jedynymi osobami, które jej szukały, były dziennikarskie sępy, próbujące wyciągnąć z niej pikantne szczegóły... Do diabła, mam nadzieję, że nie chodzi o proces, pomyślała.

Range rover zwolnił tuż przed nimi. W środku Rachel dostrzegła dwie postacie, ale wyraźniej widziała tylko pasażera, kobietę o wąskiej twarzy i kruczoczarnych włosach ściętych w modnego ukośnego boba.

Suv zatrzymał się, wzbijając przy tym tumany kurzu. W środku wściekle podskakiwało jakieś wychudzone zwierzę, Rachel nie była pewna, czy to szczur, czy pies. Po chwili z samochodu wysiadła wysoka szczupła kobieta, która zajmowała miejsce pasażera.

- Przestań, Coco. Zły pies! - Kobieta krzyknęła na psa i wrzuciła go z powrotem do samochodu, zatraskując za sobą drzwi.

Wzięła głęboki wdech, jakby zbierała siły, i płynnym ruchem odwróciła się na siedmiocentymetrowych obcasach swoich czarnych kozaczków, zachowując przy tym idealną równowagę. Była ubrana w ciemnografitowy żakiet, dopasowany wełniany sweter i długą spódnicę. Jej sztucznie opalona twarz nie zdradzała wieku. Szpeciło ją tylko gniewne

spojrzenie, które posłała ujadającemu w samochodzie pupilowi, który zaciekle skrobał pazurkami po szybach.

Wyciągnęła smukłą dłoń, która świetnie prezentowałaby się w rękawiczkach koktajlowych, z długą ozdobioną diamentami cygarniczką.

- Pani na pewno jest Rachel Copeland. Nazywam się Antoinette Gallinardi. Tak się cieszę, że mogę panią poznać.

Aksamitna barwa jej głosu sprawiła, że Rachel zaczęła ją w myślach nazywać „kobietą art deco”. Z gatunku tych znienawidzonych przez zwykłe śmiertelne kobiety. Starła się jednak nie wydawać pochopnych opinii.

- Zawsze miło panią widzieć, ale córka dopiero przyjechała - wyjaśnił ojciec. - Jest zmęczona i głodna.

Gallinardi cofnęła rękę.

- Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo chciałam panią poznać, że gdy tylko asystentka powiedziała mi, że widziano panią w mieście, poprosiłam ją, by natychmiast mnie tu przywiozła.

Rachel poczuła lekki niepokój na myśl, że asystentka pani Gallinardi zdążyła ją już wypatrzeć. Czyżby ludzie z miasteczka tak wnikliwie śledzili relacje z Filadelfii? Zerknęła na postać w samochodzie i, niemile zaskoczona, rozpoznała w niej Terri Parton, z którą chodziła do szkoły. Terri była o rok wyżej, choć dla Rachel była to zdecydowanie zbyt mała różnica wieku. Przez te wszystkie lata Terri przybrała na wadze, ale zachowała swój znak rozpoznawczy, złociste loki, które wydawały się jeszcze dłuższe i bardziej platynowe niż w czasach, gdy rządziła szkolną drużyną czirliderek jak własnym małym królestwem. Posłała Rachel spojrzenie, które mówiło, że przez cały ten czas nie zmieniła zdania na temat dziewczyny, której ani ona, ani jej przyjaciele nie chcieli zauważyć. A może przypomniała sobie

dzień, w którym Rachel storpedowała tamten piknik i wszyscy dowiedzieli się o prywatnym przyjęciu Terri, zorganizowanym na tylnym siedzeniu jej samochodu. Z szefem zespołu, którego zresztą wkrótce po tym odprawiła.

Bzdura, minęło już tyle czasu, że Terri na pewno zapomniała o tym starym skandalu...

- Słyszałam, że chodziliście razem do szkoły - zaczęła Gallinardi. - Terri Parton-Zavala?

- Jasne, pamiętam ją. - Rachel domyśliła się, że Terri wyszła za Crista Zavale, puzonistę i bawidamka, który cały czas biegał za dziewczynami i pytał, czy chcą pograć na jego trąbce. Jeżeli tych dwoje wylądowało razem, to w pełni na siebie zasłużyli. - Ale nie bardzo rozumiem - dodała Rachel. - Śpieszyła się pani tylko po to, by się ze mną spotkać?

Głupie pytanie, pomyślała Rachel z goryczą. Od kilku miesięcy odpierała ataki nie tylko anonimowych rozmówców i okropnych reporterów, ale również znajomych, którzy chcieli poznać pikantne szczegóły. Czy parę tygodni przed zabójstwem faktycznie zaprosiła do siebie Kyle'a Underwooda, jak zeznali świadkowie wbrew temu, co twierdziła Rachel? Czy było coś jeszcze poza tymi nieprzyzwoitymi zdjęciami, które wypłynęły w trakcie rozprawy?

Nieważne, czy Terri namówiła Gallinardi do przyjścia, czy też kobieta sama wpadła na ten pomysł, Rachel nie mogła pozwolić, by te historie dotarły do Marfy.

Gallinardi spojrzała na Waltera, unosząc pytająco idealnie wyregulowane czarne brwi.

- Nie powiedział jej pan?

Na twarzy ojca pojawił się grymas.

- Nie miałem jeszcze okazji.

Szczupła twarz kobiety pokryła się rumieńcem.

- Widzę, że wszystko zepsułam, pani Copeland. Proszę mi wierzyć, że sprowadza mnie tu tylko i wyłącznie pani talent. Pani prace dla „Nouveau West”, te zdjęcia Marfy z pani dzieciństwa, wprost zapierają dech.

Terri Parton wyszła z samochodu, uważając, by nie wypuścić rozwścieczonego psa.

- Rachel - powiedziała, niezbyt entuzjastycznie kiwając głową na powitanie.

Rachel również skinęła głową i skłamała:

- Też się cieszę, że cię widzę, Terri. - Ale w głowie kręciło jej się od słów kobiety art deco. Talent. Zapierające dech. - Widziała pani moje zdjęcia?

Rachel straciła już nadzieję, że ktokolwiek ze świata sztuki zauważy jej prace, dopóki gazeta nie kupiła praw do publikacji serii zdjęć z Marfy. Przez lata prowadziła internetową galerię ze zdjęciami, które zrobiła jeszcze przed wyjazdem i w trakcie tych nielicznych wizyt w miasteczku oraz ze zdjęciami, które powstały już na Wschodnim Wybrzeżu. Zysk z ich sprzedaży ledwo wystarczał na pokrycie kosztów utrzymania strony internetowej i sprzętu. Aby zarobić na życie, zajęła się fotografią ślubną, co nigdy nie było jej ulubionym zajęciem. Prowadziła też wykłady w college'u tuż pod Filadelfią. I tam poznała studenta o imieniu Kyle Underwood.

Znowu usłyszała w głowie wystrzał z pistolem. Poczowała ciepłą ciecz tryskającą na jej chłodną skórę i coś ścisnęło ją za gardło. Tamtej nocy umarł nie tylko jej nagi prześladowca, ale również jej rozkwitająca kariera. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Kobieta art deco pokiwała głową.

- Wszyscy w fundacji przyznają, że masz doskonałe oko.

Terri, która musiała jednak przytyć więcej, niż Rachel początkowo sądziła, zrobiła się czerwona i zacisnęła ze złości usta. Rachel pomyślała, że właśnie opuściła piekło i znalazła się w niebie.

- Te zdjęcia tworzą nadzwyczajną kronikę tego, w jaki sposób sztuka zmieniła, a może nawet ocaliła tutejszą społeczność - ciągnęła Gallinardi.

Rachel już miała zakwestionować jej słowa, ale się powstrzymała. Gallinardi miała częściowo rację, mówiąc, że zainteresowanie ze strony ludzi sztuki ocaliło Marfę. Zamiast tego spijała każdą kroplę jej pochwał jak pustynia, która zbyt długo pozbawiona była deszczu. Może to

I żalosne, ale po tym, co przeżyła w zeszłym roku, gotowa była merdać ogonem i łasić się u stóp kobiety. I gdyby nie Terri, zaczęłaby pewnie skomleć, a tak powiedziała tylko:

- Dziękuję. - Chciała, by jej słowa zabrzmiały skromnie, ale również tak, by wszyscy myśleli, że jest przyzwyczajona do tego rodzaju pochwał.

I co ty na to, Terri Parton?

Tymczasem Terri udawała znudzenie, odwracając wzrok i wypychając policzek językiem, zupełnie tak jak w czasach szkolnych.

- Mieliliśmy nadzieję - kobieta art deco mówiła dalej, podnosząc przy tym głos, by przekrzyczeć ujadającego psa - że mogłaby nam pani przekazać prawa do niektórych swoich wcześniejszych zdjęć w związku z prowadzoną przez nas kampanią. Chętnie widzieliśmy także serię fotogramów miejscowych artystów przy pracy.

Widząc chytry uśmieszek na twarzy Terri, Rachel natychmiast oprzytomniała i zaczęła się nad tym zastanawiać.

- Co to za kampania? - zapytała.

- Chcielibyśmy wypromować wystawę prac stworzonych przez lokalnych artystów, które zostaną później wystawione na sprzedaż. Planujemy rozesłać komunikaty prasowe z pani zdjęciami do różnych wydawców prasy, w tym również do magazynów związanych ze sztuką i podróżowaniem. Bardzo by nam zależało, by również pani wzięła udział w tym pokazie.

Rachel w ostatniej chwili powstrzymała opadającą w dół szczękę. To przechodziło wszelkie pojęcie. Nie dowierzała własnym uszom. Szeroko nagłośniona wystawa dla takiego pariasa jak ona? Owszem, odniosła jakiś tam sukces, poczynając od imprez komercyjnych poprzez serię dla „Nouveau West” oraz udział w kilku prestiżowych wystawach, ale nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej...

Nigdy wcześniej nie była znaną skandalistką: kobietą oskarżoną o uprawianie seksu z bardzo młodym, z prawnego punktu widzenia niemal zbyt młodym, mężczyzną. Kobieta oskarżoną o zabójstwo. Całkiem ciekawe... Rozbawiona mina Terri upewniła ją, że w grę wchodził nie tylko podziw członków fundacji dla jej prac.

Czy jej zrujnowane życie miało być wabikiem grupy Czyste Płótno, która szukała rozgłosu, by wypromować swoje idee? Zrobiło jej się ciemno przed oczami i czuła, że lada moment wybuchnie. Jeszcze gorsza była myśl, że to Terri mogła wpaść na pomysł, by odwołać się do jej próżności.

- Oczywiście zostanie pani odpowiednio wynagrodzona- dodała Gallinardi, zerkając przez ramię na małego psa, który wpadł już w histerię. - Ale może kwestię honorarium powinnam omówić z pani agentem?



Moment wybuchu był bardzo bliski. Jasne, Rachel mogła spodziewać się wynagrodzenia za zdjęcia ilustrujące artykuły prasowe lub wykorzystane do promocji wydarzenia, ale to nie miał być prawdziwy pokaz sztuki. Gdyby tak było, musiałyby wnieść opłatę wpisową, by ktokolwiek rozważył jej kandydaturę. Konkurencja na tym polu była duża, nie tyle ze względu na skromne nagrody w wysokości kilkuset czy może tysiąca dolarów, ile dla samego prestiżu wygranej i promocji własnego studia. Rachel wiedziała, że była niezła, ale zdawała sobie również sprawę z tego, że jej prace nie były na tyle wyjątkowe, a ona sama na tyle znana, by te zasady jej nie obowiązywały.

Wyraźnie zdenerwowana jej wahaniem Terri w końcu nie wytrzymała.

- Daj spokój, Rachel - wtrąciła. - Nie udawaj takiej skromnej. Nie chcesz nam chyba powiedzieć, że masz jakieś lepsze propozycje.

Pracodawczyni jasnowłosej kobiety posłała jej surowe spojrzenie.

- Może pójdziesz do samochodu i zajmiesz się Coco, zanim zdąży zjeść całą tapicerkę.

- Tak, oczywiście, proszę pani. Już idę.

Terri odeszła w stronę samochodu z wyrazem nienawiści na twarzy.

Gdy tylko drzwi wozu zamknęły się, złość widoczna na twarzy kobiety art deco ustąpiła miejsca skrusze.

- Proszę mi wybaczyć. Obiecuję, że porozmawiam z nią na ten temat.

- O co tu chodzi, pani Gallinardi? - zapytała Rachel. - O co tak naprawdę chodzi? Nie interesuje mnie bajeczka, którą wymyśliłyście z Terri.

- Wiewióreczko - ostrzegł ojciec i spojrzał błagalnie na kobietę. - Proszę wybaczyć mojej córce. Nie jest w tej chwili sobą. Przejechała szmat drogi, i jeszcze tamta sprawa. Ostatnio żyje w ciągłym stresie.

Gallinardi zbladła, chwiejąc się na swoich wysokich obcasach.

- Tak wiem, że były... pewne problemy, a moja asystentka zachowała się niestosownie. Ale to, że przychodzę właśnie teraz, wcale nie jest...

- Zbiegiem okoliczności? - dokończyła Rachel i znowu poczuła na sobie przerażony wzrok ojca.

Przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech, aby uporządkować myśli. Ci ludzie nakręcali firmę Waltera Copelanda, a poza tym stali się częścią miasteczka. Gdyby chcieli, mogliby ojcu poważnie zaszkodzić. Powinna chociaż udawać, że rozważy propozycję kobiety, przynajmniej ze względu na niego.

- Przepraszam, że odezwałam się w ten sposób - wybrnęła w końcu. - To wszystko jest po prostu trochę zaskakujące.

Gallinardi wyraźnie się uspokoiła.

- Tak się zastanawiam, czy ma pani może wizytówkę? - ciągnęła Rachel. - Chciałabym zadzwonić, to znaczy poproszę mojego agenta, żeby zadzwonił do pani i omówił tę propozycję. Było mi bardzo miło panią poznać.

Gallinardi uśmiechnęła się i skinęła głową. Z modnej czarnej torebki wyjęła elegancką szarobrązową wizytówkę.

- Oczywiście, pani Copeland. I mam nadzieję, że uda nam się nawiązać współpracę. Jest jeszcze parę spraw do uzgodnienia, ale o szczegółach możemy porozmawiać później.

Gdy tylko Gallinardi zniknęła w samochodzie i srebrzysty range rover ruszył w stronę wyjazdu, ojciec powiedział:

- Nieźle wybrnęłaś. Przez chwilę trochę się martwiłem.

- Przepraszam. - Nie chciała niepokoić ojca swoimi podejrzeniami, przynajmniej do czasu, gdy pozna szczegóły oferty.

- Nie wiedziałem, że masz swojego agenta - dodał ojciec.

Powiedział to takim tonem, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu. W jego wyobrażeniu fotograf to wciąż był facet z supermarketu, który zabawiał grzechotkami płaczące niemowlęta, żeby pstryknąć im kilka fotek.

- Nie mam - przyznała. - Ale wiem, gdzie mogę jakiegoś skombinować, i to szybko.

- No proszę, a już myślałem, że w ciągu tego ostatniego roku całkiem pozbawili cię ikry. - Delikatnie poklepał ją po ramieniu. - No, to jest moja Wiewióreczka. Dziewczyna, która zawsze wiedziała, jak postawić na nogi całe miasteczko.

Ale Rachel nie była w wesołym nastroju. Za to Marfa zawsze wiedziała, jak skopać mi tyłek, pomyślała.

## *Rozdział 3*

*Człowiek niczym światło w nocy zapala się i gaśnie.*

*Heraklit*

Poniedziałek, 11 lutego

Zeke wracał właśnie z przejażdżki po pustyni, gdy zobaczył szczupłą kobietę w wytartych dżinsach i brązowej skórzanej kurtce stojącą przy wybiegu dla koni. Sięgnęła ręką za ogrodzenie i pogłaskała szczupłą szyję nowej klaczy. Brązowo-biały koń, pokryty grubą warstwą zimowej sierści, wydawał się zadowolony, ale Zeke był wyraźnie poirytowany. Zerknął na przesłonięte chmurami słońce i doszedł do wniosku, że była najwyżej ósma trzydzieści, może dziewiąta, ale nie później. Cholernie za wcześnie na rozmowy z klientami.

Wypuścił powietrze. Było mroźno i jego oddech przypominał dym wydobywający się z paszczy smoka. Obcowanie z ludźmi burzyło spokój, który odzyskiwał jedynie podczas porannych wypraw w poszukiwaniu drewna, kiedy wyobrażał sobie krzesła i stoły, wezglowia i inne drobne przedmioty, wykonane z poskręcanych, rachitycznych gałęzi martwych drzew. Dzisiejszy dzień był wyjątkowo udany. Pomiedzy wirującymi wokół płatkami śniegu zauważył kawałek niezłej jakości jadłoszyńca. Był to twardy, mocny i stary okaz, który przeoczył podczas wcześniejszych wypraw. Zanim zdążył pociąć drewno na kawałki i załadować na Gusa, swojego osła, śnieg przestał padać, dzięki czemu ani on, ani jego zwierzę nie zdążyli zmarznąć.

Prowadząc z boku Gusa, Zeke szturchnął swojego ogromnego wierzchowca Chollę. Koń zastrzygł uszami i przyspieszył. Na ubitej ziemi

zastukały duże podkute kopyta, czarne jak jego skarpety. Na widok swoich kompanów klacz zarżała, a kobieta odwróciła się w jego stronę. Wtedy ją rozpoznał. Rachel Copeland pomachała do niego ręką i uśmiechnęła się, chociaż od ich pierwszego spotkania w barze upłynął prawie cały tydzień. W porannym słońcu jej rozpuszczone włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste, pewnie dlatego jej nie poznał.

Co zakrawało na ironię, ponieważ śniła mu się chociażby zeszłej nocy. Gdy się obudził, przeklinał powody, dla których wybrał celibat.

To zbyt niebezpieczne, nie mogę się do nikogo zbliżyć, a tym bardziej do kobiety, pomyślał. Zbyt nieuczciwe wciągać ją w coś, czego nie będę mógł jej wyjaśnić.

Zeke wstrzymał oddech, gdy poczuł, że ogarnia go pożądanie, które przeszywa jego ciało niczym ostrze noża. Powinien trzymać się jak najdalej od tej kobiety. Samo pożądanie nie stanowiło problemu. Z tym mógł sobie poradzić. Ale jej obecność i problemy przywołały stare wspomnienia, uśpione dotąd psy, które obudziły się, warcząc i pokazując obnażone zęby.

Rachel jeszcze raz poklepała klacz.

- Cześć - przywitała się. - Bałam się, że mogę cię nie zastać. Patsy mówiła, że rano jeździsz konno.

Zeke zastanawiał się, skąd Patsy o tym wiedziała. Prawie z nią nie rozmawiał, tylko tyle, ile musiał. Kiedy ludzie gadają, często przestają się kontrolować i potrafią chlapać coś, co powinni zachować dla siebie.

Zeskoczył z konia i przywiązał go do słupa.

- Czego chcesz? - Jego słowa zabrzmiały ostrzej, niż się spodziewał. Ale zamiast przeprosić, postanowił poczekać na odpowiedź.

- Spokojnie, nie przyszedłam na sąsiedzką pogawędkę. - Uśmiechnęła się wyraźnie rozbawiona. Żadnych nerwowych ruchów; mała lwica najwyraźniej doszła do siebie. - Chcę tylko zrobić kilka zdjęć, jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodała, wskazując na swój aparat.

Tym razem to Zeke się przestraszył, zupełnie zaskoczony tym pomysłem.

- Mam - powiedział krótko i stanowczo, ale ciekawość wzięła górę. - A o co chodzi?

- Nikt cię nie uprzedził? - Rachel uniosła brwi.

Zeke pokręcił głową i zaczął odpinać Gusa od załadowanego wózka. Osioł miał jeszcze dwie wiązki drewna na starannie okrytym grubym kocem grzbiecie. Zwierzęta pomagały mu w pracy, więc bardzo o nie dbał. Były też jedynym towarzystwem, na jakie mógł liczyć, robił więc, co mógł, by dobrze się czuły i były zdrowe.

- Chciałbyś usłyszeć wersję oficjalną czy wolisz prawdę? - zapytała.

- Nie lubię owijać niczego w bawełnę.

- No proszę, to ci niespodzianka - odparła z lekkim uśmiechem. - Fundacja Czyste Płótno postanowiła rzucić miejscowym trochę okruchów z pańskiego stołu. Kilka dni nad tym myślałam, aż wreszcie zrozumiałam, o co im chodzi. I doszłam do wniosku, że to może być niezły interes. Przygotowują specjalną wystawę dla lokalnych artystów. My będziemy mogli sprzedać nasze prace, a oni zyskają rozgłos. Całe wydarzenie ma być mocno rozreklamowane i na pewno przyciągnie poważnych kolekcjonerów sztuki, więc wszyscy na tym zyskamy... Zeke odwrócił się i spojrzał drwiąco na Rachel.

- Nie jestem żadnym artystą- burknął. - Po prostu robię meble z bezużytecznych kawałków drewna. Dlaczego miałiby mi o tym mówić?

- Dość długo na ciebie czekałam i zauważyłam, że drzwi do twojej pracowni są otwarte. - Kiwnęła głową w stronę niskiego betonowego budynku, który kiedyś był fabryką wosku. - Weszłam więc do środka, żeby się trochę rozejrzeć i obawiam się, że mam złe wieści...

Smutno pokiwała głową.

- Zdecydowanie jesteś artystą. Twoje prace są fantastyczne, absolutnie wyjątkowe. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

- Weszłaś do mojego domu? - Zeke sam wyremontował budynek. W jednej części mieściła się niewielka galeria, gdzie wystawiał i sprzedawał ukończone prace, w drugiej urządził sobie skromne mieszkanie.

Rachel uniosła do góry ręce.

- Byłam tylko w pracowni, ale przepraszam. Może pan już przestać piorunować mnie wzrokiem, panie Pike.

- Mam na imię Zeke - powiedział, zdejmując pakunki z osła. - Po prostu Zeke. I wcale nie piorunuję cię wzrokiem.

Kiedy spojrzał w jej stronę, zobaczył, jak marszczy swój zgrabny nosek.

- Chyba powinieneś to kiedyś sprawdzić w lustrze. Albo zamykać drzwi, gdy nie jesteś w nastroju do przyjmowania gości. Wystarczyłby nawet napis „Nie zbliżać się”.

Zeke nie lubił drwin i nie miał zamiaru dłużej tego tolerować.

- Mógłbym też zrobić tak jak ty. Strzelać do nieproszonych gości.

Jej dobry humor prysł jak bańka mydlana, znikając razem z prowokującym uśmiechem. Miękkie spojrzenie brązowych oczu stało się twarde jak stal. Podeszła bliżej, unosząc do góry brodę.

- Wiesz co, pieprz się, panie „po prostu Zeke”. Jeżeli nie chcesz tych zdjęć i nie chcesz nowych klientów, po prostu powiedz. Ale nie waż się dyskutować na temat spraw, o których nie masz zielonego pojęcia.

Zeke poczuł uderzenie gorąca i gwałtowny kopniak własnego sumienia. Istniała wyraźna granica pomiędzy nieuprzejmością a zwyczajnym okrucieństwem i właśnie ją przekroczył.

- Masz rację, zachowałem się jak idiota.

- Jak cholerny idiota. - Rachel miała jasną karnację, ale w tym momencie jej twarz płonęła.

Czuł, że powinien jakoś wynagrodzić jej te okrutne słowa, ale nie bardzo wiedział jak. Zamiast tego spytał:

- Te snoby zapłacą ci za te zdjęcia?

- Tak, ale to nie twoja sprawa.

- To rób sobie tyle zdjęć, ile tylko chcesz, ale tylko w pracowni i galerii. - Wskazał na drugi koniec budynku. - Nie zbliżaj się do mojego mieszkania.

I tajemnicy, która się w nim kryje, pomyślał. Powinien już dawno wszystko spalić. Zniszczyć ostatni ślad po człowieku, którym kiedyś był. Ale nie mógł zniszczyć tamtego listu. Jej listu, który był ostatnim ogniwem łączącym go z przeszłością.

„Nigdy nie próbuj wracać”, błagała go, „i proszę nie ryzykuj więcej, wysyłając mi pieniądze. Znajdą cię i zabiją, tak jak zabili jego. A ja już drugi raz tego nie przeżyję. Nie przeżyję... ”



Dawno temu zmusił się, by zapomnieć o przeszłości i żyć wyłącznie teraźniejszością, zmagając się z losem godzina za godziną. Tylko w ten sposób jeszcze nie zwariował i mógł nadal oddychać. Bo przynajmniej tyle był matce winien.

- Nie obawiaj się - powiedziała Rachel obrażonym tonem. - Twoja sypialnia to ostatnie miejsce na tej planecie, którym mogłabym być zainteresowana.

Zeke odwrócił się, by rozsiodłać swojego wierzchowca. Najlepiej ją po prostu ignorować, zdecydował. Sprawdził zwierzętom kopyta i uwolnił je ze strzemion, by dołączyły do klaczy, ale nie mógł zapomnieć jej smutnych oczu i tego, jak pokazała pazury w odpowiedzi na jego zniewagę.

Już od czasu, gdy był dzieckiem, jego niewyparzony język zawsze wpędzał go w kłopoty. Jak widać, ciągle nie nauczył się nad nim panować.

Zajął się drewnem i próbował o niej zapomnieć, kiedy nagle wyszła z pracowni i pokręciła głową.

- Bateria się wyczerpała. - Zmarszczyła czoło. - Nie wystarcza na długo, a zapasową zostawiłam w domku gościnnym.

Patsy wspomniała, że Rachel zatrzymała się w jednym z dwóch maleńkich domków gościnnych, które zwykle rezerwowali z Walterem dla pilotów. Nie mógł zrozumieć, dlaczego właścicielka Grzędy uparła się, by z nim rozmawiać. Ale przyjemnie było słuchać jej paplaniny i przyglądać się wznoszącym się w górę samolotom i maleńkim szybowcom.

- Możesz tu wrócić - powiedział zaniepokojony tym, że Rachel wyraźnie unika jego spojrzenia. - Kiedy tylko zechcesz.

Widział, że się waha. Pewnie zastanawia się, czy warto narażać się na kolejne przykrości.

W końcu podjęła decyzję i kiwnęła głową.

- W porządku. Wpadnę później. Najpierw muszę zabrać babcię do lekarza w Alpine, więc przyjadę dopiero po południu.

Kiedy Rachel podeszła do ogrodzenia, srokata klacz otarła pysk o jej ramię. Dziewczyna zatrzymała się, żeby pogłaskać jej cętkowaną szyję i powiedziała:

- Słuchaj, to nie moja sprawa, ale ten koń... Głos jej się urwał, a twarz oblała rumieńcem.

- Tak?

- Jest słodka, ale mogłaby przytyć parę kilo.

- Masz rację. - Zeke pozwolił sobie na uśmiech. - To nie twoja sprawa.

Rachel już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Zeke mówił dalej:

- I nie była też moja, kiedy znalazłem ją umierającą z głodu na skrawku ziemi, który udawał pastwisko. Był tam jeszcze jeden koń, mysołowy wyjadały to, co z niego zostało.

- Uratowałeś ją. - Twarz Rachel przybrała inny wyraz, ale Zeke od tak dawna nie widział w niczyich oczach podziwu, że nie wiedział, jak zareagować.

- Słuchaj, nie jestem typem faceta o miękkim sercu, ale wiem, kiedy widzę przed sobą potencjał. A ta klacz ma w sobie potencjał. Potrzebuje jedynie czasu, opieki i dobrego jedzenia. - Podobnie jak ty, chciał dodać, ale w porę ugryzł się w język.

- Kupiłeś ją? Pokręcił głową.

- Pogadałem sobie z tym durniem, który był jej właścicielem. Przekonałem go, że będzie lepiej, jeśli mi ją odda, chyba że woli mieć do czynienia z policją.

- Więc jednak jesteś miłym człowiekiem. Ale się nie bój. - Kiedy się uśmiechała, nos jej się marszczył, a Zeke dostrzegł na nim kilka bladych piegów. - To będzie nasza mała tajemnica.

Przyglądał jej się, gdy szła w stronę furgonetki, a jego wzrok błędził po jej wąskich biodrach i powiewających na wietrze kasztanowych włosach.

I coś się w nim obudziło - coś, co powinno pozostać martwe, zakopane głęboko pod ziemią aż do chwili, gdy on sam tam dołączy.

- Nie mam pojęcia, czemu jeździsz tym okropnym wozem - narzekała Benita Copeland, babcia Rachel. - Powinnaś dać mi jakąś drabinę, żebym mogła wdrapać się do tego paskudztwa.

Na autostradzie nr 90 skierowały się na wschód i wkrótce straciły z oczu małą Marfę. Kiedy przejechały przez wysuszony o tej porze roku strumyk Alamito, miały przed sobą jedynie zimowe pustynne równiny z majaczącą w oddali sylwetką Cathedral Mountain.

- Wiedziałam, że będę się przeprowadzać, a ten wóz pomieścił wszystkie moje rzeczy. - Rachel nie chciała wdawać się w szczegóły. Po tym jak przejęto jej mini coopera, znajoma, której wujek miał komis samochodowy, dała jej tę starą brzydką furgonetkę z odpadającymi drewnianymi panelami. Była wdzięczna za tę pomoc, bo potrzebowała jakiegokolwiek środka transportu, a szczególnie takiego, który mógł pomieścić cały jej sprzęt fotograficzny i w którym mogła się przespać. - Wściekasz się, bo na pewno kombinowałaś już ze swoimi kumpelkami od kanasty, jak tu zakraść się w nocy i pożyczyć sobie ten mały samochodzik, którym kiedyś jeździłam.

Babcia, która wiele lat temu zrezygnowała z prowadzenia samochodu, roześmiała się i zbyła jej słowa machnięciem ręki. Zawsze była dużą

kobietą, a dzisiaj włożyła purpurowe dresy, które sprawiły, że wyglądała jak okrągłutki bakłażan. Na nosie miała grube okulary w kwadratowych oprawkach. W słoneczne dni zakładała na nie dodatkowo ogromne okulary przeciwsłoneczne. Jednak tego dnia ciężkie nisko wiszące chmury pokrzyżowały jej plany, podobnie jak plany szybowników.

- To nawet lepiej. - Westchnęła. - Gdybym weszła, do któregoś z tych małych cudeniek, potrzebowałabyś wózka widłowego i całej drużyny rehabilitantów, żeby mnie z niego wydostać. Wydaje mi się tylko, że dziewczyna w twoim wieku powinna mieć jakiś fajniejszy samochód, to wszystko. Kiedy byłam młoda, miałam czerwono-białego t-birda. Wiesz, tego ze śmiesznymi bokami. To był kabriolet i choćby mama nie wiem jak zrzędziła, nigdy nie zakrywałam głowy szalem. Moje jasne włosy powiewały na wietrze, doprowadzając facetów do szaleństwa.

- Musiało być wesoło. - Rachel uśmiechnęła się, chociaż pamiętała z rodzinnych fotografii, że w młodości babcia miała ciasno okalające głowę, brązowe, spalone trwałą loki, które przetrwały próbę czasu, choć zdążyły już posiwieć. Rachel podejrzewała też, że Benita, która nigdy nie miała zbyt dużo pieniędzy, a już na pewno nie lubiła się z nimi rozstawać, mówiła raczej o samochodzie, który widziała w reklamach. Od jej ostatniej krótkiej wizyty, jakieś dwa lata temu, babcia albo zrobiła się bardziej skłonna do przesady, albo też jej problemy z pamięcią sprawiły, że młodość wydawała jej się o wiele wspanialsza, niż to miało miejsce w rzeczywistości.

Poprzedniego wieczoru podczas kolacji Patsy stwierdziła, że sytuacja wymyka się spod kontroli: „Obawiam się, że to może być poważny problem. Ona mieszka zupełnie sama, Walterze. A przecież ma cukrzycę. Przy jej

problemach ze wzrokiem utrzymanie cukru na odpowiednim poziomie jest nie lada wyzwaniem".

Ale ojciec Rachel nie chciał tego słuchać. Krzyknął ze złością: „Od dwudziestu lat daje sobie świetnie radę. Wie, co robi. Pewnie, że od czasu do czasu zapomina o drobiazgach jak każdy, i używa szkła powiększającego, by przeczytać etykiety. Ale dałem jej słowo, że dożyje swoich dni w domu, który zbudował dla niej mój ojciec, i za żadne skarby nie złamię tej obietnicy".

Kiedy Patsy ostrożnie przypomniała, jak miesiąc wcześniej Benita pomyliła lekarstwa, przez co trafiła do szpitala, ojciec oskarżył ją, że chce wsadzić matkę do domu opieki, by oni mogli spokojnie podróżować. Patsy, wyraźnie wściekła, wyrzuciła kolację do kosza i wyszła na długi spacer.

Rachel się skrzywiła. Była to pierwsza rysa, którą dostrzegła na twardym jak skała małżeństwie. Pomimo mieszanych uczuć, jakie żywiła do żony ojca, która szybko podjęła decyzję, że Rachel będzie o wiele „wygodniej” w jednym z ich spartańsko wyposażonych i kiepsko ogrzewanych domków dla gości, kłótnia tych dwojga sprawiła, że poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Zgłosiła się więc na ochotnika, żeby zawieźć starszą panią do okulisty. Chciała dowiedzieć się, jaki jest stan zdrowia babci, a poza tym potrzebowała nabrać trochę dystansu. Zdawała sobie sprawę, że przed Tamtą Nocą bez problemu poradziłyby sobie z wczorajszą kłótnią.

Kazałyby ojcu uspokoić się i wysłuchać uzasadnionych, było nie było, obaw macochy. Może nawet zaczęliby na siebie krzyczeć. Czuli się z ojcem na tyle bezpiecznie w swoich relacjach, że mogli sobie na to pozwolić.

Zastanawiała się, czy ojciec lub Patsy zauważyli, jak bardzo się zmieniła. Nikt o niczym nie wspominał, nawet babcia, która podobno nie wiedziała o całej sprawie.

- Nadal bojkotujesz telewizję? - zapytała Rachel. Parę lat temu babcia przestała oglądać wiadomości. Oświadczyła, że widziała w swoim życiu wystarczająco dużo tragedii, by na starość przejmować się całym światem. Twierdziła, że pozbawia ją to apetytu i nie pozwala spać. I że zmieniła się w osobę, która dokładnie zamyka drzwi wejściowe, co było dość nietypowe w miasteczku z niemal zerową przestępczością.

- Jasne. Gazet też już nie czytam.

Rachel doskonale rozumiała to, że babcia nie chciała mieć nic wspólnego z cudzym cierpieniem. Dobrze było nie wiedzieć nic o okropieństwach nękających świat. Żyć w błogiej nieświadomości, nie mając pojęcia o morderstwach, gwałtach... i rozprawach sądowych.

- A nie czujesz się przez to trochę... oderwana od rzeczywistości? Babcia spojrzała na nią zaskakująco bystrym wzrokiem.

- Jeżeli wiesz, by sprawdzić, czy wiem coś o twoich kłopotach, odpowiedź brzmi „tak”. Oczywiście, że wiem, i to pomimo idiotycznych wysiłków ze strony twojego ojca, żeby mnie chronić. Może i mam problem z drobnym drukiem, ale na pewno nie jestem ślepa.

- Więc wiesz? Od jak dawna? - Rachel spojrzała na babcię. - Dlaczego nic nie mówiłaś?

Babcia zrobiła nadąsaną minę.

- Dowiedziałam się u fryzjera i byłam wściekła jak osa. Jestem już starą kobietą, nie dzieckiem, i przetrwałam gorsze rzeczy, niż możesz sobie wyobrazić. Pochowałam męża i pierwszego syna, kiedy był jeszcze maleńki.

Widziałam, jak młodzi chłopcy wyruszają na wojny, których nie rozumieli, a wielu z nich nie wróciło już do domu. Dorastałam w biedzie i dobrze pamiętam, co znaczy głód. A w ciągu ostatnich pięciu lat straciłam obie moje siostry. Wiem, jak sobie radzić, Rachel, i myślę, że nawet miałabym coś do powiedzenia w twojej sprawie. Ale nikt nie chce słuchać starej kobiety. Więc zachowałam to dla siebie.

Nic dziwnego, że babcia nie zaprosiła jej, by z nią zamieszkała. Rachel poczuła, że oczy robią jej się wilgotne, przesłaniając widok zielonych drzewek jałowca rosnących pośród suchej złocistej trawy po obu stronach drogi.

- Nie chciałam cię zranić. - Rachel żałowała, że nie pomyślała o tym, jak ciężko może znieść takie „odizolowanie” od cierpienia wnuczki kobieta, która zaopiekowała się nią po nagłej śmierci matki. - Przepraszam, babciu. Nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć, a tata...

- Twój tata. - Na twarzy babci pojawił się uśmiech, który nieco złagodził jej surowe oblicze. - Może ci powiedzieć wszystko o tych cholernych, latających maszynach, ale nie ma pojęcia, jak pracuje umysł kobiety. Ale ty, Rachel, ty mogłaś...

- Tak bardzo się wstydziłam. - Rachel zamrugła oczami, bo łzy przesłaniały jej cały widok. - Wiązałaś ze mną tak wielkie nadzieje. Bez ciebie nie mogłabym nawet pomarzyć o moich fotografiach wiszących w galeriach i zarobieniu na życie tym, co najbardziej kochałam. Zawsze byłaś dla mnie bardzo ważna, szczególnie po śmierci mamy.

- A ten zabity chłopak, czy w historiach, które opowiadał swoim kumplom, był choć cień prawdy?

W oddali pojawiły się ciemne stoki gór, a Rachel próbowała stłumić mroczne wspomnienia. Wulgarnie wiadomości nagrane na jej pocztę głosową, obrzydliwe e-maile, zużyta prezerwatywa wisząca na klamce od drzwi wejściowych, odkrycie tym gorsze, że dokonane po ciemku, bo winowajca wykręcił żarówkę z lampy na suficie. Pamiętała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, wszystko - oprócz tego wieczoru w restauracji, od którego zaczęła się cała ta historia.

„To dlatego, że nie wydarzyło się nic godnego uwagi - uspokajała samą siebie - nic poza zupełnie zwyczajnym, niezapadającym w pamięć wyjściem ze studentami". I nieważne, co twierdzili inni czy sugerował jej własny psycholog.

- Nie, babciu - odparła Rachel. - Nigdy bym tego nie zrobiła. Na pewno z żadnym z moich studentów, a już na pewno nie z... Dla mnie on był po prostu dużym dzieciakiem. - W każdym razie zanim zamienił się w potwora, dodała w myślach. - Może trochę bardziej wyrobionym od innych. Z tego, co słyszałam, wyrzucili go z kilku najlepszych szkół. Ale dla mnie był tylko moim uczniem, wyrosniętym chłopakiem, który według mnie miał talent. A cała reszta...

Babcia pokręciła głową.

- Nieźle się o to pokłóciłam z Tally Sue Ryan wtedy u fryzjera. Powiedziałam jej, że nie wierzę, żebyś mogła coś takiego zrobić, a jeżeli ma zamiar upierać się przy swoim, jej stylistka będzie musiała się nieźle napracować, żeby zasłonić kilka nowych łysych placków na jej głowie.

Rachel roześmiała się, wyobrażając sobie tę scenę.

- Nieźle ci poszło, babciu. I cieszę się, że jednak nie uwierzyłaś w te plotki.



- Ten chłopak nie był pierwszym, który lata i opowiada swoim koleżkom jakieś zmyślane historie. Tak samo było za moich czasów, kiedy jeszcze uczyłam się w szkole. Ten typ nie myśli o reputacji dziewczyny, tylko o własnym tyłku.

Rachel znowu zamilkła. Pomyślała, że wysoki i wyjątkowo przystojny Kyle posunął się jednak o wiele dalej. Wykorzystał umiejętności, które zdobył przecież na jej zajęciach, by dokleić jej twarz do zdjęć pornograficznych. I dodał swoją, by wyglądało, że klęczy przed nim na kolanach, z otwartymi ustami, gotowa na...

Zdjęcia były tak dobrze zmontowane, że jej prawnik musiał zaangażować własną grupę ekspertów, którzy w końcu odkryli oszustwo i udowodnili, że obrzydliwe wiadomości, które wysyłał jej Kyle, były również kłamstwem. Wiadomości, które wkradały się w zionącą otchłań jej pamięci.

Nagle poczuła tak silny ból w dole brzucha, że musiała zjechać na kamieniste pobocze. Wyskoczyła z wozu, nie zważając na nic, nie zwracając uwagi na klakson przejeżdżającej obok ciężarówki ani na splątane wiatrem włosy.

W kilka sekund zwróciła całe śniadanie, które rano przygotowała dla niej Patsy. Po chwili usłyszała odgłos zbliżających się butów ortopedycznych i poczuła na plecach ciepłą i silną dłoń.

- Wszystko będzie dobrze - miękko i łagodnym głosem pocieszała ją babcia. — Wszystko będzie dobrze, Cora. Ja poprowadzę.

Słowa babci natychmiast postawiły Rachel na nogi i uratowały przed kolejnym atakiem mdłości. Ciotka Cora, starsza siostra babci, nie żyła od czterech lat.

Ale najbardziej zaniepokoiła ją propozycja prowadzenia samochodu. Babcia, która od lat nie siedziała za kółkiem, próbowała odebrać jej kluczyki.

- Lepiej już jedźmy. - Rachel zaprowadziła ją z powrotem na fotel pasażera. - Nie możemy spóźnić się do okulisty.

- Ale ty cierpisz na poranne mdłości. Powinnaś pozwolić mi poprowadzić, Cora.

Rachel popatrzyła na nią i serce ścisnęło jej się z bólu. Czy Patsy była świadkiem podobnej sceny? I czy ojciec nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

- Już wszystko dobrze, babciu.

Rachel pomogła jej wejść z powrotem do starej furgonetki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze tak jak dawniej.

## *Rozdział 4*

*Smutek wypełnia komnatę mojego nieobecnego dziecka,*

*Leży w jego łóżku, cały czas chodzi za mną...*

*William Shakespeare Król Jan*

Znowu zaczęła spać w jego sypialni, Kathy. - Młodsza siostra Marlene mieszkała w Phoenix, ale rozmawiały przez telefon przynajmniej raz w tygodniu. Choć oboje miały już mężów i własne rodziny, od zawsze się sobą opiekowały. Siostrzana więź była nadal silna.

Marlene usłyszała, jak siostra stawia przy telefonie kubek z kawą.

- Wiedziałam, że tak będzie! - wykrzyknęła Kathy. - Zaproponowałam, że zostanę z nią po pogrzebie, ale praktycznie wypchnęła mnie za drzwi.

- To i tak by niczego nie zmieniło. Jak tylko byśmy się odwróciły, wślizgnęłyby się do środka. Znowu... znowu śpi w tym łóżku. W jego łóżku.

- Marlene nie miała na myśli ich ojca.

- Jezu, pewnie nawet nie uprała pościeli.

Siostra zrobiła świętoszkowatą minę, z której zawsze śmiali się jej synowie.

- Ani jej nie wytrzepała.

- Ale tam mogą jeszcze być cząsteczki jego skóry. - Choć to Marlene najbardziej przypominała z wyglądu matkę, Kathy potrafiła ją tak świetnie naśladować, że można było dostać gęsiej skórki. - Chyba nie sądzicie, że pozwolę pokojówce ją wytrzepać lub odkurzyć.

Choć mróz przeszedł jej po plecach, Marlene się roześmiała. Po chwili oboje zaczęły chichotać, choć było to trochę niestosowne. Ale śmiech pomagał, i to bardziej niż jakakolwiek terapia czy leki uspokajające,

których też już próbowała. Bardziej nawet niż masaże mające rozładować napięcie w karku i szyi, za które zapłacił jej kochany mąż.

- Będziemy musiały coś z tym zrobić - powiedziała z niepokojem Marlene. - Nie możemy pozwolić, by tak żyła.

- A kogo to obchodzi? - odparła Kathy z goryczą, chociaż Marlene usłyszała w jej głosie również nutę bólu. Już kiedy była małą dziewczynką, próbowała maskować ból złością.

- Ona nie martwi się tym, jak my sobie radzimy i wcale nie obchodził jej biedny tatuś - rzuciła oskarżycielskim tonem młodsza siostra. - Myślisz, że powiedziała mu, że go kocha? Wtedy, gdy wezwała karetkę, a on leżał na podłodze sypialni i umierał? Myślisz, że choć przez chwilę trzymała go za rękę?

Po policzku Marlene spłynęła łza, ale nie mogła pozwolić sobie na taką rozmowę. Nie chciała myśleć o ostatnich chwilach ojca.

- Ale to nasza matka, Kathy. Co ludzie powiedzą, jeśli się nią nie zaopiekujemy?

- Wiesz co? Mam gdzieś, co ludzie powiedzą.

Marlene pomyślała, że siostrze łatwo tak mówić, bo wyprowadziła się daleko stąd. Kathy nie musiała spotykać przyjaciół rodziny, sąsiadów, tych wszystkich osób, które doskonale wiedziały, jak fantastycznie ojciec zajmował się matką od czasu, gdy jej ukochane dziecko zostało zamordowane. Mogła to wszystko zrzucić na Marlene jak zawsze.

Poczuła ogarniającą ją złość. Była pewna, że już dawno miały to za sobą. Ale tak to już było z Marlene i jej siostrą. Ich nieporozumienia zawsze w jakiś sposób wracały.

- Co by na to powiedział ojciec? - Nie mogła się powstrzymać. - Obiecałam mu, obydwie mu obiecałyśmy, że jeżeli on pierwszy odejdzie, zajmiemy się mamą.

Marlene usłyszała westchnienie. Kiedy jednak Kathy w końcu się odezwała, w jej głosie była siła, której Marlene zawsze jej zazdrościła, ale i której nienawidziła.

- Nasz ojciec był kochającym człowiekiem. Tak bardzo kochał matkę, że nie mógł sobie nawet wyobrazić, że mogła stać się kobietą pozbawioną jakichkolwiek ludzkich uczuć. Ciągłe wymyślał dla niej wymówki, opiekował się jak dzieckiem, zamiast po prostu zażądać, by raz na zawsze z tym skończyła i znowu była sobą.

- Nie można zmusić człowieka, by poczuł się lepiej. Nie można tak po prostu zażądać, żeby o wszystkim zapomniał.

- Ja już z nią skończyłam, Marlene. Moje dzieci mnie potrzebują, no i mój szef. Jeżeli wezmę jeszcze trochę wolnego, na pewno mnie zwolni.

- Zwolni? Myślałam, że w tym nowym miejscu jest lepiej. - Marlene od dziesięciu lat pracowała w tym samym biurze i już dawno straciła rachubę, ile razy jej siostra zmieniała pracę. Zaczynała podejrzewać, że to jednak Kathy ma problem, a nie „walnięci szefowie” czy „złośliwi współpracownicy”, na których zwała całą winę.

- No cóż, nie wspominałam ci wcześniej - zaczęła Kathy - ale wzięłam trochę wolnego, kiedy byliśmy z Bryce'em w separacji. Przez to i przez pogrzeb będę musiała pracować w wakacje, żeby nadrobić zaległości. Poza tym ceny biletów są poza moim zasięgiem, szczególnie tak nagle, bez wcześniejszej rezerwacji.

- A jeśli pomogę ci z biletem? - Marlene wiedziała, że jej mąż nie będzie tym pomysłem zachwycony, ale miała odłożoną pewną sumę na nową kanapę i fotele do salonu.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Chodzi o matkę. Po tak długim czasie, po tym, jak się od nas odwróciła, skończyłam z udawaniem, że mi na niej zależy. Bo nie zależy.

Marlene wiedziała, że to nieprawda. Ale kłótniami nic nie zyska. Kiedy Kathy zaczynała zachowywać się jak uparty osioł, żadne argumenty do niej nie trafiały.

- Więc muszę radzić sobie sama, tak?

- Przykro mi. Gdybym faktycznie musiała to dla kogoś zrobić, na pewno zrobiłabym to dla ciebie, Marl. Ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

Marlene czuła, że zaraz wybuchnie. Chociaż raz w życiu to ona chciała mieć ten luksus, żeby odmówić.

- Raczej nie chcesz.

Odłożyła z hukiem słuchawkę, pozwalając sobie na rzadki wybuch złości. Ale nieporozumienie pomiędzy siostrami nie trwało nigdy długo.

Zaledwie kilka godzin później Marlene ponownie zadzwoniła do Kathy tym razem z domu, w którym dorastały wraz ze swoim zmarłym bratem.

Dom był pusty, a wszystkie drzwi i okna - pootwierane. Brakowało jedynie paru przedmiotów. Pościeli zdjętej z pewnego materaca. Albumu ze zdjęciami i makabrycznej kolekcji wycinków prasowych. Poza tym torebki, kosmetyczki i kilku ubrań.

No i matki, która bez słowa wyjaśnienia odjechała, zostawiając na miejscu swojego cadillaca.

Zanim Rachel wróciła do domu Zeke'a Pike'a, na niebie dawno nie było już porannych chmur. Zaparkowała swój wóz za jego niebieskim, pokrytym kurzem pikapem Chevy, starszym nawet niż jej furgonetka. Wsiadła, zostawiając na fotelu skórzaną kurtkę. Przez chwilę stała przy zagrodzie, pozwalając, by ciepłe popołudniowe słońce grzało jej bawełnianą bluzkę i džinsy. A może po prostu zwlekała, obawiając się kolejnego spotkania z mężczyzną, który był tak samo szorstki, jak jego imię.

Wtedy w barze faktycznie trochę ją przestraszył, tym bardziej że było to tuż po nieoczekiwanym telefonie z pogrózkami, ale Rachel podejrzewała, że Pan Niezwykła Osobowość bardziej obawiał się jej niż ona jego. Robił wszystko, by zachować dystans, aż Rachel zaczęła zastanawiać się, dlaczego taki facet wybrał samotne życie na odległej pustyni.

Srokata klacz zarżała i wyciągnęła do przodu szyję. Rachel pomyślała, że Zeke pewnie nie narzekał na brak propozycji. Pogłaskała konia po szyi, a przed oczami stanął jej zielonooki mężczyzna o ciemnych, gęstych, falujących włosach, które były na tyle długie, że nadawały mu nieco podejrzany wygląd, i opalonej, ogorzałej od słońca i wiatru skórze. Taki facet, do tego tak dobrze zbudowany, mógł przebierać w kobietach.

Jeżeli kobiety go w ogóle interesowały. Zastanowiła się nad tym i od razu odrzuciła jakąkolwiek inną możliwość. Zeke Pike był zdecydowanie typem faceta z owłosioną klatą, który lubił dobrze zjeść i podrapać się tam, gdzie potrzeba. Co oznaczało, że samotny mógł być tylko na własne życzenie.

Rachel raz jeszcze poklepała klacz i powiedziała:

- Ktoś, kto uratował taki worek z kośćmi jak ty, nie może być całkiem zły, prawda?

Ponieważ koń nie odpowiedział, Rachel stwierdziła, że pora przestać chować głowę w piasek i ruszyła w kierunku pracowni, by zrobić zdjęcia. Zauważyła, że na betonowych ścianach wciąż widoczny był wyblakły napis z nazwą fabryki wosku. Pod spodem znajdował się prawie niewidoczny rysunek szczerzącego zęby osiołka, który wiózł na grzbiecie ogromną ilość gałęzi. A może nie był to wcale uśmiech, może zwierzę jedynie zaciskało z bólu zęby.

Rachel również zacisnęła zęby i skierowała się w stronę centralnej części budynku, gdzie ktoś, pewnie Zeke, zamontował nowoczesne drzwi garażowe. Do połowy były otwarte, dzięki czemu do środka wpływało świeże powietrze i popołudniowe złociste światło. Z głębi dobiegały przytłumione dźwięki starej, brzękliwej melodii dochodzące z tanich głośników. Rachel poczuła, że ma ochotę tańczyć.

Jednak nie ruszyła się z miejsca. W środku zobaczyła mężczyznę obrabiającego kawałek drewna i był to widok, przy którym nawet siostra zakonna popłakałaby się z wrażenia. Nawet Rachel, która w tej chwili wolałaby raczej poddać się kanałowemu leczeniu zęba, niż mieć do czynienia z nagim mężczyzną, patrzyła z otwartymi ustami, jak Zeke w samych spodniach, bez koszuli, pochyła się, by naoliwić powierzchnię stołu. Promienie słońca rozświetlały jego profil, a ręka przesuwająca się po zaokrągleniach stołu niczym po ciele kochanki. Pod napiętą skórą widać było pracujące mięśnie, które z ogromną precyzją wydobywały piękno z czerwonego drewna.

Wiedząc, że już nigdy nie uda jej się odtworzyć tej chwili, że gdy tylko Zeke ją zauważy, natychmiast założy koszulę i rzuci w jej stronę kolejne ostrzeżenie, by pod żadnym pozorem nie zbliżała się do jego prywatnych



pokoi, Rachel uniosła aparat i zaczęła robić zdjęcia, całkowicie oddając się grze światła i cienia.

Czuła, że te zdjęcia będą wyjątkowe. Ale wiedziała też, że Zeke Pike dostałby ataku furii, gdyby wiedział, że fotografuje jego, a nie jego prace.

Powiedział przecież, że mogę fotografować wszystko, co znajduje się w pracowni i w galerii, pomyślała. Ta naciągana wymówka musiała jej chwilowo wystarczyć. W końcu wyłączyła aparat i głośno chrząknęła, by zwrócić jego uwagę. W tle leciała piosenka *Ring of Fire* Johnny'ego Casha.

Tak jak przypuszczała, gdy tylko Zeke ją spostrzegł, wszystko się zmieniło. Szybko chwycił z ławki dżinsową koszulę i powiedział:

- Przepraszam, zrobiło się tu trochę gorąco.

Co ty nie powiesz, pomyślała Rachel, ale zamiast przyznać się do sekretnej sesji, podeszła bliżej i spojrzała na stół.

- Widzę, że użyłeś pniaka na podstawę. Założył koszulę.

- Podobało mi się, że jest taki poskręcany, więc trochę go wypolerowałem i przyczepiłem od spodu.

- Jest idealny- stwierdziła, powstrzymując się, by nie dotknąć dłońmi wypolerowanej powierzchni stołu, schowanych w drewnie kręgów i oczek. Naturalne szczeliny tworzyły wąskie strumyki, które wyłożył pięknie wyżłobionymi niebieskimi i miedzianymi kamieniami. -To jest naprawdę niesamowite, Zeke. Wspaniałe. Gdybym miała kupę pieniędzy, odkupiłabym to cudo od bogacza, który je zamówił.

- Byłoby lepiej, gdybym zrobił coś tylko dla ciebie. Coś, co by ci się szczególnie podobało.

- Ale mnie się podoba właśnie ten. - Roześmiała się i końcem palca dotknęła ciężkiego blatu. Wydawało jej się, że wyczuwa jeszcze ciepło jego

dotyku. - Szkoda tylko, że nie mam jadalni, żeby go wstawić. Ani domu. Ani masy pieniędzy.

- Te dwie pierwsze rzeczy nie są konieczne. Pojawisz się z kasą, to podgadamy. - Zeke zachował kamienną twarz, ale jego oczy się śmiały.

Rachel wpatrywała się w jego twarz o jasnych zielonych oczach i gęstych ciemnych brwiach. Zdała sobie sprawę, że zaczynała pożądać czegoś, co było o wiele bardziej skomplikowane niż ręcznie robiony stół.

Zeke wyłączył radio i ruchem głowy wskazał wewnętrzne drzwi. Zauważyła je już rano, ale nie weszła do środka. Może zniechęciła ją czerwona farba, która w mało subtelny sposób ostrzegała, że za drzwiami może kryć się niebezpieczeństwo.

- Będę w swoim pokoju - powiedział Zeke. - Do czasu, gdy skończysz.

Ciekawe, jakie meble zrobił dla siebie, zastanawiała się Rachel. Odsunęła od siebie wizję ogromnego łóżka z drewna wyrzeźbionego przez wiatr i wodę, pokrytego pasiastym meksykańskim pledem.

- Nie muszę pracować w ciszy.

Wzruszył ramionami. Wydawał się tak odległy i niemożliwy do zdobycia jak szczyt wysokiej góry.

- Ale ja muszę, więc zatrąb, jak będziesz odjeżdżać.

Wszedł do środka, nie oglądając się za siebie. Rachel wymamrotała pod nosem:

- Może i nie gryziesz, panie Pike, ale mam już serdecznie dość twojego warczenia.

Przewodnicy Dusz zrobili się niecierpliwi, a światła miały swoje sposoby, by przekazać ich niezadowolenie. Przede wszystkim nie chciały się znowu ukazać, pozbawiając obserwatora swojej mądrości. Od samego

początku światła pojawiały się o dziwnych porach i w jeszcze dziwniejszych miejscach. Nie tylko w okolicach tarasu widokowego, gdzie co wieczór zbierali się wariaci i turyści, czy na cienistych równinach u podnóża Gór Chinati, ale w miejscach odosobnionych, gdzie ujawniały obserwatorowi swą prawdziwą naturę.

Po raz pierwszy ukazały się w dusznej i brudnej kryjówce pod przyczepą, wypełnionej smrodem kociego moczu. Oprócz gniazda brzęczących wściekłych os, pełno tam było robactwa i pajaków. Ale Dziecko nie miało odwagi ani krzyżeć, ani uciekać. To było nie do pomyślenia. Zostało tam wysłane za jakieś dawno zapomniane przewinienie, pewnie za kradzież jedzenia przeznaczonego dla Innych. Przez całą noc nikt o Dziecku nie pamiętał.

Wtedy pojawili się Przewodnicy Dusz. Światła wślizgnęły się do środka przez szparę w zardzewiałej, metalowej listwie i, tańcząc wokół, zmieniały kolory. Niebieski, biały, a w końcu żółty. Przerazone Dziecko nie wytrzymało i głośno krzyknęło. Szlochając, przeczołgało się w najciemniejszy kąt i w ślepej desperacji próbowało wydostać się na zewnątrz, łamiąc przy tym małe paznokcie.

Po chwili ukazały się bliźniacze kule, tworząc wizję przekraczającą ludzkie zrozumienie. Ale Dziecko, przyglądając się im przez łyżę, zdecydowało, że są przyjazne. I w ciągu tych wszystkich lat, kiedy światła wracały do ciemnych pokoi, szaf, a raz nawet na dno suchej cysterny, w której wciąż słyhać było echo krzyków, przekazywały swoje zaszyfrowane wiadomości.

Wiadomości niosące nadzieję i mądrość, które pomogły Dziecku zrozumieć, że płaczem i krzykiem nigdy nie powstrzyma Innych, gdyż płacz i krzyk były tym, czego chcieli przez cały czas.

Gdy Dziecko słuchało, życie stawało się odrobinę lepsze. Przekazując swoje mroczne rozkazy, światła znalazły bardzo uważnego słuchacza.

Nawet wtedy, kiedy domagały się śmierci.

Jak w czasie ostatniej wizyty, po której obserwator cały czas zwlekał. A to z powodu świadków, a to niesprzyjających okoliczności czy też zwykłego tchórzostwa.

No i światła zniknęły, pozostawiając uczucia pustki i paniki, które rosły jak fale przyływu.

Przewodnicy Dusz muszą wrócić, i to szybko.

Nawet jeżeli oznaczało to masakrę na lotnisku, gdzie bezwstydnym zabójcą właśnie przygotowywał się do lotu.

## *Rozdział 5*

*Pierwsze historyczne zapisy o światłach Marfy podają, że w roku 1883 młody kowboj, Robert Reed Ellison, zauważył migoczące światła, gdy przeprowadzał bydło przez przełęcz Paisano. Ellison sądził, że to ogniska Indian z plemienia Apaczów. Inni osadnicy również widywali owe światła, ale kiedy postanowiono sprawę zbadać, okazało się, że na miejscu nie było ani śladów popiołu, ani jakichkolwiek innych pozostałości obozowiska.*

*Światła widzieli również Joe i Sally Humphreyowie w 1885 roku. Także kowboje przeprowadzający przez prerię stada byli świadkami tego niezwykłego zjawiska. Latem 1919 roku kilku z nich ruszyło w góry, w poszukiwaniu źródła światła, ale niczego nie znaleźli. Podczas I wojny światowej mówiono, że tajemnicze błyski oznaczają przygotowania do inwazji, a w czasie II wojny światowej źródło zanikających światel próbowali odnaleźć z powietrza piloci trenujący na pobliskim lotnisku wojskowym. Jednak i oni nie rozwiązali tej zagadki.*

*Julia Cauble Smith *The Handbook of Texas Online* (Encyklopedia o historii i kulturze Teksasu)*

Piątek, 15 lutego

Dzwonek telefonu wyrwał Rachel z głębokiego snu. Wokół panowała ciemność i nie wiedziała, gdzie się znajduje. Przy drugim dzwonku przypomniała sobie, że jest w maleńkim domku gościnnym, jej tymcza-

sowym lokum. Ojciec kupił ten telefon zaledwie dwa dni temu i, o ile wiedziała, był jedyną osobą, która znała jej numer.

Coś się stało babci... Rachel szukała po omacku, aż w końcu znalazła komórkę na nocnej szafce dokładnie tam, gdzie zostawiła ją zeszłej nocy, tuż obok zegara, którego czerwone cyfry wskazywały czwartą osiemnaście. Pograżona w myślach o rodzinie, nie spojrzała nawet na tożsamość rozmówcy.

- Tato, czy coś się stało...

- Wiem, gdzie jesteś, morderco. Morderczyni. - Kobięcy głos aż kipiał od nienawiści, spod której przebijała lodowata złość.

Nie, tylko nie to, nie tutaj. Rachel poczuła, że ze złości pieką ją oczy. Głos kobiety wydawał się inny, bardziej chrapliwy i jeszcze bardziej niezrównoważony niż wtedy, gdy dzwoniła w Filadelfii. Czy to ta sama osoba? Pewnie tak. Była najbardziej uporczywa i wciąż anonimowa, i w wyjątkowo łatwy sposób zdobywała prywatne numery telefonów. Ale jak, do licha, namierzyła ten?

- Jesteś naprawdę chorą suką- warknęła Rachel, czując, że złość bierze w niej górę nad zdrowym rozsądkiem. Rozmowa z tą wariatką jeszcze bardziej ją nakręcała. - Idź się leczyć i zajmij się wreszcie swoim własnym życiem.

- Moje jest całkiem udane, za to ty się swoim długo nie nacieszysz. Idę po ciebie, Raaaachel. Nieważne, jak szybko i jak daleko uciekniesz. Zawsze będę wiedziała, gdzie jesteś...

Drżącymi palcami Rachel wyłączyła przycisk zasilania. Z doświadczenia wiedziała, że to jedyny sposób, by skończyć rozmowę. Gdyby tylko przerwała połączenie, ta Stuknięta Suka znowu by zadzwoniła. Za każdym

razem kobieta blokowała swój numer i próby namierzenia jej przez firmę telefoniczną nic nie dawały. Używała telefonów na kartę i często je zmieniała.

Rachel nakryła się kołdrą, a serce waliło jej jak oszalałe. Próbowwała uchwycić najlżejszy dźwięk. I to nie było jakie, tylko ten, który słyszała w koszmarnych snach: otwierające się drzwi szary, ciche kroki nieproszonego gościa, który zdjął ubranie i schował się w ciemnościach, czekając, aż zaśnie. I chociaż w domku gościnnym panował chłód, Rachel poczuła na skroniach krople potu. Pomimo że wcześniej sprawdziła zamki w drzwiach i dokładnie obejrzała szafę, była niemal pewna, że słyszy czyjś oddech, oddech Kyle'a, i widzi unoszącą się nad sobą ciemną sylwetkę, a potem sięga po broń.

Szybko odrzuciła kołdrę i pomasowała drżące ramiona, a potem zapaliła lampkę przy łóżku. Gdy światło zalało dwupokojowy domek, uważnie przyjrzała się szafie, w której specjalnie zostawiła otwarte drzwi i westchnęła, widząc jedynie swoje ubrania i swój strach. Poczuła jeszcze większą złość na myśl, że psychopatka z Filadelfii ma nad nią taką moc.

Jaka matka, taki syn, podejrzewała Rachel. Przez długi czas obwiniała kilku niezrównoważonych fanów matki Kyle'a, popularnej prezenterki prowadzącej poranny program i wiadomości w lokalnej telewizji w Filadelfii, o to, że chcieli pomścić upubliczniony już ból słynnej blondynki. Większość z dzwoniących osób przyznała się do tego, ale ta kobieta, ta zawzięta wariatka... czy pani Underwood mogła być Stukniętą Suką?

Rachel wiedziała, że kobiecie zawalił się cały świat. Współczuła jej, gdy telewizja w kółko pokazywała jej łzawe wystąpienia. Próbowala jej nawet powiedzieć, jak bardzo jej przykro z powodu tego, co się stało. Ale

matka Kyle'a odwróciła się od niej i publicznie oświadczyła, że to Rachel uwiodła jej ukochane „dziecko” i zastrzeliła z zimną krwią kiedy chłopak próbował zakończyć ich chory, sekretny związek. Wielka ława przysięgłych też z nią sympatyzowała do tego stopnia, że Rachel wytoczono proces, czego nie spodziewał się nawet jej adwokat.

Zresztą nieważne, kim był jej prześladowca. Rachel nie zamierzała przez tę kobietę znowu brać leków. Po tym jak przedstawiono jej zarzuty, jej adwokat nalegał, by spotkała się z psychologiem, który pracował z ofiarami przestępstw. Doktor Damien Thomas nie tylko zeznawał później w jej sprawie, ale również pomógł jej odstawić pigułki nasenne, bez których nie mogła się obejść każdej nocy po strzelaninie. To była ciężka, żmudna praca, szczególnie że zbliżał się jej proces, ale nie po to walczyła ze swoim oprawcą i ocaliła życie, by skończyć jak narkomanka... lub samobójczyni.

„Powrót do dawnego życia to najlepsza zemsta”, twierdził doktor Thomas i miał rację. Chociaż mylił się, i to bardzo, co do tamtego wieczoru, o którym całkowicie zapomniała.

Na zewnątrz usłyszała ciche pohukiwanie sowy nawołującej swojego towarzysza. Pamiętała ten dźwięk z dzieciństwa. Był jej tak bliski, jak warkot samolotu czy szum zimowego, górskiego wiatru. Ale nawet serenada sowy nie mogła jej teraz uśpić. Parę minut po piątej poddała się i wstała z łóżka. Włączyła ekspres i podgrzewacz wody w łazience. Czekając, aż herbata się zaparzy, włożyła spodnie od dresu oraz miękkie kapcie i włączyła radio. Potrzebowała beztroskiej paplaniny, ale musiała zadowolić się muzyką country, która była niemodna już wtedy, gdy słuchała jej matka. Ale przynajmniej było to coś znajomego, coś, co pozwoliło przenieść się w czasy, kiedy jeszcze nie знаła nazwiska Underwood.



Po chwili Rachel siedziała już przy małym stoliku do pisania z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach i oglądała odbitki przygotowane za pomocą laptopa i małej termodrukarki. I chociaż nie skończyła ich jeszcze obrabiać i nie wydrukowała na papierze fotograficznym, wiedziała już, że się nie pomyliła: zdjęcia pochłoniętego pracą Zeke'a Pike'a wyszły wspaniale.

Szczególnie jedno, to, które właśnie trzymała w dłoni. Przedstawiało silnego mężczyznę całkowicie pochłoniętego pracą, a złociste światło miękko padało na jego pokryte kropelkami potu mięśnie. Mężczyzna był jednocześnie uosobieniem pokory, dumy i siły. Rachel poczuła satysfakcję, że udało jej się uchwycić ten moment.

Ale w ujęciu było coś więcej. Pewien podtekst seksualny, który sprawiał, że zaczęła zastanawiać się, jak każda kobieta na jej miejscu, jak czułaby się, gdyby to ona była przedmiotem takiego skupienia. Zacisnęła palce na kubku zafascynowana, ale i oburzona tą wizją.

Już raz była przedmiotem absolutnego zainteresowania mężczyzny, które potem zmieniło się w chorą obsesję. Miała już dość męskiego zainteresowania. To, co przeżyła, wystarczy jej nawet na kolejne życie. Zdecydowała więc, że jej reakcja nie miała nic wspólnego z Zekiem Pikiem. Było to po prostu najlepsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek zrobiła.

Problem polegał na tym, że nikt inny go nie zobaczy. Gdy Zeke obejrzy próbki, nigdy nie podpisze zgody na jego publikację. Zdjęcie było bardzo intymne i zbyt wiele mówiło o mężczyźnie ukrywającym się pod maską mizantropa. Była pewna, że będzie chciał je zniszczyć.

A to byłaby wręcz zbrodnia. To tak, jakby przystawiła płonąca pochodnię do tego pięknego stołu, który stworzył. Jedno i drugie było dziełem sztuki, a sztuka znaczyła więcej niż upór jakiegoś faceta.

Co zamierzasz zrobić, Rachel?

Długo zastanawiała się nad tym pytaniem, aż w końcu fajansowy kubek, który trzymała w dłoniach, zrobił się zimny. Odstawiła herbatę i wyjęła zdjęcie ze stosu fotografii.

Kiedy pół godziny później zaparkowała pod barem, małe lotnisko tętniło już życiem. Jakiś mechanik majstrował coś przy samolocie, a pilot w pełnym umundurowaniu sprawdzał jeden z learjetów. Z komina unosił się dym, co oznaczało, że Patsy wydaje już śniadania.

Rachel wyszła z samochodu i zapięła kurtkę. Po chwili zatrzymała się i zdecydowała, że śniadanie może poczekać. Najpierw musi rozprawić się z zawartością trzymanej w dłoni koperty. Kierując się z powrotem w stronę złotej furgonetki, pomachała ręką do ojca i jego dwojga asystentów, którzy wyciągali z hangaru niemiecki szybowiec z lat pięćdziesiątych - najnowszy projekt renowacyjny ojca. Lili Vega, małeńka, dwudziestoparoletnia dziewczyna o ciemnych, sięgających ramion włosach z nowiutkim pasemkiem w kolorze fuksji i bardziej doświadczony Bobby Bauer odmachali jej wesoło, ale ojciec natychmiast przerwał pracę, wskoczył na wózek golfowy, który służył do holowania szybowców i ruszył prosto w jej stronę. Na jego rumianej twarzy malowała się złość.

Oho, ojciec rzadko się wkurzał, ale kiedy był już zły, okazywał to równie mocno, jak wszystkie inne uczucia.

- Co się, do diabła, dzieje z tym twoim telefonem, Wiewióreczko? - zapytał, jeszcze zanim wózek zdążył się zatrzymać. - Próbowałem się do

ciebie dodzwonić trzy lub cztery razy dziś rano i cały czas włącza się poczta głosowa. A może nie chciało ci się ze mną rozmawiać?

Rachel wyciągnęła komórkę z torebki i udała zaskoczoną.

- Przepraszam, tato, musiałam ją wczoraj wieczorem przez pomyłkę wyłączyć. Nie wiem jeszcze, do czego służą wszystkie te przyciski.

Nie chciała go okłamywać, ale i nie chciała go martwić. Jasny poranek sprawił, że poczuła się oddalona o lata świetlne od swojego prześladowcy.

- A o co chodziło?

Twarz ojca złagodniała. Widać było, że przyjął jej wyjaśnienia za dobrą monetę.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że po południu ma być fantastyczna pogoda i możemy trochę polatać. Lili mówi, że grafik jest pusty.

Odkąd Rachel wróciła do domu, zauważyła, że ojciec coraz bardziej polegał na swoich asystentach, szczególnie na Lili, w sprawach związanych z grafikiem i prawie całą papierkową robotą. Widocznie w końcu nauczył się zlecać innym te zadania, które nie sprawiały mu przyjemności.

- Ale wcześniej mówiłeś, że dziś będzie zbyt duży ruch i nie będziemy mogli latać.

Ojciec próbował wciągnąć ją z powrotem w rodzinny biznes. Co wieczór siadali przy kuchennym stole i uczyli się przepisów lotniczych. Ojciec cytował wszystkie po kolei z pamięci. A wczoraj uparł się, by polecieć z nią do El Paso na badania lekarskie. Rachel chciała pomagać na lotnisku, wiedziała, że jest to ojcu winna, ale wciąż miała mieszane uczucia i odczuwała niepokój na myśl o powrocie w przestworza.

Ojciec pokręcił głową.

- Ta ekipa z Reno odwołała przyjazd, a Lili obiecała zająć się turystami.

- Więc Bobby może polecieć holownikiem?

Kiedy była jeszcze małą dziewczynką, Bobby zaczął kręcić się po lotnisku, a nawet uczyć latania. Na początku ludzie trochę gadali, bo parę lat wcześniej spowodował po pijaku wypadek samochodowy.

Utracił nie tylko miłość żony, ale i pracę oficera straży granicznej. Nie mówiąc już o poczuciu winy z powodu śmierci młodego mężczyzny, świeżo upieczonego ojca, który zginął w tamtym wypadku. Wiele osób uważało, że Walter Copeland oszalał, dając takiemu człowiekowi drugą szansę. Ale w ciągu kolejnych lat Bobby spłacił swój dług wobec ojca Rachel, stając się doskonałym lotnikiem i niezłym mechanikiem, a przede wszystkim bliskim przyjacielem rodziny.

Bobby od zawsze miał słabość do Rachel. Był jedyną osobą poza ojcem, która mogła nazywać ją Wiewióreczką. Może uda jej się namówić go, by zajął się dzisiaj czymś innym.

Jednak natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Chociaż... czy było to bardziej nieuczciwe niż to, co planowała zrobić dzisiejszego poranka?

- Dobrze, możemy umówić się na popołudnie - obiecała ojcu. - Najpierw mam do załatwienia kilka spraw związanych z moimi zdjęciami.

Chciała mu przypomnieć, że ma własną pracę. Szczerze mówiąc, nie za wiele tego było, ale miała nadzieję, że zdjęcie Zeke'a Pike'a wszystko odmieni. Liczyła na to, że rozgłos towarzyszący wystawie pozwoli jej ponownie usamodzielnic się finansowo. Miała nadzieję, że będzie mogła oddać choć trochę pieniędzy, które ojciec i Patsy na nią wydali. Żadne z

nich nie wspomniało o tym ani słowem, ale Rachel chciała ich spłacić, nie tylko ze względu na nich, ale także dla siebie samej.

Znowu poczuła wyrzuty sumienia. Owszem, to było dla niej ważne, ale czy naprawdę chciała to osiągnąć za pomocą oszustwa?

- Twoja macocha nie będzie zbyt zadowolona, jeśli nic nie zjesz. - Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - A ponieważ będę jedyną osobą która będzie musiała słuchać jej zrzędzenia, zrobiłabyś mi przysługę, gdybyś...

- Dobra już, dobra. Wejdę się przywitać i wezmę jakąś bułkę - powiedziała Rachel.

A później wróci do domku gościnnego po jeszcze jedno zdjęcie i włoży je z powrotem do stosu fotografii, które zamierzała pokazać Zeke'owi. Bardzo jej zależało na jego zgodzie, ale nie chciała zaczynać nowego życia od oszustwa.

- Cholerne wyrzuty sumienia - mamrotała pod nosem, patrząc, jak ojciec odjeżdża wózkiem.

Zeke zajęty był czyszczeniem kopyt Cholli, kiedy usłyszał chrzęst opon na żwirze. To pewnie Rachel Copeland, podejrzewał. Któż inny przyjechałby o tak wczesnej porze?

- Czego chce tym razem? — narzekał, poirytowany nieoczekiwanym uczuciem szczęścia, które go nagle ogarnęło. Jednak wróciła.

Wykorzystując moment nieuwagi swojego właściciela, koń uwolnił tylną nogę i mocno nadepnął na but Zeke'a. Kiedy Zeke zaklął z bólu, przerażone zwierzę rzuciło się do tyłu, aż w końcu barierka zaczęła trzeszczeć, a sznur, którym przywiązane było do ogrodzenia, pękł.

Uwolniony i pozbawiony równowagi koń potrącił Zeke'a i przewrócił go na plecy.

Przez jedną straszną chwilę Zeke był pewien, że Cholla go staranuje. Ale koń odzyskał równowagę, pokłusował przez zagrodę i wydostał się na otwartą przestrzeń.

Mężczyzna usłyszał, jak otwierają się drzwi samochodu. Rachel krzyknęła:

- O Boże, Zeke! Nie ruszaj się. Zadzwońię po karetkę.

- Nie trzeba. Nic mi nie jest - protestował, choć nie był tego taki pewny. Po chwili udało mu się dźwignąć obolałe ciało do pozycji siedzącej i dostrzegł jedynie tumany kurzu unoszące się za uciekającym koniem. Srokata klacz i osioł szalały w swoich zagrodach, rycząc, rżąc i wierzgając kopytami.

- Przepraszam - powiedziała Rachel. - Musiałam go wystraszyć, kiedy podjechałam samochodem. Na pewno wszystko z tobą w porządku?

- Tak. - Pokiwał głową, tym razem z większą pewnością. Przynajmniej do momentu, gdy podniósł się i stanął na nodze, którą nadepnął Cholla. Skrzywił się z bólu i zmienił pozycję. Rachel patrzyła na galopującego konia.

- Nic mu nie będzie? Może pomogę ci go złapać?

Zeke już miał powiedzieć, że jak na jeden dzień ma dość jej pomocy, ale jej skrucha wydawała się równie szczerą, jak troska. Poza tym jego krzyki poczyniły już dość szkód.

Pokręcił głową i wskazał na uwolnionego konia.

- Zobacz, już zwalnia. Przyklusuje z powrotem, gdy tylko wrzucę do zagrody trochę siana. Na razie dajmy mu trochę czasu, żeby się uspokoił.

- Naprawdę mi przykro - powtórzyła Rachel.

- To bardziej moja wina niż twoja. - Zeke wzruszył ramionami. - Krzyknąłem, kiedy uderzył mnie kopytem i to go wystraszyło. Ten drań, do którego wcześniej należał, bił go, do tej pory ma na szyi blizny. To nie pierwszy sznur zerwany przez Cholle.

Zeke znowu dostrzegł to samo miękkie spojrzenie jej brązowych oczu, jakby wyobrażała sobie, że jest jakimś szlachetnym obrońcą zwierząt. Chciał zaprzeczyć, że to nie tak, że jest po prostu facetem, który ma oko do koni, facetem, który sporo oszczędza, przygarniając odrzucone przez innych zwierzęta. Ale nic nie powiedział, tylko spojrzał na małą brązową, papierową torbę z kilkoma tłustymi plamami, którą trzymała w dłoniach.

Nieśmiało wyciągnęła ją przed siebie.

- Przyniosłam ci śniadanie, owocowe bułeczki z baru. Są całkiem niezłe. Właśnie skubałam jedną, kiedy rozpętało się to piekło.

Zeke wziął torbę i uśmiechnął się na widok okruszków przyklejonych do jej ust.

- Właśnie widzę.

Pod wpływem impulsu podniósł rękę, żeby otrzepać okruszki z jej twarzy. W ostatniej chwili cofnął dłoń, ale Rachel zamarła i odskoczyła do tyłu, patrząc na niego przerażonymi oczami, jakby bała się, że ją uderzy.

- Słuchaj, sama wiesz, jak to jest z moimi zwierzętami. - Wzruszył ramionami i odłożył papierową torbę. - Wbrew temu, co o mnie myślisz, nigdy w życiu nie uderzyłbym kobiety.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Patrzyli na siebie, a jej oczy zrobiły się wilgotne.

- Szczególnie takiej, która przynosi mi śniadanie - dodał szybko, zaniepokojony wzajemną siłą przyciągania.

Ale czar przysł. Rachel odwróciła się i zaklęła.

- Nienawidzę Kyle'a Underwooda. - Patrzyła na zarys odległych gór ledwo widocznych na błękitnym horyzoncie. - Nienawidzę go za to, że przez niego wszystkiego się boję, telefonów, mojej cholernej szafy czy tego, jak ktoś wyciąga do mnie rękę, by...

- Wszystko w porządku, Rachel. Potrzebujesz czasu, żeby zapomnieć o tym, co przeszłaś.

Kiedy odwróciła się w jego stronę, znowu zobaczył lwicę.

- Nie jestem jednym z twoich chorych koni. Nie chcę, żebyś mnie pocieszał, nie potrzebuję niczyjej litości. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że nienawidzę tego dupka. I wbrew temu, co powiedziałam reporterom, wcale nie żałuję, że nie żyje.

Zeke doskonale wiedział, jak to jest, gdy traci się wszystko co najcenniejsze i człowiekowi pozostaje tylko zraniona duma. Reakcja Rachel obnażyła jej skrywane uczucia, które teraz starała się zamaskować ostrymi słowami.

Pokiwał głową.

- Może i nie żałujesz, że on nie żyje, ale czy nie żałujesz tego, że to ty musiałaś go zabić?

Zawahała się i pokiwała głową.

- Za to najbardziej go nienawidzę - przyznała. Z jej twarzy zniknęła złość, a pojawiła się troska.

- Widzę, że noga ci dokucza. Może przyniosę ci trochę lodu?



W jej głosie wyczuł prośbę, by zmienić temat. Doskonale to rozumiał, sam przecież robił wszystko, by nie rozmawiać o własnej przeszłości.

„On nie oddycha”. Usłyszał w głowie przerażony szept. I zaraz potem zobaczył niewyraźny obraz: bezwładne, blade ciało Williego, rzucone na ziemię jak szmaciana lalka. Zupełnie nieruchome. „O kurde, co teraz?”

Zeke odsunął od siebie to wspomnienie, podobnie jak czynił to już nieraz.

- Poczekaj, najpierw wrzucę trochę siana do zagrody - powiedział. - Potrząsnę też wiadrem z paszą. Zobaczymy, czy Cholla nie zmieni zdania.

Zrobił jeden krok do przodu. Przed oczami zawirowały mu gwiazdy.

- Kuśtykasz - zauważyła Rachel. - Może ci jakoś pomóc...

- Nic mi nie jest. - Zamrugał oczami, bo zakreśliło mu się w głowie. - Muszę ją po prostu rozchodzić.

- Wmawiaj to sobie dalej - powiedziała rozbawionym głosem - a może tak będzie.

Pomogła mu zwabić z powrotem uciekiniera i zagonić do zagrody. Gdy skończyli, Zeke utykał jeszcze bardziej. Lewa stopa rwała go z bólu.

- Wstyd się przyznać - powiedział - ale pomysł z lodem nie był chyba najgorszy. Może faktycznie mogłabyś mi trochę pomóc.

Rachel uniosła kasztanowe brwi.

- Dotąd byłam jedynie skandalistką, ale od dzisiaj moje nazwisko stanie się legendą.

- Co takiego? - Zeke nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- No wiesz - odparła, wzruszając ramionami. - Udało mi się zmusić cię do rozmowy, uśmiechu i przyjęcia pomocy, i to wszystko w ciągu jednego dnia.

Roześmiał się i pokiwał głową.

- I na dodatek wciąż jest dość wcześnie. Nie chcę nawet myśleć, do czego możesz mnie jeszcze namówić.

Zapadła niezręczna cisza. Zeke zaczął rozmyślać o tym, co chciałby robić, a Rachel oblała się rumieńcem, jakby czytała w jego myślach. Ale tym razem mężczyzna czuł coś więcej niż tylko fizyczny pociąg. Zdał sobie sprawę, że w jej obecności kamień, który nosił w sercu, staje się lżejszy, znika, gdy ona się uśmiecha.

Ale nic z tego nie będzie. Boże dopomóż, nie może być. Odwrócił się tyłem i pokuśtykał do pracowni. Kiedy dotarł do czerwonych drzwi prowadzących do mieszkania, zatrzymał się i zerknął przez ramię. Zobaczył, że nie ruszyła się z miejsca.

- Nie musisz tu wchodzić, jeśli nie chcesz, jeśli nie czujesz się przy mnie bezpiecznie...

Nie chciał, by jego słowa zabrzmiały jak wyzwanie, ale coś w jej oczach zaiskrzyło i uniosła do góry brodę.

- Nie boję się ciebie Zeke'u Pike'u. - Podeszła do niego i pewnie przekroczyła próg, tak mocno ściskając torbę ze śniadaniem, że aż zbielały jej palce.

Kiedy znalazła się w środku, nawet nie starała się ukryć swojej ciekawości, rozglądając się dookoła. Dostrzegła maleńki aneks kuchenny, składane krzesła, stary stolik do kart, na którym leżała otwarta książka z pozaginanymi rogami i wytartym grzbietem. Była to powieść Johna Gravesa *Pożegnanie z rzeką*, prawdziwa oda do samotności. W głębi dostrzegła stare szpitalne łóżko z żelazną ramą, z której odpadała biała farba. Obok stała stara wyblakła szafa na ubrania, a w rogu - jeszcze starsza kuchenka.

Zeke dbał o porządek. Wszystko, z wyjątkiem książki, leżało na swoim miejscu, ale po raz pierwszy spojrzął na to miejsce oczami innej osoby. Zobaczył betonową podłogę, używane meble, brak kolorów. Tylko drzwi były wyjątkiem.

- Robisz tyle pięknych rzeczy - szepnęła - i niczego dla siebie nie zatrzymałeś...

Pokręciła z niedowierzaniem głową i położyła na stole ciastka.

- To się nazywa samodyscyplina. Ja bym wszystkie najlepsze rzeczy zostawiła dla siebie.

- I chodziłabyś głodna.

- Ale za to moja dusza byłaby syta - odparła, machając ręką w obronnym geście. - A teraz siadaj, przyniosę ci trochę lodu. - Wyciągnęła krzesło.

Zeke zrobił to, o co prosiła, i wskazał na szufladę z reklamówkami. Zdjęcie buta okazało się olbrzymim wysiłkiem, ale w końcu, zaciskając mocno zęby, jakoś mu się udało.

- Bolało? - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - Zrobiłeś się czerwony.

- To dlatego, że musiałem powstrzymać setki przekleństw, które cisnęły mi się na usta.

Ostrożnie zdjął skarpetę i syknął przez zaciśnięte zęby na widok czarnych, ciemnobrązowych i fioletowych plam na palcach.

- Au - powiedziała za niego Rachel. - Wygląda, jakby była złamana.

- Chyba nie. - Nie miał najmniejszego zamiaru iść do szpitala w Alpine ani do miejscowej przychodni. - Gdyby tak było, nie mógłbym chodzić, prawda?

- Na pewno nie chcesz, żebym cię gdzieś podrzuciła? Zrobiłbyś rentgen.

- Na pewno. Umieram z głodu. Chcesz jedną bułkę?

- Nie, dziękuję - powiedziała. Usłyszał brzęk starej tacki do lodu. Papierowa torba zaszeleściła, gdy ją otwierał, ale zanim sięgnął do środka, zawahał się, a potem wstał i pokuśtykał do umywalki. Głównie dlatego, że bał się, co mogłaby sobie o nim pomyśleć, gdyby tego nie zrobił.

Kiedy już doczłapał z powrotem do krzesła i wytarł ręce papierowym ręcznikiem, uderzyła go pewna myśl.

- Przecież nie przyjechałaś tu tylko po to, żeby mnie nakarmić. Podała mu torebkę z lodem.

- To prawda. Nie przyjechałam też po to, by wystraszyć ci konia czy pomóc go potem łapać. Przywiozłam kilka odbitek z tych zdjęć, które zrobiłam, kiedy byłam tu ostatnim razem. Potrzebuję twojej zgody, zanim cokolwiek z nimi zrobię.

- Wydawało mi się, że już dałem ci moją zgodę, przecież nie zmieniłem zdania.

Kiedy odwróciła się, by napełnić tackę z lodem, zauważył, że cała zeszywniała. Czy coś ją niepokoiło?

- Potrzebuję twojej zgody na piśmie - odrzekła.

- To daj mi ten papier, podpiszę go i już.

Pokiwała głową. Zawahała się i głośno wypuściła powietrze.

- Zaraz przyniosę odbitki i formularz.

Zanim wróciła, Zeke doszedł do wniosku, że wie już, o co chodzi. Bała się, że nie spodobają mu się jej prace. Patsy wspomniała kiedyś z pewną nutką dumy, że Rachel zajmuje się fotografią artystyczną, więc może jak

każdy artysta nie była pewna swoich umiejętności. Nie musiała się jednak obawiać. Jeśli o niego chodziło, zdjęcie to zdjęcie, chyba że ktoś przesłonił palcem obiektyw. Kiedy wróciła, kończył właśnie śniadanie.

- Już myślałem, że uciekłaś - powiedział na powitanie.

- To te zdjęcia. - Położyła na stole kopertę, unikając jego wzroku. Cała była spięta.

Zeke wytarł ręce i pomyślał, że to tylko dowodzi, iż jest zwyczajnym rzemieślnikiem, a nie żadnym artystą. Jeżeli komuś podobały się jego prace, to świetnie, a jeżeli nie, to trudno. Gdy ktoś go krytykował, próbując wytargować niższą cenę, traktował to jak zabawę typu „potargujmy się z miejscowym” i wysyłał go do diabła. Słyszał, że przez to miał opinię człowieka porywczego, co zupełnie mu nie przeszkadzało, bo ograniczało do niezbędnego minimum towarzyskie pogawędki.

Położył formularz i przejrzał kilka fotografii z wierzchu. Był pod dużym wrażeniem. Zdjęcia były wyraźne i żywe, a każde przedstawiało jedną z jego prac w najbardziej korzystnym świetle.

- Są naprawdę dobre - stwierdził i sięgnął po formularz, by podpisać zgodę. To, co zobaczył, całkowicie mu wystarczało. Był pewien, że te zdjęcia na pewno przysporzą mu klientów.

Podawała mu długopis.

- Nie chcesz... ?

- Czego oni chcą? - Pokręcił głową, zaskoczony nagłą bledością jej twarzy. Wyglądała, jakby miała zaraz wyskoczyć ze skóry. Czy odczuwała niepokój tylko z powodu zdjęć, czy też zauważyła jego ukradkowe spojrzenia? Może niepokoiło ją to, że znajdowała się w jego mieszkaniu, a w pobliżu było łóżko?

A może pytanie odnosiło się do czegoś zupełnie innego niż zdjęcia? Jego libido było wyraźnie pobudzone, ale doszedł do wniosku, że zachowuje się jak idiota. Zrobiło mu się gorąco, podpisał papier i oddał jej zdjęcia.

- Nieważne - powiedziała, wkładając wszystko z powrotem do koperty.  
- Słuchaj, muszę już iść. Umówiłam się dziś z ojcem, zarezerwował dla nas szybowiec.

Zastanawiał się, czemu nagle zaczęła się tak spieszyć. Jakby potrafiła czytać w myślach i doskonale wiedziała o jego głupich fantazjach. Próbował ją jeszcze chwilę zatrzymać rozmową o niczym.

- Jak to jest? Widziałem już mnóstwo szybowców, ale na samą myśl, że miałbym polecieć tak wysoko, bez żadnego silnika... Trochę mnie to przeraża.

Rachel wyraźnie się rozluźniła i uśmiechnęła.

- Wychowałam się wśród szybowców, więc nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Ale zawsze lubiłam wyzwania, ten dreszczyk, kiedy czekasz na odpowiedni moment, żeby się wznieść, a potem szukasz prądów powietrznych i szybujesz jak ptak. Jeżeli są dobre warunki

I wiesz, jak je wykorzystać, możesz latać godzinami. A z silnikiem to żadna sztuka. Każdy może to robić.

Pokręcił głową.

- Ja nie. - Nigdy nawet nie byłem w samolocie, pomyślał.

- Na pewno szybko byś się nauczył. Widziałam, jak patrzysz na samoloty.

Wzruszył ramionami, nie chcąc ujawniać swojego zainteresowania.

- Tylko po to, żeby zająć się czymś w czasie lunchu.

- Kiedyś zabiorę cię ze sobą, jak już będę mogła znowu latać samodzielnie. Czy czegoś jeszcze potrzebujesz? Wydaje mi się, że przez kilka dni nie będziesz mógł chodzić.

- Dam sobie radę - powiedział. - W razie czego wóz jest na zewnątrz, mam też gdzieś kule. Parę lat temu ugryzł mnie pająk pustynny. Noga spuchła mi wtedy jak bania.

- Ciebie ugryzł pająk? - Stała przy drzwiach, z uniesionymi brwiami, a na jej ustach pojawił się prowokacyjny uśmiezek. - Powinien raczej grzecznie się uklonić i pójść dalej swoją drogą. Myślałam, że takie są zwyczaje między samotnikami.

Rachel nie spieszyła się z odjazdem. Dostała to, co chciała. Dała mu wszystkie zdjęcia, miał okazję, żeby się sprzeciwić. Dlaczego więc czuła się tak, jakby mu coś ukradła?

Prawda była taka, że zaczynało jej na nim zależeć. Był wprawdzie zbyt bezpośredni i wybuchowy, ale w jego uczuciowości było coś ujmującego. Doszła do wniosku, że woli już jego niż ludzi, którzy chodzili wokół niej na palcach, przez co czuła się jak kanister z nitrogliceryną, który w każdej chwili może wybuchnąć.

Zadzwonił telefon, który zostawiła w torebce. Pamiętając, jak bardzo ojciec się wcześniej rozgniewał, wyciągnęła komórkę i sprawdziła, kto dzwoni.

Patsy dzwoniła z baru. A może ojciec wstąpił na śniadanie i dzwonił z jej telefonu.

- Halo? - zapytała.

- Chcę, żebyś jak najszybciej pojechała do babci. - W tle słychać było brzdęk sztućców. Głos Patsy był jednocześnie zatroskany i roztargniony. -

Zadzwoił jeden z sąsiadów i powiedział, że jej pies znowu buszuje w śmietniku. Zapukał do drzwi, ale nikt mu nie otworzył.

- Może gdzieś wyszła? Może poszła na śniadanie z którąś z koleżanek od kanasty?

- Większość jej przyjaciół nie żyje lub przeniosła się, by być bliżej dzieci. Poza tym ona nigdy nie wychodzi tak wcześnie. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie podnosi słuchawki. Sama bym tam zajrzała, ale mam klientów i nie ma mnie kto zastąpić.

Rachel zapaliła silnik.

- Ojciec wie?

- Nie odbiera telefonu, pewnie zagrzebał się w robocie. Zresztą i tak wiem, co by mi powiedział. Że ucina sobie drzemkę albo ogląda teleturniej. Słowo daję, gdy chodzi o jego matkę, ten facet jest zupełnie ślepy. Ostatnim razem, kiedy pomyliła lekarstwa... Nie jest moją matką, ale jest dla mnie najbliższą osobą... Martwię się o nią.

Rachel przypomniała sobie, co wydarzyło się w drodze do Alpine i ostatnią kłótnię ojca z Patsy. Nie chciała się do tego mieszać, ale martwiła się o babcię.

- Będę tam za pięć minut - obiecała. - Potem zadzwonię i dam ci znać.

Jeżeli wszystko będzie w porządku, przynajmniej będzie mogła złapać tego wyjadacza śmieci, bostońskiego teriera babci, i udobruchać trochę sąsiada.

- Dzięki. - Patsy przestała stukać talerzami i ściszyła głos: - Jest jeszcze coś. Była tu wcześniej jakaś kobieta. Pytała o ciebie. Blondynka w dużych okularach przeciwsłonecznych. Nie znam jej, więc nic jej nie powiedziałam. Kiedy zapytałam ją o imię i nazwisko, szybko wyszła.



Rachel przypomniała sobie wczorajszy telefon i poczuła nagle ukłucie strachu. „Idę po ciebie, Raaaachel. Nieważne, jak szybko i jak daleko uciekniesz. Zawsze będę wiedziała, gdzie jesteś... ”

Nie miała teraz na to czasu. Odsunęła od siebie tę myśl, a razem z nią wątpliwości na temat zdjęć Zake'a.

- Zadzwoń, gdy tylko będę mogła - obiecała.

Rozłączyła się i zawróciła w stronę małego ceglanego domku, w którym od lat mieszkała Benita Copeland.

Drżąc z niepokoju, mocniej wcisnęła pedał gazu. A jeśli babcia nie była tak zdrowa, jak chcieli wierzyć? Może w tym właśnie momencie leżała bezradna i osamotniona na terakotowej podłodze swojego domu?

RS

## ***Rozdział 6***

*W meksykańskich legendach z południowego Teksasu*

*występuje postać una bruja, czarownica, która przybiera postać sowy. Nazywana jest la Lechuza i zazwyczaj sadowi się na dachach domów, skąd nocą słyhać jej nawoływania, gdy próbuje wywabić z domów niczego niepodejrzewających ludzi.*

*Głupcy, którzy odpowiedzą na jej wezwanie, przepadają bez wieści...*

Elizabeth Farnum *Curious Customs of the Lone Star State*

(Ciekawe zwyczaje Gwiazdzistego Stanu)

Wiem, że nie chcesz tego słuchać - powiedział Dan. mąż Marlene - ale myślę, że tym razem Kathy ma rację. Wasza matka nie chce pomocy i na pewno ci nie podziękuje, nawet jeżeli uda ci się ją odnaleźć.

Marlene przerwała pakowanie i zobaczyła, że do sypialni oprócz męża weszli również jej dwaj synowie. Nie dość, że musiała wysłuchiwać swojej siostry, to teraz jeszcze cała Drużyna Testosteron uwzięła się na nią.

- Tata ma rację, mamo, poza tym nie powinnaś sama podróżować - oświadczył starszy syn. Taylor, uczeń drugiej klasy liceum, był na tyle sprytny, że bez problemu mógł udawać troskę o jej bezpieczeństwo, chociaż na pewno bardziej martwił się tym, że nie będzie go miał kto wozić na mecze koszykówki czy do centrum handlowego.

- Nie chcesz jej chyba tutaj przywieźć? - Jęczał dwunastoletni Josh. - Nie oddam jej mojego pokoju i nie będę spał z Taylorem. Wszędzie zostawia swoje śmierdzące skarpety i całą noc gada przez telefon.

- Zamknij się, ty mały gnojku...

- Taylor - ostrzegł go ojciec. W tym samym momencie Marlene powiedziała:

- Wystarczy.

Kiedy Josh otworzył usta, żeby coś dodać, pokiwała na niego palcem.

- Zamknijcie się. Natychmiast. Obaj.

Jej wzrok powędrował z młodszego na starszego, a wreszcie na Dana, który niewątpliwie był mózgiem całej tej „tajnej” operacji. Gdyby nie byli tak denerwujący, uznałaby, że to urocze,

- Posłuchajcie mnie, cała trójka. Wiem, że to dla was kłopot. Ale wiem też, że babcia od dłuższego czasu miała problemy. Od czasu, gdy... Bardzo kochała mojego braciszka, naprawdę go kochała, tak jak ja Kocham was. Kiedy umarł, coś w niej pękło. Co nie zmienia faktu, że wciąż jest moją matką i obiecałam dziadkowi, że...

- Oczywiście, że nadal jest twoją matką - przerwał jej Dan. -I nikt nie może ci zarzucić, że nie zrobiłaś wszystkiego, co w twojej mocy, by jej pomóc. Przekazałaś policji wszystkie informacje, o jakie prosili, a nawet więcej.

- Ale jej sprawa wcale nie będzie ich bardziej obchodzić tylko dlatego, że dostali kilka starych zdjęć i numer karty kredytowej. Nie tak, jak obchodzi mnie.

Albo Kathy, pomyślała, bez względu na to, czy siostra chciała się do tego przyznać, czy nie.

- Daj spokój, Marlene, nie sądzisz, że pora wycofać się i dać szansę profesjonalistom? Może gdybyś wróciła do pracy, do swoich obowiązków, przestałabyś o tym myśleć. Zanim się obejrzysz...

- Naprawdę uważasz, że mogę zająć się pracą, umawiać spotkania i użerać z firmami ubezpieczeniowymi, mając to na głowie? - warknęła i zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem nie chodzi o pieniądze. Od śmierci ojca straciła kontrolę nad rodzinnym budżetem... i wszystkim, co kiedyś miało dla niej znaczenie. - Rozumiem, że wasza trójka wolałaby, żeby było jak dawniej. Ale nic nie będzie jak dawniej, nie może być, dopóki jej nie odnajdę i wszystkiego nie naprawię.

Kiedy spojrzała w błękitne oczy Dana, serce jej zadrżało. Przypomniała sobie chłopaka, w którym zakochała się wiele lat temu.

- Niektórych spraw nie da się naprawić - powiedział łagodnie. - Ani niektórych osób.

On nigdy tego nie zrozumie, cokolwiek by powiedziała. Marlene zamknęła walizkę i oparła rękę na biodrze.

- Zawieziesz mnie na lotnisko czy mam kogoś o to prosić?

James Dean przechadzał się samym środkiem osiedlowej uliczki z językiem na wierzchu i brudnym czarno-białym pyskiem, najwyraźniej zadowolony ze swojej ostatniej eskapady.

- Założę się, że cuchniesz na kilometr, ty mały barbarzyńco - mruknęła Rachel. Zatrzymała wóz i otworzyła drzwi. Gdy zagwizdała, terier zatrzymał się i uniósł głowę. Pewnie zastanawiał się, co będzie miał z tego, że jej posłucha. - Chodź, J. D. Przejedziemy się. - Starła się, by jej głos brzmiał zachęcająco, ale mały psiak musiał i tak wyczuć w jej słowach nieuchronną kąpiel, bo nagle odwrócił się i zniknął między domami sąsiadów.

Bardziej niepokojąc się o babcię niż psa, Rachel zaparkowała samochód na pustym podjeździe dobrze utrzymanego jasnobrązowego domku. Błagam cię, Boże, szeptała, podbiegając do bocznych drzwi, wiem, że nasze

relacje nie były ostatnio najlepsze, ale spraw, żeby tylko drzemała albo była w łazience.

Zapukała, a potem stanęła na palcach i zajrzała przez okno w górnej części drzwi. Nikogo nie było widać. Podskoczyła parę razy i szarpnęła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Zaczęła w nie walić z całych sił, aż poraniła sobie kostki.

- Babciu? Słyszysz mnie?!-krzyknęła.

Zastygła na moment, by sprawdzić, czy ktoś odpowie i wydało jej się, że słyszy stary telewizor grający w dużym pokoju. Okrążyła dom, docierając do głównego wejścia, ale i te drzwi były zamknięte. Nikt nie odpowiadał na jej pukanie i nawoływania. Może babcia rzeczywiście gdzieś wyszła. Mogła przecież założyć kurtkę i przejść te dwie przecznice do sklepu, by kupić świeży chleb. Była to wprawdzie pokusa, której powinna unikać, ale rzadko jej się to udawało.

Tak, na pewno gdzieś wyszła, uznała Rachel, pochylając się nad huśtawką, by zajrzeć przez frontowe okno.

I zobaczyła babcię okrytą kocem, najwyraźniej drzemającą w fotelu. Serce podskoczyło jej do gardła i zaczęła stukać w okno.

- Proszę, niech to... O, dzięki ci, Boże, jestem twoją dłużniczką! - Kątem oka Rachel zauważyła, że babcia poruszyła głowę. Nie otworzyła oczu, ale podniosła rękę, chcąc otrzeć twarz. - Babciu, to ja, Rachel. Możesz wstać i mnie wpuścić?

- I co, jest w środku? - zapytał stojący z tyłu mężczyzna.

Parę dni wcześniej Rachel poznała sąsiada babci, pana Morgana, emerytowanego księgowego z Lubbock. Był to niewysoki mężczyzna w okularach o drucianych oprawkach z siwymi włosami okalającymi łysinę na

czubku głowy. Wydawał się dość miły, pomimo zrozumiałej niechęci do Jamesa Deana i jego wybryków na śmietniku.

- Błagam, niech pan jak najszybciej wezwie karetkę - poprosiła Rachel. - Widziałam, że się poruszyła, ale nie odpowiada. Kiedyś trzymała tu zapasowy klucz, zaraz go poszukam.

- Zadzwoń też do pani matki - zaproponował.

Macochoy, poprawiła go w myślach Rachel, ale nie wyjaśniła pomyłki. Nie mogła znaleźć klucza, wzięła więc kamień i zabiła kawałek szyby w oknie z tyłu domu. Włożyła do środka rękę i odczepiła haczyk. Po chwili otworzyła okno i wślizgnęła się do środka. Stąpając po rozbitym szkle, pobiegła do dużego pokoju i zobaczyła, że babcia otworzyła już oczy, a jej pulchna twarz była zarumieniona.

- Rachel - zdołała wybełkotać. - Potrzebuję, potrzebuję trochę... Zamrugnęła powiekami i przymknęła łagodne brązowe oczy.

- Potrzebujesz glukozy. - Rachel domyśliła się. Kiedyś, jeszcze jako nastolatka, widziała babcię w podobnym stanie, gdy poziom cukru w jej krwi za bardzo się obniżył, Wtedy też wyglądała tak, jakby była pijana. Nawet wydawało się, że czuć od niej alkohol, chociaż nigdy nie piła. - Babciu, gdzie masz swoje tabletki z glukozą?

Gdy babcia nie odpowiedziała, pobiegła do maleńkiej kuchni i przetrasowała lekarstwa stojące na blacie obok glukometru. Było tam co najmniej tuzin różnych buteleczek, zbyt wiele, by je wszystkie ogarnąć i Rachel nie znalazła tej, której szukała. Otworzyła więc lodówkę i wyjęła mały kartonik z sokiem, na którym narysowane było uśmiechnięte jabłko. Oderwała słomkę i wepchnęła ją do środka.

Po chwili uklękła przy babci, pomogła jej się podnieść i podała sok. Trzymała ją za rękę i całowała po głowie.

- Nie martw się. Cukier zaraz ci pomoże, a karetka już jedzie. Wszystko będzie dobrze.

Gdy w końcu przyjechał ambulans, Benita Copeland czuła się już o wiele lepiej i mogła odpowiadać na pytania. Podczas badania raz czy dwa nazwała Rachel Corą. Potem sama się na tym złapała.

- Przepraszam, Rachel, ale jesteś tak do niej podobna... przynajmniej taką ją zapamiętałam...

Ratownik medyczny, krótko obcięty, ciemnowłosa mężczyzna z plaketką „Alvarez” z zadowoleniem pokiwał głową.

- Puls i oddech w porządku, ale poziom glukozy we krwi wciąż jest dość niski. Dla pewności możemy ją przewieźć do szpitala w Alpinie, żeby zrobić badania.

- Nie ma takiej potrzeby - zaprotestowała babcia. - Umówię się na wizytę w tutejszej przychodni.

- To może trochę potrwać - powiedział Alvarez. - A pani cukier powinien zostać ustabilizowany już dziś.

- Ale karetka tyle kosztuje...

- Niech Medicare się o to martwi - wtrąciła Rachel.

- Nie pokrywają nawet połowy kosztów...

- Nie myśl o tym, babciu. Nieźle mnie dzisiaj wystraszyłaś. Jedziesz do szpitala, i to zaraz.

Benita wciąż upierała się, że nie jest aż tak stara, by nie móc podejmować samodzielnych decyzji, kiedy pojawił się ojciec Rachel z Patsy.

- Mamo, pojedziesz do szpitala - powiedział stanowczo Walter Copeland. - Jeżeli lekarze puszczą cię z czystym kontem, nie będziesz musiała zostawać na noc, ale musisz się przebadać, chociażby dla naszego dobra.

- Już oni puszczą mnie z czystym kontem, sam zobaczysz - Benita zrobiła nadąsaną minę, przez co jej okrągła twarz przybrała dziecinny wyraz.

- Babciu, proszę - błagała Rachel.

- W porządku. Jeżeli tego właśnie chcecie - odparła i nie odezwała się więcej ani słowem.

Kiedy sanitariusz zamknął drzwi karetki i wszedł do środka, Rachel zauważyła kobietę w ciemnych okularach siedzącą w czarnym wynajętym sedanie zaparkowanym za furgonetką ojca. Nabrała powietrza, a potem odetchnęła, zdając sobie sprawę, że blondynka w samochodzie nie była matką Kyle'a.

Kim więc była? I dlaczego cały czas zerkąła na Rachel?

- Spójrz. - Szturchnęła Patsy. - Czy to ta kobieta pytała o mnie wcześniej?

Nie bawiąc się w subtelnosci, Patsy odwróciła się i uważnie przyjrzała kobiecie.

- Do diabła. Musiała za nami pojechać. Walterze, dowiedz się, czego chce.

- Czy jej głos brzmiał tak jak tej kobiety, która dzwoniła do baru? - zapytała Rachel.

Blondynka otworzyła drzwi samochodu, pokazując długie szczupłe nogi, i ruszyła w ich kierunku. Była przed trzydziestką i miała na sobie



czarne obcisłe legginsy, a dla tego odważny różowy sweterek z frędzelkami. W dłoni trzymała dużą kopertę. Nie wyglądała na groźną, pomyślała Rachel, raczej na zdeterminowaną.

- Nie jestem pewna, chyba nie - stwierdziła Patsy, zasłaniając Rachel. - Nie wiem, kim jesteś, ale nie jesteś tu mile widziana - podniosła głos. - Nie widzisz, że ktoś z rodziny jest chory?

Blondynka popatrzyła ponad ramieniem Patsy.

- Czy pani jest Rachel Copeland?

Wydawała się zdenerwowana, ale spoglądając zza ciemnych okularów, przeszywała Rachel wzrokiem. Ojciec Rachel stanął obok żony.

- Czego chcesz od mojej córki?

Zażenowana tą barykadą Rachel podeszła bliżej. Śpiewny, południowy akcent blondynki nie przypominał głosu Stukniętej Suki, a kobieta wyglądała dość normalnie. I na tyle nieszkodliwie, by posłać ją do diabła, gdyby okazała się kolejnym, szukającym sensacji reporterem.

- W czym mogę ci pomóc? Jestem Rachel.

- Dobrze - powiedziała nieznajoma z wyraźną ulgą i przekazała Rachel kopertę. - Rachel Copeland, oto wezwanie do sądu.

- Co takiego?! - krzyknęła Rachel. To niemożliwe. Przecież ten koszmar już się skończył. Adwokat wyjaśnił jej, że ponieważ została uniewinniona, prokurator nie mógł już nic więcej zrobić.

Przechylając głowę, blondynka wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, pani Copeland to nie moja sprawa. Do widzenia wszystkim.

Pomachała pomalowanymi na różowo paznokciami, obróciła się na pięcie i wsiadła do czarnego samochodu.

Rachel też miała ochotę jej pomachać, ale tylko jednym palcem. Była jednak zbyt wstrząśnięta i nie chciała robić sceny przed sąsiadami. Otworzyła więc kopertę...

A potem, przeczuwając zbliżającą się katastrofę, zaklęła gorzej niż kierowca ciężarówki. Sprawa cywilna. Bezprawne spowodowanie śmierci. Dziesięć milionów dolarów - dziesięć milionów dolarów - za „lekkomyślne zachowanie”, które przyczyniło się do śmierci Kyle'a Underwooda.

Najwyraźniej jego pogrążona w smutku, oszalała matka znalazła ostatni legalny sposób, by się zemścić.

RS

## *Rozdział 7*

*Nigdy nie poznałem towarzysza, który byłby tak towarzyski jak samotność. Gdy jedziemy za granicą i obracamy się wśród ludzi, bywamy przeważnie bardziej samotni, aniżeli wówczas, gdy pozostajemy we własnych mieszkaniach.*

Henry David Thoreau *Walden*, przeł. Halina Cieplińska

Poniedziałek, 18 lutego

Trzy dni później Rachel spotkała się z Antoinette Gallinardi w starych barakach wojskowych zamkniętych przez rząd po II wojnie światowej. Terri Parton-Zavala snuła się za nimi ze skwaszoną miną, w przeciwieństwie do małego pieska, który wesoło podskakiwał u nóg jej szefowej.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty, odnawiając to miejsce. - Słowa Rachel odbijały się echem od świeżo otynkowanych białych ścian, na których zamontowano obrotowe lampy, mające oświetlić wystawę. - To idealne miejsce na pokaz.

Kobieta art deco uśmiechnęła się.

- Tak, jesteśmy bardzo zadowoleni i mamy nadzieję, że ta wiosenna wystawa pomoże nam zebrać pieniądze, by zamknąć ten projekt. A poza tym cały czas walczymy o wprowadzenie odpowiednich przepisów, które pozwoliłyby Marfie pozostać tym uroczym zakątkiem, jakim jest teraz.

- Naprawdę myślisz, że postęp można zatrzymać? - zapytała Rachel.

- Nie jestem pewna, ale mam taką nadzieję. - Spojrzenie ciemnych oczu Gallinardi wydawało się szczere. Wcześniej zdążyła opowiedzieć Rachel o tym, jak uciekła do Marfy, porzucając swoje dawne życie, w

którym zajmowała się zbieraniem funduszy dla muzeum na Manhattanie i jak mordercze tempo tej pracy zniszczyło jej zdrowie i dwa małżeństwa.

Rachel pokiwała głową. Czują, że zaczyna ją lubić.

- Też mam taką nadzieję, Antoinette.

- Niestety, dopóki nie znajdziemy jakiegoś sposobu, by zlikwidować przepaść pomiędzy nowymi i starymi mieszkańcami, niewiele wskóramy. Zdajemy sobie sprawę, że traktują nas jak intruzów, a niekiedy nawet jak wścibskich utrapieńców.

- I dlatego mogę wam pomóc - domyśliła się Rachel. - Jestem artystką i urodziłam się w miasteczku.

Gallinardi pokiwała głową.

- Tak, muszę przyznać, że na początku właśnie to zwróciło naszą uwagę. To i twoje doświadczenie pedagogiczne.

- Moje doświadczenie pedagogiczne? - powtórzyła nieco zdezorientowana Rachel.

- Szukamy kogoś, kto zechciałby zorganizować serię warsztatów dla uczniów z liceum i ich rodziców. Myślimy o comiesięcznych spotkaniach z różnymi artystami. Taki gest dobrej woli wobec lokalnej społeczności.

Najwyraźniej Gallinardi nie była na bieżąco, jeżeli sądziła, że starzy, konserwatywni mieszkańcy Marfy pozwolą komuś takiemu jak Rachel zbliżyć się do szkolnej sali. Postanowiła jednak nie poruszać tego tematu i skupić się na sprawie, która ją tu dziś sprowadziła.

- Chciałabym ci coś pokazać i poznać twoją opinię. Chodzi o jedno z tych zdjęć przedstawiających miejscowych artystów, które zamówiłaś.

Rachel z trudem przełknęła ślinę i wyjęła kopertę ze skórzanej teczki. Choć podobała jej się wycieczka po salach wystawowych, przyszła tu dzisiaj

w konkretnym celu. Chciała się przekonać, czy ktoś poza nią doceni magię tego zdjęcia. Jeżeli Gallinardi nie będzie przekonana, Rachel obiecała sobie, że zdjęcie usunie, a przynajmniej pojedzie do Zeke'a i wszystko mu wyjaśni.

Podawała odbitkę Gallinardi i czekała ze ściśniętym sercem na reakcję kobiety. Wydawało jej się, że czeka całą wieczność. Terri podeszła bliżej, próbując ukryć zainteresowanie, ale cały czas zerkała przez ramię szefowej.

- O Boże. - Antoinette drżącą ręką chwyciła się za szyję. Nie mogła oderwać oczu od zdjęcia, a jej mały piesek wślizgnął się pomiędzy jej szczupłe kostki.

Terri celowo popatrzyła w drugą stronę, krzyżując ręce na bujnym biuście.

- To jest niesamowite, Rachel, wprost zdumiewające - ciągnęła Gallinardi. - Oczywiście wiedzieliśmy, że masz niezwykły talent, ale to... Nawet sama Annie Leibowitz nie powstydziliby się tego zdjęcia. Muszę przyznać, że nie tylko jestem pod ogromnym wrażeniem, ale i odetchnęłam z ulgą. Niektórzy członkowie zarządu fundacji mieli... pewne zastrzeżenia co do twojej osoby. Ludzie mogliby zacząć gadać, że chcemy wypromować się na czyjejś tragedii, a to zaszkodziłoby naszej reputacji. Szczególnie biorąc pod uwagę naszą ofertę dla szkoły.

Widząc jadowite spojrzenie Terri, Rachel nie miała żadnych wątpliwości, kto stał za tym, by za wszelką cenę podkopać jej pozycję wśród członków zarządu. Za nic w świecie nie odmówi teraz Gallinardi. Kobieta, zafascynowana zdjęciem Zeke'a, przejrzała pozostałe fotografie, zachwycając się zdjęciem miejscowego szklarza pracującego w starej odnowionej pracowni z suszonej cegły, starego tkacza z długimi, opadającymi na ramiona siwymi włosami, który wyczarowywał skomplikowane

wzory ze starannie wyselekcjonowanych traw i ekscentrycznego rzeźbiarza tworzącego zaskakującą ale i przerażającą symfonię światła i metalu.

- Twoje wcześniejsze prace były naprawdę dobre - powiedziała Gallinardi, raz jeszcze przyglądając się fotografii Zeke'a. - Ale to zdjęcie pokazuje, że znalazłaś swój styl. Obiecuję, że użyję wszystkich moich kontaktów, by twój geniusz został doceniony. I odpowiednio wynagrodzony.

- Dziękuję, Antoinette. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ja... - Rachel zawahała się, bliska przyznania, że ze zgodą podpisaną przez Zeke'a Pike'a może być pewien problem. Ale na myśl o czekającej ją rozprawie i pieniądzach, które była winna ojcu, nie dokończyła tej myśli. Gdy Gallinardi wyznaczyła termin kolejnego spotkania, z poczuciem winy Rachel skinęła głową.

Czwartek, 28 lutego

Przez dwa kolejne tygodnie Zeke zmuszony był zwolnić nieco tempo z powodu gojącej się stopy. W tym czasie zajmował się zwierzętami i robił mniejsze przedmioty, przy których mógł pracować w pozycji siedzącej. Jeździł też do baru, gdzie zaczął przesiadywać dłużej niż zwykle.

Odpoczywał, to wszystko. Odpoczywał i wracał do formy. Wcale nie czekał na to, że może uda mu się zobaczyć Rachel albo nawet zjeść z nią lunch, gdyby przypadkiem zajrzała do baru. Wydawało mu się, że od czasu ich ostatniego spotkania dziewczyna przyjęła jego zasady gry. Mógł ją oglądać tylko z daleka, podczas pracy na lotnisku. Jeżeli już udało mu się nawiązać z nią kontakt wzrokowy, jak chociażby parę minut temu, kiedy wpadła do baru po butelkę wody, skinęła tylko głową i rzuciła „Jak noga?”, a zaraz potem „Muszę lecieć”.

Co się, do diabła, stało z tym wszystkimi uśmiezkami, przyjacielskimi pogawędkami, propozycją wspólnego lotu? Wtedy, w ten chłodny poranek u niego w domu, wydawało mu się, że coś między nimi zaiskrzyło. Czy mógł się mylić?

Zjadając swoją cotygodniową obowiązkową sałatkę, doszedł do wniosku, że chyba jednak źle odczytał sygnały. Albo jeszcze gorzej, uroił sobie w głowie żalosne, niczym nieoparte, fantazje. Najwyraźniej, gdy chodziło o coś nieco bardziej skomplikowanego niż jednoznaczne propozycje, które czasami otrzymywał i z miejsca odrzucał, zdecydowanie wyszedł z wprawy. A może powiedział coś nie tak przed jej wyjściem? Po raz kolejny przeanalizował ich ostatnią rozmowę. Czy podziękował jej za pomoc przy koniach i za zdjęcia, które mają wypromować jego prace? Zdawał sobie sprawę, że nie był w tym najlepszy. Doszedł już do takiego momentu, w którym każde słowo kosztowało go sporo wysiłku.

Patsy zerknęła na niego znad stołu, który akurat wycierała.

- Jesteś gotowy na ciasto? Dzisiaj upiekłam orzechowe.

Pewnie chce się mnie pozbyć i pozamykać. Bar nigdy nie serwował kolacji, a ostatnio Patsy zaczęła wcześniej wychodzić. Powiedziała mu, że musi doglądać teściowej, dopóki pasierbica nie wróci do domu. Najwyraźniej Rachel wyprowadziła się z domku dla gości i przeniosła do starszej pani Copeland. Pokręcił głową.

- Już idę, nie będę zawracał ci głowy.

Popatrzyła na niego, a na jej okrągłej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

- Zrobiłam je z prawdziwych pekanów z Fort Davis, tak jak lubisz. Mogę ci ukroić kawałek na wynos.

Przydałaby się choć odrobina dobrych manier, pomyślał. Przecież kiedyś ktoś mnie czegoś nauczył, prawda? Jest okazja, by to sobie odświeżyć.

- Nie, dziękuję. - Poklepał się po brzuchu. - Z nogą jest już lepiej, ale to ciągle siedzenie daje mi się we znaki.

Patsy spojrzała na niego spod przymrużonych powiek i uśmiechnęła się lekko.

- Niczego nie zauważyłam. Na pewno nie chodzi o coś innego? Coś... lub kogoś, kto właśnie w tej chwili macha rękami na lotnisku?

Po najbliższym pasie startowym powoli toczył się samolot. Rachel rozłożyła ręce, sygnalizując, że powinien się zatrzymać. Odwróciła się w stronę szybowca i pokazała pilotowi linię holowniczą. Kiedy ten zasignalizował zgodę, przeszła obok szybowca, podnosząc i wyrównując jego skrzydła. Potem wykonała kolisty ruch jedną ręką.

Pilot holownika, Zeke domyślił się, że była to flirtująca ze wszystkimi Lili Vega, zwiększył obroty silnika i ruszył wzdłuż pasa, a za nim ciągnięty na linie szybowiec, ale Zeke przyglądał się tylko Rachel. Dziewczyna pobiegła parę kroków za samolotem i patrzyła, jak obie maszyny wzbijają się w powietrze.

Miała na sobie wytarte dzinsy i jasną kurtkę, a spod niebieskiej firmowej czapeczki z napisem „Szybuj w Marfie” wystawały niesforne kasztanowe kosmyki. Wydawała się całkowicie skupiona, poruszała z lekkością antylop pasących się nieopodal lotniska na wyblakłej złocistej trawie. Zeke nie mógł oderwać od niej oczu.

Patsy musiała to zauważyć. Odsunęła krzesło przy sąsiednim stoliku i usiadła obok niego.



- Widzę, jak na nią patrzysz. Jak bardzo się zmieniłeś od czasu, gdy się pojawiła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Bronił się.

- Mówię, że nie są ci potrzebne tego rodzaju kłopoty.

- Coś sobie wymyśliłaś. - Nie potrzebował Rachel Copeland. Może i jej pragnął, marzył o niej, ale na pewno jej nie potrzebował. Nie potrzebował żadnej kobiety. I nigdy nie będzie.

- Posłuchaj, znam cię już długo - powiedziała. - Prawie tak długo, jak tę dziewczynę. I mówiąc szczerze, nasze relacje są lepsze. Mam na myśli moje i twoje.

Spojrzał na Patsy i wydawało mu się, że jest rozczarowana i sfrustrowana.

- Zawsze miała skłonności do pakowania się w kłopoty. Tylko tym razem zdaje się, że włożyła rękę w gniazdo szerszeni i nie wie, co z tym zrobić.

- Obwiniasz ją o to, co się stało? Przecież przysięgli uznali, że...

- Walter zawsze ją zachęcał. Uważał, że ten jej upór jest uroczy, że świadczy o „żywym temperamencie” czy jakoś tak. Zawsze na wszystko jej pozwalał, a tak naprawdę powinien ją czasem klepnąć w tyłek i już. - Patsy uniosła do góry ręce. - Nie dosłownie, ale na tyle, żeby się wreszcie obudziła i dowiedziała, że każde działanie pociąga za sobą jakieś konsekwencje. Taka mała lekcja odpowiedzialności.

Zeke pomyślał, że tych lekcji Rachel miała ostatnio aż za wiele. Poczł ukłucie winy, bo sam przez ostatnie dwadzieścia lat uciekał od odpowiedzialności. Czy na pewno zrobił to tylko dla dobra matki? A może siedział w tej małej miejscinie w Teksasie przez zwykłe tchórzostwo?

Co robimy? - Usłyszał w głowie przerażony głos z przeszłości. Nikt nie może się dowiedzieć. Boże, moje stypendium, ojciec mnie zabije.

Odsunął od siebie wspomnienie.

- Rachel ma nową sprawę w sądzie, słyszałeś o tym? - Patsy strzepnęła ze stołu rozsypaną sól. - Sprawa cywilna, o odszkodowanie. Matka chłopaka żąda dziesięciu milionów dolarów. Ta kobieta nas zniszczy. Wszystko, na co pracowaliśmy, wszystko, co mamy. Już i tak nieźle kosztowała nas kaucja Rachel, żeby nie musiała iść do więzienia. A teraz jeszcze i to.

- Nie rozumiem. - Zeke pokręcił głową. - Czego mogą chcieć od was?

Ale myślami był przy Rachel, która przyjechała do miasteczka, by zacząć wszystko od nowa. Która pomogła mu, kiedy uciekł mu koń i sprawiła, że na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

Patsy parsknęła.

- Od nas nic, ale to nie ma znaczenia. Rachel jest całkowicie splukana, a nadal potrzebuje obrońców. Walter już wynajął nową prawniczkę, bo ten poprzedni adwokat powiedział, że nie zajmuje się sprawami cywilnymi. Mój mąż cały czas powtarza, że wszystko, co należy do niego, należy też do Rachel. A to oznacza wszystko, co należy do nas. W tym mój bar, na który harowałam przez te wszystkie lata jak wół, zupełnie sama, bez niczyjej pomocy. I co, mam go tak po prostu wyłożyć na stół jako zabezpieczenie pożyczki? I to dla dziewczyny, która pięciu minut nie może wytrzymać ze mną w jednym pomieszczeniu?

Zeke rozumiał niechęć Patsy. Widział, jak każdego dnia pracowała od rana do nocy, by utrzymać interes, który zbudowała na wiele lat przed poślubieniem Waltera Copelanda. Ale zaproponował:

- Rachel nigdy nie powiedziała o tobie złego słowa.

- Co nie znaczy, że tak nie myśli. Rachel zawsze widziała we mnie jedynie marną podróbkę matki. Mamusia była taka piękna, taka idealna, o niebo lepsza niż zwyczajna Patsy z baru.

Zeke nie miał pojęcia, jak zareagować, ale Patsy wcale nie oczekiwała odpowiedzi. Wystarczyło, że ją wysłuchał. I tak nie miał nic więcej do zaoferowania żadnej kobiecie, nawet takiej, która przez te wszystkie lata była dla niego jedynym przyjacielem.

Tuż obok z wdziękiem wylądował kolejny szybowiec. Walter Copeland, pomyślał Zeke, a obok ktoś, kto pewnie był jego uczniem. Patsy przyglądała się Rachel, która pobiegła w kierunku ojca, a potem spojrzała na Zeke'a ze skwaszoną miną. Jest zazdrosna, pomyślał, pewnie wolałaby, żeby pasierbica została na Wschodnim Wybrzeżu, tam gdzie jej miejsce.

- Posłuchaj, dla własnego dobra - odezwała się Patsy - powinieneś wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami. Chcesz się w to mieszać? Chcesz, żeby skrzywdziła cię dziewczyna, która aż się pali, żeby stąd uciec i wrócić do dużego miasta? I zrobi to, gdy tylko wycisnie z Marfy, ile się da. I z nas.

Zeke wstał i odsunął krzesło.

- Lepiej już pójdę. Lunch był bardzo dobry - wykrztusił.

Jak na niego to i tak było sporo słów, choć mniej niż cisnęło mu się na usta. Przede wszystkim pytań. Czy Rachel odsunęła się od niego z powodu tej nowej rozprawy? A może napięcia w rodzinie zaczęły dawać jej się we znaki?

Trzymaj się od tego z daleka, powtarzał sobie, wsiadając do starego pikapa. Udało mu się przetrwać tyle czasu tylko dlatego, że prowadził proste, zwyczajne życie, bez tych wszystkich komplikacji związanych z

innymi ludźmi. Poza tym czuł się już o wiele lepiej i mógł znowu zająć się na poważnie pracą. Ciężką, fizyczną pracą, która wybije mu z głowy te niedorzeczności, wynikające z niczego innego, jak tylko z bezczynności. Może zabierze konie w Góry Davis? Weźmie siekierę i wyruszy jeszcze dziś, żeby przywieźć trochę drewna. Przypomniawszy sobie poskręcane gałęzie, które widział ostatnim razem. Mógłby z nich zrobić porządne wezglowie. Mógłby nawet wypełnić naturalne wgłębienia jadaloszyń tytu turkusowym kamieniem, który tak bardzo spodobał się Rachel.

Był tak pogrążony w myślach, że aż podskoczył na widok otwartej bramy prowadzącej na jego teren. A to mogło oznaczać tylko jedno: cholernych klientów, którzy będą oglądać, gadać i zawracać mu głowę jak natrętne muchy, a na koniec wsiądą do samochodu i odjadą, żeby „pomyśleć” o zakupie.

Traktował to jak zło konieczne. Jednak zarówno on, jak i jego zwierzęta musieli coś jeść, a ostatnie rachunki od weterynarza okazały się wyższe, niż się spodziewał. Przygotował się więc na nieuniknione spotkanie z turystą, no, może parą turystów...

Ale na pewno nie był przygotowany na widok pół tuzina drogich samochodów zaparkowanych na podjeździe koło domu i gromadki dobrze ubranych mężczyzn i kobiet przechadzających się po jego terenie. Kiedy podjechał do zagrody, wszyscy popatrzyli na niego z wyczekiwaniem.

- Co jest, do diabła? - zapytał sam siebie.

Nie mógł pojąć, czego może od niego chcieć ten tłum zgromadzony przed jego domem. Owszem, czasami zdarzało mu się zastać jakąś czekającą osobę. Miał nawet na bramie odręcznie zrobiony napis, który zapraszał gości do odwiedzin („Tylko w ciągu dnia”). Pozostali mieszkańcy miasteczka, ci,

którzy prowadzili hotele lub pensjonaty albo wynajmowali turystom domki gościnne, niekiedy podsyłali mu swoich gości, uprzedzając ich jednak o jego zasadach. Jeżeli pracownia była zamknięta, należało poczekać na zewnątrz. Nie warto tracić czasu na luźne pogawędki. I najważniejsze, cena, jaką podał, była ceną ostateczną, bez żadnych możliwości negocjacji.

Z czasem, gdy zyskał już pewną renomę, wielu klientów zaczęło chodzić wokół niego na palcach, wyraźnie podekscytowanych tym, że muszą udobruchać kapryśnego rzemieślnika, któremu w ogóle nie zależało na tym, czy coś kupią, czy nie. A może traktowali to jak rozrywkę?

Jednak ta dzisiejsza zgraja wcale nie chodziła na palcach. Gdy tylko wszedł do pracowni, wręcz rzucili się na niego.

- Uwielbiam pana prace - wyznała jedna z kobiet. - Czy ma pan może jeszcze jeden taki stół jak na tych zdjęciach?

- Czy mógłby pan jeden zrobić dla mnie? - zapytał niski mężczyzna w obcisłych skórzanych spodniach. - Tylko ja bym wolał koral zamiast turkus. Idealnie pasowałby do mojego loftu.

Najwyraźniej lody zostały przełamane i pozostali klienci zarzucili go gradem pytań. Zaczęli podnosić bez pytania różne przedmioty i wypełnili całą przestrzeń swoją radosną paplaniną. Zeke przypomniał sobie rodzimie uroczystości, głośne, wesołe, radosne spotkania, o których dawno już zapomniał.

Myśl wywołała ból, który niemal rozsadzał mu czaszkę. Ale nie mógł się teraz nad tym zastanowić. Musiał zająć się turystami, wszystko jedno, pojedynczo lub w grupach, byle tylko zostawili go w końcu z jego pracą.

Usłyszał podniecone szepty, coś o „narodzinach nowej mody” i „nowościach, które koniecznie należało mieć”. Powoli zaczął żałować, że dał Rachel Copeland zgodę na publikację zdjęć.

Ale po południu, gdy zdał sobie sprawę, że udało mu się zarobić parę tysięcy dolarów, doszedł do wniosku, że warto było spędzić tych kilka krepujących godzin z dala od pracy, która sprawiała mu taką przyjemność. Nie wiedział tylko, że to popołudnie było dopiero początkiem szturm, który miał nastąpić, a który przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Gdyby tylko wiedział, nie zrezygnowałby z dalekiej wyprawy w góry.

Wtorek, 4 marca

Dzień rozpoczął się zaskakująco dobrze. Rachel pogrążona była w głębokim, rozświetlonym neonowym światłem śnie, w którym Antoinette Gallinardi i jej fani ze świata sztuki oklaskiwali talent Rachel podczas otwarcia majowej wystawy, a Terri Parton-Zavala stała z boku, trzęsąc się ze złości. Zgromadzeni na wystawie miłośnicy sztuki zorganizowali spontaniczną zbiórkę pieniędzy, która miała pokryć koszty związane z rozprawą Rachel, aby artystka mogła w pełni skupić się na swojej pracy.

Ale od tego momentu zaczęły się schody. Po pierwsze, Rachel się obudziła. Jakby tego było mało, jej umysł nalegał na ciągłe odtwarzanie ubiegłotygodniowej rozmowy z nową prawniczką. Kobieta powiedziała jej, że wynajęty przez powódkę detektyw odkrył w komputerowym archiwum Kyle'a nową serię zdjęć, które przedstawiały ich „razem”. Podobno te wyglądały inaczej. Rachel z całych sił powstrzymała wzbierające w niej mdłości oraz wspomnienie zeznań jednego ze studentów, który był tamtego

wieczoru w grupie, z którą wybrała się na kolację po wystawie fotograficznej. Pomimo że zamówiła jedynie dietetyczną colę, podobno zachowywała się w sposób „nieodpowiedzialny” i „prowokacyjny”. Rachel płakała, słuchając tych słów, przysięgając, że były jedynie stekiem podłych kłamstw wymyślonych przez przyjaciela Kyle'a. I chociaż bardzo się starała, za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Pamiętała tylko, że później czuła się tak, jakby miała gripę. A już na pewno nie pamiętała tego, że mogła gdzieś pójść ze swoim najmłodszym studentem. A co, jeśli...

Nie, nigdy bym tego nie zrobiła, pomyślała. Doktor Thomas się myli. Poza tym ostatnim razem eksperci udowodnili, że te zdjęcia były podrobione. Teraz też tak będzie.

Poczuła ogarniający ją strach i otworzyła oczy, by przed nim uciec. Zobaczyła przed sobą Jamesa Deana, który akurat podnosił nogę, by podać parę dzinsów wystających z torby na pranie.

- Diabelskie nasienie! - Natychmiast zapomniała o wszystkich problemach i rzuciła w psa poduszką. J. D. odwrócił głowę i popatrzył na nią z wyraźną pogardą.

Po chwili w otwartych drzwiach ukazała się głowa babci.

- Czy mój mały aniołek znowu psoci?

- To jego zemsta za ostatnią kąpiel. - Rachel wzięła głęboki wdech i próbowała podejść do sprawy z dystansem.

Upierze spodnie i już. To i tak było o wiele łatwiejsze niż próba zaciągnięcia warczącego, drapiącego teriera bostońskiego do wody. Spojrzała gniewnie na swojego wroga.

- Gdybyś tylko trzymał się swojego podwórka i nie łąził ludziom po śmietnikach, nie musielibyśmy przez to tak często przechodzić.

Psiak położył po sobie uszy i obnażył krzywe zęby.

- Do tego masz okropny zgryz - dodała Rachel.

- Oho, ktoś tu chyba potrzebuje kofeiny. - Babcia skrzyżowała pulchne ramiona na grubym różowym szlafroku. - Może chcesz kroplówkę?

Rachel się uśmiechnęła.

- Nie, dziękuję. Obiecałam, że wpadnę dziś do baru.

- Jak tylko sprawdzisz, czy wzięłam lekarstwa, żebyś mogła zdać pełny raport swojemu naczelnemu szpiegowi. - Starsza kobieta prychnęła z rozdrażnieniem.

- Oj babciu. - Rachel wstała z łóżka i podeszła do niej, omijając przy tym warczącego psa. Objęła ją i powiedziała: - Martwimy się o twoje zdrowie, bo wszyscy chcemy, żebyś zawsze z nami była. Kochamy cię, babciu, ja cię kocham.

Babcia objęła jej policzki swoimi pulchnymi palcami.

- Wiem o tym. Wiem, że Walter i Patsy myślą, że robią dobrze. Ale ja od tak dawna sama się o siebie troszczę.

- A ja ci tylko trochę pomagam, żebyś ty mogła opiekować się mną. - Słyszając ciche warczenie, Rachel spojrzała w dół. -I swoim małym, słodkim J. D. A właśnie, może zawiozę go w tym tygodniu do weterynarza i umówię na sterylizację?

Już wcześniej o tym wspomniała, mając nadzieję, że pies przestanie wałęsać się po okolicy, a co więcej, zmniejszą się jego szanse na zachowanie na raka jąder w późniejszym wieku. Czuła się dumna, że chce postąpić jak każdy szanujący się właściciel psa. Ale musiała też przyznać, że



była w tym również chęć zemsty. Szczególnie że dopiero co nasikał na jej ulubione džinsy.

- James Dean bez swoich klejnotów? - Babcia uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Teraz już wiem, że zbyt długo żyję na tym świecie.

Po wyjściu z domu babci, Rachel poszła na śniadanie do baru. W końcu wylądowała przy jednym stoliku z Lili Vega, która ze szczegółami opowiedziała jej historię swoich ostatnich podbojów miłosnych. A raczej łóżkowych, bo było tam dużo gorącego flirtu, ukradkowego obmacywania i okazjonalnego seksu z przygodnie poznanymi kowbojami lub pilotami. Z naciskiem na słowo „przygodnie poznanymi”.

- Po zamknięciu knajpy zabrał mnie na taras widokowy - ciągnęła Lili, mając na myśli park, w którym gromadzili się turyści, by oglądać tajemnicze światła. - Ale jedyna tajemnica, która go interesowała, była pod moją bluzką. Niegrzeczny chłopiec, a jak świntuszył...

- Chyba pójdę już do pracy. - Rachel poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Słowa Lili przypomniały jej o sądowych zeznaniach i wulgarnych nocnych telefonach.

Wstała od stołu.

- Dzięki za świetny omlet, Patsy - rzuciła w stronę macochy. - Powinien wystarczyć mi na cały dzień.

Ale Patsy, zajęta smażeniem naleśników, nawet na nią nie spojrzała i Rachel zastanawiała się, czy w ogóle ją słyszała. Ostatnio wyraźnie ją ignorowała i Rachel nie chciała się jej narażać. Nic więcej nie powiedziała. Kiedy wychodziły z baru, usłyszały ciche pohukiwanie. Rachel nie zwróciła na to uwagi, ale młodsza kobieta zadrżała.

- O co chodzi? - zapytała Rachel.

- Nic takiego. - Lili zerknęła na sowy i na jej nieskazitelnej, oliwkowej twarzy pojawił się rumieniec. - Tylko stary przesąd mojej babci.

Rachel uśmiechnęła się i spojrzała prosto w zaspane, żółte oczy sowy. O tej porze dnia zmęczone łowami puchacze wyglądały wyjątkowo niegroźnie jak na parę, która była w stanie wyczyścić okolicę z gryzoni i królików.

- Moja babcia też wierzy w te przesady. To chyba takie ich hobby. Lili zawięła na palcu pofarbowany na różowo kosmyk włosów.

Miała poobgryzane paznokcie, z których schodził lakier.

- Obiecujemy sobie, że nigdy się nie zestarzejemy. Umowa stoi?

- Jasne. - Rachel zgodziła się, chociaż przez to, co ostatnio przeszła, czuła się o wiele bardziej dojrzała od Lili, która twierdziła, że ma dwadzieścia sześć lat, chociaż wyglądała na osiemnaście.

W drodze do biura Lili cały czas plotkowała. Rachel zgadzała się wprawdzie z ojcem, że dziewczyna jest bardzo zdolnym pilotem, jednak jej „dziewczęce pogaduszki” miały w sobie tyle głębi co męska rozmowa w klubie dżentelmena.

Kiedy znalazły się obok pomp z paliwem, Lili zatrzymała się i spojrzała na Rachel z wyzwaniem.

- Wydaje mi się, że już dość się napracowałam na ziemi. Nie sądzisz, że najwyższy czas odkurzyć skrzydła? I polecieć w górę, żeby sobie wszystko przypomnieć?

- Nie wiem, czy jestem już gotowa. Ostatnio znowu dokucza mi alergia i... - Rachel urwała. Pokręciła głową i postanowiła, że czas skończyć z tym niezdecydowaniem. Przeszła badania lekarskie i została dokładnie przepytana zarówno przez ojca, jak i egzaminatora z Federalnej Agencji

Awiacji. Ale latanie w czyimś towarzystwie nie przywróciło jej pewności siebie. A może wciąż odkładała samotny lot z innych powodów?

Wzięła głęboki wdech.

- Masz rację, chociaż i tak podejrzewam, że chcesz, żebym znowu latała, tylko po to, byś mogła wziąć czasami wolne.

Lili zrobiła nadęsaną minę.

- To Bobby ostatnio ciągle prosi o wolne. Właśnie wrócił jego brat z rodziną, nie pamiętam dokładnie, gdzie mieszkają, i chcą nadrobić stracony czas.

- Naprawdę? - Rachel się ucieszyła. Wiedziała, że szansa na pojednanie z rodziną musi dla Bobby'ego bardzo dużo znaczyć. Dwadzieścia lat temu spowodował straszną tragedię. Bardzo wiele wycierpiał i pracował jak wściekły, by na nowo odbudować swoje życie. To dobry znak, uznała Rachel, myśląc o własnych kłopotach. Ona też może zacząć wszystko od nowa. - W takim razie chętnie pomogę.

- Powinnaś się domyślić, że nie chodzi o mnie. - Lili wydawała się urażona. - Dwa lub trzy razy w tygodniu pracuję też w barze o nazwie Psychodeliczny Skorpion. Dziewczyna musi z czegoś opłacić rachunki, prawda? Ale na lotnisku mam większą szansę spotkać najlepsze ciacha. A propos, co ten wysoki ciemny milczek robi tu o tak wczesnej porze?

Rachel odwróciła się i usłyszała trzask zamykanych drzwi samochodu, który zaparkował obok baru. Ale zamiast wejść do środka, Zeke przesłonił ręką oczy i rozejrzał wokół. I w końcu je dostrzegł.

- O Boże, on tu idzie - wyszeptała Lili. - Nigdy wcześniej nie był na lotnisku. Robiłam wszystko, żeby zwrócić jego uwagę, a on nic. Myślałam

już nawet, żeby się rozebrać i położyć przed nim na stole. O kurcze, nie wygląda na zbyt zadowolonego, co?

- O rany. - Rachel zrobiła się blada. Na pewno wie już o zdjęciach. Widziała jego zaciśnięte szczęki, pewne, mocne kroki. - Wygląda na to, że dzisiaj może się spełnić moja obietnica, że nigdy się nie zestarzeję. On mnie zabije.

Lili spojrzała na nią przerażona.

- Co masz na myśli, mówiąc, że cię zabije? Co mu zrobiłaś? Rachel głośno przełknęła.

- Może ci się przydać ochraniacz na uszy. I to zaraz. Lili zaczęła się jękać.

- Wiesz, obiecałam twojemu ojcu, że sprawdzę grafik i zadzwonię, żeby powiedzieć, co mamy na dziś zaplanowane.

- Może powinnaś sprawdzić, czy Bobby jest gdzieś niedaleko. - Rachel popatrzyła na zbliżającą się do nich górę mięśni i dodała: - Albo żandarmeria stanowa.

Lili zrobiła krok do tyłu. Wyglądała na mocno zdenerwowaną. Po chwili odezwała się na tyle głośno, by Zeke mógł ją usłyszeć:

- Chyba nie powinnam się w to mieszać. Pójdę do biura i zostawię was samych.

- Lili - wycodziła Rachel przez zaciśnięte zęby. Miała ochotę ją udusić, ale w żaden sposób nie mogła jej już zatrzymać.

Lili pobiegła w stronę biura.

- No proszę - rzuciła Rachel. - I do tego straszysz dzieci.

I kobiety, pomyślała. Ale nie powiedziała tego na głos, chociaż jej trzęsące się ze strachu ciało wysyłało wyraźne sygnały.

Zeke chwycił ją za łokieć i zaciągnął na tyły najbliższego hangaru, z dala od biura i kafejki.

- Hej! - krzyknęła. - Co to ma, do diabła, znaczyć? Zabierz te ręce. Nie masz prawa.

- A tobie kto dał prawo, by zrobić to zdjęcie? - Puścił ją i wyciągnął z kieszeni dodatek do niedzielnej gazety. Rozłożył go i rzucił jej w twarz. - Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?

W jego spojrzeniu kryło się coś więcej niż tylko złość. Czy to był strach? Rachel z całych sił próbowała zapanować nad własnym przerażeniem i pojawiającymi się obrazami z przeszłości. Zeke nie krzywdzi kobiet, powiedziała sobie. To nie jest Kyle Underwood, a te zdjęcia, które zrobiłam, to zupełnie inna historia.

Poczuła narastający gniew. Była wściekła, że dała się sprowadzić do roli trzęsącej się ze strachu i pozbawionej głosu ofiary tylko dlatego, że był od niej większy i głośno krzyczał. Przypomniała sobie, co powiedział ojciec o tym, jak bał się, że te ostatnie wydarzenia „pozbawiły ją ikry”. Jak wewnętrzny strach nie pozwalał jej poszybować w górę.

- Odsuń się ode mnie, to pogadamy - powiedziała, zbierając w sobie resztki odwagi. - Spokojnie albo nie będzie żadnej rozmowy.

- Do cholery, jesteś mi chyba winna jakieś wyjaśnienie. - Zielone oczy Zeke'a ciskały błyskawice. Cały się trząsał. - Gdybym wiedział, gdybym tylko wiedział, że w tym wszystkim chodzi bardziej o „artystów”, a nie ich prace, w życiu bym się nie zgodził. W tym tygodniu przeżyłem istny szturm. Jacyś obcy ludzie, nawet jakaś kobieta, która ma galerię w Dallas, wykupują wszystko, co mam. Cały czas szeptali coś za moimi plecami, posyłali mi jakieś dziwne spojrzenia, nawet niektórzy faceci.

Wydawał się tak przejęty, że gdyby tylko nie bała się tak bardzo, na pewno by się roześmiała.

- Ale nie wiedziałem, o co chodzi - ciągnął dalej, kręcąc głową. - Aż któregoś dnia jakaś chichocząca panienka i jej chłopcaś wyjęli gazetę i poprosili o mój pieprzony autograf.

- Cóż, interes dobrze się kręci? - Rachel uśmiechnęła się, mając nadzieję, że i Zeke w końcu dostrzeże coś pozytywnego w całej tej sytuacji.

- Nie mogłabyś się bardziej pomylić, nawet gdyby ktoś zawiązał ci oczy opaską.

- Posłuchaj, przykro mi, że tak się zdenerwowałeś, ale dałam ci te zdjęcia do obejrzenia, zanim podpisałeś zgodę. Poza tym, czego się, do diabła, boisz? Jak nie chcesz, żeby ludzie cię nachodzili, zamknij bramę i już.

- Dobrze wiesz, że to wszystko twoja wina. Miałś fotografować przedmioty, a nie mnie. Nie miałem pojęcia, że weszysz po całym domu i robisz mi zdjęcia z ukrycia.

- Wcale nie weszylam po twoim domu - zaprotestowała. Jego słowa odbijały się echem w jej głowie tak wyraźnie, jak dźwięk zamykanych więziennych drzwi w dniu, w którym została aresztowana, i jak myśl, że również jej ktoś mógł robić zdjęcia, kiedy sama nie mogła zaprotestować. Głośno przełknęła ślinę i wymamrotała: - Powiedziałeś, że mogę wrócić.

- Ale dobrze wiedziałaś, co miałem na myśli. I znasz mnie już na tyle, że wiesz, jak cenię sobie swoją prywatność. Do diabła, nie mam nawet przyzwoitego szyldu. Gdyby nie ludzie z pensjonatów i hoteli...

- Ale to zdjęcie, Zeke... Nie rozumiesz, że...

- To ty nic nie rozumiesz albo jesteś tak bardzo skupiona na sobie, że nie chcesz zrozumieć. Może Patsy miała jednak rację.

Poczuła się tak, jakby uderzył ją w policzek i zrobiła krok do tyłu. A więc Patsy rozmawiała z nim o niej? Macocha obgadywała ją przed klientami? Właściwie nie powinno jej to dziwić. Zawsze wiedziała, że Patsy za nią nie przepada, zawsze była dla niej o wiele miłsza, gdy jej sporadyczne wizyty nie przeciągały się zbyt długo.

Zeke poczuł się niezręcznie. Pokręcił głową.

- Do diabła z tym wszystkim. I z tobą. Jeśli masz zamiar stać tu i płakać...

- Wcale nie płaczę - warknęła. - Słońce dziś mocno świeci, a zostawiłam okulary...

- Nieważne. Co się stało, to się nie odstanie. I tak nic już nie możesz poradzić, nawet gdyby cię to cokolwiek obchodziło.

- Obchodzi mnie - zapewniła. - Obchodzi.

Ale Zeke odwrócił się na pięcie i odszedł, minąwszy po drodze wzburzonego Waltera Copelanda, wyraźnie gotowego, by stanąć w obronie córki, chociaż był prawie o głowę niższy od Zeke'a Pike'a.

- Wszystko w porządku? - zapytał, a Rachel poczuła przypływ miłości do jedynej mężczyzny, który zawsze będzie jej bronił.

Nawet wtedy, gdy nie mam racji, pomyślała ze skruchą.

## *Rozdział 8*

*Kołyska buja się nad otchłanią, a zdrowy rozum podpowiada,  
że nasze istnienie jest tylko wąską szczeliną światła  
między dwiema wiecznościami ciemności.*

Vladimir Nabokov *Pamięci, przemów.*

*Autobiografia raz jeszcze, przeł. Anna Kołyszko*

Czwartek, 6 marca

Gęsta, poranna mgła stłumiła nieco kroki obserwatora i dźwięk otwieranych metalowych drzwi od hangaru. Na szczęście wokół nie było jeszcze żywej duszy, nikogo, kto mógłby zdziwić się tak wczesną wizytą... i powiązać ją z tragedią, która miała wydarzyć się później.

Tak długo musiał czekać na ten dzień, w którym Rachel Copeland wreszcie odbędzie swój samodzielny lot. Będzie to wydarzenie, które na długo pozostanie wszystkim w pamięci. Polecą tym świeżo odnowionym niemieckim szybowcem. Oczywiście on na to nalegał. Chciał im wszystkim przypomnieć, że to ona jest córką szefa, nieważne, że zabiła człowieka, a wiele osób nadal płaci wysoką cenę za jej grzechy.

Przez ostatnie tygodnie obserwator miał ją na oku. Był już mocno zdesperowany i chciał za wszelką cenę wykorzystać swoją szansę. W dalszym ciągu nie otrzymał żadnych wskazówek, a światła wciąż się nie pojawiały. Coraz bardziej oddalał się od zwycięstwa i dryfował w kierunku wspomnień Dziecka.

Nie myślał o tym, nie przypominaj sobie, powtarzał. Zacisnął zęby i, głęboko oddychając, zaczął wbijać palce w skronie, by powstrzymać narastający w głowie szum. Ale wspomnienia wróciły rykoszetem jak



kamienie rzucone o ścianę zardzewiałej przyczepy. Wróciły *i* uderzyły go prosto w twarz.

To Dziecko nie miało niczego, zupełnie niczego. Jak próżnia, która próbuje coś wyssać z zaszuszonej piersi świata. Jedzenia było mało, a opieki jeszcze mniej. A kiedy przychodziło wybrać pomiędzy kupnem kolejnej flaszki wódki a wizytą u lekarza, Dziecko było wysyłane pod przyczepę, gdzie nikt nie słyszał jego jęków.

Nigdy więcej. Nigdy więcej nie będzie głodny. Nikt go już nie skrzywdzi i nie wypędzi w ciemny mrok, pozbawiając nawet chłodnego współczucia światła. Już lepiej umrzeć... lepiej rozpaść się w proch, niż znaleźć się samemu w pustce.

Był tylko jeden sposób, by światła wróciły. Już zbyt długo z tym zwlekał. Obserwator wszedł do hangaru, metalowej skorupy, która tak bardzo przypominała mu tamtą przyczepę, że w sercu poczuł lodowaty chłód, a w duszy wszechogarniający strach.

Rachel pomogła ojcu wypchnąć z hangaru niemiecki szybowiec. Każde z nich chwyciło jedno skrzydło. Widząc maszynę w blasku porannego słońca, ojciec uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Trochę się przy nim napracowałem- powiedział, patrząc na świeżo odnowioną maszynę. - Już dawno przestałem liczyć, ile godzin mi to zajęło. Ale o to w tym wszystkim chodzi. Te klasyczne linie są niesamowite.

Kiedyś Rachel czułaby się zażenowana tym, że ojciec rozkleja się na widok jakiegoś starego szybowca. Ale od czasu, gdy skończyła szkołę, dowiedziała się, że na świecie istnieją o wiele gorsze problemy niż ojciec, który jest pasjonatem swojej pracy.

Popatrzyła na szybowiec i zobaczyła, ile serca w niego włożył. Zmienił kable na sterach, powymieniał mierniki i odnowił najbardziej zniszczone fragmenty poszycia, a potem pomalował starą maszynę czerwoną i żółtą farbą. Tuż pod jednoosobową kabiną pilota własnoręcznie namalował oczy i pysk, które przypominały „latającego tygrysa”. Rachel zauważyła, że pysk był nieco przekrzywiony, ale to tylko dodawało mu uroku.

- Zdaje się, że odkryłam jeszcze jednego artystę w Marfie. - Uśmiechnęła się i odgarnęła na bok włosy. Wyjęła z kieszeni mały cyfrowy aparat, z którym prawie się nie rozstawała. - Będę musiała zrobić ci kilka zdjęć na wystawę.

Ojciec był wyraźnie zadowolony.

- Koniecznie, Wiewióreczko. Będę pozował obok tej ślicznotki z beretem na głowie i pędzlem w dłoni.

Rachel zaczęła pstrykać zdjęcia, a ojciec wyglupiał się, przybierając różne pozy obok, jak mawiała Patsy, „jego drugiej kobiety”. Oboje zanosili się od śmiechu, ale Rachel cały czas pamiętała reakcję Zeke'a Pike'a. Ciągle widziała, jak krzyczy i słyszała powracające pytanie: „Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?”

- No właśnie, nie bardzo - wymamrotała pod nosem Rachel. Rozumiałaby jego wybuch złości, gdyby zdjęcie przedstawiało go w niekorzystnym świetle, było zbyt intymne lub w jakiś sposób szkodziło jego interesom. Ale za każdym razem, gdy na nie patrzyła, widziała tylko piękno i zmysłowość...

Nawet śniła o tym cholernym zdjęciu. Wyobrażała sobie, że Zeke w takim samym skupieniu pracuje nad jej ciałem. A ono zdradliwie reaguje,

odpowiednio do sytuacji, którą udało jej się uchwycić. Sytuacji tak intymnej i prywatnej jak mężczyzna, którego sfotografowała.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Wiewióreczko? - Ojciec pomachał jej przed oczami ręką. - Pytałem, czy nie możesz się już doczekać swojego pierwszego samodzielnego lotu dzisiejszego popołudnia?

Rachel poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Na pewno chcesz, żebym to ja wykonała ten pierwszy lot? Pracowałeś nad tą maszyną dwa lata. A Bobby, a Lili? Też poświęcili mnóstwo czasu. Może będzie im przykro, może będą wściekli, że...

- Chcę, żebyś ty to zrobiła, Wiewióreczko. - Ojciec przybrał taką pozę, jakby szykował się na pojedynek. - Jesteśmy rodziną, a ty jesteś przyszłością tej firmy.

- Tato, ja... - urwała, nie wiedząc, co powiedzieć dalej. Zarówno Bobby, jak i Lili byli o wiele bardziej doświadczonymi pilotami i byli całkowicie oddani firmie. Ale jak mogła odmówić ojcu, który właśnie zaciągnął kolejny kredyt, by opłacić jej prawnika? Rachel wiedziała, że jest ojcu winna o wiele więcej niż pieniądze, nawet jeżeli oznaczało to pracę na dwa fronty. Trudno, będzie musiała zajmować się fotografią wieczorami lub w nieliczne wolne dni.

Bolało ją to, że musiała zepchnąć swoją „prawdziwą”, jak sądziła, pracę na drugi plan. Ale przynajmniej wypełniony po brzegi harmonogram nie pozwoli na rozmyślania o żalonym, czy raczej nieistniejącym, życiu osobistym. Wszystkie wolne chwile spędzała z babcią, grając w gry planszowe lub walcząc z J. D., by nie moczył jej rzeczy, chociaż z tego akurat zrezygnował od czasu, gdy zniknęły jego „klejnoty”.

- Rozmawiałem z Bobbym i Lilianą- powiedział ojciec. - Nie mają nic przeciwko temu. Poza tym oboje muszą zrozumieć, że to ty mnie zastąpisz, kiedy nadejdzie pora.

- Tato, twoja osiemdziesięciosześcioletnia matka cały czas ogrywa mnie w scrabble'a. - Chociaż Rachel podejrzewała, że z każdą partią babcia wymyśla coraz to nowe wyrazy. - Będziesz tu jeszcze rządził co najmniej dwadzieścia lat.

Ojciec odwrócił się wyraźnie zakłopotany. Raz jeszcze obejrzał szybowiec.

- Spójrz tylko na te skrzydła. Mógłbym tak stać i gapić się na tę maszynę całą wieczność... ale mam na rano zaplanowanych kilka lekcji.

Rachel zastanowiła się, skąd ta nagła zmiana tematu, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zobaczyła Bobby'ego Bauera, który biegł w ich stronę. Zerknęła na pilota, który jak na swoje prawie pięćdziesiąt lat wciąż był szczupły i wysportowany, i od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - zapytała. - Jeżeli chodzi o ten lot, to ja nie widzę problemu, żeby ktoś inny...

- Nasza automatyczna sekretarka migąła dziś rano. Odsłuchałem dużo wiadomości. - Przesunął dłonią po krótkich jasnych włosach.

- Klienci? - zapytał ojciec, najwyraźniej nie zauważając podenerwowania swojego pracownika.

- Nie, to byli... - Prawy policzek drgał mu nerwowo. - Niestety, mam złe wieści, to byli dziennikarze. Pytali o jakąś nową sprawę sądową.

Ojciec aż poczerwieniał ze złości, a Rachel poczuła, że robi jej się gorąco. Chcieli utrzymać to w tajemnicy i mieli nadzieję, że matka Kyle'a postąpi podobnie. Ponieważ spoza rodziny tylko Zeke wspomniał coś na ten

temat, Rachel miała nadzieję, że Patsy nie użalała się przed innymi klientami. Ale najwyraźniej był jakiś przeciek. Czy niezwykle fotogeniczna matka Kyle'a wyplakiwała sobie drogę do serc widzów w kolejnym wywiadzie? A może nawet zorganizowała specjalną konferencję prasową? Naprawdę sądziła, że publiczny pokaz wzmocni jej pozycję w sprawie przeciwko Rachel? A może już zupełnie zwariowała z rozpaczy?

Poczuła, że jej serce robi się ciężkie jak kamień. Obawiała się kolejnej konfrontacji z dziennikarzami, ale jeszcze bardziej kolejnych pogrózek ze strony tych wszystkich wariatów, niewątpliwie ożywionych najnowszą sceną rozpaczy w wykonaniu tej kobiety. I cholernie bała się opinii ekspertów na temat nowo odkrytych fotografii.

- Tylko tego brakowało - powiedziała. - Tak, otrzymałam kolejne wezwanie. Za bezprawne spowodowanie śmierci. Żądają kupy forsy.

Ciemne okulary Bobby'ego nie zdołały ukryć jego przerażonego spojrzenia.

- Cholerny pech! Posłuchaj, Rachel, wiem, że twój ojciec i pani Copeland bardzo ci pomagają, ale gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, w czym mógłbym ci pomóc...

- Da sobie radę - uciał ojciec - Sędzia zrozumie, że to stek bzdur. Kto to słyszał, żeby tak prześladować niewinną dziewczynę za to, że broniła się przed tym chorym sukinsynem. Mój Boże, przecież on był nagi, kiedy ją zaatakował. Pewnie po wszystkim by ją po prostu zabił. To my powinniśmy wytoczyć im proces albo administracji budynku za...

- Nie będziemy tego robić - wtrąciła Rachel cichym, ale stanowczym głosem, pewna tej decyzji, jak żadnej innej dotychczas. - Ta kobieta straciła syna i jest tak zrozpaczona, że nie może pracować.

I jeżeli to faktycznie ona stała za tymi wszystkimi telefonami, to potrzebowała pomocy, a nie kolejnego procesu, który mógł tylko pogorszyć jej stan.

- Gdyby tylko lepiej wychowała tego dupka...

- Tato, ja też byłam wściekła, ale nie rozumiesz? To niczego nie zmienia. Poza tym z tego, co słyszałam, rodzice bardzo się o niego troszczyli. Dawali mu tyle miłości, ile dziecku trzeba. I próbowali mu pomóc, gdy skrzywdził tamtych chłopców w poprzedniej szkole.

Bobby zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Rozwydrzony bogaty gnojek. Czasami rodzice mogą dziecko zepsuć, gdy dają mu zbyt dużo.

- Mój... - zaczęła Rachel i natychmiast się poprawiła: - Pewien psycholog, z którym rozmawiałam, powiedział mi, że historia Kyle'a sugeruje, że był klasycznym socjopata. Wygadany, manipulujący ludźmi, nie liczył się z niczymi uczuciami. Żadnych wyrzutów sumienia. Czasami dzieciaki rodzą się bez sumienia i nic nie można na to poradzić.

- Ale ty temu zaradziłaś - powiedział Bobby. - W najlepszy możliwy sposób, a teraz za to obrywasz. To niesprawiedliwe.

- To, co zrobiłam, niczego nie naprawiło. Ale za to zniszczyło życie wielu osób. Moje, mojej rodziny, rodziny Kyle'a. Czasami żałuję, że dałam się tak zastraszyć, że kupiłam ten cholerny rewolwer - stwierdziła z goryczą Rachel, przypominając sobie dni, które nastąpiły po tamtym zapomnianym przez nią wieczorze. Te wszystkie telefony i e-maile sugerujące, że coś się wtedy wydarzyło... Odsunęła od siebie te myśli. - A już na pewno żałuję, że pociągnęłam wtedy za spust.

- Przestań, Wiewióreczko. - Ojciec objął ją ramieniem. - To była sytuacja albo on, albo ty, i cieszę się, że zaufałaś swojej intuicji.

- Przepraszam, że to wszystko musiało się w ogóle wydarzyć.

Niezależnie od tego, jak sama lub inni próbowali ją usprawiedliwiać, Rachel nie mogła uciec od myśli, że zabiła człowieka. Gdyby miała jakiegokolwiek pojęcie, jak głęboką bliznę pozostawi to na jej duszy, jak bardzo zniszczy życie jej i innym, znalazłaby jakiś sposób, by temu zapobiec. Po tym jak zaczął ją prześladować, postarałaby się, żeby policja potraktowała jej sprawę z większą powagą. Albo pożyczylaby pieniądze i założyła system alarmowy z prawdziwego zdarzenia, a nie zadowolila tym rygłem założonym przez właściciela budynku. Mogłaby się nawet przeprowadzić, gdyby tylko przewidziała mającą nastąpić lawinę nieszczęść.

- Cii, już wszystko dobrze. - Ojciec przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku, ale Rachel się nie poruszyła. Była na siebie zła, że znowu wpadła w pułapkę zastanawiania się, co by było gdyby. W miesiącach, które nastąpiły po zabójstwie, zmarnowała mnóstwo czasu, zastanawiając się, w jaki sposób mogła Kyle'a sprowokować. Czy to, że chwaliła jego talent, było w jakiś sposób niestosowne? Czyjej uśmiech był prowokacyjny? Czy bluzki, które nosiła na zajęcia, były zbyt obcisłe, a krój dzinsów zbyt wyzywający? Doktor Thomas wiele razy tłumaczył jej, że ofiara chorej, seksualnej obsesji nie mogła brać na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Rachel wiedziała, że miał rację, ale i tak od czasu do czasu obwiniała się o to, co się stało. Wtedy zaczynała się na siebie złościć, a jeszcze bardziej na Kyle'a, który i tak był martwy i nic go to już nie obchodziło. -

Bobby wskazał na pobliski hangar.

- Wczoraj słyszałem jakiś stukot w cессnie. Muszę to sprawdzić, zanim polecę z tym facetem do Odessy.

Rachel wcale nie zdziwiło jego nagłe odejście i nie miała mu tego za złe. Wyplątała się z ramion ojca i powiedziała:

- Jeżeli chcesz, żeby Bobby lub Lili czy ktokolwiek inny kiedykolwiek uwierzył, że jestem w stanie poprowadzić ten interes, nie możesz traktować mnie jak małe marudne dziecko, które koniecznie trzeba przytulić.

Ojciec opuścił ręce. Widząc, jak bardzo go zraniła, poczuła wyrzuty sumienia. Czemu zaatakowała ojca, gdy tak naprawdę była wściekła na samą siebie?

- Przepraszam, kochanie - powiedział. - Po prostu trudno pogodzić się z myślą, że mogłem cię stracić.

- To ja przepraszam - odparła, a czerwono-żółty szybowiec rozmazał jej się przed oczami. - Przepraszam, że tak warknęłam i że wciągam cię w te wszystkie brudy...

Ojciec zrobił krok do przodu i otworzył usta, żeby zaprzeczyć. Powstrzymała go ruchem głowy.

- Nie mogę. Nie mam siły na taką rozmowę i nie chcę się znowu rozklejać. Muszę wziąć się w garść i pójść do biura. Bo jeśli nie zacznę odbierać tych telefonów i mówić „bez komentarza”, ci dziennikarze zaraz tu będą i zaczną podstawiać mi pod nos te swoje cholerne mikrofony.

Czym jeszcze będą jej machać przed oczami? Zdjęciami, których dotąd nie widziała? Kolejnymi obciążającymi ją dowodami?

- Dobry pomysł, trzeba się z tym zmierzyć, a nie uciekać. - Ojciec pokiwał głową z wyraźną aprobatą. Wyprostował się, a oczy mu błyszczały.



- I wiesz, co jeszcze dzisiaj zrobisz? Polecisz, tak jak było zaplanowane. Bo tylko w ten sposób możesz im pokazać, że się nie przejmujesz.

Wydawał się tak przepełniony wiarą i dumą, że dla jego dobra położyła rękę na szybowcu i uroczyście obiecała, że poleci dzisiejszego dnia, zgodnie z planem. Do licha, nie może się poddać, skoro ojciec i babcia cały czas w nią wierzą.

Osadzona na centralnej kopule sądu hrabstwa Presidio bogini sprawiedliwości spoglądała na centrum Marfy, jak zwykła to robić od 1886 roku. Chociaż może niezupełnie tak samo. Zeke słyszał historię pewnego kowboja, który wiele lat temu po przegranej procesie zestrzelił wagę znajdującą się w jej dłoni, twierdząc, że w miasteczku nie ma sprawiedliwości.

Doskonale go rozumiał, chociaż miał ochotę dodać, że nie był to problem tylko i wyłącznie zachodniego Teksasu. Poza tym nikogo nie interesował los innych ludzi, chyba że ktoś miał kupę forsy lub odpowiednie koneksje. Tak jak te uprzywilejowane dupki, których uważał kiedyś za swoich przyjaciół.

Z mrocznej otchłani jego pamięci wyłonił się uśmiech małego Tylera. „Chcesz być moim kolegą?”

Zeke zadrzał i z ulgą pomyślał o tym, że dzisiaj nie będzie musiał zbliżyć się do rynku w centrum miasta, przy którym rozlokowały się galerie, odrestaurowany hotel i modne kafejki z parzoną na zamówienie wyśmienitą kawą. Unikał zarówno turystów, jak i miejscowych, i swoim starym zwyczajem zaczął odbywać piesze wędrówki. Najpierw szedł półtora kilometra prywatną drogą, a potem jeszcze prawie kilometr wzdłuż opustoszałego odcinka autostrady numer 17.

Pomimo rosnącego stosu zamówień nie chciał rezygnować z codziennego rytuału. Opóźnienia sięgały już nawet miesiąca, ale większość klientów nie mrugnęła nawet okiem, gdy im o tym wspomniał, ani wtedy, gdy po raz pierwszy od wielu lat podniósł ceny. W końcu w nadziei, że uda mu się powstrzymać lawinę kolejnych zamówień, umieścił na bramie nowy, odręcznie zrobiony napis.

„Zapasy wyprzedane - żadnych nowych zamówień do odwołania”. Przez kilka minut spoglądał na napisane przez siebie słowa. Potem wrócił do domu po farbę i pędzel i dodał jeszcze jedno: „Przepraszam”.

Bez wałęsających się gości będzie mógł spokojnie zająć się pracą, której miał naprawdę dużo. I pomyśleć, czy nie był przypadkiem skończonym idiotą, gdy postanowił niczego nie zmieniać w swoim dotychczasowym życiu, zamiast pakować manatki i uciekać przed boginią sprawiedliwości. Tak byłoby bezpieczniej, szczególnie że zdjęcie z jego podobizną i jego adres można było teraz dostać wszędzie.

Ale czy faktycznie miał się czego obawiać? Uważnie obejrzał fotografię, zapamiętując każdy jej szczegół, i porównał ze wspomnieniem młodego mężczyzny, którym był przed laty. Czy ktokolwiek mógł go rozpoznać? Jego twarz przedstawiona była z profilu, a ciało miał teraz zupełnie inne niż wtedy, gdy był szczupłym niezdarnym chłopakiem, który uciekł, zostawiając za sobą wszystko, co było dla niego ważne. Czy jego matka, która bez niczyjej pomocy wychowała trzech synów, rozpoznałaby go na fotografii, przeglądając lokalną gazetę? A może zamknęła go w otchłani bolesnych wspomnień czy raczej bolesnych porażek, tak jak jego od dawna nieżyjącego ojca? Tak bardzo cierpiał, gdy o niej myślał.

Był już niedaleko baru, kiedy nagle usłyszał nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się w miejscu, a serce zaczęło mu walić jak oszalałe.

Podniósł do góry kołnierzyk i skulił ramiona. Obok przejechała ciężarówka z pomidorami, a on zadygotał, nie tyle z zimna, bo popołudnie było dość ciepłe, ile z powodu tego, że tak łatwo dał się podejść.

Pomyślał, że przez to cholerne zdjęcie, które zrobiła Rachel Copeland, w ten sam sposób mogła go nagle dopaść jego przeszłość. Zaklął tak głośno, że aż spłoszył stado złoto-białych antylop, które w popłochu rzuciły się do ucieczki przez żółte trawy.

- No proszę - powiedział z goryczą. - Okazuje się, że straszę też zwierzęta.

Po pustynnej równinie przesuwały się cienie chmur, a wysoko na niebie szybowały sępy, które najwyraźniej nie przejęły się jego słowami. Uznał to za znak, że życie toczy się, nic sobie nie robiąc z jego rozterek. Podobnie jak życie jego rodziny oraz tych wszystkich, którzy najchętniej widzieliby go martwego lub zamkniętego w więzieniu.

Nikt go nie rozpozna. Nikt nie będzie pamiętał. Dwadzieścia lat to cholernie dużo czasu, wystarczająco dużo, by człowiek zapadł się pod ziemię.

Niech to wystarczy, modlił się w duchu, chociażby dla jej dobra, jeśli nie dla mnie.

Pół godziny później Patsy właśnie podawała mu olbrzymi kawałek brzoskwiнового ciasta z bitą śmietaną gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach, a do baru weszła Rachel. Zeke zerknął na nią ale gdy odwzajemniła spojrzenie, natychmiast się odwrócił. Pomyślał, że pewnie nie miała pojęcia, która jest godzina, inaczej na pewno wołałaby uniknąć tej

niezręcznej sytuacji. Jednak nie odwróciła się i nie wyszła z baru. Zachowywała się tak, jakby go nie było.

Chciał zrobić to samo, ale czuł, że budzi się w nim pożądanie. Był na nią cały czas wściekły, ale jego ciało zachowywało się tak, jakby nie dostało w tej sprawie żadnych sygnałów i wciąż snuło nedorzeczne fantazje na temat kobiety, która rozpałała jego zmysły.

- Czy tutaj też dzwonili? - zapytała macochy.

- Tak - odparła Patsy, zajęta wycieraniem dużej szklanej misy. - I to z samego rana.

- Co im powiedziałaś... ? Och...

Zeke mimochodem spojrział w ich kierunku i zobaczył, że słuchawka telefonu była zdjeta z widełek.

- Cholerni reporterzy. - Słysząc było brzęk sztućców, które Patsy wrzucała do szuflady. - Nie mam zamiaru rozmawiać z tymi zakłamanymi padlinożercami.

- Miło słyszeć, jak przyznajesz, że istnieją jednak jakieś granice. - Rachel celowo spojrzała na Zeke'a, a potem na macochę.

Patsy zacisnęła wąskie usta, które przybrały blady odcień. Odwróciła się od pasierbicy i znowu zaczęła stukać garnkami, a Zeke był pewien, że za chwilę coś rozbije. Pomyślał, że następnym razem, kiedy będą sami, Patsy da mu nieźle popalić za to, że wygadał się przed Rachel. W pełni na to zasłużył. Nie powinien tracić nad sobą panowania i mówić, co ślina na język przyniesie.

Zastanawiał się, z jakiego powodu reporterzy niepokoiли Rachel. Nie chciał, by się tu zjechali. Któryś z nich mógłby z nudów zacząć węszyć wokół nowo odkrytej „gwiazdy” wykreowanej przez zdjęcie Rachel. Nie

trzeba wcale długo szukać, by odkryć, że Zeke Pike narodził się dopiero w momencie, gdy pojawił się w miasteczku jakieś czternaście lat temu.

Wcześniej przez jakieś sześć lat ukrywał się pod różnymi imionami w różnych miastach. Ale miał już dość ciągłej ucieczki i przysiągł sobie, że w Marfie osiadzie na zawsze. I dopóki na horyzoncie nie pojawiła się Rachel Copeland, nie miał powodów, by żałować tej decyzji.

Rachel oparła rękę na biodrze i popatrzyła na nich z wyzywającym wyrazem twarzy. Pokręciła głową i głośno westchnęła. Odwiesiła słuchawkę i podeszła do lodówki, wyjmując zapakowaną w folię sałatkę i mały pojemniczek z sosem.

- Dzięki, że zostawiłaś ją dla mnie - powiedziała w ramach pojednania. Ale Patsy wciąż była odwrócona tyłem i wydawało się, że jej nie słyszy.

Macocha nadal ją ignorowała, a w powietrzu czuć było narastające napięcie, przypominające fale gorącego powietrza unoszące się nad rozgrzanym asfaltem. Panowała kompletna cisza i Zeke usłyszał w oddali gwizd przejeżdżającego przez miasteczko pociągu, jakieś pięć kilometrów od baru.

Lecz zanim zdążył zjeść ciasto i uciec, zadzwonił telefon i przerwał pełne napięcia milczenie. Patsy już miała chwycić słuchawkę, ale Rachel, która była bliżej, powstrzymała ją ruchem głowy.

- Ja się tym zajmę. Słucham?

Zeke znowu usłyszał przeciągły gwizd pociągu i odstawił pusty talerz na ladę. Chciał jakoś przeprosić Patsy, ale nie mógł tego zrobić, gdy tuż obok stała Rachel. Jutro to zrobię, zdecydował.

Odwrócił się, by wyjść, ale dostrzegł przerażenie na twarzy Rachel, która słuchała swojego rozmówcy. Zeke zamarł w miejscu i nie mógł

oderwać od niej wzroku. Rachel z trudem łapała powietrze i z całej siły ścisnęła słuchawkę.

- Hej, Patsy - zawołał cicho, chcąc ją ostrzec. Ktokolwiek dzwonił, nie był to chyba zwykły reporter. Może coś się stało starszej pani Copeland, matce Waltera? Patsy wspominała kiedyś, że jest chora.

- Gdzie jesteś? Czy jesteś... ? - krzyknęła Rachel. - Słuchaj, dzwonię na policję. Słyszysz mnie? Jak tylko się do mnie zbliżysz, to... Nie waż się odkładać słuchawki.

Ale najwyraźniej jej słowa nie poskutkowały, bo po chwili odłożyła swoją. Zamknęła oczy i drżącymi palcami zaczęła pocierać skronie.

- Kto to był? - Patsy wydawała się przejęta, jej złość najwyraźniej minęła. - **Czy** to ta stuknięta kobieta, Rachel? Myślałam, że dała sobie spokój.

Rachel pokręciła głową.

- Ona nigdy nie przestanie. Nie da mi spokoju, dopóki któraś z nas nie umrze.

Odwróciła się i wyszła z baru, zostawiając na ladzie zapomniany lunch. Patsy westchnęła i wyciągnęła rękę w kierunku drzwi, jakby chciała za nią iść. Ale w ostatniej chwili zawahała się i opuściła dłoń.

- Ona mnie nie potrzebuje. - Zmarszczyła brwi, jakby ta myśl ją zasmucała. - Pójdzie zaraz do ojca, jak zawsze.

Zeke pokiwał głową.

- Słuchaj, nie chciałem cię wkopać przez to, co wtedy powiedziałaś. Powinienem trzymać język za zębami, ale pokłóciliśmy się i...

Patsy machnęła ręką.

- Kiedy zobaczyłam to zdjęcie, od razu wiedziałam, że ci się nie spodoba. Mogłam jej o tym powiedzieć, ale i tak by mnie nie posłuchała. I nie martw się tym, co powiedziałeś. To dla niej żadna nowina, że jestem zła z powodu tej nowej rozprawy.

- Ale powiedziałaś mi to w zaufaniu i jest mi bardzo przykro. -Zerknął przez oszklone drzwi, próbując dostrzec Rachel, jednak nigdzie jej nie widział. Może wsiadła do swojego wozu i odjechała?

- Przeprosiny przyjęte.

Powinien już pójść? Trzymać się z dala od całej rodziny Copelandów i zająć się własnym życiem. Ale ociągał się i cały czas miał przed oczami przerażoną twarz Rachel.

- Czy ktoś jej grozi?

- Nie wiem, czy grozi. Ale było kilka telefonów tutaj i do domu. Jacyś wariaci, szczególnie jedna babka dużo dzwoni. Przez chwilę był spokój. - Patsy wzruszyła ramionami. - Musiała usłyszeć o tej nowej sprawie, dopiero co wyciekła do prasy. To dlatego reporterzy zaczęli znów wydzwaniać.

Zeke pokręcił głową.

- To rzeczywiście złe nowiny.

A w dodatku Rachel na to nie zasłużyła, nie po tym, jak postanowiła walczyć z zarzutami, co wymagało dużej odwagi, której jemu zabrakło. Nie chciał się do tego przyznać, ale taka była prawda. On uciekł od kłopotów tak dla dobra matki, jak i własnego.

- Robota czeka - powiedział. - Lepiej już pójde.

I naprawdę miał taki zamiar. Chciał posłuchać wcześniejszej rady Patsy i trzymać się jak najdalej od Rachel Copeland i jej problemów. Ale

kiedy ją zauważył, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Siedziała na starej, zapomnianej ławce za barem, blada, wstrząśnięta i zrezygnowana.

- Wszystko w porządku? - zapytał, podchodząc bliżej. Pomyślał, że pewnie każe mu iść do diabła, ale ona podniosła wzrok i spojrzała na niego brązowymi, mokrymi od łez oczami.

- Mówiła, że po mnie przyjdzie. W kółko to powtarzała. Ale nie myślałam, że naprawdę to zrobi...

- Ile było tych telefonów? - Podszedł jeszcze bliżej.

- Mnóstwo, od zeszłych świąt Wielkanocnych. Po tym jak mnie uniewinnili, każda stacja telewizyjna pokazywała jego kompletnie załamana, szlochającą matkę. Sprawa była mocno nagłośniona, bo ona całe życie pracowała w telewizji Filadelfia i jest bardzo lubiana. Ludzie traktują ją jak przyjaciółkę albo starszą siostrę.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Ludzie widzą jakąś gadającą głowę w telewizji i myślą, że ją znają.

- Im częściej powtarzali tę scenkę, tym więcej jej fanów zaczęło traktować sprawę bardzo osobiście, jakby to ich spotkała jakaś „niesprawiedliwość”. Nieważne, na co wskazywały fakty, które nie wyglądały w telewizji już tak ciekawie. A ja nie byłem nikim znanym, tylko jakąś zdziwą, żerującą na dzieciach, która udawała nauczycielkę fotografii, by uwodzić swoich studentów.

- Nie chce mi się wierzyć, że ktokolwiek to kupił.

- Na szczęście nie wszyscy w to uwierzyli i, dzięki Bogu, przysięgli również. Ale kilka osób, nie wiem jak, zdobyło mój numer... - Pokręciła głową. - Myślałam, że tutaj wszystko się skończy. Myślałam, że jak wrócę



do domu, będę mogła zacząć od nowa. Ta wystawa miała być dla mnie szansą.

- Na pewno ci się uda - powiedział, jakby chciał przekonać samego siebie, że dziewczyna ma przed sobą przyszłość. - Zobaczysz. Ta sprawa rozejdzie się po kościach...

- Bo ty tak mówisz?

- Bo tym wariatom odechce się w końcu płacenia rachunków za rozmowy międzymiastowe.

- Nie takie znowu międzymiastowe. - Chcąc ukryć swoje emocje, wyjęła z kieszeni okulary przeciwsłoneczne. - Dlatego tak bardzo się przeraziłam.

- Co masz na myśli?

- Ta kobieta tu jest. W Marfie. Ta Stuknięta Suka, której zawsze, ale to zawsze udaje się zdobyć mój numer.

- Powiedziała ci, że tu jest?

Rachel pokręciła głową.

- Nie musiała. Usłyszałam gwizd przejeżdżającego pociągu. Tego samego co w miasteczku.

- Jesteś pewna? - Usiadł na stoliku obok niej, by nie musiała wyciągać w górę szyi, gdy do niego mówiła. Przerwali na chwilę rozmowę, patrząc na mały samolot, który właśnie startował z pasa lotniska.

- Tak mi się wydaje. Na początku byłam pewna, ale teraz, sama nie wiem, może...

- Ja też słyszałem ten pociąg, kiedy rozmawiałaś. Myślę, że powinnaś powiadomić szeryfa. Ta kobieta musi być naprawdę stuknięta, jeżeli przejechała za tobą taki kawał drogi. Ile czasu jedzie się tu ze Wschodniego

Wybrzeża? Dwie przesiadki samolotem i trzygodzinna podróż samochodem z El Paso? - Marfa może i była popularna wśród turystów, ale niełatwo było tu dotrzeć. Na szczęście. - Jeżeli już zadała sobie tyle trudu, może zrobić o wiele więcej.

- Jak tylko wyląduję, porozmawiam z Harlanem. Inaczej musiałabym na niego czekać i cały harmonogram szlag trafi.

Zeke instynktownie spojrzał w górę na puszyste chmury. W oddali dostrzegł kilka jastrzębi zataczających po niebie leniwe kółka. Próbował wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby był na ich miejscu i oglądał świat ich oczami: na południu budynki położone wzdłuż niezbyt rozbudowanej sieci ulic, a całe miasteczko otoczone szerokimi połaciami suchej pustynnej równiny, która ciągnęła się aż do położonych w oddali gór. Wokół cisza, przerywana jedynie podmuchem wiatru na skrzydłach...

Nagle wyobraził sobie, że niebo ma już dość jego ciężaru i czeka go długi lot w dół.

- Może powinnaś najpierw do niego zadzwonić.

- A co ciebie to obchodzi, panie „po prostu Zeke”? - Zmarszczyła czoło, ale jej głos był spokojny. - Ostatnim razem mówiłaś, że zniszczyłam ci życie.

Spojrzał w dół na swoje dłonie.

- Może nie jest tak źle. I przepraszam za tamten dzień. Za to, że tak cię wystraszyłem. Trochę mnie poniosło...

- Z tego, co pamiętam, rzuciłaś się na mnie jak oszalone tornado. - Posłała mu lekki uśmiech. - Ale miałeś do tego prawo. Posłuchaj, Zeke, domyślałam się, że to zdjęcie może ci się nie spodobać. Ale od chwili, gdy cię wtedy ujrzałam, wiedziałam, że będzie to najlepsze zdjęcie jakie

kiedykolwiek zrobiłam. Być może już nigdy nie uda mi się podobnego zrobić. I dlatego ukryłam je w stosie pozostałych próbek, mając cichą nadzieję, że go nie zobaczysz. Wiem, że postąpiłam źle. I przepraszam, że cię oszukałam. Ale i tak zawsze będę z tego zdjęcia dumna.

W jej głosie słyszał echo własnej pasji, a w oczach dostrzegł ten sam lęk. Był to lęk przed przeszłością, która mogła go wreszcie dopaść. Niezależnie od tego, jak daleko by uciekł i ile minęłoby lat. Jednak to nie współczucie prowadziło go do niej, tylko jej siła. Ta sama, która kazała mu teraz objąć szczupłe ramiona i pochylić się, by ją pocałować.

Poczuł, jak ogarnia ją fala zdumienia i jak to samo uczucie przesywa i jego, gdy przysunęła się bliżej, jakby czuła to samo pożądanie, które rozpalało każdą komórkę jego ciała. Minęło już tyle czasu, od kiedy ostatni raz złamał swoje przyrzeczenie i czuł na wargach gorące usta kobiety otwierające się na jego powitanie. Jedną rękę chciwie przesunął po jej plecach, a drugą po delikatnych krągłościach bioder. Głośno zamruczała i otarła się o jego twardą męskość. Jej dłonie znalazły drogę pod jego koszulę i po chwili poczuł na skórze jej paznokcie.

Ale to mu nie wystarczało, chciał popchnąć ją do tyłu, położyć na stole i rozerwać na niej ubranie. Chciał posmakować jej piersi, poczuć gładką skórę, wziąć ją szybko tu i teraz...

Odsunął się w ostatniej chwili. Potem mogło być już za późno. Popatrzyła na niego i odgarnęła włosy. Twarz miała zaróżowioną i drżała na całym ciele.

- Nie możemy - powiedziała.

- Nie tutaj - zgodził się Zeke. I tak ktoś mógł już zobaczyć ich gorący pocałunek. Gdyby to trwało jeszcze minutę dłużej, Patsy musiałaby ich oblać wiadrem zimnej wody.

- Nigdzie. - Pokręciła głową. Okulary zsunęły jej się na czubek nosa i zobaczył jej rozszerzone źrenice. - To jest... to niemożliwe.

Martwi się, pomyślał. Jest przestraszona. On ją wystraszył, napierając na nią z całą finezją ociekającego śliną psa. Przeczesał włosy, próbował ubrać w słowa targające nim emocje.

Ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Rachel odwróciła się i pobiegła na lotnisko. Wycofując się w bezpieczne ramiona ojca.

Poszedł za nią, zachowując bezpieczną odległość. Tu chodzi o jej bezpieczeństwo, mówił sobie, na wypadek gdyby ta kobieta, która jej groziła, była bliżej, niż myślała. A może Rachel odwróci się i go zobaczy. Może nawet pośle mu uśmiech, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

Ale Rachel nie odwróciła się ani nie zwolniła kroku. Pobiegła do ojca i Lili Vegi, którzy sprawdzali czerwono-żółty szybowiec stojący na końcu pasa startowego. Nieopodal stał holownik gotowy pociągnąć błyszczącą maszynę w górę. Dostrzegł też kilka innych osób, mechaników w roboczych kombinezonach pracujących przy małym samolocie i samotnego mężczyznę, który palił papierosa w pobliżu hangaru z prywatnym odrzutowcem.

Wszyscy czekają, by popatrzeć na Rachel, uświadomił sobie. Poczul znajome już pragnienie, które zamieniło się w zaskakujące uczucie zazdrości. A gdyby i on mógł polecieć?

Tutaj, otoczona tymi wszystkimi ludźmi, była bezpieczna, a za chwilę znajdzie się poza zasięgiem nawet najbardziej zdeterminowanego

prześladowcy. Westchnął i ruszył w kierunku autostrady, która miała go zaprowadzić tam, gdzie było jego miejsce.

Ale dotarł tylko do stolika piknikowego. Kiedy usłyszał silnik holownika, zawahał się. Chciał zmusić się, by iść naprzód, ale nagle odwrócił się i powiedział:

- Do diabła z tym wszystkim.

Szybowiec dał sygnał i małe Lili pomachała Walterowi na znak, że jego córka jest gotowa do lotu. Gdy holownik ruszył wzdłuż pasa startowego, Zeke wstrzymał oddech i ciężko opadł na blat stołu.

- Myślałam, że wróciłeś do pracy. - Usłyszał za sobą brzęk kluczy i głos Patsy.

Zeke uważnie się jej przyjrzał i doszedł do wniosku, że najwyraźniej nie miała bladego pojęcia o tym, co wyprawiał z jej pasierbicą jakieś dziesięć minut temu w tym właśnie miejscu. Z ulgą skierował swoją uwagę na czerwono-żółty szybowiec, który właśnie nabierał prędkości.

Wzruszył ramionami.

- Tyle czasu przyglądałem się, jak naprawiają ten szybowiec, że równie dobrze mogę zobaczyć, jak lata.

Długie skrzydła szybowca uniosły maszynę w górę, jeszcze zanim koła holownika oderwały się od pasa startowego. Szerokimi spiralnymi ruchami samoloty wzbijały się coraz wyżej. Ale wciąż były widoczne. Zeke przesłonił oczy, by móc je śledzić.

- No proszę, wygląda na to, że ten zabytek potrafi jednak latać. - Ponownie zabręczały klucze Patsy, ale ton jej głosu nie wyrażał najmniejszego zainteresowania. Tyle czasu spędzała wśród pilotów, a

wydawało się, że twardo stąpa po ziemi. - Wracam do miasta, mogę cię podrzucić, jeśli chcesz.

Pokręcił głową, nie ruszając się z miejsca.

- Dzięki, ale wolę iść na piechotę. Chcę poczekać, aż jedzenie ułoży mi się w brzuchu.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - odparła. - Pilnujesz Rachel, prawda? Chcesz mieć pewność, że wszystko z nią w porządku po tym telefonie. Nie wiedziałam, że jesteś takim dżentelmenem.

Uśmiechnął się, przypominając sobie swoje ostatnie mało cywilizowane zachowanie.

- Staram się z tym nie obnosić, w przeciwnym razie panie nie dałyby mi spokoju.

Śmiech Patsy bardziej przypominał skrzypiące, zardzewiałe zawiasy. Jedna z sów usadowionych za sztydem baru głośno zamruczała na znak protestu, że ktoś śmie zakłócać jej sen.

- Jeśli nie podoba ci się hałas, to się wynieś! - krzyknęła Patsy w kierunku swoich nieproszonych lokatorów. - I zabierz ze sobą te resztki, które tu zostawiasz.

Zeke spojrział na nią zdziwiony.

- Każdego dnia muszę sprzątać po nich te wstrętne kości i włosy, które wypluwają.

Pokiwał głową, jakby rozumiał sowy i ich obrzydliwe zwyczaje.

- Życzę miłego dnia - powiedziała.

Gdy odjechała swoim szarym wozem, spojrział w górę, by popatrzeć na holownik i szybowiec. Kiedy czerwono-żółta maszyna zniknęła mu z pola

widzenia, doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać. Rachel na pewno da sobie radę.

Przecież wszystkie problemy, łącznie z nim, zostawiła na dole.

RS

## *Rozdział 9*

*O, ja zrzuciłem więzy dusznej Ziemi*

*I kołysałem się w obłokach na srebrzystym skrzydle.*

*Ku słońcu piąłem się, radując przeszitymi słońcem obłokami, Tysiące  
rzeczy czyniąc, wam nie znanych.*

Fragment wiersza *Wysoki lot* napisanego przez pilota Johna Gillespiego Magee, Jr., RCAF, na krótko przed jego śmiercią w wieku 19 lat

Rachel uwolniła linę holującą i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Holownik Pawnee przesunął się na prawo, a potem poleciał w dół. Warkot jego silnika stawał się coraz mniej wyraźny, aż w końcu Rachel słyszała jedynie świst powietrza. Otworzyła okno z lewej strony i wysunęła na zewnątrz dłoń, a chłodny wiatr uniósł ją do góry jak maleńkie, dodatkowe skrzydło.

Ojciec i jego ekipa wykonali kawał dobrej roboty. Tuż pod ogromną, ciężką chmurą, przy której krążyły ptaki, Rachel zawróciła, a szybowiec reagował na jej polecenia z elegancką precyzją. Serce podskoczyło jej z radości, gdy skrzydła maszyny złapały prąd powietrza. Zerkając na wesoły taniec wysokościomierza, powoli zapominała o tym, co wydarzyło się na dole. O pełnym napięcia milczeniu Patsy, telefonicznych pogroźkach i tym zupełnie nieodpowiedzialnym pocałunku, który spadł na nią jak grom z jasnego nieba. Postanowiła pomyśleć o tym wszystkim później.

Tymczasem szybowała coraz wyżej wraz z parą krążących wokół niej jastrzębi. Poniżej błękitne cienie olbrzymich chmur przecinały pustynny krajobraz, odkrywając przed nią szczegóły, których nie mogła dostrzec w jasnych, oślepiających promieniach słońca.



I w tym momencie uświadomiła sobie, że obraz, który ogląda, świat widziany z wysokości, ta gra kontrastów ukształtowały sposób, w jaki robi zdjęcia. Podniebne wędrówki były tak samo ważne, jak lata nauki i niezliczone lekcje.

Było to zaskakujące odkrycie, ponieważ nigdy nie przykładała do latania tak dużej wagi. Wróciła do tego z konieczności, nie wykazując zbyt dużego entuzjazmu. Niepokoiła ją myśl, że każda spędzona w powietrzu chwila oddala ją od realizowania marzeń związanych z jej największą pasją.

A teraz okazuje się, że nie musi wybierać. Mogła doskonalić swoje umiejętności fotograficzne u boku ojca, a to, że zaczyna ją cieszyć latanie, wcale nie było zdradą.

Myśl o całym popołudniu, które spędzi, szybując wyraźnie podniosła ją na duchu. Jednak po chwili musiała zmienić plany, gdyż kątem oka dostrzegła w oddali błyskawicę. Burza wciąż była daleko, ale niewątpliwie zmierzała w jej stronę.

Żałowała, że tak szybko zakończy lot, ale wiele lat temu obiecała ojcu, że w przypadku burzy nigdy nie będzie ryzykować. Dawno temu jego przyjaciel, bardzo doświadczony pilot, którego Rachel miała okazję poznać, źle ocenił warunki pogodowe i trafił w sam środek szalejącej burzy. Wiatr roztrzaskał jego maszynę na drobne kawałki. Dopiero po kilku dniach znaleziono na pustyni resztki drewna i poszycia z szybowca, a po kilku tygodniach oddalone o wiele kilometrów szczątki pilota.

Po wypadku Rachel przez kilka miesięcy dręczyły koszmary. Śniło jej się, że leci w dół przez szalejącą wicherę i za każdym razem budziła się zlaną potem.

Wiedziała jednak, że tym razem burza jest jeszcze daleko, nie czuła więc paniki. Bez pośpiechu zmniejszyła prędkość i skierowała szybowiec w stronę lotniska, a stara, niemiecka maszyna posłusznie wykonała jej polecenie. Przez chwilę Rachel poczuła egoistyczną przyjemność, że jako pierwsza miała okazję polecieć tym odrodzonym feniksem.

Była to jej ostatnia świadoma myśl. Na wysokości piętnastu metrów nad ziemią usłyszała głośny trzask. Osłona kabiny otworzyła się, odrywając przy tym fragment obudowy, który uderzył ją w twarz. Siła uderzenia szarpnęła jej głowę w bok, przed oczami pojawiły się czerwono-czarne plamki. Była oślepią i czuła, że szybowiec ciężko opada w dół.

Oblał ją zimny pot. Czym prędzej chwyciła za ster. Czubkiem skrzydła dotknęła ziemi i samolot przechylił się w lewą stronę. Ale się nie przewrócił. Koła szybowca ciężko uderzyły o asfalt i maszyna odjechała w bok. Coś trzasnęło w podwoziu.

Samolot zatrząsł się i gwałtownie wyhamował, rozrzucając wokół odłamki szkła. Rachel czuła, że dudni jej w uszach. O niczym nie myślała, nie mogła się ruszyć i nie odczuwała bólu. Była zbyt zdumiona tym, że przeżyła. W końcu podniosła rękę, by odgarnąć włosy i zobaczyła krew, a na czole poczuła coś dziwnego.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Szamocząc się z zapiętymi pasami, próbowała wydostać się na zewnątrz. Wydawało jej się, że krzyczy całą wieczność, aż w końcu usłyszała w oddali, jak ktoś woła jej imię.

Zeke dołączył do osób biegnących w kierunku miejsca, gdzie wylądował szybowiec Rachel. Gdy usłyszał jej przenikliwe krzyki, ogarnął go strach, ale przynajmniej wiedział, że żyje, że nie zabiła jej siła uderzenia. Biegł coraz szybciej, mijając po drodze kilka osób, zauważył jednak kątem

oka, że mężczyzna, który wcześniej palił papierosa przy jednym z hangarów, biegnie w odwrotnym kierunku. Zapewne wezwać karetkę.

Osłona kabiny była powyginana, a złamane skrzydło dźwigało cały ciężar zniszczonego szybowca. Zobaczył ojca Rachel, który się nad nią pochylał. Tuż obok stała Lili Vega. Była blada i ciężko dyszała.

Rachel przestała krzyczeć i zaczęła głośno jęczeć, a Zeke odważył się spojrzeć na jej twarz. Była cała zalana krwią, która tryskała z głębokiej rany na czole. Widok ten sprawił, że zabrakło mu tchu, a serce waliło jak oszalałe.

Walter Copeland wyciągnął z kieszeni kawałek materiału i podał go Rachel.

- Przyłóż to na rozcięcie, Wiewióreczko, i powiedz mi. gdzie jeszcze cię boli.

- Usłyszałam jakiś trzask. - Rachel wciąż płakała. - A potem osłona kabiny nagle się otworzyła. Coś się odzepiło i uderzyło mnie w twarz. Nic nie widziałam, ale co się, do diabła, stało?

- Nie mówmy teraz o tym. - Pomimo wypadku jego głos był opanowany. - Uspokój się i pomyśl chwilkę. Czy bolą cię plecy? A szyja?

- Nie, tylko tutaj. - Wskazała ranę na czole, próbując zatamować krwawienie.

Lili odeszła na bok, żeby odebrać telefon.

- Pomóż mi wyjść, dobrze? Możesz odpiąć pasy?

- Poczekaj chwilkę-powiedział ojciec. Lili wyłączyła komórkę.

- Bobby zadzwonił po karetkę. Chyba nie powinnaś się ruszać, dopóki...

Ale Rachel z pomocą ojca już wydostała się na zewnątrz. Trzęsąc się na całym ciele i chwiejąc na nogach, odwróciła się, by obejrzeć uszkodzoną maszynę. Ojciec cały czas ją podtrzymywał.

- Jest zupełnie zniszczony. Tato, poświęciłeś tyle pracy i czasu, a teraz...

- Nie obchodzi mnie ten cholerny samolot - powiedział Walter. - Samolot zawsze można naprawić czy wymienić na nowy. Córki nie.

- Najważniejsze, że żyjesz - podkreśliła Lili. - To cud, że nie roztrzaskałaś się na kawałki. Gdybyś w ostatniej chwili nie wyrównała...

Rachel zrobiła krok naprzód i osunęła się na pas startowy, wciąż przyciskając lewą dłoń do czoła.

- Przydałoby mi się coś na ból głowy.

- Może powinnaś się położyć - zaproponował ojciec. - Połóż się, dopóki nie zjawią się sanitariusze.

- Nic mi nie będzie - odparła. - Dajcie mi tylko parę minut.

- To może być wstrząśnienie mózgu. - Zeke wcale nie chciał powiedzieć tego na głos, ale po chwili parę osób powtórzyło jego słowa.

Słyszając głos Zeke'a, Rachel spojrzała w jego stronę, a w jej oczach obok bólu pojawiło się zdziwienie. Czy była zaskoczona tym, że przybiegł tu z innymi? Czy nadal wierzyła, nawet po tym, jak ją pocałował, że nie czuł do niej nic innego, jak tylko złość z powodu zdjęcia, które zrobiła?

Ale nie mieli okazji porozmawiać, wokół było zbyt wielu ludzi, a on nie chciał zwracać na siebie uwagi. Został jednak aż do przyjazdu karetki. Ratownicy medyczni zbadali Rachel.

- Może mi pani powiedzieć, jaki dziś jest dzień? - zapytał przysadzisty mężczyzna z plakietką, na której było napisane „Garza”.

Rachel poprawnie odpowiedziała na kilka pytań, aż w końcu straciła cierpliwość.

- Nie możecie mi po prostu dać aspiryny?

- Obawiam się, że potrzebuje pani kilku szwów - powiedział Garza. - Nalegałbym też na badania w szpitalu. Ale oczywiście decyzja należy do pani. Jeżeli nie chce pani jechać...

- Pojedzie - odezwał się ojciec.

Rachel zamrugła. Pomimo dużej ilości krwi jej twarz była bardzo blada. Albo czuła się gorzej, pomyślał Zeke, albo właśnie zdała sobie sprawę, że nic nie wskóra.

- Tylko proszę nie zasypiać - odezwał się drugi sanitariusz, jasnowłosy chłopak, który wyglądał, jakby dopiero co ukończył szkołę średnią. Po chwili dodał zatroskanym głosem: - Niech pani nie traci przytomności i nie wymiotuje w karetkce, jeżeli da pani radę.

Zeke podszedł bliżej. Nie potrafił już dłużej zachować dystansu.

- Uważaj na siebie - powiedział.

- Postaram się - wyszeptała Rachel.

Sanitariusze wnieśli ją do karetki i czekała ją teraz półgodzinna jazda do Alpine.

Zanim ambulans ruszył, Walter Copeland przesłonił ręką telefon i powiedział:

- Patsy już jedzie. Gdy tylko tu dotrze, ruszymy za tobą do szpitala i spotkamy się w izbie przyjęć.

- Nie musi przyjeżdżać - w głosie Rachel słychać było napięcie. - Ostatnio dość już przeze mnie przeszła.

Walter się skrzywił.

- Ale ona chce przyjechać, Rachel. Bardzo się przejęła, gdy jej powiedziałem, co się stało.

- Pewnie martwi się o rachunek za szpital - wymamrotała Rachel i drzwi karetki się zamknęły.

- Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, co Wiewióreczko? - Walter krzyknął za odjeżdżającym na sygnale pojazdem.

Odwrócił się, mijając po drodze Zeke'a, i podszedł do Lili. Po chwili dołączył do nich Bobby, który wyszedł z pobliskiego hangaru.

Tymczasem na niebie pojawiły się gęste chmury i słychać było dudnienie nadciągającej burzy. Gdy pojawiły się pierwsze zimne krople deszczu, wszyscy szybko się rozeszli. Z wyjątkiem Zeke'a, który wyraźnie ociągał się z odejściem. Walter i jego pracownicy oglądali szczątki samolotu.

Zeke słyszał strzępy ich rozmowy.

- Jestem pewien, że sprawdziliśmy zawiasy osłony i zatrask. Sam wszystko dwa razy sprawdziłem - Bobby mówił szybko i był wyraźnie zdenerwowany. - Jak, do licha, mogły otworzyć się w trakcie pierwszego lotu?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - stwierdziła Lili. - Nawet o czymś takim nie słyszałam.

- Niczego nie ruszajcie - odezwał się Walter. - Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu na pewno przyśle swoją ekipę, by zbadać, co się stało, czy to była wina jakiejś części...

- Albo jak zwykle zwałą wszystko na błąd pilota. - Zaczynało coraz bardziej padać, a odbijające się od maszyny krople częściowo zagłuszały

zdenerwowany głos Bobby'ego. - Rachel była gotowa, Walterze. Obserwowałem ją tak jak ty i...

Zeke podszedł bliżej, chociaż uczynił to dość niechętnie.

- Ktoś jej dzisiaj groził, zatelefonował do baru. Mówiła, że od pewnego czasu wydzwania do niej jakaś kobieta.

Walter popatrzył na niego z szeroko otwartymi ustami, najwyraźniej zaskoczony tym, że Zeke wciąż tu był, a jeszcze bardziej tym, że przemówił. Chociaż mieszkali w tym samym miasteczku, przez te wszystkie lata mężczyźni wymienili zaledwie kilka słów.

- Któraś z tych wariatek z Filadelfii?

- Rachel uważa, że ta kobieta przyjechała do Marfy. W trakcie rozmowy usłyszała w słuchawce gwizd przejeżdżającego pociągu. My też go słyszeliśmy w barze.

Lili spojrzała na niego ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Nie sądzisz chyba, że...

- Wiecie co, faktycznie zauważyłem kogoś obcego - powiedział Walter. - Faceta. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Był tam.

Wskazał głową w kierunku hangarów.

- Ja też go widziałem - potwierdził Zeke. - Kiedy wszyscy ruszyli w stronę Rachel, on pobiegł w przeciwnym kierunku. Myślałem, że chciał wezwać karetkę.

- Czy to mogła być kobieta? - zapytała Lili wyraźnie podekscytowana.

- Może tylko udawała mężczyznę?

Bobby zmrużył swoje błękitne oczy. Wyglądał tak, jakby chciał kogoś zamordować.

- Jak ten gość wyglądał? Zeke się zastanowił.

- Biały, chyba około czterdziestki. Miał brązowe włosy, trochę siwych, nieco dłuższe od twoich. Raczej szczupły, zbudowany jak biegacz, ale to był zdecydowanie mężczyzna. Trudno mi powiedzieć, ile miał wzrostu. Może metr siedemdziesiąt pięć czy metr osiemdziesiąt.

Nie miał na sobie nic, co rzucałoby się w oczy, ciemne dżinsy i niebieską koszulkę.

Walter otarł mokrą od deszczu twarz.

- Kiedy go widziałem, palił papierosa. Oczy Lili zabłyły i strzeliła palcami.

- Ja też go widziałam. Myślałam, że to któryś z tych facetów od odrzutowców, bo nawet nie pomachał do mnie na powitanie. Wyglądał tak, jakby miał coś do roboty.

- I najwyraźniej miał - odezwał się Bobby. - Sporo ludzi się tu kręci. Może to i małe miasto, ale nie znamy wszystkich przyjezdnych.

- Jeżeli faktycznie zadzwonił po karetkę, to mógł zostawił swoje dane - zasugerował Walter. - Później to sprawdzę. O, jest już Patsy. Muszę pojechać teraz do córki.

Popatrzył na Bobby'ego i Lili.

- Może zakryjcie kabinę brezentem, zanim całkowicie zmoknie i powiadomcie Radę Transportową, żeby przysłali swoją ekipę.

- Daj nam potem znać, co z Rachel. - Bobby poklepał swojego szefa po ramieniu. - I powiedz jej, że będziemy się za nią modlić. Odwołam lot do Odessy, będę na miejscu, gdybyś mnie potrzebował.

Lili mocno go przytuliła.

- Nic jej nie będzie, Walterze. Ale zadzwoń, gdy tylko będziesz coś wiedział.



Zeke żałował, że sam nie ma telefonu ani żadnych praw do Rachel. Przypomniwał sobie, że celowo wybrał życie pustelnika. Ich namiętny pocałunek nie dawał mu żadnych praw. Absolutnie żadnych.

Ale nie mógł przestać o niej myśleć. Zastanawiał się, czy to, co się wydarzyło, było tylko nieszczęśliwym wypadkiem, czy też robotą tego faceta z lotniska lub anonimowej kobiety, która przejechała taki szmat drogi do Marfy, by urzeczywistnić swoje groźby.

RS

# **Rozdział 10**

*Notatka służbowa*

*Biuro Szeryfa Hrabstwa Presidio*

*Lea Varajasa, zastępcy szeryfa szeryfa Harlana Castilla*

*W związku z zawiadomieniem złożonym przez Rachel Copeland dotyczącym gróźb telefonicznych pod jej adresem, proszą podjąć następujące działania:*

- 1. Proszę skontaktować się z detektywem Danielem Howellem, z policji w Filadelfii, w sprawie akt dotyczących gróźb ze strony przyjaciół/rodziny Kyle'a Underwooda. Czy Howell może sprawdzić, gdzie przebywają podejrzane osoby?*
- 2. Przesłuchać Patsy i Waltera Copelandów - czy w związku z powrotem Rachel w domu panuje napięta atmosfera? Czy mają jakieś problemy finansowe?*
- 3. W związku z rozpowszechnieniem w sieci zdjęć pornograficznych rzekomo przedstawiających Rachel Copeland proszę sprawdzić, czy przestępcy seksualni w hrabstwie Presidio mają dostęp do Internetu oraz zbadać ich kryminalną przeszłość.*
- 4. Działania rutynowe - sprawdzić Zeke'a Pike'a. Poprzedni adres? Jakież wcześniejsze skargi, szczególnie składam przez kobiety?*
- 5. Sprawdzić ostateczne ustalenia ekipy z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu badającej przyczyny -wypadku szybowca.*

Sobota, 8 marca

Słyszałem, że miałaś wypadek i chciałem sprawdzić, jak się czujesz - nawet przez telefon głęboki baryton doktora Damiena Thomasa przypominał Rachel ciepłą postać Jamesa Earla Jonesa.

Ale dzisiaj nie miała ochoty, by ktokolwiek ją pocieszał. Odwróciła się od jasnego od słońca okna, niezadowolona, że cierpiąca na chroniczną wesołość wolontariuszka uparła się, by podnieść rolety.

- Czuję się o wiele lepiej, powinnam dzisiaj wyjść. Ale skąd pan wiedział, że tu jestem? - Nie przypuszczała, by ojciec do niego dzwonił.

- Od Marianne Greenberg, twojej nowej prawniczki. Rozmawiałem z nią o tej absurdalnej rozprawie.

Rachel poczuła, jak kurczy jej się żołądek. Dziesięć milionów dolarów, a ona leży sobie jak gdyby nigdy nic w szpitalu i nabija rachunek.

- Zadzwoń do pana w tej sprawie? - Rachel rozmawiała z nią zaledwie wczoraj, ale prawniczka z Filadelfii nie wspomniała ani słowem o rozmowie z doktorem Thomasem. Prawdopodobnie chciała go wezwać na świadka, podobnie jak poprzedni adwokat Rachel. Jej psycholog cieszył się bardzo dobrą opinią w swoim środowisku, a jednocześnie wspierał osoby, które przeżyły brutalne przestępstwo. Nie tolerował słowa „ofiara”.

- Chciała omówić te ostatnie zdjęcia. Rachel, chyba powinniśmy o tym porozmawiać...

- Mówiłam już pani Greenberg, że nie chcę o tym dyskutować. Te zdjęcia są podrobione tak jak poprzednie. Nie widzę innej możliwości.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział łagodnym głosem, ale wyczuła, że znowu będzie chciał poruszyć temat tamtego wieczoru ze studentami, który wymazała z pamięci. Tłumaczyła sobie, że to z powodu

grypy, która trzymała ją przez kilka kolejnych dni, powodując mdłości, rwący ból głowy i mięśni. I co z tego, że podobne objawy mogły wystąpić po zażyciu narkotyku ukradkiem wsypywanego do drinka, jak mówił doktor Thomas? Człowiek czasami czuje się podle z różnych powodów i każdy ma jakieś siniaki, nic wielkiego.

Poczuła, że wyschło jej w ustach i znowu zaczyna ją boleć głowa. Nie chciała teraz o tym myśleć.

- Ale Rachel, jeżeli te zdjęcia okażą się...

- Nie czuję się najlepiej, doktorze Thomas. Doceniam pańską troskę, ale nie mogę teraz rozmawiać.

Nastąpiła długa cisza, a Rachel wyczuła, że lekarz jest rozczarowany. Kiedy wreszcie odezwał się, jego głos brzmiał stanowczo.

- Bardzo się o ciebie martwię. Ten wypadek, czy mogłaś być rozkojarzona, zdenerwowana tą nową sytuacją?

- Nie. Rozprawa odbędzie się dopiero za parę miesięcy. Tak mówiła pani Greenberg. Poza tym nie bardzo rozumiem, co ma do tego moje ewentualne rozkojarzenie. Ta osłona po prostu nagle się otworzyła.

- A może nie zamknęłaś jej dobrze? Gdy się czymś martwimy, tracimy mnóstwo energii psychicznej. To bardzo męczące. A zaprzeczanie wszystkiemu jest jeszcze gorsze.

- Ja niczemu nie zaprzeczam, doktorze Thomas - powiedziała Rachel przez zaciśnięte zęby.

- Widziałem te zdjęcia. Na każdym masz zamknięte oczy. Twoje nogi i ręce są...

- Chce pan powiedzieć nogi i ręce tej kobiety ze zdjęć - upierała się Rachel. Sama nie chciała oglądać tych fotografii. Wystarczyły jej te, które

musiała obejrzeć w sali sądowej w trakcie ostatniej rozprawy, gdy wszyscy wyobrażali sobie, że to ona jest na zdjęciach. - Powtarzam panu, Kyle po prostu dokleił do nich moją twarz.

- Na tych zdjęciach twoje ręce i nogi są zupełnie zwiotczałe. Jakbyś ty lub osoba, której te zdjęcia zrobiono, była nieprzytomna.

Rachel poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Przyjechałam tu, by uciec od tego, co wydarzyło się w Filadelfii.

Uciec od tego wszystkiego, pomyślała.

- I jak ci idzie? - zapytał, ale wyczuła w jego głosie prawdziwą troskę.

Kiedy nic nie odpowiedziała, zostawił jej swój numer telefonu, również do domu, gdzie mogła dzwonić po godzinach pracy. Udała, że zapisuje oba numery i obiecała, że zadzwoni, jak tylko poczuje się lepiej.

Albo gdy zamarznie piekło, pomyślała w duchu.

Zakończyła rozmowę i zdenerwowana nacisnęła przycisk wzywający pielęgniarkę. Chciała wiedzieć, dlaczego doktor Franconi jeszcze jej nie wypisał.

- Jest weekend, pani Copeland - powiedziała kobieta zmęczonym głosem. Pewnie miała dość odpowiadania wciąż na to samo pytanie, które Rachel zdążyła zadać już chyba cztery razy. - Na pewno niedługo się zjawi. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę zająć się innymi pacjentami.

Rachel była wściekła. Zastanawiała się, ile to wszystko będzie kosztować: pobyt w szpitalu, karetka, wizyta na ostrym dyżurze. Dlaczego nikt nie chciał jej o tym powiedzieć? Ojciec stwierdził tylko, że jest jeszcze gorsza od babci. „Przestań marudzić i zostań w szpitalu, dopóki lekarz cię nie wypisze, przynajmniej dla mojego dobra”.

Bez względu na konflikt z Patsy, nie chciała, by ojciec znowu jej pomagał i po raz kolejny narażał swoje małżeństwo. Ale nie chciała też poddać się i ogłosić bankructwa.

Chyba powoli kończą mi się możliwości, pomyślała. Wprawdzie jej zdjęcia cieszyły się coraz większym zainteresowaniem i zaczęły przynosić pewne dochody, ale czuła, że to wciąż było zbyt mało i zbyt późno.

Do drzwi zapukała wolontariuszka, pani Mary Dixon. Żwawo weszła do pokoju, uśmiechając się niczym Pollyanna. Miała jasne włosy zaplecione w warkocz francuski i wyglądała jak sześćdziesięcioletnia czirliderka lub nieco podstarzała druhna.

- Proszę zobaczyć, co przyniosłam dla mojej ulubionej pacjentki - paplała wesoło, stawiając wazon na stoliku obok łóżka. - Ktoś przysłał pani kwiaty.

Wprawdzie wesoły głos pani Dixon zwiększał jeszcze ból głowy, ale Rachel postanowiła zachować dla siebie pierwszą odpowiedź, jaka przyszła jej na myśl.

- To na pewno dla mnie?

Przeżyła już dziś jedną niespodziankę, kiedy otrzymała olbrzymi kosz owoców od Antoinette Gallinardi z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Od niej, nie od Terri. Lili przyniosła jej śmieszoną kartkę, na której podpisali się oboje z Bobbym. Kto jeszcze mógł jej coś przysłać, i to tak szybko?

Wolontariuszka skinęła głową a Rachel dodała:

- Moja rodzina nie gustuje zbyt w kwiatkach.

Ojciec był kochany, ale raczej wykupiłby jej prenumeratę magazynu „Pilot i Samolot” niż bukiet kwiatów, a babcia uważała, że cięte kwiaty to

ekstrawagancja i wyrzucanie pieniędzy, bo i tak zwiędną. A jeśli chodzi o Patsy... Rachel spojrzała na bukiet białych lilii, irysów i róż, ale nie dojrzała wśród gałązek trującego bluszczu, chociaż brak kolorów sprawił, że i tak naszły ją mroczne myśli o pogrzebie.

- Tu jest bilecik z pani imieniem i nazwiskiem. - Pani Dixon wyjęła go z bukietu i podała Rachel. - Może ma pani jakiegoś tajemniczego wielbiciela.

Rachel pomyślała o Zeke'u Pike'u, ale nie mogła sobie wyobrazić, że wysyła jej kwiaty. Wyjęła małą kartkę z subtelnie nadrukowanymi liśćmi paproci i zdecydowała, że ma już serdecznie dosyć nadszkakiwania wolontariuszki.

- Dziękuję, pani Dixon. Nie chciałabym pani dłużej zatrzymywać.

Kiedy wolontariuszka wyszła, Rachel otworzyła kartkę. I zamarła, niemal zapominając, jak się oddycha. „Mam nadzieję, że niebawem się spotkamy”, te słowa me stanowiły problemu. Ale kolejne: „Pozdrawiam i całuję, Kyle”, już tak. Rachel wyskoczyła z łóżka i, krzycząc, pobiegła za kobietą, którą przed chwilą odprawiła.

Wolontariuszka była zaniepokojona.

- Mam wezwać pielęgniarkę? Jest pani blada jak ściana.

- Nie, nie trzeba - powiedziała Rachel, kiedy pani Dixon odprowadziła ją do łóżka. - Nie jestem chora, ale muszę wiedzieć, kto przysłał ten bukiet kwiatów.

- A co się stało? Zapomniał się podpisać?

- O nie, podpisał się, ale... - Wolontariuszka była wprawdzie denerwująca, jednak nie chciała jej przestraszyć wyznaniem, że „tajemniczy wielbiciel” to młody mężczyzna, którego zastrzeliła w swojej sypialni

pewnej zimnej nocy. Zboczeniec, który dokleił jej twarz do zdjęć jakiejś biednej, nieprzytomnej kobiety, by zaspokoić swoje seksualne fantazje. - To dla mnie trochę krepujące, ale... umawiałam się ostatnio z dwoma facetami o tym samym imieniu, więc nie jestem pewna, który to z nich. Zrobiłoby mi się strasznie głupio, gdybym podziękowała nie temu, co trzeba.

I tak ludzie gadali, że jest femme fatale, więc mogła to raz wykorzystać.

Mary Dixon, która najwyraźniej nie miała bladego pojęcia o jej przeszłości, roześmiała się z rozbawieniem i klasnęła w dłonie.

- Nie musisz nic więcej mówić, kochanie. Zaraz się tym zajmę. Kwiaty dostarczono ze sklepu, który jest tuż za rogiem, a kiedyś przyjaźniłam się z jego właścicielką.

Kiedy wyszła, Rachel usiadła na łóżku i dokładnie przyjrzała się kartce. Literki były małe i fikuśnie pozakręcane, a kropki przypominały puste kółeczka. To pismo nastolatki, pomyślała Rachel, choć nadawcą wcale nie musiała być kobieta. Kwiaty mogły zostać zamówione przez Internet lub telefonicznie. Ale do tego potrzebna była karta kredytowa, dzięki której mogło udać się namierzyć nadawcę.

Czy kwiaty przysłała ta sama kobieta, która dzwoniła wcześniej z Marfy? Kobieta, której chęć zemsty wypaczyła głos i umysł. Rachel po raz kolejny przypomniawszy sobie ich ostatnią rozmowę, tuż przed wypadkiem, w którym mogła zginąć. Ale jak dotąd funkcjonariusze z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu nie znaleźli niczego, co mogłoby wskazywać na to, że awaria osłony nie była przypadkowa.

Jednak to nie mógł być zwyczajny zbieg okoliczności. Tylko w jaki sposób ktokolwiek, a szczególnie niezrównoważona kobieta, która dopiero



co przyjechała z Filadelfii, mógł zakraść się do hangaru i uszkodzić szybowiec?

Jej rozmyślania przerwało głośne pukanie do drzwi. Pomyślała, że to pewnie siwowłosy lekarz o niskim głosie, który już parę godzin temu obiecał, że do niej zajrzy.

- Najwyższy czas - mruknęła, nie mogąc ukryć poirytowania. Tymczasem jej gościem okazała się ostatnia osoba, której się spodziewała. - Zeke Pike. Co cię tu sprowadza?

- Potrzebowałem części do moich narzędzi. - Zeke miał na sobie dżinsy i czystą, ale znoszoną koszulę khaki. W małym, antyseptycznym pomieszczeniu czuł się trochę niezręcznie. - Gdybym je zamówił, musiałbym długo czekać i miałbym spore opóźnienia w pracy.

Rachel poczuła, że jej ból głowy mija jak ręką odjął, chociaż Zeke próbował dać jej do zrozumienia, że nie przyjechał tu specjalnie dla niej. Wzięła głęboki wdech i poczuła nowy zapach, który pojawił się wraz z jego przybyciem. Zapach porządnego, czystego mężczyzny, natury... i odrobiny nadziei.

- Rozumiem, że sprzedają te części w sklepie z pamiątkami? - Wskazała brązową torbę, którą trzymał w dłoniach. - No proszę, co za wygoda.

Zeke spojrzał ze zdziwieniem na torbę, jakby zapomniał o jej istnieniu, i oblał się rumieńcem.

- Nie, nie sprzedają wiertel w szpitalnym sklepiku. Ale magazyn jest w pobliżu, więc pomyślałem, że skoro jestem tu w okolicy, mogę... mogę...

Zaciął się jak stary zegarek. Rachel spojrzała na niego i nic nie powiedziała. Miała dziwne przeczucie, że jeśli się odezwie, Zeke odwróci się

na pięcie i ucieknie jak spłoszony jeleń. W niczym nie przypominał mężczyzny, który zaledwie dwa dni temu tak rozpałił jej ciało, że płonęło jak światła na głównej ulicy w Vegas. I chociaż nie miała zamiaru całować się z byle kim, musiała przyznać, że takie podejście jej się podobało.

Chociaż ta wersja Zeke'a Pike'a, który wydawał się niepewny, wręcz nieśmiały, jeszcze bardziej ją poruszała. Dlaczego ten silny, niesamowicie atrakcyjny mężczyzna stracił nagle całą pewność siebie?

- Do diabła z tym wszystkim - powiedział. - Jak się czujesz, Rachel? Muszę przyznać, że trochę się martwiłem. Patsy mówiła, że nic ci nie będzie, ale tamtego dnia połało się sporo krwi.

- Rany twarzy mają to do siebie, że mocno krwawią. Nie było tak źle, jak się wydawało. Potrzebowałam jedynie paru szwów.

- Ale miałaś wstrząśnienie mózgu, prawda?

Ponieważ kiwanie głową mogło przynieść zaskakujące rezultaty, od mdłości poprzez zawroty i jeszcze większy ból, powiedziała po prostu:

- Tak mówią ale teraz czuję się o wiele lepiej. Poza tym ojciec i moi byli nauczyciele, nie wspominając nawet o macosze, potwierdzą, że jestem dumną posiadaczką bardzo twardej głowy.

- Tak mówią. - Jego uśmiech podniósł ją na duszy.

- Cieszę się, że wpadłeś - powiedziała. - Przyda mi się jakaś rozrywka. Jestem wkurzona, bo lekarz już dawno miał do mnie przyjść i dać mi wypis. Myślałam już nawet o tym, by wypchnąć z okna tę biedną wolontariuszkę, bo nie mogę znieść jej radosnego nastroju.

Zeke wyjrzał przez okno i zobaczył dobrze utrzymane trawniki.

- Jesteśmy na parterze, Rachel.

Wzruszyła ramionami.

- Zabijanie ludzi powoduje same kłopoty. Od dziś zadowolę się czynieniem mniejszych szkód. Ale jeżeli ty też zaczniesz zachowywać się jak ona, niczego nie obiecuję.

Lekceważący ton jej głosu na pewno zszokowałby rodzinę, ale Zeke roześmiał się z całego serca. Słyszając jego głośny śmiech, Rachel poczuła mrowienie w miejscach, które usilnie próbowała ignorować. Przypomniała sobie, jak ją dotykał i jego gorący pocałunek, gdy błędził językiem po jej ustach.

A gdyby dotknął jej piersi i gdyby pozwoliła tym dużym dłoniom wędrować po całym ciele? Dalej nie chciała nawet myśleć. Zadrżała i postanowiła schować te fantazje głęboko w podświadomości.

- Proszę - powiedział i podał jej torebkę. - To jest... Miałem jakieś skrawki i takie tam różne, i pomyślałem, że może ci się to spodobać. To dla ciebie, jeśli chcesz...

Resztę jego słów zagłuszyły szelest papierowej torby i okrzyk zachwyty.

- Zeke. To jest... To jest niesamowite. Nikt mi nigdy... Nie wierzę, że zrobiłeś to dla mnie.

Proste, eleganckie, drewniane pudełko, w kolorze głębokiej czerwieni i złota błyszczało w blasku późnego popołudniowego słońca. Górną część zdobiła owalna srebrna muszla z pojedynczym turkusem. Kamień był przepiękny, niebieskozielony, pokryty delikatną czarną pajęczyną. Wytlaczane metalowe zapięcie wyglądało jak dawna moneta.

- Ta część wydaje się bardzo stara - zauważyła, dotykając palcami muszli.

- Bo jest stara - powiedział. - Dostałem to od sprzedawcy z plemienia Nawahów w Nowym Meksyku. To część starego paska, który należał do kogoś z rezerwatu.

- Jeździsz tam w interesach?

- Czasami, gdy mnie najdzie ochota. Lubię kupić coś starego i zepsutego, a potem zrobić z tego coś nowego i użytecznego. Sprawia mi to przyjemność.

- Jak w przypadku twoich koni - stwierdziła. Wzruszył ramionami.

- Nie każdemu to się podoba. Jeżeli wolisz coś nowego, mogę... Kiedy wyciągnął dłoń po pudełko, powstrzymała go.

- Bardzo mi się podoba, Zeke. I to, że zadałeś sobie tyle trudu, żeby to dla mnie zrobić.

- To żaden kłopot. Jak już mówiłem, miałem kilka spraw do załatwienia w okolicy, więc pomyślałem, że...

Dotknęła jego dłoni i poczekała, aż spojrzy jej w oczy.

- Zeke, wszystko w porządku. Ja też cię lubię. O wiele bardziej niż ludzi, których znałam w Filadelfii. Kupa hipokrytów, udających, że się o mnie martwią podczas gdy za moimi plecami działy się zupełnie inne historie.

Sądziła, że ma dobrych przyjaciół. Lubili się razem pośmiać i razem walczyli o to, by zaistnieć w świecie, który często nie doceniał ich talentu. Ale kiedy zrobiło się nieciekawie, każdy z nich zniknął z jej życia jak dym ulatniający się na wietrze. Nawet jej chłopak, przemiły nauczyciel matematyki, z którym zaczęła umawiać się na kilka tygodni przed strzelaniną, też ją zostawił. Przestraszył się rozgłosu i miał wątpliwości, gdy zobaczył tamte zdjęcia.

- Ludzie zawsze się krzywdzą - powiedział Zeke. - Za każdym razem same rozczarowania.

- Nie wszyscy. - Rachel instynktownie czuła, że Zeke jest twardszy. Zupełnie jak meble, które tworzył.

Patrzył na nią z taką uwagą, że poczuła przebiegające po plecach dreszcze. Bała się, że gdy się odezwie, Zeke się wystraszy, ale jednocześnie bała się, że się do niej zbliży. Przypomniała sobie zdjęcie i jego reakcję, gdy dowiedział się, że zostało opublikowane.

„Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?”

Długo się nad tym zastanawiała. Czy ten facet ukrywał się, żyjąc w ten sposób w Marfie, bez telefonu, komputera, kart kredytowych

I kontaktu z ludźmi? Według Patsy nikt nie wiedział, skąd pochodzi i czym się zajmował, zanim kupił tę starą fabrykę. Nikt nie wiedział nic o jego wcześniejszym życiu.

Oczywiście ludzie i tak snuli różne przypuszczenia i szczegółowo omawiali jego historię. Niektórzy uważali, że uciekł przed alimentami albo był jednym z tych szalonych typów konstruujących bomby jako protest przeciw rządowi. Inni, szczególnie kobiety, które miały nadzieję wyleczyć jego złamane serce, uważali, że uciekł po tragicznej historii miłosnej.

Rachel nie wierzyła w żadną z tych teorii. Niezależnie od tego, w jakie Zeke wpadł tarapaty, ona miała zbyt wiele własnych problemów, by się w to angażować. Jednak nie mogła oderwać od niego oczu. I kiedy wreszcie nachylił się, by ją pocałować, jęknęła z zadowolenia.

Tym razem Zeke działał powoli, o wiele ostrożniej niż przy tamtym szalonym pocałunku przed wypadkiem. Nie chcąc jej przestraszyć, długo

rozkoszował się miękkim dotykiem jej ust i słodyczą odpowiedzi. Szorstkimi palcami musnął jej twarz, a potem błędził po jej szczupłej szyi.

Delikatnie pieścił zagłębienie między szyją a ramieniem i poczuł, jak trzymająca go od środka kamienna pięść rozluźnia nieco swój uchwyt. Przez ułamek sekundy zobaczył mężczyznę, którym kiedyś pragnął być. Tego samego, którego niekiedy udawało mu się zobaczyć, gdy jechał na pustynię lub gdy tworzył coś z wyrzeźbionego przez wiatr drewna. Zazwyczaj odwracał wtedy wzrok, by nie myśleć o straconych możliwościach, ale gdy ten sam obraz dostrzegł w jej ciepłych brązowych oczach i usłyszał w słodkim głosie, poczuł, jak rozpiera go radość.

A może nawet coś więcej. Coś, z czego sam zrezygnował, kiedy wiele lat temu uciekł od swojej przeszłości. Myślał, że już się z tym pogodził, że nigdy więcej nie będzie marzył o czymś, czego sam się wyrzekł. Ale kiedy dotykał i całował Rachel, miał wrażenie, że uczucia przenikają przez dawno zabliznione rany, które znowu zaczynają krwawić...

Przypomniawszy sobie tamtą noc i krwawiącego chłopca, umierającego na starym pastwisku dla kóz, gdzie tego wieczoru się zgromadzili. Słyszał głośnie oddechy i głosy tych, których kiedyś miał za przyjaciół „Langley to zrobił. Langley uderzył go tak mocno, że już się nie podniósł”.

Czując, że cały się trzęsie i poci ze strachu, Zeke gwałtownie cofnął się i zahaczył łokciem o stojący obok łóżka wazon, który roztrzaskał się na drobne kawałki. Białe płatki kwiatów sfrunęły na podłogę i utonęły w kałuży wody.

- Cholerny słoń w składzie porcelany - powiedział. - Bardzo mi przykro.

Spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

- Co się stało? - zapytała. - Było tak miło i nagle...

- Słuchaj, nie powinienem zawracać ci głowy. - Przykucnął, by pozbierać kawałki rozbitego wazonu. - Nie mam prawa.

- Skaleczysz sobie rękę, zostaw to. Powiedz mi tylko, o czym myślisz. Czemu się ode mnie odsunąłeś?

Nie wiedząc, co powiedzieć, dalej zbierał kawałki wazonu. Żałował tylko, że w ten sam sposób nie może naprawić tego, co rozbiło się wiele lat temu.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadła jasnowłosa kobieta. Na plakietce przypiętej do bluzki widniał napis „Wolontariuszka”.

- Właśnie rozmawiałam z... Ojej. - Popatrzyła na Zeke'a. - Przepraszam, nie widziałam, jak pan wchodził, nie chciałam państwu przeszkadzać.

- Mieliśmy mały wypadek - powiedział Zeke.

- Przyślę kogoś, żeby to posprzątał. Czy pan przypadkiem... - Wolontariuszka zerknęła na Rachel, a potem znów na niego. - Czy pan przypadkiem nie nazywa się Kyle?

- Kyle? - Zeke patrzył na nią z niedowierzaniem, zaczynając ją podejrzewać o celową złośliwość.

- Och! - Kobieta się zarumieniła. Potem zwróciła się do Rachel i teatralnym szeptem dodała: - Wrócę później i powiem pani, czego się dowiedziałam.

- Proszę zostać, pani Dixon- poprosiła Rachel. Popatrzyła na Zeke'a i powiedziała: - Do kwiatów dołączona była kartka. Ktoś podpisał ją imieniem Kyle.

A więc jednak był to jakiś chory dowcip.

- Jeszcze jedna groźba? - zapytał. Rachel zmarszczyła brwi.

- Jeżeli znajdziesz ją w tym bałaganie, możesz ją przeczytać.

Zwracając się do wolontariuszki, dodała:

- Co powiedziała kobieta z kwiaciarni?

Zeke szukał kartki pomiędzy połamanymi kwiatami, a pani Dixon pokręciła głową.

- Groźba? Moja przyjaciółka Glory nigdy nie przekazałaby tego typu wiadomości.

- To nie była tak do końca groźba - wyjaśniła Rachel. - Czy to ona przyjęła wiadomość? Czy to było zamówienie telefoniczne?

- Powiedziała, że przyszło z centrali. To bezpłatny numer, pod którym składa się zamówienia. Dopiero potem przekazywane są lokalnym kwiaciarniom.

Zeke odnalazł kartkę. Kartonik poplamiony był wodą, ale słowa wciąż czytelne. Była to oczywista groźba, chociaż ktoś, kto nie znał historii Rachel Copeland, nie widziałby w tym nic szczególnego.

- W takim razie klient musiał użyć karty kredytowej - domyśliła się Rachel.

Blondynka pokiwała głową.

- Tak, ale Glory nie ma do niej dostępu, bo klient pragnął pozostać anonimowy.

- Jeżeli zamówienie zostało złożone przez komputer, to dlaczego na kartce jest odręczne pismo? - naciskała Rachel.

- Też ją o to spytałam. Powiedziała, że kończy jej się tusz w drukarce i nie można było odczytać wiadomości. Dlatego przepisała ją ręcznie.



Zapytałam też, czy mogłaby zadzwonić pod numer 800, by dowiedzieć się, który Kyle przesłał pani kwiaty.

- Dziękuję - odparła spokojnie Rachel, w przeciwieństwie do wyraźnie poirytowanego Zeke'a. - I co ona na to?

Wolontariuszka uśmiechnęła się przepaszająco i oblała rumieńcem.

- Powiedziała, że powinna pani zrobić porządek ze swoimi chłopakami, że nie będzie zawracać sobie głowy taką błąhą...

Cierpliwość Zeke'a właśnie się skończyła.

- Tu nie chodzi o żadne romanse! - krzyknął. - Ktoś próbuje przestraszyć panią Copeland i przysyła jej wiadomość od...

- Wystarczy, Zeke - Rachel przerwała mu i spojrzała na pobladłą wolontariuszkę. - Dzięki pani mam jakiś punkt zaczepienia. To mi bardzo pomoże.

Kobieta zmarszczyła czoło wyraźnie zatroskana.

- Kochanie, powinnaś zadzwonić na policję.

- Mieszkam w Marfie, więc jak wrócę do domu, skontaktuję się z tamtejszym szeryfem. A właśnie, czy doktor Franconi zamierza do mnie w końcu przyjść i dać wypis? Ojciec już całe popołudnie czeka na mój telefon. Chce mnie zabrać do domu.

- Ja mogę cię zawieźć, gdy będziesz gotowa- zaproponował Zeke. - Jeżeli lekarz się nie zjawi, możemy po prostu wyjść. W końcu to nie więzienie.

Pomysł naruszenia regulaminu wyraźnie zdenerwował wolontariuszkę.

- Wydaje mi się, że dopiero co widziałam doktora Franconiego u pielęgniarek, sprawdzał jakieś papiery. Powinien więc lada moment tu być. Pójdę go poszukać.

Pani Dixon szybkim krokiem wyszła z pokoju, powiewając niebieską spódnicą.

Zeke wskazał na kartkę.

- Czemu mi o tym od razu nie powiedziałaś? Rachel westchnęła.

- Już od dawna mam do czynienia z gorszymi groźbami niż te kwiaty. Policja w Filadelfii nie potraktowała mojej sprawy zbyt poważnie, więc nie oczekuję nadmiernego entuzjazmu ze strony szeryfa Castillo. Po pierwsze, przestępstwo, jeżeli w ogóle możemy mówić o jakimś przestępstwie, prawdopodobnie miało miejsce poza jego okręgiem.

- No, a co z tym telefonem w barze? Wydawało ci się, że ta osoba dzwoniła z Marfy.

- To prawda.

- Twój szybowiec też rozbił się w granicach hrabstwa, prawda?

- To był wypadek, wadliwy zatrząsk, przynajmniej tak wszyscy myślą. Nie ma jeszcze oficjalnych wyników ekspertyzy.

- Castillo mógłby przynajmniej wykonać kilka telefonów i spróbować namierzyć osobę, która zamówiła te kwiaty - zasugerował Zeke.

Rachel wzruszyła ramionami.

- Jak dotąd policja raczej nie była po mojej stronie. W Filadelfii wszyscy interesowali się jedynie tymi okropnymi zdjęciami ze mną i Kyle'em. Detektywi, którzy prowadzili sprawę i zastępca prokuratora byli przekonani, że...

- Słyszałem coś o tych zdjęciach - przyznał Zeke. Teraz, kiedy zdążył już poznać Rachel, zrobiło mu się niedobrze, gdy przypomniał sobie, co niektórzy faceci u fryzjera mieli na ich temat do powiedzenia. O tym, co Rachel robiła z Kyle'em Underwoodem.

Dziewczyna się zarumieniła.

- To były podrobione zdjęcia. Wiesz o tym, prawda? Moi eksperci to udowodnili. Tak samo będzie i tym razem.

- Wiem, że są podrobione — zapewnił ją. Na myśl o tym, że zdjęcia krążyły gdzieś w sieci, gdzie każdy mógł je obejrzyć, miał ochotę roztrzaskać wszystkie komputery na całym świecie. - Ale wiem też, że Marfa to nie Filadelfia. Masz tu rodzinę, która się tobą opiekuje, a większość ludzi jest zdania, że kobieta ma prawo się bronić, nawet za pomocą pistoletu. I masz co najmniej jednego przyjaciela.

Położyła dłoń na pudełku i posłała mu uśmiech, którego ciepło ogarnęło całą jego duszę.

- Więc jesteśmy przyjaciółmi, tak?

Pokiwał głową, czując, że tak naprawdę chciała zapytać: „Czy tylko przyjaciółmi?”

- Tylko na tyle mnie stać - powiedział. Chociaż Bóg mi świadkiem, że chciałbym, aby było inaczej, pomyślał.

Sięgnęła po jego dłoń, podniosła do ust i gorąco pocałowała. Spoglądając na niego spod rzęs, wyszeptała słowa, które zawirowały między nimi.

- To kolejny prezent, Zeke. Schowam go do tego pudełka i będę strzegła jak klejnotów koronnych.

Zanim Zeke odwiózł Rachel do domu jej babci, na niebie pojawił się już księżyc, a setki gwiazd rozświetliły ciemną noc.

Drzwi otworzył Walter Copeland, który uściskał Rachel, a potem przywitał się z Zekiem.

- Proszę, niech pan wejdzie, panie Pike.

- Proszę mi mówić Zeke.

- Po prostu Zeke. - Rachel uśmiechnęła się i złapała szczekającego, czarno-białego psa, który próbował czmychnąć za drzwi. - O nie, J. D. Dzisiaj zostajesz w domu. I bądź cicho.

- Proszę nie martwić się tym, że szczeka. - W drzwiach stanęła starsza siwowłosa kobieta o pokaźnej tuszy. Na nosie miała grube okulary w kwadratowych oprawkach. Pocałowała Rachel w policzek. - James Dean zawsze wolał mężczyzn.

- No proszę, a ja myślałam, że to tylko plotki - wtrąciła Rachel.

- Ty też bądź cicho, dziecko. - Babcia upomniała ją, ale jej wzrok przepelniony był miłością. - Nie przedstawisz mnie swojemu przystojnemu przyjacielowi?

- Przepraszam, babciu - zreflektowała się Rachel. - Babciu, to Zeke Pike. Zeke, to moja babcia.

- Dobry wieczór, pani Copeland. - Zeke widział ją parę razy w barze u Patsy i kłaniał jej się na poczcie, ale wcale się nie zdziwił, że go nie rozpoznała.

- Mów mi Benita, bardzo mi miło - powiedziała. - Proszę wejść, Zeke. Bo mój aniołek w końcu ucieknie, by pobuszować u sąsiadów w śmietniku.

- Dziękuję za zaproszenie, ale chyba już pójdę. Patsy wyjrzała z kuchni.

- Wejdz do środka i przyłącz się do nas. Zrobiłam mnóstwo chili i chleb kukurydziany.

- Możemy cię przynajmniej poczęstować czymś do jedzenia za to, że oszczędziłeś nam wyprawy do Alpinie - powiedział ojciec, uśmiechając się przyjaźnie.

Starsza pani Copeland się ożywiła.

- A potem możemy zagrać partyjkę w scrabble'a. Podzielimy się na drużyny, będzie niezła zabawa.

Rachel dotknęła go ręką i wyszeptała:

- Nie bój się, nie jest wcale tak strasznie, jak ci się wydaje.

Zeke pomyślał, że tak właśnie musi smakować niebo. Rodzinne więzi i wspólny śmiech, a wszystko przyprawione subtelnymi konfliktami, które zdążyły powstać przez te wszystkie lata. W takich okolicznościach mógłby bardzo łatwo, zbyt łatwo, stracić kontrolę. Z bólem serca i burczącym z głodu brzuchem, który zareagował na aromatyczne zapachy wydobywające się z kuchni, postawił torbę Rachel na podłodze i powiedział:

- Dziękuję, ale nie mogę. Muszę nakarmić zwierzęta i jeżeli zaraz nie wrócę, któreś z nich na pewno staranuje drzwi do szopy z paszą.

Wprawdzie przed wyjazdem do Alpine zostawił zwierzętom dodatkową porcję siana, ale potrzebował wymówki, a ta wydawała się zupełnie niezła.

- Poczekaj chwilę - zawołała Patsy. - Zapakuję ci coś na wynos. Wszedł do środka, by poczekać na jedzenie i zaczął przyglądać się rodzinnym fotografiom, które wisiały na żółtych ścianach i zajmowały każdy centymetr domu. Na niektórych rozpoznał kiełkujący talent Rachel, ale jego uwagę przykuło jedno zdjęcie. Nastoletnia Rachel próbowała zakryć ręką błyszczący aparat na zęby i miała o wiele więcej piegów niż teraz. Nie była do końca ładna, ale w jej dużych brązowych oczach dostrzegł obietnicę, że kiedyś wyrośnie z niej piękna kobieta. I tak się stało.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała, schylając się po torbę.

- Daj mi to, Wiewióreczko. - Ojciec wyciągnął rękę. - Położę ją na łóżku. Ciebie też mogę położyć, jeżeli wciąż czujesz się słabo.

- Nie, już mi lepiej - zaprotestowała.

Pomachała Zeke'owi na pożegnanie i poszła za ojcem. Zdołał jeszcze usłyszeć jej słowa:

- Muszę ci coś pokazać. Zeke zrobił dla mnie prezent.

Poczuł, że serce mu rośnie. Ale gdy Patsy przyniosła plastikowy pojemnik z chili i zafoliowany kawałek chleba kukurydzianego, wyczytał z jej twarzy, że również słyszała słowa Rachel. I nie była nimi zachwycona.

- W co ty, do diabła, grasz? - zapytała przez zaciśnięte zęby, próbując mówić na tyle cicho, by nie słyszała jej babcia Rachel, która poszła oglądać teleturniej.

- W nic - odparł. - Miałem coś do załatwienia w Alpine i...

- Przyniosłeś jej prezent. I zostałeś wtedy na lotnisku, żeby zobaczyć, jak leci.

- Miałem jakieś skrawki drewna i... tak, zrobiło mi się jej żal po tym wypadku. To tylko przyjacielski gest, nic więcej.

- A kiedy to ostatnim razem zdobyłeś się dla kogokolwiek na „przyjacielski gest”, co Zeke'u Pike? - Patrzyła na niego z sarkazmem. - Widzę, co tu się dzieje i powiem ci, że wcale mi się to nie podoba. Ta dziewczyna ma dość własnych kłopotów i nie potrzebuje kolejnych. Szczególnie ze strony takiego faceta jak ty, który najbardziej ceni swoją prywatność.

- No proszę, a już myślałem, że chodzi ci o moje dobro. - Próbował się uśmiechnąć.

Podawała mu jedzenie.

- Jeżeli masz choć trochę zdrowego rozsądku, o sobie też pomyślisz. Chociaż wiem, że facetom odbija, gdy obok pojawia się ładna dziewczyna. Może sama się do nich nie zaliczam, ale doskonale wiem, jak to jest.

- Dziękuję za kolację.

Wyszedł, zastanawiając się, czy problem, jaki Patsy miała ze swoją pasierbicą, nie bierze się przypadkiem stąd, że Rachel wyrosła na dziewczynę, której uroda przyciągała mężczyzn w sposób, jakiego Patsy nigdy nie zaznała. Podobnie jak on, Patsy nie lubiła mówić o swojej przeszłości, ale przez te wszystkie lata wspomniała parę razy o ciężkim dzieciństwie i krótkim małżeństwie z szeryfem, który rzucił ją dla byłej wicemiss konkursu na najpiękniejszą nastolatkę zachodniego Teksasu, o czym wiedziało pół hrabstwa. Kiedy Zeke ją poznał, była już żoną Waltera Copelanda, ale zastanawiał się, czy wcześniejsze wydarzenia z jej życia nie przyczyniły się do tego, że była tak zgorzkniała. A może tylko wyobrażał sobie to wszystko z powodu własnych przeżyć z młodości.

„Jaki ojciec, taki syn”, powiedziała kiedyś nauczycielka, gdy przyłapała go na bójce na korytarzu. Bił się, bo jakiś idiota opowiadał w szkole, że jego ojciec został pochowany w zbiorowej mogile pod więziennymi murami, ponieważ rodzina nie miała pieniędzy, by sprowadzić ciało Johna Langleya do domu.

To się zdarzyło w innym życiu, powtarzał sobie Zeke. To przytrafiło się komuś innemu. Tego chłopaka już dawno nie ma, podobnie jak jego ojca.

Jednak, jadąc cichymi ulicami miasteczka, Zeke czuł, że ogarnia go nostalgia i niezadowolenie na myśl, że musi wrócić do miejsca, które teraz wydawało mu się zimne i puste w porównaniu z małym brązowym domkiem

rodziny Copelandów, wypełnionym ciepłem i gwarem ludzi. Po raz pierwszy od lat nie mógł znieść myśli, że musi wrócić do swojego domu. Postanowił zawrócić i pojechał w kierunku jedyne miejsce, w którym będzie mógł spokojnie zjeść kolację, jednocześnie otoczony ludźmi.

Piętnaście kilometrów za miastem znajdował się punkt obserwacyjny, gdzie miejscowi i turyści wspólnie czekali na pojawienie się słynnych tajemniczych świateł. Tak jak podejrzewał, w ten spokojny, sobotni wieczór na parkingu było zaparkowanych kilka samochodów.

Zeke odnalazł w schowku starą plastikową łyżkę, pamiątkę po wizycie w jakimś fast foodzie w trakcie jednej z licznych wypraw po materiały. Potem wszedł na wzniesienie, gdzie mieściła się platforma widokowa. Usiadł na kamiennym murku w pewnej odległości od pozostałych gości. Było jakieś dziesięć, jedenaście osób. Stali parami lub w grupkach, a niektórzy byli samotni tak jak on. Siedzieli, rozmawiali lub w milczeniu gapili się na ciemną równinę poprzecinaną jedynie niskimi krzakami.

Dobra noc na obserwację, pomyślał Zeke, nie za zimno i bardzo ciemno, bo na niebie nie było księżyca. Niezła noc na rozmyślanie. Wokół słyhać było szmer rozmów. Usiadł i zaczął jeść, delektując się smakiem mielonego mięsa, czarnej fasoli i chleba kukurydzianego. Próbował udawać, że tego typu towarzystwo całkowicie wystarczy, by zapełnić jego wewnętrzną pustkę.

- Popatrz, tam coś widać. - Mężczyzna w średnim wieku uczesany w kucyk wskazał w stronę odległych gór, gdzie widoczna była jasna, świetlista kula.

- Widzę- zawołała nastoletnia dziewczyna i raczej bezcelowo włączyła latarkę, którą trzymała w dłoni.



Jakiś mężczyzna krzyknął:

- Wyłącz tę cholerną latarkę, idiotko. Oślepiasz mnie.

Jego ton był tak ostry, że Zeke spojrzał w jego stronę, I zobaczył profil mężczyzny, którego widział przy hangarze po wypadku Rachel.

- Hej! - krzyknął do niego. Odłożył jedzenie i wstał. - Muszę z tobą pogadać o tym, co wydarzyło się w czwartek.

Może zbyt gwałtownie się poruszył, a może mężczyzna wyczuł w jego głosie groźbę. Cokolwiek to było, przeskoczył przez mur i zaczął uciekać, znikając w ciemnościach oświetlonych jedynie obojętnymi gwiazdami i bladym migoczącym światłem.

RS

## *Rozdział 11*

*U progu życia i pierwszego tchnienia,*

*Czekają człowieka gorsze rzeczy niż śmierć.*

Algemon Charles Swinburne *The Triumph of Time* (Triumf czasu)

Gdzie oni biegną? - Jasnowłosa dziewczyna skierowała światło latarki na Zeke'a i uciekającego przed nim mężczyznę, ale po chwili obaj znaleźli się poza jej zasięgiem.

Zeke zmrużył oczy, usiłując dostrzec jakikolwiek ruch i wyteżał słuch, próbując odgadnąć, w którym kierunku uciekł mężczyzna.

Zamiast kroków usłyszał jedynie krzyki dochodzące z punktu obserwacyjnego. „Nie biegnij w tamtą stronę” i „Zgubisz się”.

Wiedział, że mieli rację. Tylko głupiec szedł nocą na pustynię, gdzie pośród suchych traw pełno było kamieni, kolczastych krzewów i kaktusów. Wieczór był dość chłodny, grzechotniki pewnie więc już spały, ale nocne skorpiony i tarantule, choć niejadowite, mogły być cholernie nieprzyjemne, gdyby przypadkiem na nie upadł.

A Zeke czuł, że jeśli będzie dalej biegł na oślep, na pewno się przewróci. Zatrzymał się, próbując złapać oddech.

Zaklął i zawrócił w stronę niskiego kamiennego muru, który otaczał platformę. Ludzie patrzyli na niego podejrzliwie. Kilka osób zapaliło latarki.

- Dlaczego go goniłeś? - zapytał łysiejący mężczyzna.

Zeke nie chciał zwracać na siebie uwagi. Pokręcił głową.

- Nie chciałem, żeby zrobił sobie krzywdę, to wszystko. Jakiś strasznie nerwowy gość.

- Znasz go? - zapytał ktoś inny. - Coś mu wcześniej powiedziałaś.

- Myślałem, że to ktoś, kogo znam. Ale nie, nie znam go. Kobieta z długimi brązowymi lokami wystającymi spod wełnianej czapki wyjęła z torebki komórkę.

- Może powinniśmy zadzwonić na policję?

Zeke nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciał porozmawiać z tym facetem o dniu, w którym Rachel miała wypadek. Ale pomysł, by angażować w to policję i rozmawiać z szeryfem, zaniepokoił go. Oczywiście, gdyby Harlan Castillo wiedział cokolwiek o jego przeszłości, już dawno zapukałby do jego drzwi. Ale po co kusić los?

- To żadne przestępstwo, tylko czysta głupota, by o tej porze biec na pustynię - odparł Zeke. - Poza tym musi w końcu wrócić. Pewnie zostawił tu swój samochód, chyba że przyjechał z kimś z was?

Ale nikt się do tego nie przyznał.

- Ktoś powinien tu zostać i na niego poczekać - powiedziała kobieta z telefonem komórkowym. - Ale zaczyna się robić chłodno, więc ja się zwijam.

Nie chce się w to angażować, pomyślał Zeke, ani brać jakiegokolwiek odpowiedzialności. I patrząc na exodus, który nastąpił chwilę później, nie była w tym odosobniona. Po jakichś dwudziestu minutach zrobiło się pusto. Zeke sprzątnął resztki jedzenia i postanowił rozejrzeć się po parkingu.

Stała tam tylko jego furgonetka.

- Dziwne, jakim cudem się tu dostał? - zapytał sam siebie. Ale pustynia nie odpowiedziała, a w oddali migotało jedynie tajemnicze światło.

Obserwator widział wszystko przez długi biały teleskop. Zastanawiał się, czy trudno będzie przestraszyć faceta, który wyglądał tak, jakby bał się

wszystkiego i wszystkich wokół? Faceta, który prawie z nikim nie rozmawiał i nikomu nie ufał. Doszedł do wniosku, że nie powinien mieć z tym większych problemów. Da mu do zrozumienia, że będzie dla niego lepiej, gdy skupi się na własnych sprawach.

Odkąd wróciły światła, wszystko stało się bardziej oczywiste. Dzięki Bogu, że wróciły. I to pomimo katastrofy sprzed dwóch dni. Sprawa z Zekiem Pikiem nie powinna być trudna. Może trzeba będzie zbić mu szybę w samochodzie albo zniszczyć kilka przedmiotów w jego pracowni, która najczęściej była otwarta.

Wróciło jedno ze świateł. Było niesamowicie zielone i przekazało wiadomość, która zmroziła krew w żyłach obserwatora. Jednak trzeba będzie zrobić o wiele więcej, przeciąć wszelkie więzi łączące Pike'a z Rachel Copeland.

Światło ostrzegało, że Pike może być uparty jak każdy facet, który czuje zapach kobiety, i nie zawaha się użyć swoich mięśni, by uzyskać odpowiedzi lub wymierzyć sprawiedliwość.

Nie będzie więcej kar, pojękiwało Dziecko. Zamknięte w ciemnościach, skubało strupy z ran, które nigdy nie chciały się zagoić. Szukając ukojenia, bujało się w przód i w tył w zimnej kryjówce pod przyczepą i próbowało nie kwilić, gdy nadleciały osy.

Dopóki nie pojawiły się światła, nie było spokoju.

A światła czasami żądały krwi.

Nie ma sensu dłużej czekać, zdecydował Zeke. Facet albo poszedł na piechotę, albo dalej ukrywał się za jakimś krzakiem, czekając, aż Zeke odjedzie. Robiło się coraz zimniej, a w pobliżu nie było żadnego schronienia. Nieliczni wracający z Alpine kierowcy nie wezmą o tej porze

żadnego autostopowicza, a co więcej, mogą powiadomić szeryfa. W takim miejscu jak to, ludzie bali się obcych.

Po godzinie czekania Zeke był wściekły i miał nadzieję, że facet chociaż odmroził sobie tyłek. Czemu się ukrywał? Czy naprawdę mógł mieć coś wspólnego z wypadkiem Rachel, a może tamtego dnia zobaczył na lotnisku coś, o czym nie chciał mówić?

Nie mógł wykluczyć też innych możliwości. Był dużym facetem i jego nagłe zainteresowanie mogło tamtego wystraszyć. Może facet robił coś nielegalnego, przemycał przez granicę narkotyki lub Meksykanów, chociaż było to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę liczbę funkcjonariuszy straży granicznej, którzy mieszkali w Marfie.

A może sam był uciekinierem, ukrywającym się przed swoją przeszłością, równie niebezpieczną jak jego przeszłość? Zadrzał, gdy pomyślał o własnym życiu i szybko zapewnił sam siebie, że to z zimna. Poczul, że budzi się w nim współczucie i instynktowna więź ze strachem, zwierzęcym instynktem, który przenikał do samych kości i sprawiał, że w obronie własnego życia człowiek gotów był tak wiele ryzykować.

- Posłuchaj, nie chcę cię skrzywdzić ani wtrącać się w nieswoje sprawy - krzyknął w ciemność. - Mam tylko kilka pytań, wydaje mi się, że mogłeś coś wiedzieć. Mogę cię potem podzucić, gdzie będziesz chciał. Postawię ci nawet kawę.

Ale usłyszał jedynie wycie kojotów, które odbiło się echem od podnóża gór...

I nagły huk wystrzału, który przeszył panującą wokół ciszę, kiedy otwierał drzwi samochodu.

## *Rozdział 12*

*Dziki zwierz tam mieć będzie swe leże,  
sowy napelnią ich domy,  
strusie się tam zagnieżdżą  
i kozły będą harcować.*

Księga Izajasza 13, 21

Zeke zanurkował na siedzenie swojej starej furgonetki. Okno po stronie kierowcy roztrzaskało się na drobne kawałki, obrzucając go szkłem. Usłyszał metaliczny dźwięk naboju, który przeszył bok samochodu.

Sięgnął ręką do tyłu i zatrzasnął drzwi, obawiając się, że za chwilę sam może zostać podziurawiony. Usłyszał dwa kolejne strzały i przeklął swoją głupotę. Jak on mógł współczuć temu facetowi! Jeżeli uda mu się wyjść z tego cało, drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Chciał jak najszybciej oddalić się od strzelającego mężczyzny i sięgnął do kieszeni po kluczyki, zrzucając z siebie kawałki roztrzaskanego szkła. Nie znalazł ich, więc sięgnął ręką do drugiej. I wtedy zdał sobie sprawę, że trzymał kluczyki w dłoni, gdy usłyszał pierwszy strzał.

Serce mu zamarło. Musiał upuścić je na ziemię. A na zewnątrz czekał strzelec.

- Co za cholerny pech... - Przestał przeklinać, gdy usłyszał kolejne wystrzały. Ile ich było? Co najmniej trzy. Nie, cztery, a może nawet pięć czy sześć? - Niech to szlag. - Nie mógł się skupić. W głowie mu się kręciło, a serce waliło jak oszalałe. Pomyślał, że facetowi w końcu wyczerpie się amunicja. Może już się wyczerpała. Ale równie dobrze mógł mieć jej spory zapas.

Cholernie ryzykowne przypuszczenie.

Zeke ocenił swoje szanse. Mógł tu leżeć i czekać, aż facet podejdzie do samochodu i przez rozbitą szybę strzeli mu prosto w głowę. Mógł też opuścić i tak nie najlepszą kryjówkę i poszukać kluczyków, by jak najszybciej oddalić się od tego idioty. Był sam i nie miał broni, tak naprawdę nie miał więc innego wyjścia, chociaż obydwa pomysły nie brzmiały zachęcająco.

Ale im dłużej zwlekał, tym bardziej się narażał, chyba że facet postanowił postrzelać sobie trochę dla sportu i odjechać. Jednak Zeke na to nie liczył. Równie dobrze, ten drań mógł być na tyle zdesperowany, by zabić go dla samochodu.

Kolejny powód, by jak najszybciej stąd uciec, póki jeszcze mógł, o ile nie zostanie trafiony, gdy będzie szukał kluczyków.

Żałował, że nie uważał, gdy któryś z „przyjaciół” pokazywał mu, jak zapalić samochód ze stacyjki. Usiadł, pochylając głowę tak nisko, jak tylko mógł, otworzył drzwi i popatrzył na oświetlony kawałek ziemi.

Stare kluczyki od furgonetki lśniły niczym złoto z bajek. Chociaż serce waliło mu jak oszalałe, szybko się po nie schylił i od razu zamknął drzwi. Zdenerwowany nie mógł trafić kluczykiem do stacyjki i podskoczył, gdy usłyszał kolejny strzał.

Wreszcie silnik zapalił. Wrzucił wsteczny bieg i, mocno przyciskając pedał gazu, wjechał na autostradę. Rozpędził się do stu czterdziestu kilometrów na godzinę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest już daleko poza zasięgiem strzałów.

Ale nie zwolnił, dopóki nie dotarł do biura szeryfa. Tu jednak jego wrodzona ostrożność wzięła górę nad adrenaliną. Może powinien odpuścić, by nie wzbudzać ciekawości szeryfa?

Nie, do diabła, zdecydował i zaparkował samochód. Ktoś zniszczył jego starą furgonetkę, o którą dbał tak samo jak o swoje konie, a on sam ledwo się wymknął. Poza tym już samo to, że facet strzelał, sugerowało, że jednak miał coś wspólnego z wypadkiem Rachel. No i obecność uzbrojonego mężczyzny w miejscu popularnym wśród turystów stanowiła zagrożenie dla innych osób.

Zeke zebrał się więc na odwagę i wszedł do biura szeryfa, by zgłosić zdarzenie jak każdy odpowiedzialny i przestrzegający prawa obywatel.

RS



## *Rozdział 13*

*Lekki błysk zdziwienia skoczył*

*z czarnych galek*

*wciąż jeszcze ożywionych oczu.*

William Wordsworth *Stanowczość i Nienawiść,*

przeł. Stanisław Kryński

Niedziela, 9 marca

Marlene wstrzymała oddech, czując ogromną ulgę. W końcu zlokalizowali jej matkę i potwierdzili miejsce, w którym ostatnio przebywała. A na dodatek było to gdzieś tutaj, w Albuquerque, gdzie Marlene spędziła kilka ostatnich dni na bezowocnych poszukiwaniach. Już była prawie spakowana i gotowa, by wyjechać, wściekła na matkę, która najwyraźniej nie miała zamiaru się ujawnić.

- Marlene, kochanie, ty płaczesz? - zapytał Dan, gdy rozmawiali przez telefon.

- Nie, nie. - Otarła łzy i mocniej chwyciła kierownicę kolejnego wypożyczonego SUV-a. Próbowiła przypomnieć sobie zapach i ciepłe ramiona męża. - Jestem tylko trochę zdenerwowana, to wszystko. Czuję się tak, jakbym od trzech tygodni goniła za cieniem.

Albo duchem, pomyślała i wzdrygnęła się. Z Wilmington w Delaware do Tulsy w Oklahomie. Była zszokowana na wieść o tym, że dawni „przyjaciele” jej brata byli tak samo martwi jak on. To musiał być przypadek. Ostatni z nich, który mieszkał w tym właśnie mieście, wciąż żył i pracował jako kierownik budowy na przedmieściach. Zadzwoiła do niego

i pod pretekstem rozmowy o dawnych czasach namówiła na kawę w pobliżu jego miejsca pracy. Miała nadzieję usłyszeć, że nie widział się z jej matką.

- To były trzy długie Tygodnie - powiedział Dan tonem, który miał jej przypomnieć, że nie był zachwycony tym, że sam musi zajmować się domem i chłopcami. Starał się o tym nie mówić, ale już parę razy napomknął, że będzie musiał wziąć mnóstwo nadgodzin, by pokryć rosnące rachunki.

Marlene, która już dawno straciła poczucie czasu, zerknęła na adres zanotowany na dzisiejszym wydaniu „Dziennika Albuquerque”. Poczowała, jak kurczy jej się żołądek, a świeża dawka adrenaliny przyspiesza puls.

- Więc policja jest pewna, że to ona?

- O tak. Detektywi przynieśli zdjęcie z kamery przemysłowej przy bankomacie. Jest trochę ziarniste, ale ta kobieta wygląda jak twoja matka.

Marlene zaczerpnęła powietrza.

- Wczoraj rano około ósmej trzydzieści wypłaciła pieniądze z jednej z kart kredytowych - ciągnął Dan.

- Jej pierwszy błąd. - Marlene upuściła gazetę. Ręce jej się trzęsły. Do tej pory matka nie używała swoich kart płatniczych i kredytowych.

- Jak wyglądała?

- Trudno powiedzieć. Takie zdjęcia są czarno-białe, a to było jeszcze trochę rozmazane, może obiektyw kamery był ubrudzony. Na zdjęciu nie widać żadnych innych osób, więc pewnie podróżuje sama.

- To samo powiedzieli mi w motelu koło Tulsy. - Motel, który odwiedziła, należał do tych gorszych. Był to stary budynek zbudowany tuż przy autostradzie, której znaczenie zmalało, gdy parę lat temu wybudowano obok bardziej nowoczesną drogę. Podupadły, rodzinny interes, gdzie klienci

płacący gotówką byli szczególnie mile widziani, niezależnie od tego, czy zostawali na godzinę, czy na tydzień. Lub na trzy dni, tak jak w przypadku Mary Alice. Marlene przyjechała tydzień później i wtedy Dan otrzymał od policji informację o zdjęciach. Wprawdzie Mary Alice wyjechała z własnej nieprzymuszonej woli, ale policja dość poważnie potraktowała wiadomość o jej zaginięciu. Nie ze względu na to, kim była, jak delikatnie podkreślili, ale dlatego, że wydawała się nieco nie zrównoważona.

- Jak była ubrana? - zapytała Marlene. Spodziewała się lepszej pogody, ale w Albuquerque wciąż było zimno i bardzo wietrznie. - Czy miała na sobie kurtkę? Czy wyglądała na zdenerwowaną, roztrzęsioną?

Nie zadała najważniejszego pytania. Czy wyglądała na zupełnie nie zrównoważoną? Może nawet niebezpieczną?

- Przykro mi, Marlene, nie pamiętam. Miała na sobie jakiś kapelusz, może ten, który dałaś jej w zeszłym roku na Gwiazdkę.

- Ten szary? To Kathy go przysłała. - Marlene automatycznie go poprawiła.

- Posłuchaj, kochanie, wiem, że to brzmi zachęcająco, ale matka pewnie wzięła pieniądze i ruszyła dalej. A właśnie, coś sobie przypomniałem... Na zdjęciu widać też kawałek samochodu. Jakiś duży i ciemny wóz. Na pewno SUV.

Cały Dan. W końcu był mechanikiem w salonie luksusowych samochodów. Zapamiętał samochód, ale nic szczególnego w wyglądzie matki, jej ubraniu czy uczesaniu.

- Myślę, że to był jakiś jeep — dodał. - Pewnie commander, rocznik 2006 lub 2007.

O Boże. Jeep. Marlene pomyślała o tym zamordowanym facecie w Tulsie i poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Według gazety policja podejrzewała, że chodziło o kradzież samochodu. Jak dotąd nie znaleziono ciemnozielonego jeepa commandera, rocznik 2007. Ale Marlene nie chciała mówić o swoich podejrzeniach, które zaczynały nabierać realnych kształtów. Jak mogła zrobić coś takiego matce, która najwyraźniej potrzebowała pomocy? Nie więzienia czy pościgu, który w każdej chwili mógł zakończyć się tragedią.

Musiała ją szybko znaleźć. Zatrzymać i udowodnić, że nie jest w pełni władz umysłowych, by mogła zająć się jej leczeniem.

- Powiadomiono już departament policji w Albuquerque - powiedział Dan. - Może oni powinni przejąć teraz tę sprawę?

- Nie - warknęła Marlene. - Jadę do tego bankomatu. Przejdę się po sklepach i stacjach benzynowych i pokażę ludziom jej zdjęcie, a potem rozejrzę się trochę po okolicy, popytam w motelach, w których mogła się zatrzymać...

- Przecież policja ma o wiele większe możliwości, oni powinni się tym zająć.

- Dan, powiedziałam „nie”. Tutejsza policja nie zna mojej matki i na pewno jej sprawa nie będzie dla nich najważniejsza. Ale dla mnie jest najważniejsza. Wiem, że tego nie rozumiesz, szczególnie że ostatnio tak dziwnie się zachowywała.

- Rozumiem - powiedział łagodnie. - Ale zaczynam się niepokoić, Mar. Jeździsz nie wiadomo gdzie, rozmawiasz z ludźmi w najgorszych dzielnicach i śpisz w najtańszych motelach, by zaoszczędzić pieniądze.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak, i oboje o tym wiemy. Pewnie żywisz się najtańszym jedzeniem i czujesz się fatalnie.

Miał całkowitą rację, ale nie zamierzała przyznawać się do tego.

- Martwię się o twoje bezpieczeństwo — ciągnął dalej. - O twoje zdrowie. Ale przede wszystkim o...

- O co, Dan? - przerwała, bojąc się, że poruszy temat ich sytuacji finansowej lub będzie chciał wzbudzić w niej poczucie winy, że „porzuciła” chłopców. Podniosła gazetę i zaczęła wyglądać pogniecione strony.

- Martwię się. A Kathy dzwoniła już dwa razy. Boimy się, że ta wyprawa zamieni się w jakąś krucjatę. Że możesz wpaść w podobną obsesję jak ta, która zniszczyła życie twojej matki. Nie pozwól, by to zniszczyło i nasze życie.

- Nie jestem taka jak matka, Dan. Nie jestem. A moja siostra ma niezły tupet, by krytykować mnie w ten sposób. Przecież jej własne życie jest bardziej pogmatwane niż seriale telewizyjne. - Marlene wciąż była wściekła, że Kathy nie chciała wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności.

Westchnęła. Tęskniła za swoją rodziną tak bardzo, że czuła, jakby jakieś ostrze przeszywało ją od środka. Czy Dan i Kathy mieli rację? Czy zachowywała się jak matka i odwracała od tych, którzy wciąż żyli, tylko po to, by odnaleźć osobę, której nie można już było przywrócić do życia?

To nie to samo, pomyślała. Matka żyje. Przynajmniej na razie. A ojciec? Jak mogła go zawieść, gdy była już tak blisko?

- Jeszcze tylko kilka dni - zapewniła męża. - Jeżeli teraz jej nie znajdę, obiecuję, że wrócę do domu.

- Jasne, Marlene. - Usłyszała w jego głosie rozczarowanie. W zeszłym tygodniu złożyła podobną obietnicę. - Daj mi tylko znać, bo nie chcę, żeby chłopcy znowu niepotrzebnie się ucieszyli.

Rozłączyła się, mówiąc, że musi pojechać do Rio Rancho na przedmieściach miasta, żeby spotkać się z mężczyzną, który mógł widzieć jej matkę.

Kiedy nie pojawił się na spotkaniu, zadzwoniła do jego biura, ale połączyła się tylko z pocztą głosową. Przynajmniej dowiedziała się, jak nazywa się jego firma deweloperska. Popytała ludzi i znalazła budowę, na której pracował.

I w ten sposób Marlene odkryła jego ciało, leżące w kałuży krwi przy ciemnozielonym jeepie commanderze z rejestracją z Oklahomy.

Środa, 12 marca

Rachel obudził dzwonek telefonu. Zawahała się, przygotowana na kolejny atak swojej ulubionej prześladowczyni. Ale widząc za oknem kawałek srebrnego nieba, doszła do wniosku, że jest już rano. Zegar wskazywał szóstą pięćdziesiąt osiem. Ponieważ wariatka nigdy nie dzwoniła o tej porze, Rachel pomyślała, że to pewnie ojciec z kolejną pogadanką w stylu „wsiadaj z powrotem na konia, który cię zrzucił”. Zaczął ją ostatnio zasypywać statystykami, z których wynikało, że wypadki szybowców zdarzają się o wiele rzadziej niż w przypadku samolotów z silnikiem.

Pomyślała, że już chyba wolałaby rozpocząć dzień od pogawędki z wariatką. Ale kiedy zerknęła na wyświetlacz, zobaczyła, że dzwoni Harlan Castillo.

Jakiś czas temu poszła do niego w sprawie tych telefonów i stwierdziła, że nic się nie zmienił. Te same krótkie kończyny i beczkowaty tors. Kiedyś uprawiał podnoszenie ciężarów i wyglądał, jakby się nadal tym zajmował, chociaż przez te wszystkie lata jego czarne włosy zdążyły trochę posiwieć, a brzuch się zaokrąglić. Jak większość okolicznych mieszkańców, był dumny ze swojego meksykańskiego nazwiska. I pewnie dlatego został wybrany na szeryfa. Ale zarówno nieskazitelny angielski, jak i błękitne oczy świadczyły o tym, że jego meksykańskie korzenie to odległa przeszłość.

- Dzień dobry, szeryfie. Widzę, że jest pan rannym ptaszkiem.

- Nie sędzę, aby ta kobieta była w Marfie - powiedział bez żadnych wstępów.

Rachel przeciągnęła się i odgarnęła z oczu potargane snem włosy.

- Jest pan pewien?

- Cały tydzień się tym zajmowałem. Sprawdzałem hotele, pensjonaty, wszystkich, którzy wynajmują domki gościnne. Rozmawiałem z ludźmi w barach, w księgarni i w sklepie - powiedział. - Nikt nie widział nikogo podejrzanego. A tym bardziej samotnej kobiety.

Rachel była wdzięczna, że potraktował jej zgłoszenie poważnie i rozpoczął poszukiwania. Przez te wszystkie lata słyszała, jak Patsy rzuca pod adresem byłego męża pogardliwe uwagi, ale Rachel uważała, że był kompetentny i wydawał się zainteresowany sprawą. Był wyraźnie zaniepokojony jej wypadkiem i szybko powiadomił funkcjonariuszy NRBT, którzy uważali, że jej twarde lądowanie spowodowane było wadą w osłonie kabiny, a nie jej roztrzepaniem, jak sugerował doktor Thomas. Za każdym razem, gdy przypominała sobie jego słowa: „Gdy się czymś martwimy, tracimy mnóstwo energii psychicznej. To bardzo męczące. A zaprzeczanie

wszystkiemu jest jeszcze gorsze", miała ochotę zadzwonić do niego i krzyknąć: „A nie mówiłam!"

Jednak wtedy musiałaby z nim porozmawiać, na co raczej nie miała ochoty. Gdy przypominała sobie, co jeszcze jej powiedział, czuła w żołądku zimną pustkę.

- A czy sprawdzał pan na kempingu? - zapytała szeryfa. - A pensjonaty poza miastem, jak te przy gorących źródłach...

- Czy od zeszłego tygodnia były jakieś nowe telefony?

- Nie - przyznała Rachel. Chwyciła za leżącą na toalecie szczotkę do włosów i próbowała rozczesać poplątane kosmyki.

- Może myśli, że się przestraszyłaś i przez to spowodowałaś wypadek - zasugerował. - I wyjechała, by zająć się swoim pokręconym życiem.

- To urocza myśl. - Trzymając telefon pod brodą, próbowała rozplatać włosy palcami. - Mogłabym się z tym pogodzić, gdybym miała pewność, że nie wróci.

- Możliwe, że nigdy jej tu nie było.

- A pociąg? - Rachel się skrzywiła. Zbyt mocno pociągnęła splecione kosmyki i wyrwała kilka włosów. - Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że to był zbieg okoliczności. Tam, skąd dzwoniła, też akurat przejeżdżał pociąg?

- Nie to miałem na myśli. Pani Copeland, pomyślałem...

- Proszę mi mówić Rachel. - Automatycznie go poprawiła, zgodnie ze zwyczajami panującymi w zachodnim Teksasie.

- Pomyślałem - mówił dalej Harlan - że stres może trochę wyolbrzymiać pewne sprawy, to, co widzimy czy słyszymy, czy też...

- Aha, rozumiem. - Zaczęła coś podejrzewać. Niemożliwe, pomyślała.

- Pan sądzi, że wymyśliłam sobie całą tę rozmowę.



- Tego nie powiedziałem. Patsy... - rzucił zmienionym głosem. Wyczuła w nim napięcie i była wdzięczna, że nie musiała być świadkiem pierwszej może od dwudziestu lat rozmowy Patsy i Harlana. -... Pani Copeland potwierdziła, że jakaś kobieta faktycznie do ciebie wydzwaniała. Ale może ten dźwięk, który wydawało ci się, że słyszysz...

- Słyszałam go - upierała się Rachel.

- Mówiłaś, że zdenerwowałaś się, gdy rozpoznałaś jej głos, tak? Może byłaś nieco przestraszona, ja na pewno bym się bał.

- Przede wszystkim byłam wściekła- powiedziała i po chwili przyznała - tak, byłam zdenerwowana. Może i wymyśliłam sobie ten gwizd pociągu, może słyszałam go tylko w barze. Ale musi pan przyznać, że mogło też być inaczej.

- Może i tak - odparł Harlan. - Obiecuj, że do mnie zadzwonisz, gdy tylko usłyszysz lub zobaczysz coś podejrzanego. Mówię poważnie. Twoja macocha powiedziała, że oberwie mi jaja, jeżeli znowu straci przeze mnie dziecko...

Rachel upuściła szczotkę do włosów, która z hukiem upadła na podłogę. Nie wiedziała, czym była bardziej zaskoczona, tym, że Patsy nazwała ją swoim dzieckiem, czy tym, że sama miała kiedyś własne. Nie mogła się powstrzymać i wymamrotała:

- Więc pan i Patsy mieliście kiedyś... ? Ucięła, oburzona swoimi własnymi słowami.

- Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Patsy i ja nigdy nie mieliśmy dzieci. - Usłyszała w jego głosie żal, chociaż wiedziała, że z drugą żoną miał trzech zdrowych chłopców. Każdy z nich był utalentowanym piłkarzem i grał w szkolnej drużynie. - A jeśli

chodzi o całą resztę, to stare dzieje. Nie powinienem w ogóle o tym mówić. I nawet nie myśl o tym, by pytać Patsy. Radzę ci nie wkładać kija w to mrowisko. Dla niej przeszłość to przeszłość. Nie lubi mówić o swoich prywatnych sprawach.

Rachel nie mogła się nie zgodzić z tą opinią, ale im dłużej milczała, tym gorzej się czuła. W końcu tama runęła.

- Zawsze była dla mnie dobrą macochą.

- A ja zawsze wiedziałem, że tak będzie. - W tle usłyszała pisk policyjnego radia i szeryf szybko się rozłączył. Ale Rachel zdążyła usłyszeć w jego głosie żal.

Nawet nie próbowała znowu zasnąć. Sześć dni odpoczynku po wypadku wystarczyło, by się w pełni zregenerowała. Po pierwsze, gdy nic nie robiła i miała zbyt dużo czasu, zaczynała rozmyślać o rozprawie i zastanawiać się, czy Stuknięta Suka przypadkiem nie czai się pod jej oknem. Po drugie, babcia postanowiła wykorzystać sytuację i codziennie przynosiła świeże pieczywo z pobliskiego sklepiku. I chociaż lukrowane *pan de huevo* i apetyczne rogaliki z nadzieniem dyniowym miały być wyłącznie dla jej wnuczki, Benita podjadała wystarczająco dużo, by poważnie podwyższyć swój poziom cukru. Rachel postanowiła, że od dzisiaj dieta babci będzie wyglądać jak dawniej.

Czterdzieści minut później, umyta i ubrana, weszła do jej pokoju, niosąc tacę z parującym omletem z grzybami, pełnoziarnistym tostem, kubkiem mocnej czarnej kawy i małym papierowym kubeczkiem z jej porannymi lekarstwami. Postawiła jedzenie na stoliku nocnym i delikatnie dotknęła okrytego kocem ramienia babci.

- Proszę, babciu. Mam dla ciebie niespodziankę.

James Dean, który spał obok, przekreślił się i, podnosząc do góry nos, zaczął węszyć. Benita, której reakcja była nieco wolniejsza, zamrugła zaspanymi oczami i popatrzyła na Rachel.

- Co to?

- Śniadanie do łóżka. Zasłużyłaś na nie, opiekowałaś się mną cały tydzień.

- A ty?

- Zjem coś w barze, w drodze na lotnisko.

Musiała się tam od czasu do czasu pojawić, bo inaczej Patsy gotowa była pomyśleć, że cierpi na anoreksję, i to pomimo tych czterech kilogramów, które przytyła od powrotu do domu. Powoli wracał jej apetyt. Nawet zaczynało jej smakować jedzenie, szczególnie gdy nie musiała jeść sama.

Babcia zacisnęła usta, wokół których pojawiły się zmarszczki.

- Wracasz już do pracy? Czy lekarz nie kazał ci leżeć w łóżku? Rachel pokręciła głową.

- Nie kazał mi leżeć. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? - przypomniała. - Kazał mi tylko trochę zwolnić, aż ustaną bóle głowy. Głowa nie boli mnie od dwóch dni, więc najwyższy czas, żebym wreszcie zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie.

Benita z trudem podniosła się do pozycji siedzącej, a Rachel podłożyła jej pod plecy jeszcze jedną poduszkę. Potem złożyła lekką kape, która w nocy zsunęła się z łóżka, i przyniosła babci okulary w niebieskich oprawkach. I choć Rachel gotowa była zrobić wszystko dla babci, która kiedyś tak bardzo jej pomogła, czuła się dziwnie, widząc, że ich role się odwróciły. Od czasu do czasu babcia też dostrzegała te zmiany i

nienawidziła ich. Cała się wtedy najeżała i robiła wredna jak jej mały piesek, który chciwie spoglądał na śniadanie.

Ale dzisiaj wyglądała na rozkojarzoną.

- Wiesz, że nie lubię grzybów, Cora. Kupiłam je dla ciebie, pamiętasz? Mówiłaś, że chce ci się grzybów.

Rachel powoli ugięła kolana, aż znalazła się na wysokości wzroku babci. Pytania, które cisnęły jej się na usta: „Który mamy rok? Jak nazywa się obecny prezydent?” - tylko by babcię rozzłościły, zdecydowała się więc na łagodny uśmiech.

- Jeżeli nadal będziesz sugerować, że jestem w ciąży, popadnę w kompleksy z powodu tych wszystkich kilogramów, które mi przybyły.

Benita zamrugła, a w jej brązowych oczach, ukrytych za dużymi kwadratowymi okularami, widać było zmieszanie. Rachel poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić.

Babcia znowu zamrugła i z rozbawieniem pokręciła głową. Oderwała kawałek grzanki dla J. D. i zachichotała jak nastolatka.

- No coś ty, Rachel. W życiu nie pomyślałabym, że mogłabyś być w... Przecież nawet nie jesteś mężatką. A jeśli chcesz mojej rady, to powiem ci, że mężczyźni nie lubią chudych kobiet. Taki duży mężczyzna, jak ten twój Pike pewnie boi się, że mógłby cię złamać wpół.

Rachel odetchnęła zadowolona, że znowu są na znanym, choć trochę męczącym gruncie.

- Przestań nazywać go moim Pikiem. To tylko stały klient Patsy, który przychodzi do jej baru. Chciał oddać jej i ojcu przysługę, skoro i tak był wtedy w Alpine.

Babcia się roześmiała.

- Mój Boże, Rachel. Czy nie jesteś trochę za stara, żeby być aż tak naiwna?

Tego ranka bar pękał w szwach i każdy stolik był zajęty. Patsy miała pełne ręce roboty i Rachel postanowiła jej pomóc.

Po obsłużeniu pierwszego tuzina klientów, Patsy, zdmuchując z czoła siwe kosmyki, powiedziała:

- Nie planowałam cię zatrudniać, ale dzięki za pomoc. Może teraz, jak już się ogarnęliśmy, przygotuję ci naleśniki.

Czy byłabyś bardziej szczęśliwa, gdybyś miała własne dzieci, zastanawiała się Rachel. Czy byłoby ci łatwiej je kochać?

- Jajecznica mi w zupełności wystarczy - powiedziała.

Patsy kiwnęła głową, a Rachel nalaa gorącej wody do kubka z herbatą. Lili, która akurat kończyła posiłek, pomachała do niej od stolika w rogu.

- Hej, przyjaciółko. - Lili popatrzyła na nią znad kubka z kawą. - Miło znów cię widzieć w akcji. Lepiej się czujesz?

Rachel chwyciła jedyne wolne krzesło i usiadła obok, chociaż talerz Lili był już pusty.

- O wiele lepiej, dzięki. Dolać ci kawy?

- Nie trzeba. - Lili przyglądała jej się z uwagą.

- O co chodzi? - zapytała Rachel. - Urósł mi drugi nos czy kombinujesz, jak wcisnąć mi swoje dzisiejsze loty?

- Nic z tych rzeczy. - Lili zerknęła na Patsy, która spoglądała w ich kierunku, a potem skupiła się na Rachel. - Tak się tylko nad czymś zastanawiam.

Rachel zrobiła sobie herbatę i czekała, aż Lili powie coś więcej.

- Chcesz mnie o coś zapytać czy mam to wyciągnąć z ciebie siłą? Lili westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Zastanawiam się, czy powiesz mi wreszcie, co się dzieje między tobą a Zekiem Pikiem. Ja mówię ci wszystko o moim życiu miłosnym, ale ty coś przede mną ukrywasz, siostrzyczko.

No proszę, najpierw przyjaciółka, teraz siostrzyczka, i to wszystko w trakcie jednej krótkiej rozmowy. Kręcąc głową Rachel powiedziała:

- Nic ci nie mówiłam, bo nie ma o czym.

- Czyżby? A tamtego dnia, kiedy tak się wkurzył? Wyglądał, jakby chciał cię udusić. Faceci nie wkurzają się tak na kobiety, jeśli nie chodzi o seks.

Tylko Lili mogła wyciągnąć taki wniosek.

- Zrobiłam mu zdjęcie, to wszystko. Na tę majową wystawę o artystach z Marfy.

Lili zmarszczyła gładkie zazwyczaj czoło.

- Pamiętam, że coś o tym mówiłaś, ale dlaczego...

- Wkurzył się, ponieważ opublikowano je w różnych gazetach. Nic mu o tym nie powiedziałam, a stał się o wiele bardziej popularny, niżby sobie tego życzył.

Lili uśmiechnęła się i uniosła ciemne brwi.

- A co, jest na tym zdjęciu nagi? I gdzie mogę zrobić sobie plakat?

Rachel próbowała się uśmiechnąć, choć na myśl o fotografowaniu kogokolwiek nago bez jego zgody poczuła się nieswojo.

- Nie, nie był nagi. - Tylko do połowy; pomyślała. - Ale muszę przyznać, że i tak wygląda na nim bardzo apetycznie.

- I jeszcze narzeka? Większość facetów uznałaby, że to najlepsza rzecz, jaka im się przytrafiła od czasu pojawienia się pornografii w sieci. - Lili pokręciła głową. - Ale jedno jest pewne, Zeke Pike nie zachowuje się jak większość mężczyzn. Gdyby nie było to takie oczywiste, pomyślałabym, że jest gejem. Przynajmniej podniosłoby to moją samoocenę. Tyle razy próbowałam już wzbudzić w nim zainteresowanie...

- Przykro mi, ale na pewno nie jest gejem. Lili przeszła ją wzrokiem ostrym jak żyletka.

- Więc jednak jest coś między wami. Wiedziałaś. Rachel odstawiła kubek z herbatą.

- Słuchaj, zanim się zdenerwujesz, powinnaś wiedzieć, że...

- Wcale się nie denerwuję. - Ale jej głos był oschły. - Dlaczego miałabym się denerwować?

Rachel mogłaby wskazać choćby jej zmarszczone ze złości brwi, ale nic nie powiedziała i spokojnie patrzyła na Lili.

- Po prostu martwię się o ciebie! - krzyknęła Lili. - To zupełnie obcy facet. Nikt nie wie, skąd pochodzi, co kiedyś robił, czy ma rodzinę. Może być jakimś zbrojcem, a może ucieka przed...

- Czy to nie ty mówiłaś, że próbowałaś już wszystkiego poza paradowaniem nago, by odwrócić jego uwagę od lunchu? - zaczęła Rachel, ale przerwała, widząc, że Lili robi się czerwona i wstaje z miejsca. - Musisz przyznać, że trochę to dziwne ostrzegać mnie przed facetem, którego sama chciałaś upolować.

- Ja chciałam tylko trochę poflirtować, to wszystko. - Lili podniosła głos, który i tak wydawał się donośny w nagle zapadłej wokół nich ciszy. - Ale to, co ty robisz, jest niebezpieczne.

Rachel nie była w nastroju na takie sceny.

- Oj, daj spokój.

Patsy podeszła do nich, manewrując pomiędzy stolikami i torując sobie drogę szerokim biodrem, które przypominało dziób dużego okrętu. Postawiła na stole talerz ze śniadaniem Rachel, na którym były dwa jajka sadzone z frytkami i sok owocowy. Spojrzała na Lili.

- Wszystko w porządku?

- Jasne - odpowiedziała za nią Rachel. - Dzięki, ale myślałam, że przyniesiesz mi jajecznicę.

Patsy uśmiechnęła się zgryźliwie.

- Zamawiasz, co zamawiasz, a ja przynoszę, co przynoszę. Rachel roześmiała się sucho.

- To zdaje się podsumowuje nasze relacje.

- Chyba tak. - Patsy zdobyła się na lekki grymas i wróciła za ladę, by obsłużyć kolejnych pilotów.

Rachel przeniosła wzrok na Lili, która w maleńkiej portmonetce szukała pięciodolarówki.

- Patsy cię do tego namówiła? Lili spojrzała na nią gniewnie.

- Co? Dlaczego ona miałaby...

- To dziwne. - Rachel zaczęła kroić jajko. - Nagle wszyscy interesują się tym, z kim się przyjaźnię.

Lili wsunęła banknot pod pusty kubek i wstała.

- Może po prostu się o ciebie martwią. To nie powód, by od razu tak reagować. Jeżeli jesteś na tyle głupia, by do swoich problemów dokładać jeszcze związek z tym nieudacznikiem, to proszę bardzo. I tak wszyscy wiedzą, że to ty jesteś szefem, nie ja.



Lili, wyraźnie zdenerwowana, powiedziała to głośniej, niż zamierzała. Klienci Grzędy odprowadzili ją wzrokiem aż do samych drzwi, które trzasnęły z hukiem. Rachel poczuła na sobie ukradkowe spojrzenia, ale postanowiła je zignorować. Dłubała widelcem w talerzu ze śniadaniem, które nagle przestało mieć jakikolwiek smak.

RS

## *Rozdział 14*

*Jak gdyby można było zabić czas, nie raniąc wieczności.*

Henry David Thoreau *Walden*, przeł. Halina Ciepłińska

Zalane słońcem popołudnie chyliło się ku końcowi. Przemawiając ściszym głosem, Zeke próbował uspokoić osła, któremu wcierał w grzbiet maść z antybiotykiem. Na ciemnobrązowym ramieniu zwierzęcia było widoczne długie nacięcie. Palce Zeke'a poruszały się bardzo delikatnie, choć on sam aż gotował się ze złości na myśl o tym tchórzliwym gnojku, który zakradł się do zagrody w trakcie jego nieobecności. Podejrzewał, że to był ten sam sukinsyn, który do niego strzelał na tarasie widokowym, chociaż nie miał pojęcia, po co facet miałby go śledzić aż do samego domu. Zastępca szeryfa, Leo Varajas, człowiek o wielu podbródkach, również nie mógł tego zrozumieć i zlekceważył jego zgłoszenie.

„Świadkowie zdarzenia mówią, że ten facet, który uciekł, przestraszył się pana. To pewnie jeden z tych dziwaków, którzy się tu czasami kręcą”. Spojrzenie zastępcy świadczyło o tym, że Zeke'a również zaliczał do tej grupy. „Nie widzę związku z tym przypadkowym zdarzeniem na pastwisku”.

„A te dziury po kulach też są przypadkowe?” - zapytał Zeke, wskazując na swój uszkodzony samochód. Ale nawet gdy wspomniał, że widział tego samego faceta na lotnisku w dniu, w którym Rachel miała wypadek, zastępca wzruszył jedynie ramionami i odjechał, by zająć się swoimi sprawami.

Siedzący na gałęzi pobliskiej sosny drozd przestał śpiewać i odleciał. Nagle zrobiło się bardzo cicho i Zeke usłyszał na podjeździe czyjeś kroki.

Pogłaskał osła. Wiedział już, że przywiązanych sznurem zwierząt lepiej nie zaskakiwać żadnym nagłym ruchem i odwrócił się, by „przywitać” nieproszonego gościa. Po chwili zaśmiał się, gdy usłyszał Rachel śpiewającą stary szlagier muzyki country, który w jej wykonaniu trudno było rozpoznać.

- Jestem szalona... szalona, bo wspinam się po zamkniętych bramach - śpiewała Rachel, próbując wyrównać braki wykonania odpowiednim natężeniem głosu. - Szalona, bo przynoszę ci obiad.

Zeke pokręcił głową. Zerknął na widoczny na jej czole plaster i brązową papierową torbę, która trzymała w dłoniach.

- Dobrze, że jesteś fotografikiem, a nie piosenkarką.

- A kto powiedział, że nie jestem piosenkarką?

Osiół Gus położył uszy po sobie i głośno zaryczał. Zeke zachichotał.

Rachel położyła rękę na biodrze i spojrzała na osła.

- A ciebie kto pytał?

- Może Patsy Cline - podsunął Zeke ze śmiertelną powagą. - Powszechnie wiadomo, że osły wyczuwają kopytami wibracje zmarłych muzyków, którzy przekręcają się w grobie.

Rachel zrobiła nadąsaną minę, co nie wypadło zbyt przekonująco, a w końcu wybuchła śmiechem.

- Jak głowa? - Zeke dotknął swojego czoła.

- Twarda jak zawsze - odpowiedziała. - Kiedy usłyszałam, że w poniedziałek wpadłeś do baru, żeby zadzwonić, a potem przez kilka dni się nie pojawiłeś, zaczęłam się martwić. Myślałam, że może coś ci się stało albo ktoś kazał ci się trzymać z dala od baru.

Najwyraźniej nie słyszała nic o strzelaniu, co wcale go nie zdziwiło. Castillo mówił, że nie będzie jej w to wciągał, dopóki nie znajdzie wystarczających dowodów, że tamten mężczyzna miał jakikolwiek związek z wypadkiem. Ale Zeke czuł, że ogarnia go smutek.

- Chodzę do baru od lat. Czemu ktoś miałby mi tego zabronić?

Rachel się zawahała.

- Zdaje się, że Patsy nie do końca pochwała... naszą znajomość - odparła.

- Faktycznie, już parę razy mi o tym mówiła, ale nigdy nie dała mi odczuć, że nie jestem tam mile widziany. Nawet jeśli uważa, że to, co robimy, nie jest zbyt mądre. - Wskazał palcem na Rachel i na siebie. -I ma rację, Rachel.

I to bardziej niż ci się wydaje, pomyślał.

Rachel wbiła wzrok w ziemię i kopnęła kilka kamyków, wznosząc przy tym małe obłoczki kurzu.

- Lili Vega też mnie ostrzegała.

- Lili? To nie ma sensu. Zamieniłem z nią może za sześć słów w ciągu ostatnich... właściwie to w ogóle.

- Myślałam, że może Patsy ją namówiła. A może Lili ma wobec ciebie poważne zamiary.

- Lili to prawie dziecko. Poza tym za każdym razem, gdy ją widzę, wisi na jakimś pilocie. Co tydzień na innym.

- Zatem to Patsy - wywnioskowała Rachel. - Tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego sądzi, że to jej sprawa.

- Dlatego tu jesteś, Rachel? Żeby pokazać swojej macosze, że nie może mówić ci, co masz robić?

Gdy na nią spojrział, widział, że zastanawia się nad jego pytaniem. Chciał, by zaprzeczyła i powiedziała, że przyjechała do niego, bo chce czegoś więcej niż tylko „przyjaźni”.

Ale w tym momencie osioł pochylił głowę i szturchnął Zeke'a w ramię, żądając, by ten go podrapał. Zeke zakręcił maść, wytarł ręce i poczochnął kark zwierzęcia. Nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie.

Rachel podeszła bliżej i wnikliwe popatrzyła na rozciętą skórę osła.

- Biedaczek. Co mu się stało?

- Też chciałbym wiedzieć. W poniedziałek, gdy wróciłem z baru Patsy, zagroda była otwarta. Wygląda na to, że same wyłamały bramę od środka. W tamtym miejscu znalazłem krew. - Wskazał palcem.

- O rany. - Rachel popatrzyła na pastwisko, gdzie Cholla i srokata klacz beztrudnie obwąchiwały teren w poszukiwaniu trawy. - Nic im się nie stało?

- Były tylko przestraszone. Bardzo długo nie mogłem ich wszystkich złapać, zajęło mi to całą wieczność, nawet wiadro paszy niezbyt pomogło. Ale Gus był zakrwawiony. Dlatego wróciłem wtedy do baru, żeby wezwać weterynarza z Alpine.

- Nie masz telefonu? - zapytała.

- Nie lubię rozmawiać - odparł.

- Może zwierzęta się pogryzły? Mogły pokłócić się o jedzenie.

- Też o tym pomyślałem. - Zeke pokręcił głową i wskazał na piętnastocentymetrową ranę, na której znajdowało się kilka szwów. - Ale to nie jest ugryzienie czy kopnięcie konia. Weterynarz to potwierdził.

- Więc co?

- Najpierw sądziłem, że może to puma. Mogła przybłąkać się tu z gór w poszukiwaniu jedzenia. Może jakiś młody, który próbował oznaczyć teren. To by wyjaśniało, dlaczego zwierzęta były tak przestraszone.

- Ale to nie to. - Musiała wyczuć coś w jego tonie.

- Lekarz mówił, że wtedy byłyby ślady po pazurach i kłach. Poza tym poprzedniej nocy...

Rachel zadrżała.

- Wiem, że te zwierzęta rzadko atakują ludzi, ale i tak boję się ich jak cholera. Skoro to nie była puma, co zaatakowało Gusa?

Zeke powstrzymał wzbierającą w nim złość i przybrał ponury wyraz twarzy.

- Weterynarz mówił, że to wygląda jak rana zadana nożem. Od tamtej pory nie zostawiłem zwierząt samych.

Rachel otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć, że zrobił to jakiś człowiek? Ktoś się tu zakradł, kiedy cię nie było i... Zostawiłeś otwartą bramę?

- Nie, brama była zamknięta tak jak dzisiaj. Ale jeżeli ty dałaś radę przez nią przejść i to z torbą jedzenia, ktoś inny mógł zrobić to samo tylko z nożem.

Potem opowiedział jej o tym, co wydarzyło się w miejscu widokowym.

Rachel zbladła, a jej nieliczne piegi stały się bardziej wyraźne. Spojrzała na furgonetkę. Zeke okleił drzwi wozu taśmą i grubym plastikiem, jako tymczasowe rozwiązanie, aż znajdzie trochę czasu, by naprawić samochód.

- Mógł cię zabić. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Szeryf uznał, że nie ma to nic wspólnego z tobą, a ja pomyślałem, że i tak masz sporo na głowie.

Pokręciła głową.

- Wiem, że świat jest okrutny - powiedziała - ale, na Boga, to jest Marfa w Teksasie. Jak ktoś tak podły może gdzieś tu mieszkać...

Zawiesiła głos. W pobliżu słychać było jedynie śpiew drozda, który przysiadł teraz na krzaku jałowca.

- Nie - powiedziała, czując, jak oblewa ją strach. - Przez chwilę myślałam, że może... ale to nie mogła być ta sama osoba, która do mnie dzwoniła. Po pierwsze, to kobieta, a poza tym szeryf sprawdził całą okolicę. Twierdzi, że jej tu już nie ma, jeżeli w ogóle kiedykolwiek była.

- Nie myślałem o niej - przyznał Zeke. Rachel wzruszyła ramionami.

- Nie miałeś powodu tak myśleć. To mną się interesuje, nie biegałaby bez sensu po okolicy, strzelając do ludzi i krzywdząc ich zwierzęta. Masz jakichś innych wrogów? - ciągnęła dalej. - Kogoś, kto chciałby cię zranić i skrzywdzić twoje zwierzęta? A może ich poprzedni właściciele? Czy jest ktoś, kto może mieć do ciebie o coś żal?

Zawahał się i oddalił od siebie wspomnienia z przeszłości, od której uciekł. Jeżeli ktokolwiek wiedziałby, gdzie jest, zaatakowałby jego, a nie zwierzęta.

- Może i moje maniery nie są najlepsze, ale nikt nie przychodzi mi na myśl. To może być ten facet z lotniska, który z jakichś powodów nie chciał się ujawnić, a potem uznał, że go ścigam. Cały czas się zastanawiam, gdzie wtedy zniknął.

- Nasze tajemnicze światła przyciągają różnych dziwaków. - Uśmiechnęła się kącikiem ust. - Może myślał, że jesteś kosmitą, który chce

go porwać. Nie nuciłeś przypadkiem melodii z filmu *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*?

Zagwizdała kilka pierwszych taktów. Zeke się zaśmiał.

- Tak, jasne. I jeszcze miałem na sobie hełm z folii aluminiowej. Ale skoro to był tylko jakiś przypadkowy świr, to co robił wtedy na lotnisku? I czemu w ogóle pojechał za mną i zaatakował moje zwierzaki?

- Mówiłeś o tym Harlanowi.

Zeke nie chciał mieć więcej do czynienia z funkcjonariuszami prawa, ale ponieważ chodziło o jego zwierzęta, a może nawet o Rachel, czuł, że powinien to zrobić.

- Tak, zajrzał tu jego zastępcę. Myśli, że to przypadek.

- Oby miał rację - powiedziała i zerknęła na torbę, którą cały czas trzymała w dłoniach. - O rany, zupełnie o tym zapomniałam. To zielone chili. Babcia ostatnio niewiele gotuje, ale dzisiaj ją coś naszło. Zrobiła wielki gar, włożyła tam chyba cały udziec wieprzowy i co najmniej worek ziemniaków. Jakby miała do wykarmienia całą armię. No i pomyślałam o tobie.

- Pachnie cudownie - powiedział Zeke, żałując, że zdążył już napełnić żołądek zupą z puszki i przypalonymi naleśnikami z resztkami kurczaka i sera. - Jadłem już obiad, ale to będzie pierwszorzędne śniadanie.

- Śniadanie?

Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczony wyraz twarzy.

- No pewnie, szczególnie w chłodny poranek. Poczekaj, włożę to do lodówki. Podziękuj babci ode mnie. No i dziękuję tobie.

Ku jego zdumieniu weszła za nim do środka. Wyjął miskę, by przełożyć do niej potrawę, ale Rachel podała mu plastikowy pojemnik.



- Nie trzeba. Babcia ma tysiące takich opakowań po lodach. Co jest w sumie dość zaskakujące jak na cukrzyka.

Włożył jedzenie do lodówki i przez cały czas zastanawiał się, czemu zadała sobie tyle trudu, wdrapując się przez bramę i pokonując kawał drogi, by tu dotrzeć? Czemu poszła za nim do domu? Ale bał się zapytać. Nie chciał powiedzieć czegoś, przez co mogłaby zmienić zdanie i się przestraszyć. Niezależnie od tego, co mówił wcześniej, gdy stali przy zagrodzie, nie chciał odpychać od siebie jedynej osoby, która interesowała się tym, co się z nim dzieje.

- Chcesz coś do picia? - zapytał, zerkając do lodówki, która była o wiele starsza od niego. - Wody, piwa?

W lodówce była tylko jedna butelka. Sam nie bardzo lubił pić, ale przestrzegał standardów obowiązujących w zachodnim Teksasie.

- Muszę się chyba wybrać do sklepu. Trochę bałem się wychodzić.

- Mogę ci coś przywieźć.

- Dzięki, ale nie mogę cały czas siedzieć w domu. Zanim przyjechałaś, miałem właśnie zamiar wybrać się na przejażdżkę, póki jest jeszcze widno.

- Jasne, Zeke. - Wycofała się w stronę drzwi. Wyglądała na spiętą. - Jeżeli musisz już iść...

- Może przyłączysz się do mnie? - zaproponował i zaraz potem wymyślił najlepszą wymówkę, jaka przyszła mu do głowy: - Nie chcę zostawiać pozostałych zwierząt, a łatwiej mi będzie prowadzić jedno niż oba naraz. Mogłabyś pojechać na kłaczy, jeśli chcesz i jeśli nigdzie się nie spieszysz.

Rozpromieniła się.

- Oczywiście, z przyjemnością. Minęło wprawdzie sporo czasu, odkąd ostatni raz jechałam na koniu, ale brakuje mi tego.

- Nie martw się. Będziemy jechać powoli. Dla Gusa stęp będzie najlepszy.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Zeke przypomniał sobie, że nie ma jeszcze siodła dla nowej klaczy. Wyciągnął wodze, siodło Cholli i koc.

- Spróbuję założyć to siodło na klacz, ale nie jestem pewien, czy będzie na nią pasować. Jest trochę mniejsza od Cholli.

Rachel pokręciła głową.

- Pojadę na oklep. Przecież i tak mamy jechać powoli.

- To może być niebezpieczne. Tym bardziej że dawno nie jeździłaś.

- Daj spokój, nic mi nie będzie. Kiedyś całkiem dużo jeździłam, na oklep też.

- Może powinnaś wziąć Cholle. Jest trochę trudny do prowadzenia, ale...

- To idealny koń dla ciebie. - Taktownie nie wspomniała o tym, że jest za ciężki dla szczupłej klaczy, ale zrozumiał. Zdążyła się już co prawda trochę zaokrąglić i Zeke jeździł na niej po zagrodzie, by sprawdzić, jak się porusza. Jednak zwierzę nigdy nie będzie na tyle mocne, by udźwignąć tak dużego mężczyznę jak on.

Musiał przyznać jej rację i przygotował oba konie, przywiązując Gusa do siodła Cholli.

- Pożyczyć ci jakąś bluzę? Kiedy zajdzie słońce, może zrobić się chłodno.

Rachel poklepała się po dzinsowej kurtce.

- To mi całkowicie wystarczy.

- No to wskakuj, pomogę ci - odparł.

Pogłaskała brązowo-białą szyję klaczy i pokiwała z zadowoleniem głową.

- Teraz wygląda o wiele lepiej. Zeke pomógł jej wsiąść i podał lejce.

- Mam nadzieję, w końcu je za dwóch. Jest łagodna i łatwo się ją prowadzi. To idealny koń na początek.

- Ma jakieś imię?

Zeke wskoczył na swojego wierzchowca, aż siodło pod nim zakrzypiało.

- Chciałem nazwać ją Juka. Pasowałoby do Cholli, tak nazywa się taka pustynna roślina.

- Juka? Brzmi okropnie. Może od razu nazwij ją Kreozot... albo jeszcze lepiej Leniec - odparła, mając na myśli dwie jeszcze gorzej brzmiące nazwy roślin.

- To wymyśl coś lepszego.

- Już się robi. A może... - Popatrzyła na wytarte litery na ścianie budynku starej fabryki wosku. - Może Candle od słowa *candelilla*. To też nazwa rośliny, a brzmi o wiele lepiej niż juka. Tobie też się bardziej podoba, prawda, Candle?

- Skoro tak mówisz. - Zeke wątpił, by konie interesowały się tym, jak ludzie je nazywają. Ale jeżeli sprawiało to Rachel przyjemność, to czemu nie. - Niech będzie Candle. Ale jeżeli sprawię sobie kiedyś psa, będzie się wabił Leniec.

- Tylko jeden pies zasługuje na to zaszczytne imię - powiedziała, kiedy świeżo ochrzczone Candle ruszyła za Chollą i osłem. - Terier bostoński

mojej babci. Jest na mnie wściekły, bo przerwałam jego rządy terroru. No i że go wysterylizowałam.

- Do diabła, kobieto, muszę pamiętać, by cię przypadkiem nie rozzłościć.

Na jej ślicznej buzi pojawił się przebiegły uśmiech.

- To bardzo dobry pomysł.

W tle słychać było stukot końskich kopyt o twardą ziemię, skrzypienie skóry i prychanie zwierząt. Cholla był bardziej podekscytowany niż zazwyczaj. Tańczył i wierzgał, przez co spłoszył błękitną meksykańską sówkę, która siedziała na małej sośnie.

- Chyba chciałby pogalopować - zauważyła Rachel.

- Też tak sędzę. Ostatnio cały czas był zamknięty w zagrodzie - przyznał Zeke, próbując uspokoić konia. - Ale nie chcę narażać Gusa, ma świeże szwy, no i martwię się o twój tyłek.

Pozostałe zwierzęta próbowałyby pewnie pobiec za Chollą.

- Twoja wiara w moje możliwości jeździeckie jest doprawdy zdumiewająca - odparła Rachel.

- Czy przypadkiem nie potłukłaś sobie głowy w zeszłym tygodniu? - zapytał Zeke, a Rachel spojrzała na niego z grymasem na twarzy.

Po chwili jednak zaczęła się wiercić.

- Ta klacz jest tak koścista, że obawiam się, że to nie głowa będzie mnie bolała po tej przejażdżce.

Zeke marzył o tym, by dać swojemu koniowi porządny wycisk. Cokolwiek, co pozwoliłoby mu oderwać myśli od tych części ciała, które zaczął sobie wyobrażać po tych niewinnych słowach.

Po tak długim czasie, trudno było usiedzieć w miejscu. Trudno zachować spokój, gdy jest się już tak blisko. Lornetka cała się trzęsła. Podobnie jak widziany przez nią obraz mordercy.

Mordercy, który uśmiechał się, a nawet śmiał w najlepsze. Zabójcy, który wybrał się na miłą przejażdżkę w atrakcyjnym towarzystwie. Widoczne w oddali góry tworzyły wspaniałą panoramę, a pierwsze promienie ognistego zachodu słońca przesłaniały nieliczne chmury. Krzewy i blade, pozornie miękkie trawy przesłaniające wysuszoną ziemię dopełniały całości obrazu.

Widok rozmazał się, gdy ręka trzymająca lornetkę zadrżała na myśl, że to wszystko jest niesprawiedliwe, cholernie niesprawiedliwe. A gdzie uśmiech straconego chłopca? Gdzie jego przejażdżki o zmierzchu, randki i radość z rześkiego, późnego, zimowego wieczoru? Wyobrażała sobie, jak robi mu zdjęcia i wkłada je do rodzinnego albumu.

Morderca zabrał jej to wszystko. Wszystkie radosne wspomnienia, które mogliby razem dzielić. Zabrał jej również rodzinę, którą rozbiła na drobne kawałki o twarde skały smutku.

Ale dziś wieczorem sama wyrówna rachunki, skoro skorumpowany czy też zwyczajnie tchórzliwy system prawny nie był w stanie tego zrobić. Wyobrażając sobie kojący dotyk krwi na rękach, podejrzewała, że jej sposób może okazać się bardziej satysfakcjonujący.

## *Rozdział 15*

*Stałem się bratem szakali i młodych strusiów sąsiadem.*

Księga Hioba 30, 29

Słońce powoli zmierzało w kierunku Gór Chinati, a pustynne króliki skubały świeże źdźbła trawy zwiastujące nadchodzącą wiosnę.

- Lepiej się pospieszcie, zanim pojawią się te ogromne sowy. - Rachel zachęcała króliki, myśląc o resztkach włosów i kości, które zostawiała po sobie para mieszkająca na dachu baru. Jeżeli ich łupem padały mniejsze zwierzęta, sowy wypluwały niestrawione resztki w całości.

Zeke odwrócił się i spojrzał na Rachel, a w jego jasnozielonych oczach dostrzegła rozbawienie.

- Zawsze rozmawiasz ze zwierzętami? - zapytał.

Kiedy patrzył na nią w ten sposób z leniwym uśmiechem na ustach, siedząc beztrąsko na swoim koniu, Rachel miała ochotę wyciągnąć aparat i zrobić mu kilka zdjęć w bursztynowym świetle zachodzącego słońca. Wiedziała jednak, że nic z tego nie będzie, że gdyby tylko domyślił się, co jej chodzi po głowie, natychmiast by się rozgniewał, a nie chciała burzyć jego spokoju. Ale przynajmniej mogła nasycić się pięknem tej chwili.

- Musisz przyznać - odparła - że te króliki są prawie tak samo rozmowne jak ty.

- Do diabła, przecież przy tobie cały czas gadam jak najęty.

- Chyba musisz trochę częściej wychodzić i spotykać się z ludźmi, jeżeli nazywasz to gadaniem.

- Po co psuć niezłą przejażdżkę bezsensowną paplaniną? Wyboista ścieżka, którą do tej pory jechali, zmieniła się w równy, trawiasty teren

poprzecinany tu i ówdzie niewielkimi krzakami jałowca i kępkami agawy o wyschniętych łodygach, które przypominały sterczące maszty. Rachel szturchnęła klacz obcasem, zmuszając ją, by zrównała się z Chollą

Gdy się wreszcie odezwała, czuła, że serce zaczęło jej mocniej bić.

- Powiem ci, dlaczego. Bo w ten sposób dwoje ludzi może się lepiej poznać.

Zeke uciekł wzrokiem. Popatrzył na stado jeleni pasących się na zboczu wzgórza.

- Nie wiem, czemu mielibyśmy to robić, Rachel. Nie zamierzamy przecież czynić kolejnych kroków.

- Chodzi o jakąś kobietę? - zapytała cicho, a jej słowa zostały niemal stłumione przez odgłos stukających kopyt. - Która ma do ciebie jakieś prawa?

Zeke prychnął.

- Musiałaby być cholernie cierpliwa, bo od czternastu lat mieszkam w Marfie.

- To nie jest żadna odpowiedź.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią gniewnie. - Co za różnica?

- Kurcze, niech pomyślę - powiedziała z sarkazmem, którego nie mogła powstrzymać. - Może dlatego, że ostatnio wsadziłeś mi język niemal do gardła i podobało mi się, gdy dotykałeś moich piersi? Bo chciałabym czegoś więcej. Bo potrzebuję czegoś więcej, by oderwać się od tego ciągłego stresu i żalu, i bólu, które odczuwam od zeszłego roku.

Chciała też udowodnić sobie, że może w ogóle coś odczuwać, że ignoruje kolejne wiadomości od doktora Thomasa i nowej prawniczki, tylko dlatego, że wreszcie postanowiła zrobić coś ze swoim życiem.

- Ale chociaż bardzo tego pragnę - ciągnęła dalej - pragnę ciebie, nic z tego nie będzie, jeżeli jesteś żonaty albo zostawiłeś gdzieś rodzinę, by uciec od alimentów. Nie chcę żyć, mając kolejny grzech na sumieniu.

Pociągnął za lejce i zatrzymał się, patrząc na nią kamiennym wzrokiem.

- Tak właśnie myślisz? Że jestem jakimś nieodpowiedzialnym draniem, który zostawił własną...

- Wcale tak nie myślę. Ale już raz się pomyliłam, i to bardzo. Myślałam, że Kyle jest zupełnie niegroźny, może trochę próżny, trochę zbyt wygadany jak na dzieciaka w jego wieku. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że interesuje go coś więcej niż robienie zdjęć czy sztuka. A on... - Z całych sił zacisnęła powieki, by odsunąć od siebie myśli o zdjęciach, które była zmuszona obejrzeć. Zdjęciach, które Kyle rozesłał wszystkim swoim znajomym, gdy próby zmanipulowania jej się nie powiodły.

- Nigdy nie byłem żonaty i nie mam dzieci - powiedział opanowanym głosem, wbrew napięciu, które czuł pod skórą. - Ale nie myśl sobie, że masz prawo do jakichkolwiek pytań. Patsy ma rację, to nie może się udać, a ja byłem cholernym głupcem, wyobrażając sobie, że mogę...

Podniosła do góry rękę.

- Nawet cholerny głupiec potrzebuje od czasu do czasu przyjaciela. I jeżeli nie chcesz niczego więcej, jestem gotowa się na to zgodzić.

- Oczywiście, że chcę czegoś więcej! - krzyknął tak głośno, że aż Cholla odskoczył w bok. - Chcę tego, do czego nie mam prawa. A ty byłabyś głupia, gdybyś się na to zgodziła.

Candle była posłusznym wierzchowcem i na rozkaz Rachel natychmiast zawróciła. Z powrotem do domu Zeke'a.



- W takim razie nie będę marnować więcej twojego czasu. - Musiała być skończoną idiotką, myśląc, że między nimi było coś więcej niż zwykły fizyczny pociąg. Wszyscy, którzy ją ostrzegali, mieli całkowitą rację. Zeke Pike cenił sobie więzienie, które sam sobie stworzył, swoją mnisią celę i idiotyczne śluby szorstkości.

- Rachel, proszę...

Zwierzęta odwróciły się w kierunku, skąd dobiegł nagły stukot kopyt. Po wzniesieniu galopowały jelenie. Gdy dostrzegły jeźdźców, skierowały się na wschód, ale ich strach, choć oddalony o niemal trzydzieści metrów, okazał się zaraźliwy. Gus zaryczał i zaczął ciągnąć sznur w swoją stronę, Cholla próbował zawrócić do domu, a Rachel omal nie spadła na ziemię, gdy jej klacz nagle ruszyła z miejsca.

Przypomniała sobie starą lekcję jazdy konnej i pociągnęła głowę klaczy w bok, aż w końcu zaczęła truchtać wkoło i zatrzymała się.

- Nic ci nie jest? Myślałem, że spadniesz - zapytał Zeke, który zdążył opanować pozostałe zwierzęta.

- Ja też - przyznała Rachel. - Co mogło tak przestraszyć te jelenie?

- Pewnie kojoty. A może jednak weterynarz się mylił i w okolicy grasuje jakiś dziki kot.

Skóra jej ścierpła na myśl, że jakaś puma może być w pobliżu i polować na nich.

- Wracajmy. Konie i tak są przestraszone i jest już prawie ciemno. Poza tym ja...

Ale nie miała okazji dokończyć i przyznać, że też zaczyna się bać otaczającej ich ciszy i ciemności. Bo w tym momencie na wzniesieniu pojawił się drapieżnik i ruszył prosto na nich.

Drapieżnik, który w niczym nie przypominał tego, którego sobie wyobrażali.

RS

## *Rozdział 16*

*Udręki mej duszy nie pozwalały mi się zatrzymać  
dla chwili wytchnienia; każdy wypadek, jaki mi się zdarzył,  
podsyczał tylko moją wściekłość i pogłębiał cierpienie.*

Mary Shelley *Frankenstein*, przeł. Paweł Łopatka

Z początku Zeke nie mógł zrozumieć, co się dzieje i zmarnował wiele cennych sekund, gapiąc się na światła jadącego w ich stronę samochodu i wsłuchując w warkot jego silnika.

Kiedy zrozumiał, że był to samochód terenowy, usilnie szukał w głowie jakiegoś logicznego wyjaśnienia. Kłusownicy? Nastoletnie łobuzy szukające wrażeń i goniące dla zabawy za jeleniami? Próbował opanować wierzchowca i z całych sił krzyczał: „Zatrzymaj się”, machając przy tym rękoma, pewny, że kierowca zmieni kierunek jazdy, gdy tylko zauważy na dole jeźdźców. Nie bezbronne zwierzęta, ale ludzi.

Jednak duży ciemny pojazd nabierał prędkości i cały czas jechał w ich stronę. Gus usiadł na zadzie i zaczął ryczeć, a Cholla próbował się wycofać. Zeke rozejrzał się wokół i zobaczył, że srokata klacz pobiegła w stronę domu. Po chwili Rachel zdała sobie sprawę, że samochód przetnie ich drogę ucieczki. Klacz zaczęła kręcić się w kółko. W końcu wybrała drugą możliwość i ruszyła tam, gdzie pobiegły jelenie. Zeke widział, że z całych sił trzyma konia za szyję. Lejce dawno wypadły jej z rąk.

Pojazd prawie na niego wjechał, gdy nagle rozległ się głośny huk i samochód uderzył błotnikiem w grubą jukę. W jego przedniej szybie odbijał się krwawy zachód słońca i Zeke dostrzegł jedynie niewyraźną sylwetkę

kierowcy. Samochód nie mógł ruszyć z miejsca i, kręcąc kołami, próbował się cofnąć. Zeke zdał sobie sprawę, że musi jak najszybciej uciec i odnaleźć Rachel, zanim ta spadnie z konia.

Uwolnił Gusa, który od razu pogalopował do domu, i ruszył w kierunku, w którym pobiegła klacz. Głośny stukot końskich kopyt niemal zagłuszył odgłos wystrzału, który rozległ się tuż za jego plecami. Przypomniawszy sobie incydent z miejsca widokowego. Czy to był ten sam skurwiel, który już raz do niego strzelał? Chyba jednak nie, ten wydawał mu się mniejszy. Czy był z nim jakiś pasażer? Może nawet kilku?

Zeke nie czekał ani chwili dłużej. Pochylił tylko głowę i modlił się, by celność strzelca nie poprawiła się od ich ostatniego spotkania. Mógł wprawdzie zmusić Chollę do galopu, ale nie miał żadnych szans, gdy wokół padały strzały.

Rachel była w poważnych tarapatach. I to od chwili, gdy spanikowana klacz wyrwała jej z rąk lejce. Zaskoczona nagłym warkotem silnika i całkowicie oślepiąca światłem w miejscu, w którym nie spodziewała się żadnego pojazdu, przez chwilę straciła panowanie nad koniem. Candle wykorzystała moment jej nieuwagi i pozbawiła ją kontroli.

Rachel była całkowicie bezsilna. Czuła, że nie zdoła ich uratować. A ta ucieczka na oślep mogła zakończyć się tylko katastrofą.

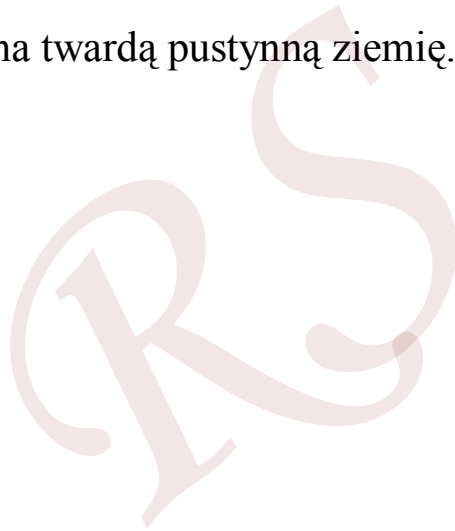
Z całych sił trzymała konia za szyję, aż w końcu chwyciła za grubą grzywę klaczy. Próbowała wymyślić jakiś sposób, by porozumieć się ze zwierzęciem i przerwać to szaleństwo, ale musiała skupić się na utrzymaniu równowagi. Klacz nagle zmieniła kierunek, by ominąć wystającą skałę, a potem skierowała się w stronę ciernistych krzewów.

Na pewno długo nie wytrzyma tego tempa, pomyślała Rachel. Słyszała, jak klacz głośno dyszy i czuła jej rozgrzaną skórę. Grzbiet, na którym siedziała, był cały zlany potem i zrobił się jeszcze bardziej śliski. Ale klacz pędziła dalej.

- Tylko nie przewróć się na mnie - Rachel błagała uciekiniera. - Trzymaj się na nogach, a ja będę trzymać się twojego grzbietu, dopóki się nie zmęczysz.

Świeżo ochrzczone Candle dotrzymała swojej części umowy. Za to Rachel z krzykiem spadła z jej grzbietu, gdy klacz wspięła się, by przeskoczyć przez krzak jałowca.

Krzyknęła i upadła na twardą pustynną ziemię.



## *Rozdział 17*

*Albowiem oko zbyt chciwe światłości,  
Samo się tylko zbytnim blaskiem mroczy,  
I zanim mędrak, gdzie światło jest, zbada,  
Na zgastych oczach noc ciemna osiada.*

William Shakespeare *Stracone zachody miłości*, przeł. Leon Ulrich

Pustynię ogarnęła ciemność. Krwawy zmierzch przybrał kolor dojrzałej śliwki, aż w końcu na niebie pojawiła się ciemna kopuła rozświetlona tysiącem gwiazd.

- Rachel! - krzyczał z całej siły Zeke. Zatrzymał konia, by posłuchać, czy nie odpowiada. Ale nie słyszał nic poza odległym wyciem kojotów. W pobliżu słyhać było nawoływania maleńkich karłowatych sów.

Nic więcej. Żadnego warkotu silnika i huku wystrzałów. Żadnych innych odgłosów, jeśli chodzi o ścisłość, także końskich kopyt. Panujący wokół mrok pogłębiał się, a rześkie suche powietrze nagle się ochłodziło.

Przypomniał sobie, że Rachel nie chciała wziąć od niego bluzy. A niedawno obudził go nad ranem lekki przymrozek. Szturchnął Chollę obcasem, zachęcając konia do kłusu, chociaż wątpił, by wierzchowiec cokolwiek widział w tych ciemnościach.

Po chwili okazało się, że miał rację. Koń potknął się, a Zeke niemal wypadł z siodła. Zatrzymał się i ponownie zawołał Rachel, modląc się, by była na tyle blisko, żeby go usłyszeć.

A może jest gdzieś w pobliżu, tylko mnie nie słyszy, pomyślał. Może nie słyszy już nikogo. Wyobraził sobie, że widzi ją w kałuży krwi, z mózgiem roztrzaskanym na skale i ciałem wygiętym pod ciężarem klaczy.

Zadrzał, pomimo że był zlany potem.

- Rachel! - krzyknął z całych sił. - Do diabła, Rachel, odezwij się. Cholla, zdenerwowany jego nagłym wybuchem, zaczął nerwowo krążyć w miejscu i odrzucił do tyłu głowę. Zeke próbował opanować coraz bardziej przestraszonego konia. I samego siebie.

Po chwili jego strach zamienił się w złość. Był wściekły na tego psychopata, podejrzewał, że był to prześladowca Rachel, który najpierw próbował ich rozjechać, a potem zaczął do niego strzelać. Na Kyle'a Underwooda za to, że dał się zabić i spowodował tyle problemów. Nawet na Rachel, która twierdziła, że będzie jej ciepło i uparła się, by jechać na oklep...

Za to, że czuł się za nią odpowiedzialny, chociaż zapomniał już, co to znaczy opiekować się drugą osobą. Zapomniał, jak bardzo to boli...

Był głupi, że pozwolił jej się do siebie zbliżyć. Wystarczyło już to, że kompletnie oszalał na jej punkcie i nie myślał o niczym innym. Chciał tylko dotknąć jej ciepłej skóry i jedwabście gładkich włosów, poczuć ją całym sobą i wejść w nią z taką siłą, by jego zamarznięte wnętrze rozbłysło jasnym światłem. Ale to, że pozwolił, by jej uśmiech dotarł do wnętrza jego duszy, że chciał z nią rozmawiać, to już było czyste szaleństwo. To była śmierć, albo jeszcze gorzej, świadomość, że jego obecne życie było tylko okrutnym żartem, drwiną z tego, jak mogło wyglądać prawdziwe życie.

Ale przede wszystkim był wściekły na samego siebie. Zaklął tak głośno, że koń, na którym jechał, przeraźliwie zarżał. Cholla próbował zawrócić i uciec do domu, gdzie czekało na niego ciepłe siano, jedzenie i towarzysze z pastwiska.

Do domu, dokąd mogła przecież wrócić srokata klacz, niosąc na grzbiecie Rachel.

Czy Candle faktycznie wróciła do bezpiecznego schronienia, jak zapewne zrobiłaby większość koni? Może Rachel już tam na niego czekała?

Uczepił się tej wizji ze wszystkich sił. Rachel cała i zdrowa, może nieco roztrzęsiona. Zająłaby się jego zwierzętami i co jakiś czas spoglądała w ciemną noc. Przykładałaby dłonie do ust i wołała jego imię.

Czy mógł ją tu usłyszeć? Czy jej głos mógł nieść się aż tak daleko?

Zmusił się, by stanąć w całkowitym bezruchu jak ciemna noc, która otaczała go z każdej strony. Z całych sił próbował opanować strach i wściekłość. Koń też się uspokoił. Aż w końcu słyhać było jedynie ich oddechy.

I ciche rżenie innego zwierzęcia, które było tuż obok w ciemnościach.

Cholla zrobił krok do przodu i zarżał, witając swoją towarzyszkę z pastwiska.

- Rachel - krzyknął z nadzieją w głosie Zeke. Poczuł, jak jego spokój rozpada się na małe kawałki.

Odpowiedziało mu jedynie nierówne człapanie końskich kopyt, stąpających po twardej ziemi. Cholla poruszył się niespokojnie i, wyciągając szyję, ruszył do przodu.

Chociaż księżyc nie pojawił się jeszcze na niebie, blask miliona oddalonych od ziemi słońc oświetlił zbliżającą się ciemną postać. Była to srokata klacz.

Sama, bez jeźdźca.



## *Rozdział 18*

*Nocą i dniem na oścież jest otwarta  
brama Mrocznego Disa,  
Lecz zawrócić kroki stamtąd  
I znów się wymknąć w przestworza pod słońcem  
- to jest trud, to jest zadanie.*

Wergiliusz *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak

Rachel się ocknęła. Było tak zimno, że cała się trzęsła. Czuła, że bola ją od tego wszystkie kości.

Nie, nie od tego. A przynajmniej nie tylko. Podczas upadku jej lewe ramię przeszył dotkliwy ból, a w czaszce pulsowało światło, które wybuchowało ze zdwojoną siłą za każdym razem, gdy próbowała poruszyć głową.

Wiedziała jednak, że musi podnieść się z piachu i odepchnęła się prawą ręką od ziemi. Z trudem usiadła, a przed oczami zamigotały jej ostrzegawcze światełka.

Czekała, aż minie ból i fala mdłości. Wokół panował taki mrok, że zastanawiała się, czy przypadkiem nie oślepla. Lekarz ostrzegał ją, że powinna na siebie uważać, że kolejny upadek, po tym ostatnim wstrząsie, może mieć poważne konsekwencje. Zaniki pamięci, wahania nastroju, śpiączka, a nawet śmierć. A wzrok to też funkcja mózgu, prawda? I to ta, która pozwala jej robić zdjęcia, szybować i widzieć ludzi, których kocha.

Przed oczami stanęli jej ojciec i babcia. Nawet Patsy i, co jeszcze bardziej zaskakujące, Zeke Pike.

Gdzie był Zeke? Czy jego koń również wystrzelił jak z procy, gdy zobaczył nadjeżdżającą z rykiem terenówkę? Oblała się zimnym potem na myśl, że samochód mógł Zeke'a staranować. I to wszystko przez nią.

Zamrugła oczami i zauważyła jasną łunę przecinającego niebo meteorytu. Kiedy łuna zniknęła, Rachel spojrzała w górę i dostrzegła tysiące gwiazd migoczących na zimnym niebie. Było ich o wiele więcej i świeciły o wiele jaśniejszym blaskiem niż te, które zdobiły niebo nad oświetlonym latarniami Wschodnim Wybrzeżem. Widząc miliony gwiazd po obu stronach Drogi Mlecznej, upewniła się, że jednak nie straciła wzroku.

Westchnęła i poruszyła palcami, by pobudzić krążenie w zlodowaciałych dłoniach. Zapięła kurtkę, potarła ramiona i z wysiłkiem podniosła się na nogi. Zachwiała się. Widoczne w górze światła rozmazały się, a nocne sklepienie zadrżało. Stała mocniej na nogach i w końcu udało jej się zachować równowagę. Poczula przenikliwy chłód i ruszyła przed siebie.

Ale gdzie miała pójść? Pomimo jasnego światła gwiazd, nie widziała, dokąd idzie. Szła więc małymi ostrożnymi krokami. Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna się kierować. Nie potrafiła ocenić, czy zbliża się do domu Zeke'a, czy też się od niego oddala, czy idzie w stronę małego lotniska i miasteczka, czy w stronę gór. Próbowała wyobrazić sobie otaczający ją teren, te dziesiątki kilometrów pustkowia, które tak często widywała z lotu ptaka. Na takim odludziu nietrudno było przeoczyć jeden z nielicznych bastionów cywilizacji i powędrować bez celu w otchłań zapomnienia.

Ale musiała iść do przodu, żeby nie czuć zimna. Zaczęła się modlić, by Zeke wrócił do domu cały i zdrowy, wsiadł do samochodu i pojechał po pomoc.

Kto wie, ile czasu leżała nieprzytomna? Może ktoś już organizuje ludzi do pomocy? Może już jej szukają, świecą w ciemnościach latarkami? A może jest bliżej domu Zeke'a, niż jej się wydaje?

Przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła:

- Zeke, gdzie jesteś? Zeke? Ktokolwiek?

Nie pomyślała nawet o tym, że „ktokolwiek” może wezwać osobę, która próbowała ją skrzywdzić. Nie sądziła, że może mieć aż takiego pecha, dopóki nie ujrzała przed sobą świateł samochodu.

RS

## *Rozdział 19*

*Kto jest większym głupcem, dziecko, które boi się mroku,  
czy dorosły, który boi się światła?*

Maurice Freehill

Bliźniacze światła. Podobne do świateł samochodu, jedyna różnica, że te unosiły się nad pustynią jak dziecięce baloniki. Poszybowały do góry i połączyły się w całość, gdy jedna z kul wchłonęła drugą.

Takie ciche i takie piękne. Światło powiększyło się, wirując, a potem uniosło nad ziemią i rozszczepiło na tysiące rozświetlonych kul.

Obserwator odłożył lornetkę i się uśmiechnął. Gdy widział tajemnicze światła, odczuwał niemal seksualną przyjemność. Jakby strzały i rozlana krew zaspokajały ich wściekłą żądzę.

W najdalszych zakamarkach pamięci, gdzie kryły się koszmary, ustał szloch Dziecka. Zamienił się w radosne wycie oddalonych kojotów.

Na horyzoncie pojawił się sierp księżyca, który przeciął noc swoim sadystycznym uśmiechem.

To beznadziejne. To nie ma sensu...

Ale Zeke czuł, że nie może się poddać i tak po prostu odjechać. W głowie próbował naszkicować sobie mapę okolicy, by nie pogubić się w otaczających go ciemnościach. Przez kilka godzin jechał po wymyślonych trasach, prowadząc oba konie i co jakiś czas zatrzymując się, by zawołać Rachel.

Kontynuował jazdę długo po tym, gdy stracił wszelką nadzieję, że jeszcze usłyszy jej głos. Jeśli przerwie poszukiwania i pozwoli, by konie

zaprowadziły go do domu, nie będzie miał innego wyjścia, jak wsiąść do furgonetki i pojechać do miasta po pomoc. Trzeba będzie wezwać szeryfa i zorganizować poszukiwania, które rozpoczęłyby się dopiero o świcie. Może więc równie dobrze szukać dalej, mając nadzieję, że jeszcze ją znajdzie.

A może chciał po prostu uniknąć spotkania z jej rodziną. Na myśl o rozmowie z Patsy coś ścisnęło go w gardle. Wprawdzie żywiła mieszane uczucia do swojej pasierbicy, ale na pewno by mu nie podziękowała. za to, co się stało. A Walter Copeland, którego miłość do córki była tak oczywista, jakby nosił ze sobą olbrzymią flagę z napisem „Kocham cię”? Niezależnie od tego, co szeryf miałby do powiedzenia, Walter na pewno nie czekałby do rana. Od razu wróciłby z Zekiem na pustynię i gdyby było trzeba, przeszukałby cały teren na czworakach.

Ale on miał do tego prawo. Copeland miał o wiele większe prawo do tych bezowocnych poszukiwań i do samej Rachel, niż Zeke kiedykolwiek będzie miał. Pochylił głowę, sięgnął po siodło Cholli i wskoczył na konia gotowy ruszyć do domu.

Siedząc w siodle, widział o wiele więcej. Wciągnął głęboko powietrze i się zająknął.

- O kurcze...

Po prawej stronie migotały jasne świetliste kule. Unosiły się nad ziemią, zlewały w całość, zmieniały kolor i ponownie rozdzielały.

W ciągu tych wszystkich spędzonych na pustyni lat, Zeke nieraz miał okazję zobaczyć tajemnicze światła, z których słyęła Marfa. Ale nigdy nie widział ich w tej okolicy ani z tak bliska, zaledwie jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym się znajdował. Były na tyle blisko, że bez problemu mógł do nich dotrzeć.

Martwił się o Rachel, ale światła w dziwny sposób przyciągały go do siebie. Ile razy zastanawiał się nad tym, skąd się biorą? Ile razy chciał się im bliżej przyjrzeć?

Klacz nerwowo pociągnęła za sznurek, dając mu do zrozumienia, że nie jest entuzjastką tego pomysłu. Cholla też ruszył w bok, nie słuchając poleceń Zeke'a.

Podдай się. Zimne i pozbawione nadziei słowa wibrowały w ciemnościach, wskazując mu najłatwiejszą drogę, którą doskonale znał. Porzuć rodzinę i nadzieję, że możesz jeszcze oczyścić swoje imię. Zaniechaj wszelkich prób budowania przyjaźni czy prawdziwego życia, używając tego czy tamtego imienia.

Daj sobie spokój z Rachel Copeland, która jest poza twoim zasięgiem, nawet wtedy, gdy stoi tuż obok. Najlepiej wychodzi ci poddawanie się. Jesteś w tym prawdziwym ekspertem. Najlepiej gdy stoisz z boku, czekając, aż śmierć wszystko rozwiąże albo zakopujesz problemy głęboko pod ziemią.

- Do diabła, dzisiaj tak nie będzie - powiedział.

Jeżeli światła przyciągnęły jego uwagę, to może zwabiły również Rachel? Modląc się o to w duchu, zmusił Chollę do jazdy w kierunku migotania, które wydawało się o wiele bardziej nieodgadnione niż złowieszcze spojrzenie księżyca.

Jedno po drugim światła zaczęły znikać. Najpierw żółte, potem różowe, białe. Na końcu zgasła zielona kula. Zniknęła, wydając odgłos przypominający szloch.

Ale płacz nie ustawał. Unosił się w zimnym powietrzu, jak delikatne smugi pary wydobywające się z nozdrzy Cholli. Aż w końcu Zeke zdał sobie sprawę, że był to płacz człowieka.

- Rachel! Rachel, czy to ty?

Serce waliło mu jak oszalałe, ale zamarł w miejscu, by usłyszeć, skąd dochodzi szloch.

- Zeke. O Boże, Zeke. Gdzie jesteś?

RS

## *Rozdział 20*

*Mieszkańcy Marfy twierdzą, że światła obdarzone są czuciem i lubią się drażnić. Często bowiem wycofują się i znikają, gdy ktoś za nimi podąża. Mówi się nawet o tym, że niekiedy światła „komunikują się” z ludźmi, którzy zgubili się na pustyni i pomagają im dotrzeć w bezpieczne miejsce.*

Elizabeth Farnum *Curious Customs of the Lone Star State*

(Ciekawe zwyczaje Gwieździstego Stanu)

Czwartek, 13 marca

Rachel oparła głowę o plecy Zeke'a i mocno go objęła dla bezpieczeństwa, ale też by poczuć jego ciepło. Jechali razem, bo Zeke nie pozwolił jej, żeby w tym stanie sama wsiadła na konia. Wspomniał też, że Candle utyka na jedną nogę.

- Mów do mnie - nalegał.

Chciała zaniknąć oczy i rozkoszować się jego głębokim, mocnym głosem. Powoli przestawała się trząść.

- Rachel, słyszysz mnie? - Nie poddawał się. - Wiem, że jesteś ranna, ale musisz odpowiadać na moje pytania.

- Słyszę. - Mocniej ścisnęła jego brzuch. Był twardy jak dąb i stanowił namacalny dowód, że to nie jej wyobraźnia, że on faktycznie istnieje. Z prawego oka spłynęła jej łza. - Nie wymyśliłam sobie ciebie? Nie rozpląniesz się w powietrzu jak te światła?



Przestraszyła się na myśl, że zaraz zniknie spokój, który poczuła, gdy zdała sobie sprawę, że to nie reflektory samochodu pojawiły się wtedy w ciemnościach.

- Nie mam takiego zamiaru - zapewnił ją. - Już niedługo będziemy u mnie. Umyjesz się i odwiozę cię do domu.

- Mam przecież swój samochód - powiedziała, czując, że kręci jej się w głowie.

- Nie będziesz prowadzić, Rachel, nie po tym, jak straciłaś przytomność. Powinienem zabrać cię do szpitala w Alpine, by cię dokładnie przebadali.

- Nie - zaprotestowała stanowczo, wyobrażając sobie kolejne rachunki, na które nie było ją stać. - Czuję się o wiele lepiej. Jestem tylko trochę obolała. I zmarznięta.

- Czuję, że cała drżysz - powiedział. - Widzisz, trzeba było wziąć jeszcze jedną kurtkę.

Zdjął swoją i nie zważając na jej protesty, zarzucił jej na ramiona.

- Żadne z nas nie mogło tego przewidzieć. Co się właściwie stało, Zeke? Czy ten samochód prowadziła kobieta? Ta wariatka z Filadelfii chciała mnie przejechać?

- Trudno powiedzieć, nie przyjrzałem się. Byłem zbyt zajęty ucieczką przed kulami.

- Kulami? Ktoś do ciebie strzelał? - Próbowała przypomnieć sobie swoją szaloną przejażdżkę, ale nie pamiętała żadnych innych odgłosów poza stukotem końskich kopyt uderzających w twardą ziemię.

- Tak, ale samochód w końcu utknął na tak długo, że zdołałem uciec. Po chwili słyszałem, jak odjechał. Chyba z powrotem do miasta.

- Rozpoznałeś ten samochód?

- Nie, ale nie przyjrzałem mu się zbyt dobrze. Na początku myślałem, że to jakieś miejscowe dzieciaki, które wybrały się na przejażdżkę i dla zabawy chciały pogonić jelenie.

- Niezła zabawa - powiedziała, zbyt zmęczona, by zwrócić uwagę na jego wąpiący ton. - Cholerne dupki. Ale gdyby natknęli się na nas przez przypadek, zawróciliby i odjechali, prawda? A oni jechali prosto na nas.

- I strzelali - dodał Zeke. - Może chcieli nas tylko nastraszyć. Może chcieli postrzelać w niebo, a nie w nas. Nie mogłem jednak dłużej czekać i ryzykować.

Przytuliła się jeszcze mocniej, przyciskając policzek do jego pleców i wsłuchując w mocne i regularne bicie jego serca. Był to rytm, na którym mogła polegać tak jak na jego silnych mięśniach i rozgrzanym ciele.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś. Nie chciałabym, żebyś cierpiał z mojego powodu.

- Nie wiemy, czy to miało coś wspólnego z tobą. Jest jeszcze ten facet, który strzelał do mojej furgonetki. Poza tym szeryf mówił, że nie ma w okolicy osoby, która do ciebie wydzwaniała.

- Chciałam w to wierzyć, ale teraz... Naprawdę myślisz, że kobieta, która była na tyle zdesperowana, by przejechać trzy tysiące kilometrów, wykonałaby jeden telefon i wróciła do domu?

- Nie widziałem zbyt dobrze kierowcy, ale wydaje mi się, że był raczej niewysoki. Być może kobieta.

Rachel zamknęła oczy i głośno westchnęła.

- Mogła nas oboje zabić. Minęłoby sporo czasu, zanim ktokolwiek by nas znalazł.

- Ktoś na pewno zacząłby cię szukać.

- Nie dzisiaj. Powiedziałam babci, że jadę do przyjaciela. Długo mieszkała sama i jest do tego przyzwyczajona. Zawsze kładzie się wcześniej spać. Pewnie położyła się przekonana, że niedługo wrócę. A ja nie wspomniałam, do kogo się wybieram. - Uśmiechnęła się i dodała: - Chociaż, jak się nad tym zastanowić, jesteś tutaj moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

- Nie chce mi się w to wierzyć. Wzruszyła ramionami.

- Nie byłam zbyt popularna w szkole średniej. I jak się okazuje, niektórzy nie potrafią o pewnych sprawach zapomnieć. Zresztą nawet gdybym była królową balu, to kto chciałby się przyjaźnić z morderczynią? Może i zostałam uniewinniona, ale cała sprawa była bardzo nieprzyjemna.

- Szkoda, że ten dupek nie żyje. Sam chciałbym go zabić.

- Dzięki. To chyba najbardziej rycerska propozycja, jaką słyszałam. Ale wierz mi, nie warto. Nie życzyłabym tego... - Wymazała z pamięci nie tylko tamten wieczór, ale także to, co działo się później, gdy dowiedziała się, że biuro prokuratora chce jej postawić zarzuty i zamierza wykorzystać przeciwko niej zdjęcia, które Kyle sfabrykował, kłamstwa, które pustoszyły jej duszę za każdym razem, gdy zmuszona była na nie patrzeć. Okazało się, że zostały rozpowszechnione w sieci, a jej skrzynka odbiorcza pękała w szwach od wiadomości, przez które czuła się tak, jakby została publicznie zgwałcona. Zmuszona była wysłuchiwać krytycznych uwag na temat swojej „roli” jako początkującej gwiazdki porno. - Nikomu nie życzyłabym tego, przez co musiałam przejść.

Ponieważ nie usłyszała odpowiedzi, zaczęła rozmyślać o swoim wstydzie i strachu, pozbawiona nadziei, że kiedykolwiek uda jej się od tego

uciec. Po jakimś czasie musiała się zdrzemnąć, ponieważ następną rzeczą jaką usłyszała, był szept Zeke'a.

- Udało się. Jesteśmy w domu, to znaczy u mnie.

Otworzyła spuchnięte oczy i dostrzegła światło migoczące w oknie fabryki, w części, w której mieszkał Zeke.

- Zejdźmy z konia - powiedział. - Pomogę ci wejść do środka, żebyś się trochę ogrzała.

Gdy stanęła na ziemi, poczuła, że się chwieje, lecz po chwili Zeke chwycił ją i uniósł do góry.

- Nie musisz mnie nieść. Mogę iść sama.

- Wiem, że możesz. - Przytulił ją jeszcze mocniej, a jego głos brzmiał wyjątkowo łagodnie, jak na tak dużego mężczyznę. - Ale nie musisz. Nie teraz.

Otworzył czerwone drzwi do swojego mieszkania i wniósł ją do środka. Myślała, że posadzi ją na którymś z krzeseł przy kuchennym stole, ale on minął kuchnię i położył Rachel na łóżku, a potem zdjął jej buty.

Odgarnął jej włosy z twarzy i okrył kocem.

- Odpocznij chwilę i postaraj się rozgrzać. Rozpalę ogień w piecyku i wyjdą na chwilę na zewnątrz.

- Co ze zwierzętami?

- Cholla jest cały, a Gus dotarł bezpiecznie do domu. Szwy wytrzymały.

- A Candle? Nic jej nie będzie?

Zeke włożył do piecyka kawałki starych pogniecionych gazet.

- Zrobię, co tylko będę mógł. Nie martw się.

Nie martw się. Takie proste słowa, a dawały tyle ukojenia. Rachel pomyślała, że nie potrzebowałyby żadnych tabletek nasennych ani nawet doktora Thomasa, gdyby wtedy w Filadelfii miała przy sobie kogoś, kto mówiłby jej takie rzeczy. Kogoś, kogo znała i komu mogła zaufać. Kogoś, kto by się nią zajął, żeby mogła odpocząć.

Chciała na niego poczekać, ale musiała znowu zapaść w sen. Obudziła się, słysząc, że Zeke kręci się po mieszkaniu. W piecyku trzaskał ogień i poczuła ostry zapach dymu i uderzający do głowy zapach żywicy, który przypomniawszy jej ogniska z dzieciństwa.

Usłyszała szum wody, a potem zbliżające się kroki Zeke'a. Popatrzyła na niego zaspanymi oczami i zobaczyła, że niesie parującą miskę i kilka ręczników.

- Ciepłej ci już? - zapytał, stawiając naczynie na krześle przyniesionym z kuchni.

- O wiele - powiedziała, zdając sobie nagle sprawę, jak wygodnie jej było pod kocem, przynajmniej do chwili, gdy się poruszyła. Wtedy poczuła ostry ból.

- Głowa? - zapytał

- Mhm, tak, ale przede wszystkim lewe ramię. Upadłam na nie.

- Poczekaj, zaraz wrócę. - Po chwili zjawił się ze szklanką wody i środkiem przeciwbólowym. - To ci nie powinno zaszkodzić, nie jest na receptę.

- Super. - Próbowała podnieść się do góry, ale ból przeszył ją na wylot.

Gdy Zeke usiadł na krawędzi materaca, łóżko aż zaskrzypiało w proteście. Rachel wstrzymała oddech.

Odstawił szklankę i tabletki, a potem wsunął rękę pod jej plecy.

- Gotowa?

Pokiwała głową a Zeke pomógł jej usiąść i poprawił poduszki.

- Tak jest dobrze-westchnęła. Podał jej szklankę i lekarstwo.

Wypiła wodę do ostatniej kropelki i otarła dłonią usta.

- Nie wiedziałam, że aż tak chciało mi się pić.

- Chcesz jeszcze?

- Nie, dziękuję. Aha, zapomniałam zapytać, co z Candle.

- Zgubiła podkowę i rozcięła kopyto. Nic poważnego, ale założyłem jej ochraniacz. Jutro zadzwonię po kowala. Myślę, że za kilka dni wszystko będzie w porządku.

Rachel odetchnęła.

- Cieszę się. Strasznie się bałam, że złamię sobie nogę. Galopowała zupełnie na oślep.

- Miała cholernie dużo szczęścia, ona i ty. My wszyscy.

Zielone oczy wpatrywały się w nią z taką uwagą, aż poczuła, że się rumieni.

Zanurzył czubek palca w parującej misce.

- Woda już się ostudziła. Trzeba cię umyć.

Poczuła dreszcz i skurcz w dole brzucha. Przypomniała sobie, że leży w jego łóżku, że są tak blisko, zupełnie sami. Przełknęła głośno ślinę.

- Myślę, że powinnam pojechać do domu — odezwała się cichym głosem.

Zanurzył ręcznik w ciepłej wodzie.

- Masz brudną twarz - powiedział. -I nie powinnaś prowadzić.

- Powinnam przynajmniej zadzwonić.

- Jest już po pierwszej. - Wycisnął ręcznik i przyłożył ciepły wilgotny materiał do jej obtartego policzka. - Twoja babcia na pewno już śpi.

Rachel opadła na poduszki i pozwoliła, by umył jej twarz i ręce. Przed tym właśnie ostrzegała samą siebie. Inni też ją ostrzegali. Ale nic jej to nie obchodziło. Ogień trzaskający w piecyku przypominał zimny płomień w porównaniu z jego rozpalonym spojrzeniem.

Pochyliła się do przodu i zdjęła obydwie kurtki. Ale na tym nie skończyła. Uwolniła ręce z koszulki i zdjęła ją przez głowę.

W jej spojrzeniu dostrzegł wyzwanie, na przekór wcześniejszym zaprzeczeniom i logice, która kierowała nimi w świetle dnia. Wydarzenia z przeszłości, które uczyniły jej przyszłość tak niepewną, nie miały w tej chwili żadnego znaczenia. Ani to, że jego pochodzenie było kompletną niewiadomą. Liczyło się tylko to, że czuła się bezpiecznie właśnie w tym miejscu i z tym mężczyzną, po raz pierwszy od cholernie długiego czasu. Była bezpieczna, było jej ciepło i była bardzo podniecona...

Zeke nie zepsuł tej chwili żadnymi słowami. Jego spojrzenie powędrowało w dół. Uśmiechnął się lekko, odpinając jej stanik.

Zdjął go ostrożnie, uważając, by jej nie dotknąć. Patrzył na nią z taką czcią, jakby była świętą relikwią.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał i w milczeniu przyglądał się, jak zsunęła koc i ostrożnie zdjęła dzinsy, a potem majtki.

Chociaż była zupełnie naga, czuła, że robi jej się gorąco, a skóra, napięta i brudna, pokryta jest piaskiem pustyni i jej własnym pożądaniem.

- Umyjesz mnie? - zapytała.

- Boże - jęknął, ponownie zanurzając ręcznik w wodzie.

A potem umył każdy centymetr jej ciała. Powoli i dokładnie, jakby odbywał pokutę za grzechy.

Ale kiedy wycierał ją suchym ręcznikiem, nie wytrzymał dłużej. Rzucił się do jej ust, a ręką odszukał piersi. Szlochając, odwzajemniła pocałunek, a jej plecy wygięły się w spazmatycznym łuku.

Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i wsunęła pod spód ręce, by pozwolić swoim głodnym dłoniom na wędrówkę po jego rozpalonym ciele. Czowała, jak pod powierzchnią skóry pracują jego mięśnie, gdy przesuwiała palcami po jego plecach i mruzczała z rozkoszą, gdy pieścił jej szyję i wilgotne jeszcze piersi, aż sutki stały się twarde.

Szybko odpięła guziki jego koszuli, by dotknąć nagiego torsu, który tak uważnie studiowała na zdjęciach, dla dobra sztuki rzecz jasna. Ale dotyk jego twardej, umięśnionej klatki piersiowej, pokrytej sztywnymi włosami, pod którymi wyczuwała mocne bicie serca, był o wiele lepszym afrodyzjakiem niż jakakolwiek fotografia.

Gdy zaczął delikatnie muskać jej ramiona, nie mogła złapać tchu, a potem... Wzniosła się ponad chmury, gdy zbliżył usta do jej piersi.

Odrzuciła głowę w tył i całkowicie oddała się przyjemności, która przeniosła ją w zupełnie inne miejsce, nie widziała już trzaskających w piecyku płomieni i miękkiego posłania, nie czuła bólu spowodowanego upadkiem. Kiedy nagle przestał, miała ochotę się rozplakać, ale zobaczyła, że podniósł się tylko po to, by zdjąć spodnie.

Jego tors był dziełem sztuki, ale całe ciało stanowiło prawdziwą świątynię. Patrzyła na jego umięśnione uda, naprężony brzuch i czuła, że ciało jej płonie, roztopia się, a ostatnie wątpliwości ulatują. Jej umysł



opanoowało jedno pragnienie. Dotykać, smakować, przyjąć wszystko, co miał jej do zaoferowania.

Nagle dostrzegła w jego spojrzeniu wahanie, które wyraźnie walczyło z pragnieniem.

- Rachel - powiedział - To nie jest... Nie powinnaś...

Przyciągnęła jego rękę do ust i pocałowała ją, a potem przesunęła koniuszkiem palca po jego męskości.

Cokolwiek miał jej do powiedzenia rozplynęło się w jęku czystego pożądania. Położył się na niej, a ich ciała splotły się, desperacko i w pośpiechu szukając kontaktu, by zdrowy rozsądek nie zwyciężył nad ich pożądaniem.

Odszukał palcami jej łono, doprowadzając ją do szybkiego, gwałtownego orgazmu. Zanim zdążyła ochłonać, wsunął głowę między jej uda i chciwie pieścił to samo miejsce językiem. Szlochała z rozkoszy i przesunęła się, by odwzajemnić jego pieszczotę.

A to, co robili, nie wydawało się ani brudne, ani złe. Gdy smakowali siebie nawzajem i gdy wreszcie mocno i gwałtownie w nią wszedł. Te same obrazy, które pornografia zamieniała w plugawe zdjęcia, miały teraz zupełnie inny wymiar, jakby działo się coś nieuniknionego i bardziej odwiecznego niż pustynia.

Tak powinno być, pomyślała, gdy pograżyli się w ciemnościach, które chwilę potem rozbłysły jasnym światłem gwiazd, księżycą i radością tak doskonałą, że wszystko inne pokryło cię mrocznym cieniem.

## *Rozdział 21*

*Wierzę, że w sercu każdego człowieka kryje się coś,  
co nazywam „dzieckiem ciemności”, które jest równie ważne  
jak bardziej oczywiste „dziecko światła”.*

Laurens van der Post *The Dark Eye of Africa* (Czarne oko Afryki)

Zeke nie pamiętał, kiedy po raz ostatni spał przytulony do kobiety. Obejmował ją mocno ramionami i oddychał w rytm jej oddechu. Oddawał jej ciepło swojego ciała, swoją poduszkę, całkowicie zrelaksowany jak człowiek, który się w pełni nasycił.

Ale wszystko się skończyło zbyt szybko. Poruszył się, wyczuwając, że ma obok ciepłą i chętną kobietę. Po chwili zdał sobie sprawę, że to nie była byle jaka kobieta, tylko Rachel. Rachel Copeland, naga w jego łóżku.

Zaczął całować jej włosy i pieścić piersi. I wszystko zepsuł. Obudziła się cała zeszywniała.

- Wynoś się, Kyle. Zostaw. Co ty robisz...

- Rachel, to ja, Zeke - rzucił w ciemność, którą rozjaśniał jedynie błądy płomień z piecyka. - To tylko ja. Wszystko w porządku.

Po chwili usłyszał, jak głośno oddycha.

- O Boże, chyba miałam jakiś zły sen, przepraszam.

- Nie musisz za nic przeproszać. - Miała prawo mieć koszmary. Gdyby tylko mógł, wymazałby je wszystkie pocałunkiem. Ale wiedział, że nic z tego nie będzie. Wczorajszej nocy popełnił błąd, gdy przyjął to, co mu zaoferowała. Nie mógł iść dalej tą ścieżką.

- Która godzina? - zapytała. Była już zupełnie rozbudzona. Zobaczył światełko na jej zegarku i maleńkie cyfry, które wskazywały piątą czterdzieści trzy.

- O nie - powiedziała. - Babcia niedługo wstanie i jak zobaczy, że mnie nie ma, na pewno się przestraszy.

Rachel odrzuciła kołdrę i jęknęła, próbując się podnieść.

- Au, zapomniałam.

- Co jest? - zapytał.

Usiadł i położył rękę na jej karku, by rozmasować napięte mięśnie.

- Zabolało mnie ramię, gdy się na nim oparłam. A teraz czuję, że głowa też mnie boli.

- Powinienem zawieźć cię do szpitala. To może być coś poważnego.

- Nic mi nie będzie. Jestem tylko trochę potłuczona. Ale muszę już się zbierać.

Zeke sięgnął po spodnie.

- Odwiozę cię.

- Nie trzeba - powiedziała ostrym tonem, ale po chwili delikatnie dotknęła jego dłoni - Posłuchaj, Zeke. Wczorajsza noc była okropna i przerażająca i...

- Świetnie. To właśnie chce usłyszeć każdy facet - powiedział sucho.

- Ale to, co wydarzyło się później między nami, było cudowne. To właśnie chciałam powiedzieć, zanim wtrąciło się twoje męskie ego.

- W końcu nieźle mu się oberwało.

Pogłaskała go po policzku i musnęła ustami jego wargi. A Zeke chciał ją całować bez końca i zalać kolejną falą pożądania, by zapomniała o swoim pośpiechu.

Odsunęła się gwałtownie.

- To było cudowne - powiedziała. - Jedyne światełko nadziei w ciągu tej ponurej nocy. Tak naprawdę to całego ponurego roku. Ale nie jestem na to gotowa. Nie na coś poważnego.

- Wcale cię o to nie proszę, Rachel. - Przełknął głośno ślinę. - Nie mam prawa. Ale możemy przecież...

- Będę z tobą szczerą. - Zaczęła zbierać swoje ubranie, unikając jego wzroku. - Nie chcę wpadać tu od czasu do czasu na szybki numer, to mnie nie interesuje. Gdzie tylko spojrzę, widzę wokół siebie same problemy. Ktoś mi grozi, czeka mnie kolejna rozprawa, nie wspominając już o zwyczajnych problemach rodzinnych. Nie mam po prostu siły, by jeszcze bawić się w coś takiego. Nie mogę z jednej strony się angażować, a z drugiej nie. Nie potrafię myśleć tylko o seksie, musiałabym cię lepiej poznać.

Zeke zdążył się tego domyślić. Mówił sobie, że Rachel Copeland nie jest z gatunku kobiet, które zadowolą się seksem bez zobowiązań. Problem polegał na tym, że kobiety, które godziły się na takie warunki, zupełnie go nie interesowały.

- I tak już przysporzyłam rodzinie wystarczająco dużo zmartwień. - Włożyła parę kuszących blad różowych majtek. - Kiedy usłyszą o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy na pustyni, zwariują. Szczególnie ojciec.

Chcąc zaoszczędzić jej bólu, odwrócił ją tyłem i wbrew protestom własnego ciała zapiął jej biustonosz.

- Rozumiem. Po tych telefonach i twoim wypadku bardzo trudno uwierzyć, że nasze wczorajsze spotkanie z tym SUV-em było przypadkowe.

- Zadzwońię do szeryfa. Na pewno będzie chciał porozmawiać też z tobą. Może nawet uda mu się to powiązać z tym facetem, który wtedy strzelał do twojej furgonetki.

- Ale wolisz, żeby Castillo nie dowiedział się, że byłaś ze mną tej nocy. - Zabolało go, że był tego typu kochankiem. Niewidzialnym. Takim, którego się szybko odprawia i o którym się zaraz zapomina. Dlatego tak długo próbował zachować celibat.

Odwróciła się do niego.

- Nie wstydzę się tego, że byłam z tobą. A już na pewno nie proszę cię, byś kłamał i bronił mojej reputacji.

- Ale jeżeli nikt o tym nie wspomni...

- Tak będzie prościej, nie sądzisz? - I dodała ze śmiechem: - I nie będziesz się musiał obawiać, że Patsy napluje ci do lunchu.

Skończyli się ubierać, a Rachel związała potargane włosy w luźny kucyk.

- Pojadę za tobą- nalegał. - Muszę się upewnić, że dotrzesz do domu cała i zdrowa. Masz coś przeciwko?

- A co to za różnica?

- Jeżeli jest tam ktoś, kto chce cię skrzywdzić...

- Wiem - powiedziała ze smutkiem. - Niekiedy marzę, żeby ta kobieta wyszła z ukrycia i spotkała się ze mną twarzą w twarz, żebyśmy mogły wreszcie z tym skończyć.

- Ona pewnie wcale nie chce tego kończyć. W ten sposób podtrzymuje przy życiu swojego syna, a przynajmniej swój żal. Kiedy i to się skończy, nic jej już nie zostanie.

- Poza przytulną małą celą, jeżeli tylko będę miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Albo izolatką w szpitalu psychiatrycznym.

Kiedy Rachel poszła do łazienki, Zeke wyszedł na zewnątrz, by nakarmić zwierzęta. Poranek był chłodny. Zanim wsiadła do samochodu, rozgrzał już swoją furgonetkę. Jadąc za nią w porannym mroku, czuł ogromny żal. Gdy zatrzymała samochód, by otworzyć bramę i podeszła do niego, poczuł się jeszcze gorzej.

Otworzył drzwi, a ona pochyliła się do przodu, zarzuciła mu ramiona wokół szyi i delikatnie pocałowała. A potem pogładziła go ręką po szorstkim policzku.

- Dziękuję - wyszeptała. - Dziękuję, że znalazłeś mnie tej nocy i przypomniałeś, że seks może być kochaniem.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, siedziała już w swojej zardzewiałej złotej furgonetce. Z całych sił pragnął ją zatrzymać. Albo cofnąć czas do chwili, zanim obudził ją pocałunkiem.

Rachel z niepokojem patrzyła w tylne lusterko. Zastanawiała się, czy bardzo zraniła uczucia Zeke'a. A może uważał, że jest idiotką, która myśli, że po jednej nocy w jej ramionach mógłby chcieć czegoś więcej. Może cieszył się, że tak łatwo wypuściła go z rąk i może spokojnie zająć się kolejną zdobyczą.

Wiedziała jednak, że nie jest tego typu facetem, chociaż bardzo starał się to ukryć. Wiedziała, że znaczy dla niego więcej, niż był gotów przyznać.

Nie chciała dłużej o tym myśleć i żałować czegoś, czego najwyraźniej oboje potrzebowali, szczególnie po tych okropnych wydarzeniach wczorajszej nocy. Wbrew temu, co opowiadano o niej na sali sądowej i jak

przedstawiono ją w brukowcach, daleka była od rozwiąłości. Co nie znaczy, że do końca życia miała wieść żywot zakonnicy.

Ale wolała, by jej rodzina nie dowiedziała się o nocy z Zekiem i miała nadzieję, że odjedzie, gdy tylko znajdą się w dzielnicy, w której mieszka babcia. Najchętniej zanim ktoś ich zobaczy i doda dwa do dwóch.

Najpierw zauważyła kota pana Morgana, grubego, rudego dachowca, który wlaźł na drzewo na swoim podwórku. Za chwilę wiedziała już dlaczego. Pod drzewem skakał i szczekał czarno-biały pies.

- Najlepiej obudź całą okolicę - wymamrotała pod nosem na widok Jamesa Deana.

Zaparkowała i wyszła z samochodu. Szybko pomachała Zeke'owi na pożegnanie i zajęła się psem.

Kiedy podeszła bliżej, James Dean uciszył się i zaczął się jej przyglądać. Mogłaby przysiąc, że słyszy pracujące w jego głowie trybiki, gdy rozważał, czy czeka go kąpiel, jeśli zostanie złapany. Tak czy siak zabawa była już popsuta.

- Nie ruszaj się - wyszeptała - Nie waż się. O nie, J. D.

Bostoński terier zaczął uciekać. Ale Rachel zdecydowała, że nie będzie go gonić. Pójdzie po swoją sekretną broń, jego ukochaną piszczącą zabawkę, którą chowała specjalnie na takie okazje.

Otworzyła boczne drzwi i weszła do środka. Zamarła, słysząc dźwięk grającego w dużym pokoju telewizora. Najwyraźniej babcia nie spała. Czy w ogóle zauważyła jej nieobecność?

Wyszła z kuchni i na palcach przeszła do dużego pokoju. Benita leżała na kanapie w koszuli nocnej, do połowy przykryta kocem. Musiała zasnąć, czekając na wnuczkę.

Rachel westchnęła i podeszła do staruszki. Zastanawiała się, czy powinna ją przykryć kocem i zostawić na kanapie, czy zaprowadzić do łóżka, gdzie byłoby jej wygodniej. Ale wtedy dostrzegła twarz babci i krzyknęła.

Zeke stał w pobliżu drzwi, trzymając J. D., który wybiegł wprost na niego. Już miał zapukać, gdy usłyszał przeraźliwy krzyk Rachel. Z walącym sercem otworzył szybko drzwi i wbiegł do środka. Postawił psa na podłodze i wszedł za nim do pokoju.

- Babciu, obudź się - błagała Rachel, potrząsając leżącą na sofie kobietą. - Proszę, babciu.

Woskowy odcień skóry i purpurowa plama na wewnętrznej części odkrytej ręki nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Kobieta była martwa. I to od dłuższego czasu. Położył dłoń na ramieniu Rachel.

- Tak mi przykro - powiedział. - Ale twoja babcia...

- Nie - głos Rachel zadrżał, a spojrzenie było pełne rozpacz. - Ona tylko zmarła. Musimy ją przykryć i dać jej trochę cukru...

J. D. podskoczył do góry, zamachał ogonem i dotknął swojej pani łapą. Potem zaskamlał i zsunął koc, pod którym było czerwono pudełko. Pudełko z czekoladkami. Otwarte i do połowy puste. Zeke przytulił Rachel i pozwolił jej płakać.

- Gdybym z nią była - szlochała - nigdy bym jej nie pozwoliła na te czekoladki. Gdybym tu była, tak jak powinnam...

- Nie mogłaś tego przewidzieć, Rachel. Nie wiedziałaś, że sytuacja tak się rozwinie. Przywiozłaś mi tylko obiad.

Rachel pokręciła głową i opadła na podłogę obok kanapy. J. D. wczołgał się na jej kolana i polizał po brodzie.



- Zaraz wrócę - powiedział Zeke.

Poszedł do kuchni. Wykręcił numer 911 i zgłosił śmierć Benity Copeland. Na blacie zauważył listę z telefonami. Na samej górze, dużymi, drukowanymi literami wypisany był numer do Waltera Copelanda. Zeke przypomniał sobie wieczór, kiedy przywiózł Rachel ze szpitala. Rodzina wydawała się wtedy taka spokojna i szczęśliwa. A teraz wszystko się zmieniło.

Wrócił do Rachel i przykucnął obok niej. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na jakiś punkt nad jego ramieniem, a po policzku spływała jej pojedyncza łza. Otarł ją i pocałował w skroń.

- Chcesz, żebym zadzwonił do twojego ojca i Patsy?

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale na policzku pojawiła się kolejna łza. Podała mu niewielki prostokąt ze złoconymi brzegami.

- To było... znalazłam to na kanapie, obok pudełka z czekoladkami. Zeke wziął od niej kartkę i poczuł, że oblewa go zimny pot. „Do zobaczenia wkrótce, kochanie. Całuję z całego serca, Kyle”.

## *Rozdział 22*

*Śmierć Benity Copeland- badanie toksykologiczne?*

*Krew/mocz. Przyczyny naturalne czy zatrucie? Śpiączka cukrzycowa?*

*- Przesyłka czekoladek - sprawdzić nadawcę w FedEx.*

*- Zeke Pike - sprawdzić zeznania podatkowe, rachunki,  
prawo jazdy w Teksasie.*

*- Raport NRBT- usterka części szybowca,  
prawdopodobnie ze starości. Przypadek.*

*- Przestępcy seksualni w okolicy - sprawdzeni,  
według Varajasa wszyscy mają alibi. Pike?*

Notatki ze śledztwa, akta Rachel Copeland Harlan Castillo, biuro  
szeryfa hrabstwa Presidio

Wtorek, 18 marca

Przeżyła osiemdziesiąt sześć dobrych lat.

Ojciec Rachel nie czuł się dobrze w grafitowym garniturze, ale powtarzał te słowa każdemu, kto do niego podszedł, by zamienić kilka słów po ceremonii pogrzebowej. Oczy lśniły mu w blasku porannego słońca.

- Osiemdziesiąt sześć dobrych lat...

Właśnie pożegnał parę starsuszków i Zeke'a, który odszedł w kierunku swojego starego pikapa. Rachel wzruszyła się na jego widok i była zupełnie zaskoczona, gdyż miał na sobie zarówno krawat, jak i sportową marynarkę. Podejrzewała, że kupił to wszystko specjalnie na tę okazję.

- Żałuję, że... -zaczął ojciec. Patsy chwyciła go za rękę.

- Przestań, Walterze. Proszę cię, przestań. Ty nie masz sobie nic do zarzucenia.

Rachel przyjrzała jej się uważnie. Nie była pewna, czy to tylko jej wyobraźnia, czy też macocha naprawdę celowo zmieniła głos, rzucając jej przy tym lodowate spojrzenie.

Wprawdzie w ciągu tych kilku ostatnich dni Patsy była dla niej bardzo miła, ale Rachel jej nie ufała. Nie wierzyła też w jej szczerą intencję, gdy macocha nagle zaprosiła ją by zamieszkała w ich domu.

Rachel grzecznie podziękowała i zdecydowała, że zostanie w brązowym domku babci, gdzie czekał osowiały J. D. Ojciec i Zeke zaglądali do niej tak często, że nie miała czasu, by czuć się samotna czy zdenerwowana. Nawet Patsy zajrzała parę razy i dwukrotnie odwiedził ją szeryf, by poinformować o rozwoju śledztwa.

Rachel z ulgą przyjęła wiadomość, że czekoladki nie były zatrute, a babcia nie umarła w cierpieniach, przechodząc po prostu ze zwyczajnego snu w stan śpiączki cukrzycowej. Ale i tak ledwo mogła oddychać z powodu ogromnego żalu, który ścisnął jej serce, i świadomości, że okrutny żart, który miał ją jedynie przestraszyć, odebrał życie osobie, którą tak bardzo kochała.

Ojciec poczerwieniał i spojrzał na żonę.

- Tyle razy próbowałaś mnie ostrzec, że jej stan nie jest najlepszy. Ale byłem ślepy. Nie chciałem zauważyć tego, jak bardzo potrzebowała naszej opieki.

W oczach Patsy pojawiły się łzy.

- Ale ona wiedziała. Rachel o wszystkim wiedziała. A i tak ją zostawiła i poszła...

- Co mogę jeszcze powiedzieć? - zapytała błagalnym tonem Rachel. - Ile razy mam jeszcze przeproszać? Wiesz, jak bardzo ją kochałam. Wcale nie chciałam zostawiać jej na noc, skąd mogłam wiedzieć, że nagle pojawi się ten samochód i zgubię się na pustyni?

Patsy nie potrafiła ukryć swoich emocji.

- Chcesz nam wmówić, że przez całą noc biegaliście z Zekiem po pustyni?

Rachel popatrzyła na skąpane w słońcu nagrobki. Nie była w stanie spojrzeć na macochę i stanąć twarzą w twarz z jej podejrzeniami, a tym bardziej kłamać. To by tylko pogorszyło sprawę.

- Nie rób tego, Patsy - poprosił Walter. - Ona też mogła zginąć tamtej nocy.

- Nieważne - odezwała się Rachel.

Nic nie było ważne, bo wiedziała, że już nigdy nie poczuje ciepłego uścisku Benity Copeland, nigdy nie usłyszy wymyślonych historii z jej dzieciństwa i nikt już nie będzie jej namawiał, by jeździła małym sportowym samochodem i przybrała parę kilo, żeby bardziej podobać się mężczyznom. Już nikt nie pomyli jej ze zmarłą ciotką o imieniu Cora i nie będzie wymyślał nowych słów w grach planszowych ani uparcie twierdził, że James Dean to anioł.

Popatrzyła na macochę.

- No dalej, zrzuć na mnie całą winę. Już i tak gorzej nie mogę się czuć.

- Przepraszam - powiedziała cicho Patsy, unikając wzroku Rachel. - Wiem, jak bardzo cierpisz.

- Wszyscy cierpimy.

Ojciec położył dłoń na ramieniu każdej z kobiet, jakby miał nadzieję, że dzięki tej tragedii uda mu się z połamanych, niepasujących do siebie części poskładać rodzinę w całość.

Środa, 19 marca

Następnego dnia rano cała trójka Copelandów zgromadziła się w kuchni małego domku po spotkaniu z prawnikiem, który zajmował się spadkiem po Benicie Copeland.

- Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziała. - Walter minął J. D. i włożył świeżo zmielone ziarenka kawy do starego ekspresu. - Przez cały ten czas liczyła się z każdym groszem, zbierała jakieś kupony i zastanawiała nad każdym zakupem. Pamiętacie, jak się zdenerwowała, gdy miała jechać do szpitala? I okazało się, że przez cały ten czas... że ojciec... o wszystko zadbał.

Rachel podeszła i objęła go. Była tak samo zaskoczona jak on. Po raz drugi od wczorajszego pogrzebu przeżyła szok. Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną z doktorem Thomasem, który nalegał, by przestała go wreszcie unikać i wysłuchała, co ma jej do powiedzenia. Przez moment całe pomieszczenie zawirowało jej przed oczami. Nie teraz, ostrzegła siebie, możesz o tym pomyśleć później, jeżeli będziesz musiała.

Wróciła myślami do chwili obecnej.

- Słyszałeś, co mówił prawnik - odezwała się do ojca. - Te pieniądze z ubezpieczenia wydawały jej się brudne. Była szczęśliwa, że żyje tylko z renty dziadka. Babcia nigdy niczego nie chciała.

Patsy oparła łokcie na stole i zakryła ręką usta. Podobnie jak Rachel i Walter, nie odezwała się ani słowem w trakcie półgodzinnej jazdy z Alpine

do domu. Gdy w końcu przemówiła, głos jej drżał od nagromadzonych emocji.

- Nie doceniłam jej. Chyba wszyscy jej nie docenialiśmy.

Rachel zdobyła się na uśmiech, wspominając dzień, w którym babcia dała jej do zrozumienia, że doskonale wie o jej problemach z prawem i jaka była wściekła, że wszyscy chcieli ją „chronić”.

- Wiecie, co myślę? Myślę, że babcia lubiła mieć swoje małe sekrety. Pewnie podobała jej się myśl, że będzie mogła zaopiekować się nami, gdy jej już nie będzie. Kto by jednak pomyślał, że poradzi sobie z zarządzaniem funduszem inwestycyjnym?

- Wybrała cholernie dobrego maklera. - Głos ojca przepełniony był dumą. - Ale wygląda na to, że sama również dokonała paru mądrych posunięć.

Albo po prostu miała szczęście, pomyślała Rachel. Babcia zainwestowała w kilka przedsięwzięć, którego okazały się olbrzymim sukcesem, a każdy zarobiony cent trafiał do funduszu powierniczego na rzecz jej jedyne go żyjącego syna i wnuczki. Ostateczna suma nie była wprawdzie astronomiczna, jednak każde z nich miało otrzymać kilkaset tysięcy dolarów i połowę domu.

- Chcę przepisać swoją część- oświadczyła Rachel. - Każdy cent...

Twarz ojca poczerwieniała ze złości.

- Akurat - powiedział.

Patsy odwróciła się i z grymasem zacisnęła usta.

- Babcia chciała, żebyś ty dostała ten dom - dodał - a mnie nic bardziej nie uszczęśliwi niż to, że mieszkasz tu, gdzie dorastałem. Z tym miejscem wiąże się wiele szczęśliwych wspomnień i nie chciałbym go sprzedać

jakiemuś przyjezdnemu snobowi, który na pewno by go zburzył i wybudował jakiś postmodernistyczny ośrodek, pensjonat dla turystów czy kolejną galerię.

- Bardzo lubię tu mieszkać - przyznała Rachel. - Ale tato, ty i Patsy wydaliście fortunę na moich obrońców. Muszę oddać ci te pieniądze. Chcę to zrobić dla siebie.

Rachel wiedziała, że jej dług pochłonie większą część otrzymanych w spadku pieniędzy, ale spokój sumienia był dla niej o wiele ważniejszy. I może dzięki temu zdoła poprawić swoje relacje z Patsy.

Ojciec położył jej na ramieniu swoją szorstką dłoń i spojrzał głęboko w oczy.

- To nie była twoja wina, Wiewióreczko.

- Tak bardzo bym chciała, żeby Castillo namierzył osobę, która przysłała te czekoladki.

Firma kurierska ustaliła, że przesyłka została nadana z centrum pocztowego w Alpine, ale rachunek został opłacony gotówką, a w formularzu wpisano nieistniejący adres. Szeryf z hrabstwa Brewster wysłał swojego zastępcę, by przesłuchał młodego człowieka, ucznia liceum, który miał wtedy dyżur. I choć chłopak bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów ani o samej przesyłce, ani o jej nadawcy. Ponieważ kwiaty dla Rachel także zostały dostarczone w Alpine, tamtejszy szeryf poprosił kwiaciarnię o numer karty kredytowej, którą wykorzystano przy zakupie. Okazało się, że była to opłacona z góry karta upominkowa Visa.

- Mam na myśli to, co wydarzyło się w Filadelfii. - Oczy ojca zrobiły się wilgotne, a jego twarz jeszcze bardziej czerwona. - To nie była twoja wina.

Rachel zamarła, zastanawiając się, ile tak naprawdę wiedział i skąd mógł wiedzieć o...

Ojciec pokręcił głową.

- Nie chciałem cię wczoraj podsłuchiwać. Powinienem odejść, gdy tylko...

Rachel zaczęła się trząść tak mocno, że nie mogła ustać na nogach. Wyciągnęła kuchenny taboret i usiadła przy stole naprzeciwko macochy.

- Jesteś blada jak ściana - powiedziała Patsy. - Walterze, co ty zrobiłeś...

- Wpadłem wczoraj wieczorem do Rachel - wyznał cicho. - Chciałem się upewnić, że wszystko u niej w porządku. Nie otwierała drzwi, więc sam wszedłem do środka. I wtedy usłyszałem, jak płacze i rozmawia przez telefon w sypialni.

Rachel czuła, że twarz jej płonie. Domyśliła się dalszego ciągu.

- Więc podniosłeś słuchawkę w kuchni? Podsłuchiwałeś moją prywatną rozmowę i to z moim psychologiem?

Patsy aż zamrugowała.

- Walterze.

- Nie! - krzyknął. - Nieprawda. Chciałem iść i zapukać do drzwi sypialni i powiedzieć, że poczekam w salonie, gdybyś czegoś potrzebowała. Do diabła, Wiewióreczko, nie miałem zamiaru stać w przedpokoju i podsłuchiwać. Ale kiedy usłyszałem, co powiedziałaś, kiedy domyśliłem się,



co musiało się wydarzyć, poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę i nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Rachel zaniemówiła. Do rana zdążyła zamknąć usłyszane słowa w najgłębszym zakamarku umysłu, jakby dotyczyły zupełnie innej osoby. Później mogła zdecydować, jak z tym żyć, ale jeszcze nie teraz... a już na pewno nie miała siły, by brać na siebie reakcję rodziny.

- Nie rozumiem. - Patsy pokręciła głową. - Co się stało?

- Chodzi o te nowe zdjęcia - wyszeptała Rachel. - Eksperci myślą właściwie są pewni, że...

Urwała, nie mogąc mówić dalej, a ojciec powiedział:

- Ten drań wsypał jej coś do picia tamtego wieczoru w restauracji. To było parę tygodni przed strzelaniną. A potem zabrał ją do domu i...

- Na tych zdjęciach jestem nieprzytomna. Wsypał jakiś narkotyk do mojego napoju, myślę, że była to pigułka gwałtu. To uwalnia człowieka z zahamowań i... powoduje amnezję. Potem straciłam przytomność... a on ustawił aparat. Żeby mieć jakąś pamiątkę tego, co ze mną robił. Zresztą nie tylko ze mną. Znaleźli jeszcze dwie dziewczyny. Dziewczyne, z którą się spotykał i młodą nauczycielkę ze szkoły, z której go wyrzucili.

- O Boże, Rachel. - Patsy pogładziła ją po ramieniu. - To jest...

- Żałuję, że te zdjęcia w ogóle ujrzały światło dzienne. - Rachel zerwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po kuchni. - Boże, dlaczego jego matka musiała tak drażnić? I dlaczego ja... ja powinnam...

Powinnam była go jakoś powstrzymać, pomyślała, powinnam wiedzieć, co się stało.

Ojciec chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

- Dobrze się stało, Wiewióreczko. Ta sprawa powinna ujrzeć światło dzienne. Ludzie powinni wiedzieć, że ten skurczybyk nie był żadną ofiarą. Boże, Wiewióreczko, on cię zgwałcił. Czemu to nie ja go zabiłem? Zrobiłbym to dla ciebie. Zrobiłbym wszystko...

Odwróciła się, nie mogąc dłużej patrzeć, jak ojciec ugina się pod kolejnym ciosem. A może nie mogła znieść tego, o czym mówił, bo sama nie pozwalała sobie nawet o tym myśleć.

To, że nic nie pamiętała, było prawdziwym błogosławieństwem. Ale i tak koszmarne sny i wyobrażenia nie dawały jej spokoju ani w dzień, ani w nocy. Muszę o tym zapomnieć, pomyślała.

Niebieskie oczy Patsy wypełniły się łzami. Nie mogąc dłużej znieść jej spojrzenia, Rachel stanęła przy kuchennym oknie, skupiając wzrok na rosnącym w ogrodzie cyprysie arizońskim. Kiedy była małą dziewczynką, lubiła chować się pod jego niskimi gałęziami i ukrywać w pachnącym niebieskozielonym cieniu. Teraz też najchętniej by się tam schowała, gdzie nikt poza ptakami by jej nie znalazł. Ale po chwili smutek i chęć ucieczki zastąpiła złość.

- Więc najpierw mnie podsłuchiwałeś, a potem uciekłeś, żeby ze mną nie rozmawiać - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Gdy skończyłaś rozmowę, skuliłaś się na łóżku babci i pomyślałem, że może jeśli trochę się prześpisz...

- Niezła wymówka - odparła.

Pokiwał głową. Nigdy wcześniej nie widziała, by był tak zrozpaczony.

- Masz rację, przepraszam. Chyba też potrzebowałem trochę czasu. Dopiero co pochowałem matkę, a kiedy usłyszałem, że moja córka, moja mała dziewczynka... Wybaczysz mi?

Pokiwała głową, chociaż czuła się całe lata świetlne oddalona od dziecka, które w niej widział. Jej niewinność została tak daleko w tyle, że już chyba nigdy do niej nie wróci.

Ojciec znowu ją przytulił.

- Martwię się o ciebie. Nie chcę, żebyś się denerwowała i obwiniła za to wszystko.

- Babcia, twoja matka, zmarła, ponieważ ją zostawiłam i ponieważ ktoś chciał mnie skrzywdzić - powiedziała Rachel. - Jak mogę się nie obwinić?

- Twoja babcia - zaczęła Patsy - siedziała przed telewizorem i objadała się drogimi czekoladkami, szczęśliwa, że wreszcie ma święty spokój i może robić to, co chce.

Rachel zamrugała oczami, by powstrzymać łzy i pomyślała o kobiecie, która żyła według własnych zasad. Targały nią tak silne emocje, że czuła, jak wesołe żółte ściany kuchni zaczynają ją osaczać.

- Musisz przyznać, Wiewióreczko - dodał ojciec - że gdyby babcia mogła wybrać sposób, w jaki chciałyby odejść, pewnie wybrałyby właśnie ten. Odeszła we własnym domu, robiąc coś, co lubiła. Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem...

- Co?

- Czy tego nie zaplanowała. Rachel pokręciła głową.

- Babcia nigdy by nam tego nie zrobiła. Wiesz o tym.

- Masz rację - powiedział. - Możemy obwinić tylko tego, kto przesłał czekoladki i prawdziwego Kyle'a Underwooda.

Wszyscy mówili, że to on był winien. Że zamordowane Dziecko samo dokonało wyborów, które doprowadziły do jego śmierci.

Tak jakby ktoś taki jak on mógł ponosić odpowiedzialność za swoje decyzje. Wszyscy wiedzieli, że jest inny. Wyjątkowy. Że trzeba go chronić przed jego własnymi decyzjami i ułomnością. Wszyscy inni, którzy mieli to szczęście, że urodzili się cali i zdrowi, powinni wziąć na siebie odpowiedzialność i opiekować się aniołami wybranymi przez Boga, by chronić je przed skutkami ich działań, z których nie zdawali sobie sprawy.

Ci, którzy nie dopełnili tego obowiązku, winni byli tak samo jak ten, który zadał śmiertelny cios.

I wszyscy zostaną ukarani, co do jednego, nawet jeżeli będzie musiała poświęcić na to ostatnie dni czy minuty swojego ziemskiego życia. W końcu nadejdzie odpowiednia chwila. Odnajdzie tego ostatniego, gdy będzie sam i nie będzie się niczego spodziewał. Zakończy wreszcie tę sprawę, tak jak należy.

Piątek, 21 marca

Rachel poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, gdy natknęła się na Terri w jedynym w mieście sklepie spożywczym. Tego dnia Terri ułożyła swoje platynowe włosy w eleganckie pukle i zakryła zbyt zaokrąglone kształty dobrze skrojonym żakietem. Tym razem nie było z nią szefowej, która trzymałaby na wodzy jej jawną pogardę wobec dawnej koleżanki.

Rachel nie chciała z nią wchodzić na wojenną ścieżkę, zdobyła się więc na uśmiech i zerknęła do wózka Terri, w którym było wino, zielone winogrona, krakersy i tacka z pokrojonym w kosteczki serem.

- Widzę, że pomagasz Antoinette przygotować spotkanie fundacji. W odpowiedzi Terri posłała jej szyderczy uśmiech.

- To na urodziny mojego męża. Daj spokój, Rachel, przecież to ty zgrywasz się na wielkiego znawcę sztuki. Myślisz, że te snoby piją miejscowe wino i skubią kostki sera cheddar? Oni sprowadziliby Bóg wie skąd jakieś dziwne rzeczy, których nazwy trudno nawet wymówić, tylko po to, by się przed sobą popisać.

Rachel pomyślała, że ma przed sobą bardzo nieszczęśliwą kobietę.

- Jeśli tak ich nie cierpisz, dlaczego pracujesz dla Gallinardi?

Terri przewróciła oczami, zupełnie tak jak robiła to w szkole średniej.

- A jak myślisz, ile jest w Marfie ofert pracy dla absolwentów zarządzania i administracji? Cris nie chce się nigdzie przenieść, a nie każdy ma to szczęście, że nagle dziedziczy dom i kupę forsy.

Skąd Terri o tym wiedziała? Może po prostu zgadywała?

Rachel popatrzyła na swój wózek wypełniony tak ekskluzywnymi towarami jak masło orzechowe, płatki kukurydziane i płyn do czyszczenia toalety i próbowała opanować złość.

Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić na swoim przyjęciu i koniecznie przekaz Crisowi życzenia urodzinowe ode mnie, chciała powiedzieć. Zamiast tego wypaliła z furją:

- Zamknij się, Terri. Mówisz o mojej babci. Powinnaś raczej powiedzieć coś w stylu „Wyrazy współczucia” albo „Przykro mi z powodu śmierci twojej babci”. A nie wyjeżdżać z jakimiś idiotycznymi insynuacjami i to wszystko z powodu starego szkolnego wybryku. Może jesteś po prostu zazdrosna.

Oczy Terri niemal wyszły z orbit, a jej twarz zrobiła się czerwona, udowadniając Rachel, że nadal potrafiła trafić w sedno.

- Zazdrosna? - Blondynka wypchnęła do przodu swój biust w rozmiarze DD. - Naprawdę myślisz, że mogłabym być zazdrosna o kogoś takiego jak ty, kto musiał uciekać do domu z podwiniętym ogonem? Mam solidne małżeństwo i dwie mądre piękne córki, którym nie pozwoliłabym zbliżyć się do ciebie na odległość stu metrów. A ty co takiego masz, Rachel Copeland, poza oskarżeniem o zabójstwo i amatorskimi zdjęciami pornograficznymi w sieci?

Rachel wzruszyła ramionami.

- Cóż, nie wszystkie jesteśmy profesjonalistkami...

- I na dodatek czeka cię kolejna rozprawa - ciągnęła dalej Terri. - Wydaje ci się, że jesteś jakąś wielką artystką, ale wszyscy wiedzą, że całe to zamieszanie wokół ciebie i twoich głupich zdjęć jest tylko po to, by zapewnić fundacji rozgłos. I wszyscy wiedzą, że potrzebujesz kasy. Dlatego wcale się nie zdziwiłam, że wymyśliłaś sobie tę historyjkę ze Śmiercią Przez Czeko...

- Lepiej się zamknij albo przysięgam, że... - Rachel przerwała, próbując się opanować, chociaż miała ochotę zdzielić blondynę ogromną puszką kukurydzy.

Terri wypchnęła policzek językiem i spojrzała przebiegle na parę staruszek i nastoletniego sprzedawcę, którzy bacznie przyglądali się tej scenie.

- Co, Rachel? - zapytała, najwyraźniej zadowolona z widowni. - Co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie?

Inny nastoletni chłopak, wysoki latynoski dzieciak o brwiach jak Groucha Marks, zaczął miauczeć i wykonywać kocie ruchy, ku zadowoleniu młodego sprzedawcy.

- Jeżeli faktycznie cię uderzy-jedna z kobiet wycelowała skrzywionym palcem prosto w sterczący biust Terri - to ja osobiście poświadczę, że sama się o to prosiłaś. Benita Copeland chyba by cię oskalpowała, gdyby słyszała, jakie bzdury wygadujesz o jej wnuczce. Zapytaj tylko Tally Sue Ryan, ona może coś na ten temat powiedzieć.

- Kobieta dopiero co została pochowana, a ty obrażasz jej rodzinę - odezwała się druga staruszka, niewielka osóbką o błękitnych włosach, która mocno ścisnęła swoją małą kwadratową torebkę. -To nie po chrześcijańsku, a czy przypadkiem nie widuję twojej mamy co tydzień w kościele?

- Ale ona... - Terri, wyraźnie zaskoczona nieoczekiwanym rozwojem sytuacji, spojrzała na gromadzących się wokół klientów, szukając u kogoś wsparcia. - Własną babcię...

Rachel postanowiła szybko wykorzystać sytuację.

- Przykro mi z powodu tej rozmowy. - Obdarowała Terri słodkim uśmiechem, wiedząc, że powinien ją zabołec. - Mam nadzieję, że reszta dnia i urodziny Crisa będą o wiele przyjemniejsze.

I chociaż czuła satysfakcję, że udało jej się rozzłościć Terri Parton-Zawalę, w środku cała się trzęsła. Ładując zakupy do bagażnika furgonetki, pomyślała, że pewnie będzie głównym tematem rozmów na tym cholernym przyjęciu z winem i serem.

Śmierć Przez Czekoladki, Rachel zakleła pod nosem.

- Wszystko w porządku, Wiewióreczko? - usłyszała z tyłu czyjś głos.

Odwróciła się i zobaczyła Bobby'ego Bauera niosącego torbę z zakupami. Miał na sobie firmową czapkę „Szybuj w Marfie”, ale nawet cień jej daszku nie mógł ukryć wypieków na jego twarzy.

Wzruszył ramionami. Głos miał opanowany, ale był wyraźnie wściekły.

- To mały sklep, trudno nie słyszeć. Ta kobieta nie ma prawa rozmawiać z tobą w ten sposób. Gdy Walt się o tym dowie, o tych bredniach, które rozgłasza...

Rachel pokręciła głową.

- Proszę, Bobby, nie mów nic ojcu, tylko się zdenerwuje. To stare dzieje jeszcze z czasów szkoły średniej. Prehistoria. Nic, z czym nie mogę poradzić sobie sama.

- A może chcesz, żebym poszedł i pogadał z jej ojcem? Znam go od dawna, razem pracowaliśmy w straży granicznej.

- Byłabym wdzięczna, dzięki - powiedziała, wiedząc, jak bardzo Bobby nie lubił mówić o starych czasach, zanim trafił do klubu AA i odnalazł swoją nową religię, latanie. Była poruszona, że gotów był pójść w jej sprawie do dawnego kumpla ze straży. - Gdyby chodziło tylko o mnie, odmówiłabym, ale ponieważ chodzi o moją rodzinę...

- Ostatnio wszyscy dużo przeszliście - odparł, po czym dodał z zapalem. - A dla twojego staruszka zrobiłbym wszystko. Pomógł mi, gdy było naprawdę ciężko, dał szansę, gdy wielu już postawiło na mnie krzyżyk.

- Już dawno mu się odwdzięczyłeś. Bobby - powiedziała. - Za każdym razem ojciec powtarza, że dobrze by było, gdyby wszystkie jego ryzykowne decyzje były choć w połowie tak udane.



Oczy Bobby'ego zmrużyły się w uśmiechu i w tym momencie wydawał się nawet przystojny.

- Zobaczą, co będę mógł zrobić, żeby Terri przestała gadać. Obiecuję.

Kiwnął do niej głową i wszedł do swojego starego forda, a Rachel zadumała się, czy stare znajomości Bobby'ego wystarczą, by uciszyć Terri. I czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Może ta złośliwa plotka już się rozprzestrzeniała i trudno będzie zatrzymać falę podejrzeń?

Poniedziałek, 24 marca

W ciągu dnia w takim małym i nieprzyzwyczajonym do przemocy miasteczku jak Marfa można było spokojnie popełnić morderstwo i pewnie nikt by tego nie zauważył. Ale po zmierzchu ludzie robili się podejrzliwi i zazwyczaj podnosili słuchawkę telefonu lub od razu sięgali po broń, gdy widzieli coś podejrzanego. W końcu był to zachodni Teksas.

Jednak tego rześkiego wiosennego popołudnia ludzie byli raczej pozytywnie nastawieni do świata. Co z tego, że jakiś obcy samochód zaparkował u kogoś na podjeździe, gdy właściciela nie było w domu? Pewnie jakiś fachowiec albo doręczyciel z przesyłką. Albo przyjaciel rodziny, który obiecał zaopiekować się psem. Co z tego, że gość próbował otworzyć okno, zanim zniknął w ogrodzie na tyłach domu? Nie ma się czym niepokoić, szczególnie że tak miło się uśmiechał, a nawet pomachał. Ktoś tak miły na pewno nie miał niczego do ukrycia, pomimo ogromnego pakunku, który został wepchnięty przez tylną bramę.

W taki słoneczny dzień można było całe popołudnie szukać zapasowego klucza pod doniczkami na tarasie. To już wina Rachel Copeland, że

zostawia coś takiego na wierzchu. Sama się prosi o kolejne kłopoty, choć już nie ma sił i sposobów, by z nimi walczyć.

Mały piesek w środku nie stanowił dużej przeszkody, szczególnie gdy dostał sporą kość. Nowa właścicielka nie była zbyt dobrze zabezpieczona, pomyślał intruz. A myślała, że tutaj w Marfie będzie bezpieczna.



## *Rozdział 23*

*Nigdy nie dajcie się zwieść uwodzicielskiej pieśni*

*I nie poddajcie wiary,*

*I nie myślcie, że „ światło, które prowadzi donikąd*

*Jest światłem z Niebios ”.*

William Wordsworth *To the sons of Burns after visiting the grave of their father* (Do synów Burnsa po wizycie na grobie ich ojca)

Coś dziwnego działo się z Rachel i gdy Zeke szedł późnym popołudniem w kierunku lotniska, postanowił coś z tym zrobić. Nie będzie jej pocieszał, za to spróbuje dotrzeć do sedna sprawy. Przez kilka ostatnich dni nie zmuszał jej do rozmowy. Sam nie chciał nic o sobie mówić, musiałby więc mieć niezły tupet, by domagać się tego od innych.

Ale wczoraj, gdy zajrzał do brązowego domku, gdzie cała rodzina zgromadziła się na niedzielnym obiedzie, zauważył, że Rachel ma nieuczesane włosy, czerwone od płaczu oczy i skulone ramiona. Jakby uszła z niej wszelka chęć do walki.

Kiedy dotarł do parkingu, zauważył ją, gdy z pochyloną głową wolnym krokiem szła w kierunku swojej złotej furgonetki. Domyślił się, że cały czas coś ją gnębi. Podbiegł do niej, przecinając jej drogę.

- Może potrzebne ci towarzystwo? - zaproponował. Wokół jego nóg unosiły się tumany kurzu. - Twój ojciec wspominał, że wybierają się z Patsy na obiad do przyjaciół w Alpine.

Rachel otworzyła drzwi furgonetki i stanęła do niego tyłem.

- Doceniam twoją propozycję, ale nie potrzebuję niańki. Jednak z przyjemnością podrzucę cię do domu.

Daleko na horyzoncie pierwsze delikatne odcienie różu i koralu zegnały łagodny wczesnowiosenny dzień.

Stary Zeke, ten który nie chciał mieć żadnych kłopotów, wróciłby pewnie do swojej pracy i koni, zadowolony, że udało mu się uciec od zobowiązań. Ale Rachel zupełnie go zmieniła. Oślepiła tak mocnym blaskiem, że nie mógł odnaleźć drogi do mężczyzny, którym do niedawna był.

- Co się dzieje? - zapytał. - Myślałem, że to już uzgodniliśmy, że zawsze ktoś sprawdza dom, zanim do niego wejdiesz wieczorem.

Ale to nie tylko ostrożność nakazywała mu spędzać wszystkie wieczory w małym, brązowym domku, dzielić z nią posiłki, grać w gry planszowe i śmiać się z idiotycznych starych filmów w telewizji. Z każdym dniem czuł się w jej towarzystwie coraz swobodniej i stawał się niemal uzależniony od zwykłego przebywania z nią, ale jednocześnie coraz trudniej mu było nie myśleć o tym, co robili tamtej nocy i trzymać ręce przy sobie. Nawet teraz dopadły go wspomnienia i zaczął rozmyślać o nocy, która ostatecznie zniszczyła jego mury obronne.

- To wy tak uzgodniliście, ty i ojciec - przypomniała mu - i Patsy. Ale jak długo ma to trwać? Od tamtej nocy minął już ponad tydzień i nic się nie wydarzyło. Myślę, że mogłeś mieć rację. Ten samochód prowadził pewnie jakiś nastoletni dzieciak albo pijaczki, które go komuś ukradły. Jeżeli ktoś naprawdę chce mnie dopaść...

- Wciąż myślisz, że na to zasłużyłaś? Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. To śmieszne. Owszem, zrobiłabym wszystko, żeby cofnąć czas i żebym mogła być wtedy z babcią ale nie było mnie i nic na to nie poradzę.

Tęsknił za jej dotykiem i bliskością, którą oboje poczuli tamtej gwieździstej nocy, gdy znalazł ją na pustyni. Ale wiedział, że mu na to nie pozwoli. Nie mogła pozwolić sobie na taki komfort.

- To, co Zavała rozpowiada po mieście, to zwyczajne bzdury - wypalił.  
- Wszyscy o tym wiedzą.

Jej twarz wykrzywił grymas, a w oczach dostrzegł smutek.

- Chodź, Rachel, usiądźmy i porozmawiajmy.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do tych samych stolików, przy których po raz pierwszy ją pocałował. Jej wahanie i spojrzenie, które mu rzuciła, zdradzały, że ona także to pamięta. I nie ma zamiaru powtarzać. Ale usiadła na stoliku, opierając buty na ławce poniżej.

- Co słyszałeś? - zapytała, gdy usadowił się obok niej.

- Byłem dziś rano na poczcie. - Dla mieszkańców Marfy codzienna wizyta na poczcie stanowiła towarzyski rytuał, ale Zeke chodził tam raz w tygodniu i nigdy nie zostawał na kawę czy pogawędkę tak jak jego sąsiedzi.

- Cristo Zavała bredził coś na temat teorii swojej żony o czekoladkach, które dostała twoja babcia. Kazałem mu zachować te opinie dla siebie.

- Dzięki - odparła. - Chociaż nie sędzę, by to coś pomogło, skoro rozmowa Bobby'ego z ojcem Terri nic nie dała.

- Nikt nie wierzy w te bzdury - upierał się Zeke.

Rachel westchnęła i pomasowała ręką szyję. Ten mały gest wystarczył, by Zeke nie pragnął niczego więcej, jak tylko wziąć ją na kolana, pieścić jej ciepłą szyję, całować w zapomnieniu i kochać się z nią tu i teraz, skoro

wokół i tak nie było żywej duszy. Wiedział, że nie ma prawa jej dotykać czy nawet nakłaniać do rozmowy, skoro sam nie chciał podzielić się z nią swoją przeszłością. Ale marzył... marzył o wielu rzeczach, a każda kolejna wydawała się jeszcze bardziej niemożliwa.

- Antoinette Gallinardi wpadła tu wcześniej na pogawędkę - powiedziała Rachel. - Twierdzi, że sama nie wierzy w te plotki, ale niektórzy członkowie Fundacji Czyste Płótno są nieco, jak to określiła, „zaniepokojeni” tym, jak moje prace mogą zostać odebrane, a szczególnie moimi ewentualnymi kontaktami z uczniami, którzy są bardzo podatni na wpływy.

- Do diabła, Rachel. - Zeke doskonale wiedział, jak ważna była dla niej ta wystawa. - Czy to znaczy, że nie pozwolą ci... ?

- Zagłosowali za tym, by mnie wyrzucić, wyobrażasz sobie? - Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem, ale oczy miała wilgotne. - Myśleli, że ludzie nie będą pamiętać o tym, co wydarzyło się na Wschodnim Wybrzeżu. Ale Marfa to małe miasteczko, a niektórzy są święcie przekonani, że miałam coś wspólnego ze śmiercią własnej babci.

- Ale Harlan Castillo już oświadczył, że nie ma na to najmniejszych dowodów. - Zeke szanował szeryfa, który próbował uciszyć te głupie plotki. - Poza tym każdy, kto cię zna...

- O to właśnie chodzi - powiedziała Rachel. - Wiele ludzi mnie nie zna. Słyszeli tylko, że zastrzeliłam w Filadelfii syna jakiejś prezenterki telewizyjnej. I że uwiodłam mojego studenta.

- Ale eksperci udowodnili, że to nieprawda. Nigdy z nim nie byłaś. Rachel długo milczała, a Zeke miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć. Zastanawiał się, o co chodzi i zaczął mieć złe przeczucia.

W końcu się odezwała.

- Ludzie wierzą w to, co widzą. A te zdjęcia...

- To wszystko kłamstwa - przypomniał jej. - Udowodniłaś, że to bzdury.

Znowu nie odezwała się ani słowem.

Próbował chwilę odczekać, mając nadzieję, że coś mu wyjaśni, ale tylko odwróciła głowę.

- Posłuchaj, Zeke, dziękuję, że byłeś przy mnie po śmierci babci, ale jedna wspólna noc do niczego cię nie obliguje. Nie ma powodu, żebyś marnował czas z kimś, kto nie potrafi...

- Czy wyglądam na faceta, który czuje się do czegoś „zobligowany”? Czy zachowuję się jak ktoś, kto sądzi, że marnuje czas? - Był coraz bardziej zdenerwowany i zaczął mówić podniesionym głosem: - Do diabła, Rachel, to mnie obraża. Nie próbuję ci niczego wynagradzać. Jestem tu, bo... bo nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym być gdziekolwiek indziej, z kimkolwiek innym, nawet sam ze sobą. I wierz mi, że niełatwo mi o tym mówić, bo nigdy tego nie robiłem. Nie podoba mi się to, że traktujesz mnie jak jakiegoś nieudacznika, którego można tak po prostu spławić bez żadnego wyjaśnienia. Jesteś mi to winna.

- Czyżby? - zapytała sucho. - I to mówi facet, który nie chce powiedzieć o sobie ani słowa. Daj spokój, Zeke, musisz przyznać, że nie masz zbyt mocnych argumentów.

- No więc zgoda, jestem hipokrytą - przyznał. - Trudno. Ale to nie znaczy, że nie poczułabyś się lepiej, gdybyś mi wszystko powiedziała.

Pokręciła głową i zacisnęła usta. W końcu odezwała się ze złością:

- Dlaczego, Zeke? Z jakiego powodu tutaj jesteś? Na litość boską, zabiłam człowieka, połowa zbrojczyków na całym świecie myśli, że widziała mnie nago, i właśnie zaczynam kolejny proces. Nie masz na tyle zdrowego rozsądku, by trzymać się z daleka, gdy widzisz przed sobą napis „Wysokie napięcie”?

Uśmiechnął się.

- Wciąż tu jestem.

- Dlaczego? - naciskała, a w jej spojrzeniu znowu zobaczył lwięcę. - Już ci mówiłam, nie będziemy więcej uprawiać seksu. I nie zmienię mojego zdania.

Zabolała go myśl, że być może nigdy już jej nie dotknie, ale do diabła, nie miał zamiaru pozwolić, by go tak łatwo odepchnęła.

- Posłuchaj mnie, kobieto. Twoja przeszłość nie ma dla mnie znaczenia. Ponieważ ja...

Przełknął słowa, które cisnęły mu się na usta, instynktownie czując, że nie ma prawa ich wypowiadać. Może jej zaproponować jedynie przyjaźń, ale nic więcej.

Splotła dłonie i zapatrzyła się w jakiś odległy punkt.

- W zeszłym tygodniu po pogrzebie rozmawiałam z moją prawniczką. Tą, która prowadzi moją sprawę cywilną.

Ale Zeke wciąż myślał o słowach, których nie śmiał wymówić. Ponieważ cię kocham, Rachel. Czy naprawdę miał zamiar powiedzieć coś tak idiotycznego? Marzenia to jedno, podobnie jak ciepło, które odczuwał w sercu, wiedząc, że ojciec Rachel, a nawet Patsy, zaakceptowali już jego obecność. Ale powiedzieć te słowa na głos, powiedzieć, jak bardzo chciał do kogoś należeć, po tych wszystkich latach, kiedy był sam... To było więcej



niż głupie. Powinien jak najszybciej wrócić do domu, zanim zupełnie się pogubi, padnie na kolana i zacznie składać obietnice wspólnej przyszłości.

Pomimo jego milczenia, Rachel mówiła dalej:

- Powiedziała mi, że sprawa może zostać umorzona, pojawiły się nowe dowody...

Głos jej się załamał, a Zeke ponownie skupił na niej całą uwagę.

- Ale to chyba dobre wieści? - zapytał. - Przecież to znaczy, że wszystko się wreszcie skończy i będziesz mogła zacząć żyć od nowa.

Kiwnęła sztywno głową, ale widział, że nie dotarła jeszcze do sedna sprawy. Zanim jednak Zeke zdążył znaleźć słowa, by wydobyć z niej prawdę, Rachel nagle wstała.

- Obiecałam ci lot. - Uśmiechnęła się w nieco wymuszony sposób. Wyjęła z torebki małeńki telefon komórkowy. - Jest już trochę za późno na lot szybowcem, ale możemy wypróbować cessa ojca. Jest zatankowana i gotowa do lotu. Dam mu tylko znać. Martwi się, gdy nie mówię mu, że gdzieś lecę.

Nie czekając na odpowiedź, odeszła na bok i odwróciła się do niego tyłem. Od śmierci babci nie widział jej tak ożywionej. Ta nagła zmiana nastroju zamiast go ucieszyć, jeszcze bardziej go zaniepokoiła. Postanowił jednak się z nią nie spierać, a w dodatku przyszło mu do głowy, że w samolocie nie wymiga się tak łatwo od odpowiedzi.

Poza tym bardzo chciał polecieć. Im szybciej, tym lepiej, pomyślał, póki jeszcze było widno.

Rachel nie marnowała czasu i zaprowadziła go do małego turkusowo białego samolotu z dwoma siedzeniami i jednym śmigłem z przodu nosa.

Sprawdziła maszynę i pokazała mu, żeby wszedł do środka i usiadł obok niej.

- Robi ci się w powietrzu niedobrze? - zapytała, zapinając pasy. Wzruszył ramionami, zdenerwowany, ale i zawstydzony tym, że nigdy wcześniej nie latał, podczas gdy dla niej było to tak oczywiste.

- Zaraz się przekonamy. Uniosła brwi i zachichotała.

- A więc jesteś prawiczkiem? Zdobył się na uśmiech.

- Tylko postaraj się być delikatna, dobrze?

Roześmiała się i odpaliła silnik.

- W porządku, tym razem żadnych akrobacji - obiecała. - Ale tylko dlatego, że nie cierpię sprzątać wymiocin z kabiny.

Patrzył, jak wykonuje rutynowe czynności, dotyka różnych przycisków i uruchamia śmigło. Po chwili mały samolot ruszył na pas startowy. Chciał ją zapytać o te wszystkie skomplikowane guziki i kontrolki, by wyjaśniła mu wszystko, co robi, ale głośny warkot silnika przekonał go, że będzie musiał zachować swoje pytania na później.

Poza tym chciał zapamiętać każdy szczegół swojego pierwszego i, być może, ostatniego lotu. Wątpił, by jego dokumenty przeszły kontrolę jakiegokolwiek komercyjnej linii lotniczej, szczególnie biorąc pod uwagę zaostrzone ostatnio przepisy bezpieczeństwa. Poza tym jeżeli już wybierze się w podróż, nie będzie chciał zostawiać po sobie żadnych śladów.

- Gotowy? - zapytała, a silnik zaczął warczeć jeszcze głośniej, jakby wyczuwał zdenerwowanie Zeke'a.

Skinął głową, a samolot ruszył wzdłuż pasa startowego, nabierając prędkości. I chociaż Zeke widział już chyba tysiąc startów i wiedział, że Rachel świetnie sobie radzi, z wyjątkiem tego jednego feralnego lotu, to

jednak serce waliło mu jak oszalałe, jakby chciało go ostrzec, że to przecież niemożliwe, że nigdy im się nie uda, że zaraz skończy się pas...

Zdał sobie sprawę, że oderwali się od ziemi, gdy dostrzegł fragment zachodzącego słońca, które na tej wysokości wciąż było widoczne. Wypuścił głośno powietrze i spojrzął na dachy hangarów i baru, na pompy z paliwem oraz stado małych antylop pasących się nieopodal lotniska na terenie szkoleniowym straży granicznej.

Po chwili ujrzał dachy szklarni, olbrzymie, ciemne prostokąty, w których ukryte były pnącza pomidorów uginające się od dojrzałych, czerwonych owoców. Rachel poklepała go po ramieniu i pokazała maleńki punkt po drugiej stronie autostrady. Dostrzegł budynek starej fabryki, swój dom, który wyglądał jak makieta i zagrodę dla zwierząt. Wydawało mu się, że widzi maleńkie, przypominające owady figurki osła i koni.

Poczuł, że żołądek podnosi mu się do gardła, a potem szybko opada, pod wpływem kapryśnych wiatrów.

- Przepraszam, trochę buja - powiedziała Rachel, przekrzykując warkot silnika. - Za chwilę powinniśmy złapać lepszy prąd.

Samolot leciał coraz wyżej, a Zeke odprężył się na tyle, by spokojnie spojrzeć w dół na budynki i światła Marfy, które wydawały się maleńkie i bezbronne w porównaniu z szeroką równiną. Teren był zaskakująco falisty, otoczony brązowymi i fioletowymi górami - Mount Livermore w Górach Davis na północy, Górami Chisos na południowym wschodzie i niskim pasmem Gór Chinati na południowym zachodzie.

Po raz pierwszy w pełni docenił ogrom okolicy, którą wiele lat temu wybrał sobie na kryjówkę, i pustkowie, którym się otoczył. Także dzięki

temu z innymi ludźmi łączyły go tylko te najbardziej niezbędne więzi, tylko nieliczni mówili do niego po imieniu.

Był zadowolony ze swojego życia, a przynajmniej pogodzony z losem, dopóki na jego drodze nie stanęła siedząca obok kobieta, która potrafiła pilotować samolot i tak jak on szukała ucieczki.

- Popatrz na to - przerwała mu rozmyślenia.

Słońce właśnie zaprzestało dalszej walki i tonęło w blasku chwały, który malował chmury na horyzoncie fioletem i czerwienią.

- Zachwycające - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - Można zapomnieć o wszystkich ludziach i problemach, o wszystkim, co było wcześniej. Tu w górze możemy wszystko zostawić za sobą, wszystkie te powody, dla których dwoje ludzi, takich jak my, nigdy...

Warkot silnika zagłuszył jej dalsze słowa, ale Zeke i tak nie chciał ich usłyszeć. Nie chciał zastanawiać się nad tym, co niemożliwe.

- Jak ci się podoba? - spytała.

Nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, ścisnął jej rękę. Obdarowała go szerokim uśmiechem, a jej spojrzenie mówiło, że doskonale go rozumie.

Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy zwiastujące zbliżającą się noc. Ale Zeke musiał się najpierw czegoś dowiedzieć. Nie mógł pozwolić, by odsunęła się od niego. By odwróciła uwagę od swego bólu tym pięknem w najczystszej postaci.

- I co jeszcze powiedziała ci prawniczka? - zapytał, przekrzykując warkot silnika. Postanowił zdać się raczej na przecucie niż zdrowy rozsądek. Musiał działać szybko, zanim straci odwagę. - Chciałaś mi jeszcze coś powiedzieć o tych zdjęciach?

Ale w odpowiedzi usłyszał jedynie monotony warkot silnika. Wokół robiło się coraz ciemniej i Rachel skupiła całą swoją uwagę na tarczach i kontrolkach i coraz mniej wyraźnym terenie poniżej. Na wszystkim, tylko nie na nim.

- Może pokręcimy się trochę nad miastem, a potem będziemy już wracać? - zaproponowała i skierowała maszynę na południe.

- Nie próbuj mnie wystraszyć - powiedział. - Nie zamierzam się katapultować.

- Dobry pomysł, biorąc pod uwagę naszą wysokość. - Posłała mu spłoszony uśmiech.

- Nie rozumiesz - wybuchnął. - Nie obchodzi mnie to, że zabiłaś jakiegoś skurwysyna, który w pełni na to zasłużył. Nie obchodzi mnie to, że czeka cię rozprawa, choćby nawet chodziło o wszystkie pieniądze świata. Nie obchodzi mnie nawet to, że nie powinienem tracić głowy dla żadnej kobiety. A właśnie to zrobiłem.

Skierowała maszynę z powrotem na lotnisko tak gwałtownie, że żołądek podszedł mu do gardła.

- Właśnie to zrobiłem - powtórzył drżącym od emocji głosem, bo właśnie zdał sobie sprawę, że Rachel zburzyła jego spokój i zadowolenie z dotychczasowego bezpiecznego życia. Chciał więcej, o wiele więcej. I chciał tego spróbować z Rachel.

Nawet jeśli te nadzieje spalały się do cna w ciągu kilku sekund, gdy tylko powie jej, kim, albo czym, tak naprawdę jest. A musi to zrobić, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić.

- Chyba nie mówisz poważnie? - Szum silnika zagłuszał głos Rachel. - Nie mogę, nie z... To wariactwo. Prawie się nie znamy...

- Wiem tyle, ile potrzebuję.
- Wcale nie.
- Więc powiedz mi wreszcie, o co chodzi.

Czekając na jej odpowiedź, dostrzegł kolejne gwiazdy, całe setki gwiazd, które nagle pojawiły się na niebie. Dziwnie było tak szybować w przestworzach, w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, która czekała na nich na ziemi. Albo od zdrowego rozsądku. Mijały kolejne sekundy i zaczął mieć wątpliwości, a potem żałował swoich słów.

- Widzisz te światła na pasie startowym? Zaraz będziemy tam lądować.

- Rachel... - Może powinien jej odpuścić i pozwolić, by udawała, że to co powiedział, nie miało znaczenia, że słowa wypowiedziane w powietrzu nie miały żadnej wagi, były nieistotne. Że on też był nieważny.

- I jak ci się podobał twój pierwszy lot?

- Myślałem, że będzie mi się podobało - odparł z goryczą. - Ale nie wyszło tak, jakbym chciał.

- Zeke, przykro mi. Co... - W świetle przycisków zobaczył, że wskazywała w kierunku lotniska, gdzie tuż obok hangarów widać było ogień.

- To twoja furgonetka - krzyknął. - Pali się.

- Cudownie - warknęła Rachel. - Tylko tego mi brakowało na koniec i tak beznadziejnego dnia.

## *Rozdział 24*

*Tylko robak, co toczy sumienie, kocha godziną puszczyków.*

*Grzech i złe duchy stronią od światła.*

Fryderyk Schiller *Intryga i miłość*, przeł. Artur Marya Swinarski

Rachel była tak zdenerwowana przy pierwszym podejściu do lądowania, że musiała zrobić jeszcze jedno kółko i spróbować ponownie. Gdy wreszcie zatrzymali się na pasie startowym, Zeke odetchnął z ulgą.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana, ja też - ostrzegł ją. - Ale pozwól mi najpierw sprawdzić, co się stało, muszę upewnić się, że nic ci nie grozi.

- Ktoś podpalił moją furgonetkę...

- Ktoś, kto pewnie wolałby podpalić ciebie. - Zeke jej przypomniał.

Nie czekając na jej odpowiedź, rozpiął pasy, wyskoczył z samolotu i pobiegł w kierunku płonącego pojazdu. Ogień zdążył już całkowicie zniszczyć wnętrze, a ogarnięty płomieniami szkielet przypominał dziwacznie powyginanego, ryczącego potwora. Zeke miał nadzieję, że podpalacz nie zdążył jeszcze odejść zbyt daleko i że nie była to kobieta, która prześladowała Rachel. Nie mógłby uderzyć żadnej kobiety, bez względu na to, co zrobiła, a marzył o tym, by dać komuś w zęby.

Nagle się zatrzymał. Powietrze było tak gorące, że musiał się cofnąć. To mógł być przypadek, pomyślał, jakieś elektryczne spięcie. Ale szybko tę myśl odrzucił. W życiu Rachel zbyt wiele było „przypadków”, a jeden z nich zakończył się śmiercią jej babci.

Zanim Rachel nadbiegła z gaśnicą w rękę, płomienie strzelały na jakieś sześć metrów w górę, rozświetlając wieczorne niebo.

- Do diabła. - Spojrzała na szalejący ogień i rzuciła z rozpaczą: - Gaśnica już się chyba nie przyda.

Usłyszeli trzask, a potem syk i skwierczenie. Rachel odskoczyła do tyłu i pociągnęła Zeke'a za rękaw.

- Odsuń się, Zeke. Poparzymy się. I zobacz, ile jest dymu... Cofał się, dopóki do płuc nie dotarło chłodne, ale czyste powietrze.

Potem rozejrzał się bezradnie dookoła, zdając sobie sprawę, że w pobliżu nie ma ani sprawcy pożaru, ani nikogo do pomocy. O tej porze dnia maleńkie lotnisko było całkowicie opustoszałe.

Przeklął pod nosem. Rachel wyciągnęła z kieszeni dzinsów telefon.

- Zadzwoń po... Och.

Powędrował za jej wzrokiem i zobaczył zbliżające się w ich stronę czerwone migające światła. Ktoś musiał zauważyć pożar i zadzwonić po straż.

Pierwszy pojawił się zastępca szeryfa Leo Varajas, mężczyzna w średnim wieku z podwójnym podbródkiem. Gdy tylko ich dostrzegł, mina mu zrzedła.

- To znowu wy. Mogłem się domyślić. Nic wam nie jest? Zapewnili go, że są cali i zdrowi i opowiedzieli o tym, jak zauważyli pożar z góry. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- I tak muszę powiadomić szeryfa Castilla, bo inaczej da mi nieźle popalić. Na pewno będzie chciał się tym zająć osobiście.

Zastępca wrócił do samochodu, by zadzwonić.

Pół godziny później Zeke siedział z Rachel w biurze jej ojca, odpowiadając na pytania Harlana Castilla, który usadowił się za biurkiem Waltera. Drzwi były nieco uchylone i Zeke dostrzegł strażaków klekających



się wokół wielkiej kałuży, która otaczała tłący się wrak samochodu. Jeden chrząknął i splunął, drugi kiwał z uznaniem głową, jakby odwalili kawał dobrej roboty, a trzeci miał zdesperowany wyraz twarzy człowieka, który marzył o jeszcze jednym płomieniu, który można by ugasić.

Castillo drapał się po parodniowym przyprószonym siwizną zaroście. Kiedy weszli, położył na biurku kapelusz.

- Więc jesteście pewni, że nikogo nie widzieliście? A przed startem, też nie?

Rachel pokręciła głową.

- Nie. Zanim pojawił się Zeke, nie było tu nikogo. Nie widzieliśmy żywej duszy. Ani przed startem, ani po starcie.

Szeryf zacisnął usta i rzucił w kierunku Zeke'a podejrzliwe spojrzenie.

- A co ciebie tu sprowadziło? Wiem, że jadasz w barze, ale o tej porze zazwyczaj jesteś już w domu, co?

Zeke poczuł, że serce mu zamiera. Jakaś fałszywa nuta w pytaniu szeryfa ostrzegła go, że po raz pierwszy od lat wzbudził zainteresowanie przedstawiciela prawa.

- Ojciec Rachel prosił, bym miał na nią oko. Mieszkam przecież niedaleko.

Castillo spojrzał w kierunku, gdzie znajdował się dom Zeke'a.

- Masz tam prąd, prawda? Wydaje mi się, że widziałem słupy elektryczne wzdłuż drogi.

- Tak, mam elektryczność. - Zeke wzruszył ramionami. - Facet musi mieć chociaż lodówkę, by chłodzić w niej piwo. Ale co to ma wspólnego z tym pożarem?

Castillo pokręcił głową.

- Tak tylko pytam z ciekawości. Nie masz tam Internetu? Rachel popatrzyła na szeryfa ze zdziwieniem.

- O co tu chodzi, Harlan? Myślisz, że Zeke zamawia przez Internet urządzenia do wzniecania pożarów? On nie ma z tym nic wspólnego, cały czas był ze mną, w górze.

Zeke nie miał odwagi się poruszyć i nie spuszczał wzroku z niebieskich, spokojnych oczu szeryfa.

- Zależy mi na Rachel. I uważam się za przyjaciela rodziny.

Kątem oka dostrzegł, że Rachel pokiwała głową. Był jej wdzięczny za ten prosty gest wsparcia.

Ale Castillo nie dawał za wygraną.

- To ciekawe - powiedział niby zupełnie zdawkowo, ale w głowie Zeke'a uruchomił się sygnał ostrzegawczy. - Zanim pani Copeland pojawiła się w okolicy, trzymałeś się raczej na uboczu. Trudno cię było nazwać duszą towarzystwa, aż do teraz...

Zeke wzruszył ramionami, chociaż serce waliło mu jak oszalałe.

- Nie wiedziałem, że spotkanie się z piękną kobietą jest przestępstwem w hrabstwie Presidio.

Kto jak kto, ale Castillo, znany z tego, że często rozpinał rozporek, powinien to zrozumieć. Harlan się uśmiechnął.

- Oczywiście, że to nie przestępstwo, panie Pike. Ale przyzna pan, że trochę to dziwne. Szczególnie, biorąc pod uwagę ostatnie problemy pani Copeland i te zdjęcia, które...

Rachel wystrzeliła z krzesła jak z procy.

- Szeryfie, jeśli jest pan zbyt nieudolny, by znaleźć sprawcę pożaru, wystarczy powiedzieć. Ale niech się pan nie waży wyciągać teraz tych

brudów i insynuować, że jedyna osoba w tym mieście, która była przy mnie, gdy...

- No właśnie, pan Pike zawsze przy tobie był, prawda? Kiedy rozbił się szybowiec. Kiedy umarła twoja babcia. Kiedy zobaczyłaś ten pożar...

- Nie mam ani telefonu, ani komputera - powiedział beznamiętnym głosem Zeke, wstając z miejsca. - Nie mam też Internetu, więc nie mogę niczego oglądać, w tym zdjęć nagich kobiet. Może i nie jestem najmilszym facetem w mieście, ale na pewno nie jestem na tyle pokręcony, by wymyślać katastrofy tylko po to, by ratować moją damę z opresji. Zrozumiałeś, Castillo? Bo jeśli nie, to mogę ci udowodnić, że faktycznie potrafię być bardzo niemiły.

Szeryf automatycznie sięgnął ręką do pasa, ale jego głos był opanowany i spokojny.

- To groźba, Pike?

- Zeke - ostrzegła Rachel.

Zeke mocno zacisnął szczęki. W końcu dał za wygraną.

- Nie, do diabła, to nie jest groźba. Raczej obietnica, pomyślał.

Castillo uspokoił się, ale w jego oczach czaiła się ostrożność. Zeke odwrócił się i wyszedł w ciemną chłodną noc.

Czuł, że po tych wszystkich latach, cienki materiał, z którego utkane było jego drugie życie, zaczyna pękać, a szwy puszczają, jak w starym spadochronie. W każdej chwili mógł stracić swój bezpieczny azyl i pograć się w ciemności.

Instykt podpowiadał mu, że powinien jak najszybciej uciec, wsiąść do furgonetki i zniknąć na jakiejś pustej autostradzie, zanim będzie za późno.

- Może mi pan wyjaśnić, co to wszystko znaczy, szeryfie? - zażądała Rachel. - Patsy coś panu nagadała?

- Patsy? Czemu ona miałaby... - Castillo wyprostował się i spojrzał na nią twardym wzrokiem. - Najwyraźniej ma o nim takie samo zdanie jak każdy. Nie pochwała więc waszego związku?

- Więc nie rozmawiała z panem?

- Ona ze mną nie rozmawia, jeśli nie musi - odparł szeryf, przypominając Rachel ich ostatnią rozmowę. Wspomnił wtedy o czymś, co miało związek z jakimś jego dawnym przewinieniem i niechęcią Patsy. - Staramy się nie wchodzić sobie w drogę. Tak jest dla nas łatwiej, po co rozdrapywać stare rany?

Rachel chciała zapytać o coś jeszcze, ale nie zrobiła tego. Nie miała wątpliwości, że tak jak ostatnim razem nie odpowie na jej pytania. Wyjrzała za drzwi, ale nigdzie nie dostrzegła Zeke'a. Czy aż tak się zdenerwował, że postanowił wrócić do domu na piechotę w taką ciemną noc?

Ponownie zwróciła się do szeryfa:

- Patsy nie ma już nic przeciwko Zeke'owi. Możesz sam ją o to zapytać, gdy tylko się zjawi. Kiedy dzwoniłam do taty, powiedział, że miała migrenę i została dziś wieczorem w domu, ale zabierze ją po drodze z Alpine.

Rachel obawiała się dzwonić do ojca w sprawie pożaru. Przez ostatni rok, a właściwie półtora, mieli przez nią same kłopoty. Same zmartwienia i wydatki, po równo. Poczwała, jak ogarnia ją smutek i wyrzuty sumienia i zdała sobie sprawę, że Benita Copeland wciąż by żyła, gdyby ona została w Filadelfii.

Rachel już miała zapytać szeryfa, czy jest pewien, że te czekoladki nie zawierały trucizny i czy na pewno nikt nie majstrował przy tamtym szybowcu, w którym miała wypadek. Ale zanim zdążyła się odezwać, Castillo całkowicie zbił ją z tropu, wyciągając asa z rękawa.

- On nie nazywa się Zeke Pike.

- Co takiego?

- Ani Ezekiel Pike, ani Zachariasz czy Zachary. Już nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Rachel zmarszczyła brwi.

- Pytałeś go o to? Może to jego drugie imię?

- Nie ma też aktualnego prawa jazdy.

- Naprawdę? - zapytała Rachel, a w głowie miała mętlik. Czy Zeke ją okłamał, czy okłamał ich wszystkich? Czy jednak pomyliła się co do niego, tak jak w przypadku Kyle'a? Ale instynkt podpowiadał jej, że Zeke to nie Kyle. - Może nie chciało mu się tego załatwiać, nie lubi przebywać w miejscach, gdzie jest dużo ludzi. To dobry człowiek, kiedy jest się z nim sam na sam, albo gdy wokół są osoby, które zna. Ale w innych sytuacjach...

Przypomniała sobie jego gwałtowną reakcję, gdy zobaczył tamto zdjęcie, które przysporzyło mu tylu klientów i nieco zdesperowanym tonem dodała:

- Jest po prostu typem samotnika. I jest nieśmiały. Ale nikogo by nie skrzywdził.

- Wspominał kiedyś o tym, gdzie wcześniej mieszkał? Skąd pochodzi, czy ma rodzinę?

Rachel głośno westchnęła, wyraźnie poirytowana.

- Marnuje pan swój czas. I mój. Zeke Pike nie prowadził samochodu, który próbował nas wtedy przejechać i na pewno nie jest kobietą, która od miesięcy wydzwania do mnie z pogrozkami. Ta kobieta, matka Kyle'a Underwooda, nasłała na mnie swoich prawników z pozwem o bezprawne spowodowanie śmierci. Ona nie odpuści, szeryfie. Nie przestanie, dopóki całkowicie mnie nie złamie. Kto wie? Może nawet chce mnie zabić?

- Masz rację. - Pokiwał głową. - Ta kobieta jest nieźrównoważona. Ale choć sprawa sądowa jest nieprzyjemna, ona działa zgodnie z prawem. Wyłącznie zgodnie z prawem.

- Nie rozumiem, co to ma znaczyć?

- To znaczy... - Harlan Castillo przeszył ją wzrokiem. - Jej córki przysięgają, że Sylvia Underwood nie ruszyła się z Pensylwanii od tamtej nocy, gdy zginął jej syn.

## *Rozdział 25*

*Głębinom wydrze tajniki, oświecili odwieczne ciemności.*

Księga Hioba 12, 22

Obserwator kuczał w ciemnościach przy teleskopie, wdychając gryzący zapach popiołu i dymu, i duszący smród benzyny. Pod przymkniętymi powiekami wciąż widział płonący samochód: migoczący blask ognia był o wiele bardziej przyziemny niż gra światła, które przemawiały do niego cichym, tajemniczym szeptem. Pamiętał, że nagle na tle płomieni dostrzegł cień olbrzymiej sowy, która machała rozpostartymi skrzydłami, by po chwili złożyć je i runąć w dół, w kierunku jakiegoś nieszczęsnego stworzenia wygnanego przez ciepło z bezpiecznej kryjówki.

Sowa zaniósła słabe, krwawiące i nieruchome stworzenie do gniazda na dachu baru. Tam rozdarła je na strzępy i czule, z matczyną miłością nakarmiła nim dopiero co wyklute pisklęta.

Patsy pojawiła się sama. Patrzyła na dymiący wrak samochodu, który znajdował się tuż obok jej baru i wyglądała tak blado, że Zeke, który czekał na Rachel w cieniu pobliskiego hangaru, postanowił do niej podejść. Minął po drodze trzech strażaków, którzy stali i rozmawiali obok swojego wozu. Żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, a zastępca Castilla dostał wezwanie z innej części miasta.

- Rachel nic się nie stało, jest tylko zdenerwowana. A raczej wkurzona, ale nic jej nie będzie - zapewnił Zeke. - Szeryf Castillo rozmawia z nią w biurze Waltera.

Chciał ją ostrzec, by mogła przygotować się na spotkanie z byłym mężem. Po tylu latach wciąż nie przychodziło jej to łatwo. Między nimi musiało wydarzyć się coś naprawdę poważnego. Domyślał się, że miało to coś wspólnego z pewną Miss Nastolatek Zachodniego Teksasu. Ponieważ bardzo cenił sobie przyjaźń Patsy, czuł pewną satysfakcję, że owa królowa piękności zdążyła urosnąć do rozmiaru platformy konkursowej od czasu, gdy Harlan Castillo zrobił z niej uczciwą kobietę. Podobno miała też paskudny charakter, tak przynajmniej twierdził stary fryzjer, do którego Zeke czasami zaglądał.

Nie odrywając oczu od zniszczonego wozu, Patsy ciężko westchnęła i zaczęła się bawić kosmykiem cienkich siwiejących włosów, które dzisiejszego wieczoru wyglądały wyjątkowo mizernie. Pomięte dzinsy i luźna bluza wyglądały tak, jakby w nich spała.

- Dzięki za informacje. Z tobą wszystko w porządku?

- Na pewno czuję się lepiej niż ta furgonetka. - Spojrzał na to, co zostało z samochodu. - A gdzie Walter? Rachel mówiła, że przyjedziecie razem.

- Powinien zaraz tu być. Zatrzymał się, by zatankować w Alpine, ale chciał, żeby jedno z nas zjawilo się jak najszybciej. Przyjechałabym wcześniej, ale nie byłam ubrana.

- Słyszałem, że cierpisz na migrenę. - W odruchu współczucia dotknął własnego czoła. - Lepiej się czujesz?

Czerwone światła wozu strażackiego pogłębiły zmarszczkę na jej czole.

- Ta dziewczyna codziennie przyprawia mnie o nowy ból głowy. Być może teraz kupi sobie wreszcie jakiś normalny samochód.



- Miała ubezpieczenie? - zapytał. Patsy była wyraźnie rozbawiona.

- Na tę kupę złomu? Nie sądzę. Ale ma pieniądze po babci. I to więcej, niż mogliśmy się spodziewać.

Chociaż Zeke spędzał ostatnio z Copelandami sporo czasu, nic o tym nie wiedział.

- Domyślam się - zauważył ostrożnie - że bardzo wam to pomoże. Ci wszyscy prawnicy musieli kosztować fortunę.

Patsy pokiwała głową.

- Rachel od razu zapowiedziała, że odda nam wszystko, co wydaliśmy, chociaż niewiele jej wtedy zostanie. Walter nie chciał o tym słyszeć, oczywiście mnie nawet nie zapytał o zdanie, ale Rachel się uparła.

Zeke wyczuł w jej głosie aprobatę. I ulgę, że firma, którą budowała przez całe dorosłe życie, nie zniknie pod rosnącym jak grzyby po deszczu stosem rachunków.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził. - Cały czas ją to gryzło, że tyle jest wam winna, ale nie ma jak tego spłacić. Dzisiaj wspomniała też, że być może nie dojdzie do tej nowej rozprawy.

Patsy odwróciła się w drugą stronę, ale zdążył zauważyć, że jest zakłopotana.

- Powiedziała ci o tym?

Nie, pomyślał Zeke, nie powiedziała. Był pewien, że coś przed nim ukrywa, coś, co wstrząsnęło nią jeszcze bardziej niż długi czy perspektywa dziesięciomilionowego procesu.

Pozwól jej mieć swoje tajemnice, powtarzał sobie, przecież nie będzie cię przy niej, żeby jej pomóc. Wiedział, że musi wyjechać, zanim szeryf

potwierdzi swoje podejrzenia i dowie się, że Rachel Copeland nie jest jedyną osobą w hrabstwie oskarżoną o zabójstwo.

Ale zamiast przyznać się, że Rachel nie chciała mu zaufać i nic mu nie powiedziała, pokiwał tylko niezobowiązująco głową. Miał nadzieję, że Patsy źle go zrozumie i wyjawi, o co chodzi, chociaż nie miał do tego żadnego prawa.

Tak jak przypuszczał, mówiła dalej:

- Zboczony gnojek, powinno się go wykopać z grobu i jeszcze raz zastrzelić. - Surowym głosem dodała: - Walter na pewno by to zrobił, gdyby tylko mógł. I ja też, tyle nas to kosztowało i rozpaczy, i pieniędzy.

- Nie rozumiem... - zaczął.

- Nawet jeżeli ta kobieta wycofa pozew, sprawa nie jest jeszcze zakończona. Walt jest tak wściekły, że chce przejąć majątek po tym dzieciaku, w imię jak to nazywa „sprawiedliwości”. Rachel będzie potrzebowała terapii, jeżeli w ogóle się na nią zgodzi. I nadal będzie tam, gdzie jest jej najlepiej, w centrum zainteresowania swojego tatusia...

- Myślę, że Rachel wcale nie chce...

Patsy uniosła do góry rękę.

- Oczywiście, że chce, by ojciec się nią zajmował. On jest jej jedynym prawdziwym rodzicem.

Zeke wyczuł w jej głosie ukrytą tęsknotę i frustrację. Przypomniawsobnie, że nawet mając rodzinę, człowiek mógł czuć się wyizolowany. Nawet w tłumie można odczuwać samotność. Może dlatego lubiła rozmawiać z nim w barze? Czowała się równie samotna, jak on.

- Już i tak było ciężko, gdy Rachel była w Filadelfii - ciągnęła Patsy. - Ale gdy zjawiała się tutaj, z tymi wszystkimi kłopotami, mogłabym równie

dobrze przestać istnieć. Jak mam konkurować z dziewczyną, która, gdy tylko otworzy z rana oczy, powoduje jedną katastrofę za drugą? A teraz jeszcze okazało się, że została zgwałcona...

- Zgwałcona? - powtórzył Zeke. - Rachel została zgwałcona? Ten skurwiel ją zgwałcił?

Patsy spojrzała na niego gniewnie.

- Nic ci nie powiedziała.

- Nie, do diabła. Jak możesz mówić, że zrobiła to wszystko specjalnie, żeby utrudnić ci życie? Niezłe podejście do własnej...

- O to właśnie chodzi. Rachel nie jest moja - przerwała mu Patsy. - Od dnia, kiedy wróciłam z Walterem do domu, ta dziewczyna dawała mi na wszelkie sposoby do zrozumienia, że nigdy nie będzie moją córką. Gdyby była moja, gdyby nie odebrano mi szansy na własne dziecko...

Patsy przerwała, a w oczach miała łzy. Próbowwała je powstrzymać, a Zeke dostrzegł w jej spojrzeniu nie tylko złość, ale i ból jak jadowity skorpion zatopiony na zawsze w bursztynie.

Zaczął podejrzewać coś, od czego zrobiło mu się niedobrze. Pomyślał o kobiecie, która przez czternaście lat trzymała go jakoś przy życiu. Czy Patsy tak bardzo chciała pozbyć się Rachel, że byłaby zdolna...

Nie, do diabła. Nie mógł tego znieść. Nie wyobrażał sobie, by kobieta, która najwyraźniej martwiła się o Rachel, mogła zrobić coś takiego z powodu zwykłej zazdrości i niechęci.

Chciał zapytać o mnóstwo rzeczy, o Rachel i gwałt. Czy wstydziła się mu o tym powiedzieć? Czy trzymała to w tajemnicy również przed rodziną? Musiał przycisnąć Patsy, chociażby dla dobra Rachel. Nie mógł jej zostawić,

gdy obok wciąż czaił się jej prześladowca, nie mógł wyjechać z Marfy, nie upewniwszy się, czy jej macocha...

- Co masz na myśli, mówiąc o straconej szansie na własne dziecko?

Czy winiła za to Rachel? Może Walter nie chciał mieć z nią dzieci dla dobra swojej córki? Zeke nie potrafił dobrze ocenić wieku kobiet, ale wydawało mu się, że gdy Patsy wychodziła za Waltera, była jeszcze wystarczająco młoda, by zajść w ciążę.

- Ten drań Harlan... - zaczęła Patsy.

- Harlan? Co on zrobił?

- Nie przepuścił niczemu, co się ruszało - odpowiedziała beznamiętnym głosem. - Przez te jego dziwki się rozchorowałam. Dosłownie. Zaraził mnie jakąś paskudną chorobą która tak zniszczyła mi zdrowie, że nie miałam już szans na dzieci. Ale Bóg postanowił sobie ze mnie zadrwić, bo Harlan mógł. Po tym, jak mnie zrujnował, ożenił się z młodszą kobietą a teraz paraduje po mieście z tymi swoimi synalkami jak z jakimś trofeum.

- Patsy, tak mi przykro. - Zeke pokręcił głową. To cholernie niesprawiedliwe. Nic dziwnego, że nie cierpiała Harlana. Ale co z Rachel? Czy Patsy nienawidziła jej za to, że przypominała jej o jedynej rzeczy, której nigdy nie mogła mieć?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Harlanowi też jest przykro. Cały czas gryzą go wyrzuty sumienia, przynajmniej tyle z tego mam. Cholerny drań.

Na oczach Zeke'a Patsy znowu przybrała swój ochronny pancerz i nieustępliwy wyraz twarzy, który doskonale znał.

- Stare dzieje. Od tamtego czasu minęło już ponad dwadzieścia lat. I nic nie można z tym zrobić. Ani wtedy, ani teraz. Głupia jestem, że wciąż o tym rozmyślam. Pewnie uważasz mnie za jakiegoś potwora. Cały czas pastwię się nad Rachel, chociaż jest jedyną córką, jaką kiedykolwiek będę miała. Kocham tę dziewczynę na swój sposób, najlepiej jak potrafię.

Zeke rozważył jej słowa i wolno pokiwał głową.

- Wierzę ci.

Patsy popatrzyła pod nogi.

- Czasami myślę, że może Bóg wiedział, co robi, czyniąc mnie bezpłodną. Może nie zasłużyłam na nic więcej.

Zeke skrzywił się, słysząc w jej słowach tyle nienawiści do samej siebie.

- To chyba nie działa w ten sposób. I wcale nie uważam cię za potwora. Czasami po prostu terażniejszość zderza się z przeszłością i wyciąga na światło dzienne coś, co wydawało nam się dawno pogrzebane. To mi się zdarza co chwilę, odkąd pojawiła się Rachel. Przedtem myślałem, że już nie będę musiał o niczym pamiętać. Tak byłoby chyba lepiej.

- Więc żałujesz, że wróciła do domu... Trzeba było mnie słuchać, kiedy próbowałam cię ostrzec.

Pokręcił głową.

- Nie, nie żałuję. Pomyliłem się, sądząc, że mogę tak po prostu zapomnieć o swojej przeszłości, że to nie ma znaczenia.

Za każdym razem, gdy był z Rachel, widział, co stracił. Kiedy się kochali, dostrzegł światło, które otworzyło drzwi do zamkniętego zakamarka jego duszy. Ale nie potrafił ubrać tego w słowa, powiedział więc:

- I ponieważ ją kocham. Kocham Rachel tak samo jak ty, najlepiej jak potrafię.

Przygnębiała go myśl, że nie może zostać z Rachel, by pomóc jej uporać się z duchami z przeszłości. I że nie będzie mógł jej chronić.

Wciąż odczuwał niepokój, gdy myślał o jej prześladowcy, ale nie wierzył, by Patsy miała z tym coś wspólnego. Przyjazd pasierbicy na pewno rozjątrzył stare rany, ale wiedział, że kobieta, którą znał od lat, zrobi wszystko dla rodziny. Może nie z uśmiechem na ustach, ale. jeśli nie dla dobra Rachel, to chociażby dla Waltera.

- Kochasz ją? - wyszeptała Patsy. - Widziałam, jak działasz na kobiety. Do diabła, prawie musiałam polać Lili wodą, by dała ci spokój.

Zeke parsknął i pokręcił głową na myśl o Lili i jej niedwuznacznych słowach i gestach. Gdyby była młodą klaczą, podniosłaby do góry ogon i przystawiła mu tyłek do nosa.

- Nie interesują mnie małe dziewczynki.

- Ani nikt inny, z tego co widziałam. Dopóki córka Waltera nie weszła tamtego dnia do baru.

Wzruszył ramionami.

- Nic z tego nie będzie. Rachel o tym wie.

- Naprawdę? Też jej to mówiłam, ale...

- Tak, mówiła, że ostrzegałaś ją przede mną.

Teraz Patsy wzruszyła ramionami.

- Wiesz, że cię lubię, ale masz na czole wypisane „kawaler na całe życie”.

Zeke doskonale to rozumiał, jeszcze parę dni temu sam by się pod tym podpisał. Pokiwał głową i zapytał:

- Kiedy Rachel powiedziała ci o gwałcie?

- Dzień po pogrzebie. Sama się wtedy dowiedziała.

- Dowiedziała? Nic nie rozumiem. To znaczy, że nie wiedziała? Patsy się skrzywiła.

- Podobno są jakieś pigułki, nazywają je pigułkami gwałtu. Ci zbrodniecy rozpuszczają je w drinkach kobiet. Podobno Kyle podał jej coś takiego, a potem ją wykorzystał, gdy reszta studentów poszła do domu. Detektywi znaleźli nowe zdjęcia, na których rzeczywiście jest Rachel i wygląda na nieprzytomną. Mamy cholernie drogich ekspertów, którzy gotowi są potwierdzić to w sądzie. Zresztą to wiele wyjaśnia. Sama się nad tym nieraz zastawiałam. Tyle osób zeznawało, że tamtego wieczoru Rachel zachowywała się dziwnie, a ona sama mówiła, że nic nie pamięta.

- Skurwysyn. - Zeke aż gotował się ze złości. Czuł, że budzą się w nim prymitywne instynkty, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia. Archaiczny impuls, który każe mu iść naprzód i siać zniszczenie, by pomścić wybrankę serca, do której nie ma żadnych praw. Ale winowajca był martwy i Zeke nie bardzo wiedział, na kogo skierować swoją złość. Nic dziwnego, że trochę oberwało się Patsy.

- Co masz na myśli, mówiąc, że Rachel „twierdzi”, że nic nie pamięta? Gdyby wiedziała o tym wcześniej, chybaby komuś powiedziała, prawda? Boże, Patsy, przecież ona wylądowała w więzieniu. Pobrali jej odciski palców, przeszła rewizję osobistą, myślisz, że zgodziłaby się na to wszystko, gdyby miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się wtedy wydarzyło?

- Nie musisz się na mnie wyżywać - warknęła Patsy. - Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Wiem, że jej psycholog od kilku tygodni zostawiał jej wiadomości, ale nigdy do niego nie oddzwoniła, przynajmniej o ile mi

wiadomo. I wcale jej się nie dziwię. Kto by chciał usłyszeć coś takiego? Lepiej nie wracać do przeszłości, jeżeli to możliwe.

Zeke zadrżał. Czy Patsy się czegoś domyślała, a może cały czas wiedziała? Jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał, jak ktoś zamyka drzwi samochodu.

Patsy spojrzała w stronę nowego przybysza i ściszyła głos.

- To Walter. Najwyższy czas. Lepiej do niego pójść, potem porozmawiamy z Rachel i pewnie z Harlanem.

Gdy podała mu kluczyki, Zeke był kompletnie zbity z tropu.

- Widzę, że nie masz tu swojego wozu, możesz wziąć mój. Jest za ciemno, by iść na piechotę, poza tym robi się coraz chłodniej. Walter może mnie do ciebie podrzucić w drodze powrotnej, wtedy go zabiorę.

Propozycja wydawała się logiczna, ale Zeke zawahał się złapany między chęcią ponownego ujżenia Rachel a pospiesznym wyjazdem na południe, do granicy.



## *Rozdział 26*

*Czasem światłość w nas gaśnie, ale wybucha znów płomieniem,  
gdy zetkniemy się z innym człowiekiem.*

*Każdy z nas winien jest najgłębszą wdzięczność tym,  
którzy potrafią ożywić nasze wewnętrzne światło.*

Albert Schweitzer

Tato, muszę się z nim zobaczyć. Proszę. - Rachel spojrzała na ojca, który stał obok swojej furgonetki. Była zdenerwowana i wykończona pytaniami Harlana Castilla, ale nie mogła tak po prostu wrócić do domu. Musiała porozmawiać z Zekiem Pikiem. Czy kimkolwiek, do diabła, był.

Ale ojciec, który zdążył już sobie pogadać z szeryfem i dowiedzieć się o jego podejrzeniach, pokręcił głową.

- Wracasz z nami do domu, Wiewióreczko. Tam będziesz bezpieczna.

Wóz strażacki właśnie opuścił lotnisko i wjechał na autostradę, a na parkingu pozostały tylko samochody Castilla i jego zastępcy, który zaparkował obok furgonetki ojca. Obaj przedstawiciele prawa szeptali coś między sobą, stojąc przy ociekającym wodą czarnym wraku spalonego samochodu. Ogień powyginał karoserię i trudno było dostrzec oryginalny kwadratowy kształt wozu.

- Słyszałaś, co mówił Harlan. - Patsy dotknęła ramienia Rachel. - Myśli, że Zeke mógł mieć coś wspólnego z tym wszystkim, co ci się przydarzyło się tobie, odkąd wróciłaś do domu. Musisz zrozumieć, że my... że twój ojciec martwi się o ciebie. Rachel odsunęła się od niej.

- Jest twoim przyjacielem, prawda? Znasz Zeke'a od lat. Czy przez cały ten czas sprawił komuś jakiegokolwiek kłopoty?

- Tylko Mitchowi Whiteside'owi jakieś sześć lat temu, gdy okazało się, że prawie zatłukł swojego żrebaka na śmierć. Zwierzak był zagłodzony. Kiedy Zeke się o tym dowiedział, pobił go. Potem Mitch chodził i opowiadał, że Zeke ukradł mu konia.

- Co się naprawdę wydarzyło? Patsy pokręciła głową.

- Nie jestem pewna.

- Też słyszałem tę historię - odezwał się Walter. - Zastępca szeryfa pojechał do Zeke'a sprawdzić, co się stało. Zastał go przy opatrywaniu konia. Skóra zwierzęcia była cała porozcinana, ten drań niemal zatłukł go na śmierć skórzanym paskiem, kablem lub czymś takim. Żreback wyglądał jak chodzący kościotrup i był tak nerwowy, że nie można było do niego podejść.

- Biedny Cholla - wyszeptała Rachel, przypominając sobie blizny, które zauważyła na lśniącym złocistym grzbiecie konia. - To musiał być Cholla.

- Później sprawą zajął się Harlan - ciągnął ojciec. - Z tego, co słyszałem, pogadał sobie wtedy z Whiteside'em. Kazał mu się zamknąć i groził, że oskarży go o wszystko, co tylko będzie w stanie wymyślić. Niedługo potem Whiteside wyprowadził się i nikt o tym więcej nie wspominał.

- Widziałeś tego konia na pastwisku? - zapytała. - Jest piękny. Silny, zdrowy i dobrze odżywiony. Zeke ma tam również inne zwierzęta. Osła i srokata klacz, którą też ktoś chciał zagłodzić. On je uratował, tato. Opiekuje się nimi. I bardzo zależy mu na tym, co robi, na swojej pracy. Kocha ją tak

samo, jak ja kocham zdjęcia, a ty latanie. - Spojrzała na Patsy. -I jak ty uwielbiasz karmić ludzi.

- Nie powiedziałałabym, że to uwielbiam - prychnęła Patsy. - Po prostu potrafię to robić.

- Po tym wszystkim, co przeszłaś - odezwał się ojciec. -Nie wiem, jak możesz ufać człowiekowi, który... Do diabła. Wiewióreczko, przecież nawet nie wiesz, jak on się naprawdę nazywa.

- Ale zdążyłam go poznać, tato. Znam go i... myślę, że...

- Jesteś w tej chwili trochę zdenerwowana, to zrozumiałe. Ale nie pozwól, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Niech szeryf się tym zajmie.

- Musimy zawieźć ją do Zeke'a, Walterze - wtrąciła się Patsy, a jej głos zabrzmiał wyjątkowo łagodnie. - Rozmawiałam z nim dziś wieczorem. Kimkolwiek on jest, nic Rachel nie grozi. Naprawdę uważasz, że dałabym mu swój samochód, gdybym myślała inaczej?

Ojciec stał z rękami w kieszeniach i niewyraźną miną. Rachel wydawało się, że dzisiejszego wieczoru wyglądał starzej niż zwykle. W tym momencie żałowała, że w ogóle przyjechała do Marfy. Powinna znaleźć sobie inne miejsce, gdzie mogłaby zacząć wszystko od nowa i nie narażać ojca na te wszystkie kłopoty.

- Jeżeli podrzucicie mnie do Zeke'a - powiedziała - to mogę potem odstawić samochód do domku babci.

Rachel wciąż nie oswoiła się z myślą że dom babci jest teraz jej domem. Cały czas było w nim mnóstwo rzeczy, które należały do Benity Copeland, kobiety, którą tak bardzo kochała w naturalny i oczywisty sposób.

- Zadzwoń, gdy tylko wrócę do domu, obiecuję.

Ojciec potrząsnął kluczykami i rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

- Naprawdę chcesz do niego jechać? Do człowieka, który może być kimkolwiek? Czymkolwiek? Po tym wszystkim, co ci zrobił ten zboczony gnojek i po tym, jak ktoś podpalił twój samochód i...

- Daj jej te kluczyki, Walterze Copelandzie, i uspokój się - wtrąciła się Patsy. - Rachel ma trzydzieści dwa lata i to ty zawsze powtarzasz, że kieruje się zdrowym rozsądkiem. Więc zaufaj jej w tej sprawie. Po prostu jej zaufaj.

Ojciec wyraźnie zeszywniał.

- Jej ufam, ale jemu nie - oświadczył.

- On ją kocha - powiedziała Patsy poważnym, choć nieco zaskoczonym tonem.

Rachel czuła, jak słowa Patsy przeszywają ją na wylot, a pustynna noc nabiera zupełnie innego wymiaru. Wstrzymała oddech i czekała na dalsze słowa macochy.

- Kocha ją. Tak przynajmniej powiedział. - Patsy spojrzała na Rachel i zmarszczyła brwi. - Ale z tego, co widzę, ty nic o tym nie wiesz. Taki facet jak on nie wyrywa się z wyznaniemi. Ale wierz mi, Rachel, gdy już coś takiego powie, naprawdę tak myśli. Nie traciłby czasu na okłamywanie mnie czy kogokolwiek.

Rachel uśmiechnęła się, rozumiejąc, że obie poznały tego samego mężczyznę. Dostrzegła też, że stając po jej stronie przeciwko ojcu i rozsypując te ziarna prawdy jak sól na stole, Patsy zaoferowała jej gałązkę oliwną. Wprawdzie kruchą i delikatną ale Rachel dostrzegła w niej szansę na pojednanie.

- Dziękuję - powiedziała cicho i popatrzyła Patsy prosto w oczy, po raz pierwszy dostrzegając w niej osobę, której wcześniej nie знаła. Kogoś, kto

się jej bał, tak jak ona bała się nowej, zaskakującej rzeczywistości, po tym jak ojciec tak nagle się ożenił. Wtedy myślała, że zbyt szybko próbował zapłacić puste miejsce matki.

Być może ojciec również dostrzegł, co między nimi zaszło, bo przestał się upierać. Popatrzył na wyciągniętą dłoń Patsy.

- Wygląda na to, że tę walkę przegrałem - wymruczał pod nosem i podał jej kluczyki. - Ale zadzwoń, gdy tylko wrócisz do domu. Zadzwoń do mnie, Wiewióreczko, nieważne, która będzie godzina.

Kiedy Zeke usłyszał nadjeżdżający samochód, właśnie pakował w pośpiechu rzeczy, planując podróż, na którą powinien zdecydować się całe lata temu. Zapuszczając tu korzenie, zachował się jak kompletny idiota. A na dodatek przygarnął do siebie zwierzęta i przywiązał się do ludzi.

Zaklął, słysząc, że ktoś otwiera drzwi samochodu. Obawiał się, że jego szansa na ucieczkę właśnie się oddaliła. Gdy tylko ktoś poskłada fakty w jedną całość, będzie jak kaczka wystawiona na ostrzał. A tak się na pewno stanie, bo nie postarał się o papiery, które przeszłyby policyjne śledztwo. Bo jakaś mroczna część jego duszy chciała, by go wreszcie złapali.

Złapali i ukarali. Powinien stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok, byleby tylko prawda ujrzała światło dzienne. Nawet jeśli winni (a raczej pozostali winni, poprawił sam siebie) nigdy nie zostaliby osądzeni, on i tak miałby szansę powiedzieć, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, gdy zginął Willie Tyler.

Ale w ciągu tych dwudziestu długich lat Zeke nie zrobił w tej sprawie nic. Nie był w stanie. Bał się, że złamie serce matki, zbyt kruche, by to przetrwać.

„Nigdy nie próbuj wrócić - pisała - nie przeżyję tego po raz drugi... ”

Nie mogła znieść bólu i wstydu, że może stracić Zeke'a w ten sam sposób, w jaki straciła jego ojca. Zeke wciąż pamiętał, jak wypchnęła go za drzwi, błagając, by uciekał.

Wyszedł na zewnątrz i w słabym świetle księżyca zobaczył Rachel, która wysiadła z samochodu ojca. Siedząca za kierownicą Patsy pokiwała do niego głową, ale Walter przyglądał mu się surowym wzrokiem. Może nie spodobało mu się to, że żona pożyczyła mu samochód? Albo, co było bardziej prawdopodobne, rozmawiał z Castillem, który zdążył się z nim podzielić swoimi podejrzeniami.

Jednak cała jego uwaga skupiła się na Rachel, która stała w cieniu, tuż obok otwartych drzwi prowadzących do jego domu. Rachel, która broniła go przed zarzutami szeryfa, chociaż sama nie doszła jeszcze do siebie po tym, jak dowiedziała się, że została zgwałcona.

I w tym momencie zdał sobie sprawę, że nigdzie nie pojedzie. Nie był już człowiekiem, który mógł tak po prostu zostawić swoje zwierzęta i bez słowa wyjaśnienia uciec od Rachel Copeland.

- Przyjechałaś po samochód? - zapytał, przekrzykując warkot furgonetki.

Rachel podeszła bliżej. Ale nie chwyciła kluczyków, tylko jego rękę.

- Przyjechałam, żeby z tobą porozmawiać. Potem pojedę do domu.

Zeke pokiwał głową. Podziękował Patsy za to, że nie musiał iść do domu na piechotę i życzył jej i Walterowi dobrej nocy.

- Sprawdzę, czy nic jej nie jest - ostrzegł go Walter, który siedział na siedzeniu pasażera. -I jeżeli coś będzie nie tak, ty i ja pogadamy sobie inaczej.

- Tato! - Rachel jęknęła jak niezadowolona nastolatka i gdyby tylko okoliczności były inne, Zeke z pewnością by się roześmiał.

Wręczył jej kluczyki, a potem podszedł do samochodu i pokiwał głową.

- To zrozumiałe.

Podał Walterowi dłoń. Ojciec Rachel spojrział na niego podejrzliwie, ale w końcu odwzajemnił uścisk.

- Masz moje słowo - obiecał Zeke, jeszcze mocniej ściskając jego dłoń.

- Będzie cała i zdrowa.

Kiedy Patsy i Walter odjechali, Zeke powiedział:

- Mówiłem ci już, że lubię twojego ojca? Nie marnuje czasu na głupie gierki. Nigdy nie ukrywa tego, co myśli.

- Niekiedy jest to trochę krępujące - przyznała Rachel, uśmiechając się przy tym nieśmiało. - Ale nie zamieniłabym go na żadnego innego.

Zeke się zawahał. Chciał zaprosić ją do środka i rozpałcić ogień w piecyku, ale obawiał się, że Rachel zobaczy na wpół spakowaną walizkę. Z zagrody słychać było ciche rżenie koni. Z serca ciemnej pustyni dobiegł ich krzyk nocnego ptaka, a tuż obok tykał miarowo chłodzący się silnik starego chevroleta. Rachel stała przed nim i spokojnie mu się przyglądała, jakby mieli dla siebie całą noc.

Zastanawiał się, po co przyszła. Chciała mu pomóc czy miała zamiar go oskarżać?

- I co, myślisz, że szeryf dowie się, kto podłożył ogień? - zebrał się na odwagę i zapytał: - A może uważasz, że marnuje czas i podejrzewa nie tę osobę, co trzeba?

Nad jej głową pojawiła się spadająca gwiazda, która zamigotała, a w końcu zgasła. Rachel skrzyżowała ręce i schowała dłonie.

- Czy będziemy tak stać i marznąć całą noc? Wolałabym pogadać w środku.

- Więc wejdz. - Zeke zaprowadził ją do kuchni, całkowicie zrezygnowany. - Zrobić kawę czy najpierw rozpalić ogień?

- Ogień - powiedziała. - Ja zajmę się kawą.

Pracowali w milczeniu. Zeke zajął się piecykiem, a Rachel kręciła się po kuchni. Ukradkiem wsunął otwartą walizkę pod łóżko. Odetchnął z ulgą myśląc, że jednak mu się udało. Ale gdy się odwrócił, zobaczył, że Rachel bacznie mu się przygląda.

- Wybierasz się gdzieś? - Jej głos był zimny jak lód, a spojrzenie równie podejrzliwe jak jej ojca.

- Myślałem o tym. Ale potem zdałem sobie sprawę, że nie chcę być gdziekolwiek indziej.

- Harlan nieźle cię nastraszył - stwierdziła i podeszła bliżej.

- Tak, i to bardzo. - Pokiwał głową.

- Na tyle, że miałeś zamiar uciec i zostawić tu swoje konie?

- Nie mógłbym tego zrobić - odparł. - Wiesz, że dbam o swoje zwierzęta. Nie jestem takim draniem.

Zrobiła jeszcze jeden krok do przodu, przekraczając granice jego przestrzeni osobistej. Naciskała dalej.

- To kim jesteś? A może raczej powinnam spytać, jak masz na imię? Bo już wiem, że nie nazywasz się Zeke Pike.

No i stało się, pomyślał, a w głowie mu huczało. Przez te wszystkie lata wyobrażał sobie tę chwilę i drżał na samą myśl o niej. Ale tym razem to



działo się naprawdę. To nie był koszmar, tylko zimna rzeczywistość. Uczucie było tak przytłaczające, że zachwiał się na nogach.

- Jestem nim dłużej, niż kimkolwiek innym - zdołał wykrztusić. - Chyba nie wiedziałbym już, jak być inną osobą. Jak wrócić...

- Wrócić do czego, gdzie? - W jej głosie zabrzmiało wyzwanie. Odwzajemnił jej spojrzenie. Bał się poruszyć, a nawet oddychać, jakby cała wiedza na temat tamtego wieczoru uwieczniona była w jego płucach jak stęchłe powietrze. Desperacko chciał je wypuścić, chciał porozmawiać z nią, jak nigdy z nikim. Ale zbyt długo skrywana tajemnica wbijała się w jego duszę jak kolczasta roślina, a jej macki krępowwały jego serce.

Usłyszał trzask ognia w piecyku i poczuł pierwszą falę ciepła, a wraz z nią zapach palonego drewna. Z kuchni dobiegało bulgotanie starego ekspresu do kawy i Zeke postanowił zachować w pamięci każdy szczegół tej chwili. Podejrzewał, że to były ostatnie minuty, ostatnie sekundy, zanim Rachel odwróci się od niego na zawsze.

Rachel stała w miejscu i czekała, patrząc na niego nieugiętym wzrokiem. A potem zupełnie zbiła go z tropu. Wyciągnęła dłoń i musnęła koniuszkami palców jego zarośnięty policzek.

- Cokolwiek to jest - powiedziała - razem sobie z tym poradzimy.

- Nie z tym. - Pokręcił głową.

- Przed czym uciekasz?

Czuł, że jej szept rzucił na niego czar i rozпалиł jego zmysły. Zadrżał, ale nie z zimna, tylko z powodu elektryzującej więzi, która wypełniła przestrzeń między nimi. I z powodu ciężaru tych wszystkich niewypowiedzianych słów.

Najwyższy czas to zmienić. Czas komuś zaufać, nawet jeżeli miałyby to być największy błąd w jego życiu. Ponieważ nie mógł już dłużej znieść tego bólu. Ponieważ nie wiedział, czy taka szansa pojawi się jeszcze raz w jego życiu.

- Dwadzieścia lat temu byłem tylko głupim dzieciakiem. Myślałem, że wiem na czym polega życie, ale gdy się ma osiemnaście lat...

Gdy przerwał, Rachel posłała mu lekki uśmiech, zachęcając go, by mówił dalej.

Zrobił krok do przodu. Kolana mu się trzęsły i nie mógł dłużej utrzymać się na nogach. Usiadł na brzegu łóżka.

- Chciałem zadawać się z tymi, którzy wcale się mną nie interesowali. Tymi, którzy mieli dużo kasy i szybkie samochody. Których ojcowie nigdy nie byli w więzieniu.

Usiadła obok niego i położyła rękę na jego kolanie. Poczł ciepło jej dłoni i jej współczucie. Dodało mu to sił.

- Jego jedyną winą było to, że odważył się powiedzieć coś o miejscowych inspektorach, którzy próbowali wymuszać pieniądze od lokalnych przedsiębiorców. Okazało się, że część pieniędzy trafiała do rąk policji i zanim ojciec zdążył się zorientować, nasza rodzinna restauracja spłonęła w pożarze, a ojciec został skazany za umyślne podpalenie i wyładował w więzieniu. Nie wyobrażasz sobie, jak szybko to poszło, a jeśli chodzi o sprawiedliwy proces... - Zeke poczuł, że znowu ogarniają go dawne emocje: złość, ból i zwyczajna wściekłość. I wstyd, że nie był w stanie nic zrobić. - Ojciec nie chciał tego tak zostawić. Zaczął o tym głośno mówić, pisać do różnych urzędników, nawet kiedy był w więzieniu. Aż w końcu ktoś, nigdy nie wyjaśniło się kto, dźgnął go nożem pod prysznicem. Wtedy

nie było nas już stać na porządny pogrzeb. Pochowali go w nieoznakowanym grobie obok więzienia, bo ubezpieczyciel nie chciał wypłacić nam odszkodowania, a matka miała do wykarmienia trzech chłopców.

- Dlatego uciekłeś? Zeke pokręcił głową.

- Nie. Ja byłem najstarszy i musiałem jakoś pomóc. Sami odbudowaliśmy restaurację, chociaż teraz bardziej przypominała budę niż prawdziwą restaurację. Ale przynajmniej mama mogła sprzedawać piwo i kiełbasę z grilla.

Przypomniał sobie, jak matce było ciężko i pomyślał o Patsy. Czy dlatego tak bardzo lubił przebywać w jej towarzystwie?

- Pracowałem to tu, to tam - dodał - żeby opłacać tych cholernych inspektorów. Nie chciałem, żeby matka miała z nimi do czynienia, nie po tym, co zrobili ojcu.

Chwyliła go za rękę.

- Byłeś dobrym synem.

- Nie. Byłem głupim synem - powiedział z goryczą. - Wiedziałem już, co to znaczy być Langleyem w tym mieście, a mimo to wciąż wierzyłem, że tamci, z tych porządných domów, mogli być moimi przyjaciółmi.

- Langley - powtórzyła miękko, chcąc usłyszeć, jak to będzie brzmiało.

Zeke poczuł się dziwnie, słysząc swoje nazwisko w jej ustach. Ale była w tym też jakaś ulga i otucha. Przez tyle lat próbował ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Nabrał odwagi, której potrzebował, by kontynuować swoją opowieść.

- John Charles Langley - powiedział i poczuł, że w tym momencie runęła ostatnia bariera. Teraz nic już nie mogło powstrzymać fali

wspomnień. - Któregoś wieczoru namówili mnie, bym podebrał piwo z lodówki w naszym barze. Potem zaczęliśmy pić w pobliżu miejsca, które miejscowi nazywają Bone Lake. Popisywałem się, zgrywałem ważniaka, w końcu to ja załatwiłem piwo.

- Ja też popełniałam różne błędy... - Ścisnęła jego dłoń.

- Wcześniej dużo nie piłem - ciągnął Zeke. - Tylko tyle, żeby poczuć, że należę do grupy. Miałem w końcu obowiązki, których tamci nie mieli. Ale tamtej nocy, kiedy okradłem własną rodzinę, piłem jedno piwo za drugim. Chciałem zabić poczucie winy i próbowałem nie myśleć o tym, że nie stać nas na taką stratę. Nie wiedziałem, jak im odmówię, kiedy następnym razem poproszą mnie o to samo. Gdy pomyślę, jaki byłem głupi...

- Byłeś bardzo młody - powiedziała Rachel. - Pewnie, że nawaliłeś, ale nie chcesz mi chyba powiedzieć, że z tego powodu uciekłeś z domu na dwadzieścia lat?

Pokręcił głową. Minęło już tyle czasu, a on wciąż nie mógł otrząsnąć się z koszmarnych wspomnień tamtej nocy. Pamiętał, jak spod przymkniętych powiek przyglądał się, gdy tamci wstrząsali bezwładnym już ciałem. Pamiętał bladą twarz chłopca schowaną za krwawą maską i rozwiązany, do połowy zdjęty but.

- Zajmowałem się między innymi takim jednym dzieciakiem, który nazywał się Willie Tyler.

- Opiekowałeś się małym dzieckiem?

Zeke zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Willie nie był dzieckiem. Miał tyle lat co my, ale był trochę niedorozwinięty. No może nawet więcej niż trochę, jednak nie na tyle, by

nie chcieć należeć do grupy fajnych koleżków. Problem polegał na tym, że gotów był zrobić wszystko, żeby go zaakceptowali.

Rachel się skrzywiła.

- Był miłym dzieciakiem, z dobrej rodziny. Mieli dużo pieniędzy, przynajmniej jak na standardy obowiązujące we wschodnim Teksasie.

- Jesteś ze wschodniego Teksasu?

Zeke kiwnął głową i ciągnął swoją opowieść.

- Jego rodzina miała pieniądze z wyřębu drewna jeszcze z dawnych czasów, ale nie obnosili się z tym. Rodzice Williego słyszeli, że czasami go bronilem, gdy dzieciaki za bardzo mu dokuczały i że nie pozwoliłem mu przepłynąć jeziora wplaw w styczniu, bo ktoś go do tego namawiał. Więc któregoś dnia przyszli do mnie i powiedzieli, że będą mi płacić, jeżeli dopilnuję, by ich chłopak nie zrobił niczego głupiego.

- To mnie wcale nie dziwi. Nie tolerujesz przemocy, ani w przypadku zwierząt, ani ludzi.

- Zbyt dobrze mnie oceniasz - warknął Zeke. Nie mógł znieść podziwu w jej spojrzeniu. - Płacili mi za to, żebym na niego uważał. A tamtego wieczoru zupełnie nawaliłem.

- Tamtego wieczoru? Chcesz powiedzieć, że był wtedy z wami? Kiedy ukradliście piwo i poszliście pić?

- Tak. Wtedy, kiedy upiłem się do nieprzytomności i nie zwracałem najmniejszej uwagi na to, co się z nim dzieje. - Oczy zapiekły go z bólu. - Ani na to, co robili tamci, bo straciłem przytomność i wylądowałem we własnych wymiocinach.

Rachel głośno wypuściła powietrze.

- Aż boję się zapytać, co było dalej.

Spuścił głowę i zacisnął mocno powieki. Ale duchy tamtej nocy zostały już przywołane i nie chciały odejść. Duchy chłopców, których ojcowie trzęśli całym miastem, poczynając od Aarona Lyncha, gwiazdy szkolnej drużyny baseballowej, poprzez Shane'a Drake'a, przewodniczącego klasy, aż po Sama Hendersona, celującego ucznia, który wygłaszał mowę pożegnalną, gdy parę tygodni wcześniej kończył szkołę, i był kapitanem drużyny zapaśniczej. A przede wszystkim duch małego Williego Tylera, z jego głupawym uśmiechem i krzywymi zębami, który pytał naiwnie: „Chcesz być moim kumplem? Chcesz iść do mnie do domu i obejrzeć moją kolekcję kart baseballowych? Pozwolę ci wybrać twoją ulubioną. Dam ci, co tylko będziesz chciał, jeśli ze mną pójdziesz”.

Były też i inne obietnice. Czekoladowe ciasteczka jego mamy czy możliwość podglądania starszych sióstr, gdy się przebierały. Każdemu składał te same propozycje, aż w końcu nie miał już żadnych kart i nie było w klasie chłopaka, który nie widziałby jego starszej i bardziej rozwiniętej siostry nago. Zeke przypominał sobie, że Marlene, tak chyba miała na imię, była obiektem wielu fantazji.

- Willie zmarł tamtej nocy - powiedział zachrypniętym głosem.

- Ty go chyba nie... - Rachel z trudem łapała powietrze. Jej słowa były tylko odrobinę głośniejsze od szumu starego ekspresu do kawy. - Nie byłeś chyba aż tak pijany, by go... ?

- Nie zabiłem go. Tyle wiem na pewno. Przynajmniej to nie ja wpadłem na pomysł, żeby uderzyć go dla zabawy. - Zeke wciąż nie był pewien, kto zadał śmiertelny cios. Pamiętał tylko, że kiedy oprzytomniał, usłyszał paniczne szepty trójki swoich „przyjaciół”, którzy właśnie zdali sobie sprawę, że Willie przestał oddychać i nie da się go ocucić.

- O Boże. Umarł tak po prostu, od uderzenia?

Zeke pokiwał głową.

- Myślę, że nie chcieli go zabić. To miały być tylko wyglupy, które wymknęły się spod kontroli. Ale Willie był dość drobny, miał może metr sześćdziesiąt wzrostu i ważył jakieś pięćdziesiąt kilogramów, i to uderzenie całkowicie zważyło go z nóg. Musiał dostać w jakieś wrażliwe miejsce. Może złamali mu kark albo dostał wylewu.

- Czy ktoś wezwał pomoc? Karetkę albo...

- W końcu. Kiedy już ustalili swoją wersję wydarzeń. Wtedy właśnie się ocknąłem.

Sylaba po sylabie, bez końca odtwarzał w głowie ich słowa: „Mój ojciec mnie zabije” i „Co będzie z moim stypendium?”, „Jeszcze raz przyłapią mnie na picciu, a starzy na pewno sprzedadzą mój samochód”.

Aż w końcu, kiedy Zeke z trudem podniósł twarz z własnych wymiocin i chciał zobaczyć, czy można jeszcze jakoś pomóc Williemu, jeden z nich powiedział: „Hej, już wiem. Langley to zrobił. To Langley uderzył go tak mocno, że już się nie podniósł”.

Uczepili się tej myśli jak tonące szczury przyczepione pazurami do kawałka unoszącego się na wodzie drewna. Przypomnieli sobie, że ojciec Zeke'a zmarł w więzieniu zaledwie dwa lata wcześniej, że przecież okradł własną matkę. I tak nikt nie spodziewał się niczego dobrego po Langleyach, którzy mieszkali w zniszczonym bungalowie w czarnej części miasta i utrzymywali z tamtejszą społecznością o wiele lepsze stosunki, niż było to wskazane. Oczywiście zaraz potem któryś z nich napomknął coś o „białej biedocie”. Zaczęli się zastanawiać, dlaczego oni, kwiat miejscowej młodzieży o wspaniałych perspektywach, mieliby pójść na dno z powodu

jakiegoś niedorzecznego wypadku, w którym zginął niedorozwinięty dzieciak.

„Poza tym, gdyby Langley nie dał nam piwa, nic by się nie wydarzyło”.

Zeke opowiedział Rachel wszystko, co zapamiętał z tamtej nocy, włącznie z tym, jak natychmiast otrzeźwiał i pobiegł do domu.

- Więc to matka namówiła cię do ucieczki - zauważyła Rachel, kiedy powtórzył jej ich ostatnią, rozdzierającą serce rozmowę.

Kątem oka Zeke dostrzegł jej łzy. Chciał jej powiedzieć, że nie zasługuje na nie, ale był tak wyczerpany, że tylko pokiwał nieprzytomnie głową.

- Dała mi wszystkie oszczędności i niemal wypchnęła za drzwi. Wiedziała, że nie mam co liczyć na wymiar sprawiedliwości, że w tym miejscu czeka mnie tylko więzienie, i to jeśli nie puszczę pary z ust. Albo śmierć, jeśli zdecyduję się mówić. A ja na pewno nie mógłbym utrzymać języka za zębami. Opowiedziałbym wszystko, aż w końcu by mnie zabili tak jak ojca.

- Dwadzieścia lat... - wyszeptała.

- Zabójstwo nie podlega przedawnieniu. A ostatnim razem, kiedy próbowałem skontaktować się z matką i podesłać jej trochę pieniędzy, błagała, bym nigdy nie wracał i nie zostawiał żadnych śladów, żeby nie mogli mnie odnaleźć. Cały czas mam jej list, trzymam go w jednej z książek. Tylko to mi zostało. Tylko...

- Matka cię kochała, Zeke. Cały czas cię kocha, jestem tego pewna.

Spojrzał prosto w jej brązowe oczy.



- Nawet mnie nie zna. Zna tylko chłopca, który umarł tamtej nocy tak jak Willie.

- To był błąd, tragedia. Ale nie ty go zabiłeś.

- Równie dobrze to ja mogłem zadać mu ten cios. Doskonale wiedziałem, że tamci tolerują jego obecność tylko dlatego, żeby się z niego pośmiać. Ale byłem zbyt ślepy, by dostrzec, że mnie traktują tak samo.

- Dzieciaki potrafią być okrutne. Okrutne i samolubne. Jednak nie możesz się obwiniać o śmierć tego chłopca.

- Myślałem, że kto jak kto, ale ty to zrozumiesz. Przecież, pomimo to, co ci zrobił Kyle, przypisujesz sobie całą winę.

Rachel nagle wstała z miejsca i poszła do kuchni, gdzie ponownie zaczęła stukać drzwiczkami od szafek. Pewnie szuka kubków, pomyślał.

- Jaką pijesz kawę? - zapytała zdenerwowanym głosem.

- Rachel... - Wstał, zastanawiając się, czy nie popełnił błędu, wspominając o Kyle'u, szczególnie po tym, co usłyszał dziś od Patsy.

- Więc ty też już wiesz? - Spojrzała na niego znad blatu. - Słyszę to w twoim głosie i widzę to w twoich oczach.

Zamiast zaprzeczać podszedł do niej, delikatnie przyciągnął do siebie i otoczył ramionami. Westchnęła zrezygnowana i położyła głowę na jego klatce piersiowej.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Wiedziałem, że coś cię gryzie, ale gdy Patsy powiedziała mi, co ten drań ci zrobił...

- Moja macocha ma za długi język.

- Martwi się o ciebie.

- Czyżby? - Rachel wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. - A może próbowała cię ostrzec? W końcu jestem towarem uszkodzonym.

- Daj spokój, Rachel. Zaufaj jej, zaufaj nam obojgu - powiedział Zeke, chociaż przypomniał sobie swoje własne podejrzenia co do Patsy. - To dlatego mogą wycofać pozew? - zapytał.

Skinęła głową.

- Nie wyobrażam sobie, by jego matka chciała, żeby to wyszło na jaw. Wydałoby się wtedy, że jej mały aniołek... że mógł kobiecie zrobić coś takiego. Łatwiej będzie utrzymać jego wizerunek „ofiary”, jeżeli do rozprawy w ogóle nie dojdzie.

Zeke musnął dłonią jej policzek i pogłaskał po miękkich włosach. Mógł wypowiedzieć za nią to słowo, którego wyraźnie unikała, ale nie chciał. Nie chciał nawet myśleć o tym, co ten drań z nią robił, gdy była nieprzytomna.

Chwyciła jego rękę i splotła ze swoją.

- O niczym nie wiedziałam - wyszeptała. - Gdzieś w podświadomości czułam, że może, ale nie mogłam się z tym pogodzić. Więc zaczęłam wymyślać sobie różne wymówki, dlaczego nie pamiętam tamtej nocy. Że może to grypa albo... Wymyślałam różne bajki dla mojego prawnika i psychologa. Ale w tej chwili to już nieważne...

- To jest ważne, Rachel. Musisz nauczyć się z tym żyć. Może powinnaś skorzystać z jakiejś pomocy, żebyś nie...

Pokręciła głową i cofnęła się, żeby mu się przyjrzeć.

- Dzisiaj liczy się tylko jedno.

Zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli?

- Musimy stąd uciec, oboje, zanim zjawi się Castillo, żeby cię aresztować.

## *Rozdział 27*

*Miała wrażenie, że w duszy jej skończył się ten straszliwy konflikt:  
nie walczyła już ze swym smutkiem, lecz potrafiła usiąść z nim  
jak z dozgonnym towarzyszem i uczynić z niego  
wspólnika swoich myśli,*

George Eliot *Miasteczko Middlemarch*,

przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska

Zeke podniósł rękę Rachel i przycisnął do ust. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Jej propozycja całkowicie zbiła go z tropu. Nie mógł uwierzyć, że gotowa była zostawić całe swoje dotychczasowe życie i rodzinę, która ją kochała, żeby z nim uciec. Że chciała zrezygnować z szansy na normalną przyszłość, bez ciągłego oglądania się przez ramię, tylko dlatego, by z nim być.

Chciał wierzyć, że kochała go, tak jak on kochał ją. Że mają szansę na wspólną, choć niepewną, przyszłość, na ucieczkę od samotności, z którą zmagał się tyle lat. Ale kiedy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich rozpacz i poczucie przegranej. Zobaczył kobietę, która chciała uciec od problemów, z którymi nie umiała sobie poradzić.

- Nie możesz ze mną jechać - powiedział. - Nie słuchałaś, co mówiłem? A co z Williem? Nie jestem tym, za kogo się przez te wszystkie lata podawałem.

- Nie wiem, kim byłeś kiedyś. - Rachel popatrzyła na niego ze zboląłą miną. - Nie wiem też, kim mógłbyś być, gdyby ten chłopiec nie umarł, ale

zakochałam się w mężczyźnie, którym jesteś teraz. Kocham Zeke'a Pike'a, a nie Johna Langleya.

Przymknął oczy. Chciał, by jej słowa wsiąkły aż po samo dno jego duszy. Zrozumiał, że Rachel, również ukształtowana przez tragedię, była prawdopodobnie jedyną kobietą, która mogłaby go zaakceptować, bo uważała, że nie zasługuje na nic więcej, tylko na takiego wygnańca jak on sam. „Jestem towarem uszkodzonym”, powiedziała, używając starego określenia, które powinno zniknąć całe wieki temu. Ale tak właśnie siebie oceniała, niezależnie od tego, co myśleli inni.

- Powinnaś już iść. - Jego głos brzmiał szorstko i nieprzyjemnie, jak pancerz, który od dawna nosił. - Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu.

- Nie rób tego, Zeke. Nie wyrzucaj mnie ze swojego życia. Wiem, że mnie kochasz. Wiem o tym.

Skrzywił się.

- Chyba muszę przyznać ci rację. Patsy faktycznie za dużo gada. Widział jednak, że Rachel cierpi i nie mógł tego tak zostawić. Chciał

wziąć ją w ramiona i pocałować, by na zawsze zapomniała o swoim bólu. Ale nie chciał ryzykować. Nie mógł jej przecież dotknąć. Nie mógł zatrzymać przy sobie kobiety, która zasługiwała na więcej.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział. - Wcale się tego nie wypieram. Ale to, że cię kocham, oznacza, że chcę dla ciebie jak najlepiej, Rachel. Nie mogę pozwolić, byś uciekła i zraniła bliskie ci osoby.

- Wiem, że ojciec by za mną tęsknił - przyznała z bólem.

- Dopiero co stracił matkę. A jeśli myślisz, że Patsy będzie szczęśliwa, gdy wyjedziesz, to się grubo mylisz. Ta kobieta cię kocha, tylko boi się do tego przyznać. Boi się, że ją odrzucisz.

- Jeżeli rzeczywiście jej na mnie zależy, okazuje to niekiedy w bardzo dziwny sposób.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Poza tym, gdybyś tak nagle zniknęła, i tak nie mogłaby liczyć na to, że twój ojciec skupi na niej całą uwagę. Bo dobrze wiesz, że szukałby cię do końca swoich dni.

- Mają przeze mnie same kłopoty. Gdy wyjadę, będzie im lepiej...

- Nie mów tak. - Pokręcił głową. - Nigdy więcej tak nie mów. Bo jak już raz zaczniesz w ten sposób myśleć, to nigdy nie skończysz. Będziesz chciała uciec jak najdalej, aż w końcu tak bardzo oddalisz się od osoby, którą kiedyś byłaś, że z rozpaczy nie będziesz mogła o tym myśleć.

Rachel podniosła kubek i pociągnęła łyk kawy. Unosząca się z kubka para przesłaniała jej oczy i myśli. Ale Zeke był pewien, że zastanawia się, co zrobić i ile będzie ją kosztować ucieczka z nim.

Samolubna część jego serca miała nadzieję, że Rachel uzna, że jest tego wart. Wart każdego poświęcenia. Już tak długo był sam. Czuł, że to go w końcu zabije.

Upił łyk kawy, mając nadzieję, że wzmocni swoją silną wolę. Po chwili Rachel odstawiła kubek i znowu wtuliła się w jego ramiona.

- Nie zniosę tego, Zeke. - Przytuliła go z całej siły. - Chcę, żebyś był bezpieczny, naprawdę. Ale nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, nie wytrzymam nawet jutrzejszego dnia.

Zeke odstawił kawę. Uścisnął ją i pogładził po jedwabistych włosach. Czy dotykał ich po raz ostatni? Czy było to ostatnie wspomnienie ich przelotnego, skazanego na niepowodzenie romansu?

- Dasz sobie radę, Rachel - powiedział. - Wiem, że jesteś silna.

Ale gdy odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na niego oczami w kolorze roztopionej czekolady, zaczął wątpić we własne siły. A kiedy wyszeptała: „Proszę, Zeke”, czuł, że zupełnie go opuszczają.

Pochylił głowę, by ją pocałować. Łapczywie dopadł jej ust, czując, że każdy centymetr jego ciała zaczyna iskrzyć, skupiając się na tej części jego anatomii, której zupełnie nie interesowało, czy to była oznaka słabości, czy dał się ponieść jakimś destrukcyjnym impulsom. Nic innego się nie liczyło. Jedyne, czego pragnął, to całować ją pieścić i skupić swoje ciało i umysł na tej chwili, tym ostatnim...

Nie powinien wkładać ręki pod jej bluzkę, nie powinien poczuć ciepła jej skóry i kształtu piersi ukrytych pod stanikiem. Przeraził się na myśl, że mógł mieć aż tyle i tylko tyle, że był tak blisko, tak cholernie blisko tego, czego potrzebował. Czego potrzebowali oboje.

Kiedy Rachel nagle odsunęła się, jego ciało skuliło się w proteście. Ale zobaczył, że zdejmuje bluzkę i odpina czarny koronkowy stanik, a potem sięga do guzików jego koszuli.

Próbował przypomnieć sobie, dlaczego nie był to najlepszy pomysł.

- Czy to nie ty mówiłaś, że nie będzie więcej seksu?

- To było, zanim powiedziałeś mi prawdę - odparła. - Zanim mi zaufałeś. Poza tym to nie będzie seks.

Ale zamiast odetchnąć z ulgą niemal zawył z bólu. Po chwili Rachel dodała:

- Będziemy się kochać, Zeke. Proszę, jeszcze ten jeden ostatni raz.

Nie zarejestrował już tego, co powiedziała o „ostatnim razie”, nie słyszał nic poza słowami „będziemy się kochać”. Zamknęła mu usta gorącym pocałunkiem i choć na jej nagiej skórze pojawiła się gęsia skórka,

Zeke rozkoszował się zębami i smakiem jej warg, miodowo-cytrynowym zapachem włosów i pośpiechem, z jakim odpinała guziki jego koszuli. Kiedy wsunął rękę między jej piersi, dotykając najpierw jednej, potem drugiej, zajęczała z rozkoszy, a jej sutki zrobiły się twarde.

Wziął ją w ramiona i ruszył w stronę łóżka, obok piecyka, wciągając głośno powietrze, gdy poczuł jej delikatne ugryzienia w szyję.

W odpowiedzi zamruczał, przypominając sobie lwicę, którą już w niej kiedyś widział, tę część jej duszy, która nie została dotknięta tragedią

Nagle zmienił kierunek i zaniósł ją do łazienki. Odkręcił prysznic i postawił ją na ziemi. Uklęknął przed nią na macie i zaczął zdejmować jej buty i skarpetki, a potem rozpiął pasek od spodni. Zsunął jej dzinsy i włożył palce pod gumkę od majtek, całując ją przez wilgotny jedwab.

Odchyliła głowę i zajęczała. Gdy pieścił językiem jej pępek, czuł, że kolana się pod nią ugięły. Rozebrał ją do naga i popchnął jeden krok do tyłu pod...

- Au! Zimno - krzyknęła, gdy zdjął spodnie i dołączył do niej pod prysznicem.

- Przepraszam - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Chciałem, byś była rozgrzana i mokra, a nie zmarznięta.

Oboje się roześmiali i poczuli się z tym dobrze, tak cholernie dobrze, że mogli spokojnie poczekać, aż woda się ogrzeje. Zeke zdjął mokrą koszulę i poszukał jej ust, pieszcząc przy tym jej piersi. Czuł, jak wbija mu paznokcie w plecy.

Jęcząc z rozkoszy, pochylił się jeszcze niżej i zaczął ssać jej brodawki. Zamruczała i sięgnęła ręką w dół.

- Tak jest o wiele lepiej.

Dotknęła go ciepłą i śliską od mydła dłonią, aż myślał, że eksploduje z rozkoszy. Ale nie mógł jeszcze kończyć, jeszcze nie teraz. Chwycił ją za nadgarstki i odwrócił twarzą do ściany.

Sięgnął między jej nogi, by odkryć, że jest mokra i gotowa. Nie wszedł w nią jednak, tylko zaczął ocierać nabrzmiałą męskość o jej słodką szparkę. Pieścił ją, rozkoszując się strumieniami wody, biciem własnego serca i rytmem pożądania. Nie chciał myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości, chciał w pełni delektować się tą chwilą, aż poczuł, że robi się sztywna.

- Boże, Zeke... -wykrzyczała.

Zachwiała się, ale złapał ją i zakręcił wodę. Kiedy wycierał ją suchym ręcznikiem, stała z zamkniętymi oczami, jakby również chciała zachować tę chwilę w pamięci, jakby również obawiała się, że już nigdy więcej się nie powtórzy.

Zaniósł ją z powrotem na łóżko.

- Mogę iść sama - zamruczała.

Uśmiechnął się.

- Wolę nie ryzykować, jeszcze mi uciekniesz.

- Nigdzie się nie wybieram. - W jej oczach dostrzegł obietnicę. W pokoju było już ciepło, ale i tak czuła żar bijący od Zeke'a. Całował ją, ponownie rozbudzając, drażnił, odkrywając wszystkie tajemnice.

Aż w końcu ich splecione ciała zaczęły poruszać się wspólnym rytmem. Na początku spokojnie, jak kołyszące się na cicho morze, a potem coraz gwałtowniej, jakby czuły niekończący się przypływ i odpływ. Aż zalała ją fala najczystszej rozkoszy, a jego ciało nareszcie odnalazło spełnienie.



Mały czarno-biały piesek zapiszczał z bólu. Kolejna przypadkowa ofiara. I choć piesek go ugryzł, była to jedyna ofiara, której naprawdę żałował.

Śmierć starej kobiety była mniej niepokojąca. Bliskie osoby umierają, często zostawiając szlochających przyjaciół, zdruzgotane rodziny i zrozpaczone dzieci. Benita Copeland i tak przeżyła wiele długich lat. Poza tym istnieją gorsze sposoby odejścia z tego świata, niż delectowanie się doskonałymi szwajcarskimi czekoladkami. To była słodka śmierć, o wiele łagodniejsza niż ta, która zniszczyła rodzinę intruza. I o wiele przyjemniejsza niż ta, która czekała zabójcę.

Ale dzisiejszego wieczoru oprócz złości pojawiły się także wyrzuty sumienia. To przez tego psa, który wyskoczył na ulicę, gdy dostał kopniaka w zębra. W przeciwieństwie do osoby dorosłej, pies był właściwie bezbronny. I tak ufnie patrzył tymi swoimi dużymi brązowymi oczami, zupełnie jak dziecko.

Jeden mały grzech. A tak wiele przywołał wspomnień.

Rachel Copeland zapłaci za to, zapłaci za wszystko.

## *Rozdział 28*

*Bohater to ktoś, kto rozpala na świecie światło, zapala pochodnie na ciemnych ulicach życia, by ludzie widzieli, dokąd zmierzają.*

*Święty to ktoś, kto idzie ciemnymi ścieżkami świata, sam będąc światłem.*

Felix Adler

Wtorek, 25 marca

Więc wyjedziesz stąd? - Rachel zapytała Zeke'a, gdy skończyła się ubierać. Nieważne jak to bolało, ale musiała mieć pewność. – Jeżeli obiecuję, że zaopiekuję się twoimi zwierzętami, wyjedziesz w jakieś bezpieczne miejsce? Proszę...

Pokiwał głową i zapiął dżinsy. W jego zielonych oczach malował się smutek. Przyglądał się jej, gdy zakładała buty.

- A potem dasz mi znać, gdzie jesteś, dobrze? Żebym mogła do ciebie dołączyć?

- Nie - odparł. - Nie mogę tego zrobić.

- Pogadam z ojcem. Wszystko z nim załatwię, obiecuję. Znajdę dla zwierząt dobrych właścicieli, dla Gusa też. Naprawdę.

- Nie, Rachel. Powinnaś zostać ze swoją rodziną i to za zamkniętymi drzwiami. I nie rezygnuj ze swojej kariery. Gdybyś do mnie dołączyła, straciłabyś jedno i drugie. A ja już i tak mam za dużo na sumieniu.

Pokręciła głową.

- Nie obchodzi cię to, że cię kocham?

- Bardziej niż myślisz. Ale nie na tyle, by niszczyć ci życie. Posłuchaj, Rachel, ta kobieta, która cię prześladowała, tym razem trochę przesadziła,

poczuła się zbyt pewnie. Castillo na pewno ją znajdzie. A wtedy to wszystko się skończy i będziesz mogła zacząć normalnie żyć.

Przełknęła głośno ślinę i z trudem powstrzymała się, by nie zapytać: „Jak żyć? Bez jedyne go człowieka, z którym mogła tak naprawdę porozmawiać, jedyne go człowieka, nie licząc ojca, którego kochała?” Nie chciała jednak wzbudzać w nim litości ani błagać, by zmienił podjętą z takim trudem decyzję.

Przecież nigdy nie obiecywał, że to będzie trwać wiecznie i robił wszystko, by ją zniechęcić. W świecie dorosłych pewne sprawy są ważniejsze niż miłość.

- Gdybyś zmienił zdanie... - zaczęła. Pogładził ją szorstkimi palcami po policzku.

- Uważaj na siebie, dopóki jej nie złapią. Może powinnaś na jakiś czas zamieszkać z Patsy i ojcem. Chybabym umarł, gdybym dowiedział się, że coś ci się...

Przytuliła go z całych sił. Po chwili wahania zanurzył palce w jej włosach. Delikatnie pocałował ją w czoło i wyszeptał:

- Nie zmienię zdania, Rachel. Lepiej będzie, jak już pójdziesz. Mam jeszcze sporo do zrobienia. Nakarmię konie, więc możesz wpaść dopiero jutro po południu, i zostawię ci pieniądze na ich utrzymanie, na stole będzie czek...

Stała na palcach i mocno pocałowała go w usta, by na zawsze zapamiętać ich smak i żar. W końcu po długiej chwili odsunęła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Do widzenia Zeke'u Pike'u - powiedziała przez ramię i jak najszybciej pobiegła do samochodu, by nie widział, jak płacze.

Nie dotarła nawet do drzwi, gdy pojawiły się pierwsze łzy, ale nie miało to znaczenia. Bo Zeke wcale za nią nie pobiegł. Miała dla siebie całą noc i cały swój żal.

Kiedy dziesięć minut później jechała do domu, zadzwonił telefon. Z oczami mokrymi od łez rzuciła się, by go odebrać, modląc się w duchu, że może Zeke jednak zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że nie może bez niej żyć. Nie zdążyła spojrzeć na wyświetlacz, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że przecież Zeke nie ma telefonu.

- Cześć Wiewióreczko, tu twój staruszek- odezwał się ojciec szorstkim głosem.

- Właśnie jadę do domu - powiedziała poirytowana jego nadopiekuńczością.

- Przejeżdżałem obok domu babci, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, zanim wrócisz i o mały włos nie zabiłem J. D.

- Co mu tym razem odbiło? - Pies ostatnio tak bardzo posmutniał, że z ulgą przyjęłaby wiadomość o powrocie do dawnych zwyczajów.

- Nie, nie o to chodzi. Naprawdę omal go nie zabiłem. Wybiegł nagle na ulicę, zupełnie nie widziałem, jak wbiega mi pod koła. Gdybym szybko nie zareagował i nie wjechał na chodnik prosto w siewnik sąsiada, na pewno bym go przejechał. Chyba go nie wypuściłaś?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Zostawiłam mu tylko otwartą klapę w drzwiach, żeby mógł wyjść do ogrodu, ale brama była zamknięta. Jestem tego pewna.

- Kiedy przyjechałem, brama była otwarta na oścież. I nie jestem pewien, ale...

- O co chodzi, tato?

- Wydaje mi się, że widziałem, jak coś poruszyło się w ogrodzie za domem. Było ciemno i mogłem być jeszcze trochę roztrzęsiony po pożarze, ale mógłbym przysiąc, że widziałem, jak ktoś przeskoczył przez płot i uciekł.

- Nic ci nie jest? Czy teraz też ktoś tam jest? - zapytała.

- Ze mną wszystko w porządku, a jeżeli ktoś faktycznie tam był, to już dawno zniknął.

- A co z J. D. ?

- Nic mu nie jest. Jest teraz ze mną w domu - powiedział ojciec. -Ale pospiesz się, Wiewióreczko. Jest tu coś, co powinnaś zobaczyć.

- Co się stało? - Otarła łzy. - Czy ktoś się włamał?

Po pożarze furgonetki nic już nie mogło jej zdziwić. Ale i tak poczuła wzbierającą złość na myśl, że ktoś mógł zniszczyć rzeczy należące do babci.

- Jedź ostrożnie - powiedział ojciec - Zobaczysz, gdy przyjedziesz.

Kiedy zjawiała się parę minut później, ojciec czekał na nią w drzwiach. Przyjrzał jej się uważnie i zmarszczył brwi.

- Płakałaś. Ten skurwysyn...

- Nic mi nie jest - odparła, nie chcąc teraz rozmawiać o Zeke'u. W tej chwili chciała skupić się jedynie na swojej złości, by nie myśleć o tym, że go straciła. Nie mogła rozkleić się na oczach ojca.

J. D. skoczył na nią i Rachel wzięła go na ręce. Pies cały się trząsał, jakby naprawdę się czegoś przestraszył. A może był po prostu podekscytowany jej powrotem do domu?

Rozejrzała się po domu, szukając oznak zniszczenia i zapytała:

- O co chodzi, tato? Co się stało?

- Lepiej chodź i sama zobacz - odparł i zaprowadził ją do jadalni. Ktoś przesunął pod ścianę stół i krzesła babci. A w ich miejsce postawił nowy stół i nowe krzesła. Był to ten sam stół, przy którym pracował Zeke wtedy, gdy zrobiła mu tamto pamiętne zdjęcie w pracowni. Ozdobiony turkusowymi żłobieniami, z czerwono-brązowym blatem, który lśnił pod wiszącą u sufitu okrągłą lampą.

Była tak zaskoczona, że nie zauważyła leżącej na blacie karteczki. Zanim ją spostrzegła i wzięła do rąk, płakała już tak mocno, że nie była w stanie niczego przeczytać.

- Pozwól, że ja to zrobię, Wiewióreczko - ojciec odezwał się cichym głosem i wziął od niej karteczkę. Zerknął na nią i się zawahał. -Do diabła, chyba jednak sama powinnaś ją przeczytać.

Rachel skrzywiła się i poczuła, że ogarniają ją wątpliwości. Ale wzięła się w garść, otarła łzy i zerknęła na kartkę. „Ten klient nigdy nie zgłosił się po swoje zamówienie” - przeczytała zachrypniętym, urywanym głosem - „a skoro masz już jadalnię, nie mogłem go sprzedać nikomu innemu. Wolę myśleć, że siedzisz przy rum ze swoją rodziną, z Patsy, swoim ojcem i tym cholernym szczęściarzem, którego kiedyś poślubisz i któremu urodzisz dzieci. Ale pomyśl czasem o mnie i będziemy kwita”.

- Jest coś jeszcze? - zapytał ojciec.

Pokręciła głową. Nie była w stanie przeczytać ostatnich słów listu: „Po prostu Zeke”. I nie mogła wyobrazić sobie przyszłości, w której miałyby spoglądać na ten stół, nie myśląc przy tym o Zeke'u Pike'u, jak bez koszuli i w pocie czoła pracuje nad swoim dziełem. Ani przyszłości bez zielonookiego syna, ciemnowłosej córki, śmiechu dzieci, których nigdy nie będzie...

Bo gdyby wróciła teraz do Zeke'a, wcale by jej nie przyjął. Co gorsza, mógłby wtedy nie wyjechać i skazać się na los, na który nie mogła mu pozwolić.

Marlene, wciąż pogrążona w półśnie, szukała po omacku telefonu. Bez okularów nie widziała, kto dzwoni, ale nie był to dzwonek Dana. Odkąd zaczęła szukać matki, podała swój numer co najmniej kilkunastu osobom. Może ktoś wreszcie dzwonił z czymś, co mogło jej pomóc. Może ktoś wreszcie wiedział, co stało się z Mary Alice.

Ta myśl przeszła ją na wylot. Natychmiast się obudziła i odebrała telefon.

- Powiedz mi - usłyszała głos matki - co ty, do diabła, wyprawiasz?

Marlene czuła, że jej serce zaraz eksploduje. Nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Marlene? Jesteś tam? Do diabła, odezwij się. Nagle wszystko zrozumiała i odetchnęła z ulgą.

- Boże, Kathy, myślałam, że to mama. Właśnie odebrałaś mi dziesięć lat życia.

- Byłoby miło, gdyby wreszcie do kogoś zadzwoniła - powiedziała z pretensją siostra. - Ale żeby podnieść słuchawkę, musi zależeć ci na innych. A Bóg mi świadkiem, ta kobieta nie interesuje się nikim, odkąd...

- Wiem.

Szkoda czasu na rozdrapywanie starych ran.

- Skoro wiesz, to czemu nie wrócisz do domu? Do ludzi, którzy naprawdę cię kochają? Chryste, Marlene, tatuś wcale by nie chciał, żebyś porzuciła własne życie, poświęciła swoje małżeństwo, tylko po to, by...

- A co z moim małżeństwem? - Marlene potarła bolącą głowę. - Dan do ciebie dzwonił? Co ci powiedział?

- Dan się o ciebie martwi. Ja też. A chłopcy są przestraszeni. Wszyscy jesteśmy.

- Niepotrzebnie. - Marlene pokręciła głową. - Nie jestem jak matka. Muszę tylko spełnić swój obowiązek, to wszystko. Dla taty i dla...

- Po to właśnie wszyscy płacimy podatki, żeby ludzie, którzy dostają za to pieniądze i którzy są odpowiednio wyszkoleni, szukali osób zaginionych. Nie sądzisz, że mają jednak lepszy sprzęt i...

- Jeśli dzwonisz tylko po to, by powtarzać to samo, co mówił Dan, to chyba wrócę do łóżka.

- Posłuchaj, może wywalą mnie przez to z pracy, ale jadę po ciebie - powiedziała Kathy. - Gdzie jesteś?

Marlene przewróciła oczami, ale udała, że nie słyszy tej propozycji.

- Jeszcze tylko kilka dni, Kath. Kilka dni i ją znajdę. Nikt nie zna jej tak dobrze jak ja. Nikt mnie nie słucha, gdy mówię, że stanowi dla siebie zagrożenie.

- Tu nie chodzi tylko o jej bezpieczeństwo - Kathy zaczęła mówić szeptem. - I to mnie właśnie martwi.

Marlene wstrzymała oddech. Czy Kathy się czegoś dowiedziała?

- Pamiętasz Shane'a Drake'a? To jeden z tych chłopaków, którzy byli wtedy z Johnem Langleyem, gdy zabił naszego brata.

Marlene poczuła, że zaschło jej w ustach. Przypomniała sobie, że ostatnim razem widziała Shane'a Drake'a w kałuży krwi. Jeśli Kathy się o tym dowiedziała, za żadne skarby nie zdoła jej przekonać, że „misja” matki



powinna pozostać rodzinną tajemnicą. Że powinna odnaleźć matkę, zanim wyrządzi więcej szkód.

- Widziałam Shane'a. - Zawahała się, przypominając sobie nastoletniego chłopca o bystrym umyśle i dużym uroku osobistym, któremu wydawało się, że świat stoi przed nim otworem. Pamiętała, jak Willie ciężko pracował, rysując plakaty wyborcze dla swojego „dobrego przyjaciela”, który ubiegał się o stanowisko gospodarza klasy, „dobrego przyjaciela”, który często naśmiewał się z niego za jego plecami.

- Zanim został ranny? - zapytała Kathy.

- Ranny? - Marlene była szczerze zaskoczona. Facet wyglądał na martwego.

- Tak, jest w śpiączce. Ktoś go napadł pod Albuquerque - powiedziała Kathy. -I chcesz wiedzieć coś jeszcze? Aaron też nie żyje. Zginął parę tygodni temu, gdy ktoś chciał mu ukraść samochód w pobliżu jego domu w Tulsie. Tam, gdzie ty szukałaś matki.

- To zbieg okoliczności - odparła Marlene.

- Tak, a ja jestem króliczkiem „Playboya” - powiedziała oschle Kathy.  
- Musimy się pogodzić z faktami Marlene. Po śmierci taty mama straciła wszelkie hamulce, które do tej pory powstrzymywały ją przed tym polowaniem na czarownice, bo inaczej nie można tego określić. Ona na nich poluje

- Przecież ta kobieta ma siedemdziesiąt lat - broniła jej Marlene. -To niemożliwe...

- Jest siedemdziesięcioletnią kobietą, która straciła resztki zdrowego rozsądku i nie ma już przy niej ojca, który mógłby ją powstrzymywać. Słuchaj, dzwonię na policję, muszę im powiedzieć, co się dzieje.

- Mogę ją powstrzymać, zabiorę ją do jakiegoś lekarza.

- Lekarza? Mar, ona zabija ludzi. Ludzi, którzy mają własne rodziny. Przynajmniej dwoje z nich. Nie wiem, co się dzieje z Samem Hendersonem. Dan próbuje skontaktować się z jego matką.

Marlene poczuła, jak oblewa ją strach. Czego jeszcze mogą się dowiedzieć?

- Kathy, to nasza matka. Ona... nie możemy im pozwolić, żeby... Tata nie chciałby, żebyśmy...

- Oczywiście tak naprawdę chodzi jej o Johna Langleya - przerwała jej siostra. - Ale skoro policja nie potrafiła go przez tyle lat znaleźć, nie rozumiem, w jaki sposób ona miałyby...

- Ona wie, gdzie jest John. - Wzrok Marlene powędrował w kierunku stojącego przy łóżku krzesła, na którym leżała gazeta. Znalazła ją w ostatnim pokoju zajmowanym przez matkę. - Matka wie, gdzie on się ukrywa - ciągnęła dalej szeptem. - Dlatego tak szybko tu przyjechałam. Żeby jej przeszkodzić. Posłuchaj, chcę odnaleźć matkę i zabrać ją do domu, tam gdzie jej miejsce.

- Marlene, musisz mi powiedzieć. Gdzie w tej chwili jesteś?

- Nie wolno ci dzwonić na policję. Nie pozwolę matki zamknąć. Kath, ona nie jest żadnym przestępcą, jest chora. Nie pamiętasz już, jaka była przedtem, jak się do nas uśmiechała, zanim nasz brat...

- A może przyjadę, żeby ci pomóc? - błagała Kathy. - Albo Dan. Chcesz, żeby Dan przyjechał? A chłopcy, Mar? Mogłabyś się z nimi zobaczyć.

Marlene zmrużyła oczy, rozważając tę propozycję. Ale zdała sobie sprawę, że to spisek, chytry plan uknuty przez Drużynę Testosteron i Kathy.

Zabraliby ją do domu, a matkę przekazali w ręce policji. Mogliby ją skrzywdzić, a nawet zabić w trakcie pościgu. Albo zamknęliby ją w klatce i oskarżyli o zabójstwo, wrzucając ją do jednej celi z najgorszymi kryminalistami, podczas gdy prawdziwy zabójca, człowiek, który zniszczył jej życie, cały czas był na wolności.

Marlene nic nie odpowiedziała i przerwała połączenie. Wyjęła z aparatu baterię. Nie mogła pozwolić na to, by tam, gdzie się wybierała, zdradził ją dzwonek telefonu.

Poza tym nie mogła dopuścić do tego, by ktokolwiek-jej siostra, Dan czy policja odnaleźli ją i próbowali powstrzymać od tego, co musiała zrobić.

RS

## *Rozdział 29*

*Kiedy powstały gwiazdy i niebo,*

*Narodził się smutek i noc,*

*Matka bogów bezkształtna i bezimienna...*

Algernon Charles Swinburne *A Lamentation* (Lamentacje)

Zeke był w pracowni. Pakował do pudełek narzędzia, próbując nie myśleć o tym, co robi. Nie chciał myśleć o tym wszystkim, co zamierzał zostawić, ani bać się przyszłości, którą sam sobie wybrał, a która prze-raziłaby zarówno jego matkę, jak i Rachel. Ale wiedział, że było to ryzyko, które musiał podjąć. Na myśl o kolejnym fałszywym nazwisku, kolejnym mieście i kolejnej namiastce życia poczuł, że robi mu się zimno, jakby już był martwy.

Czas, by po dwudziestu latach przestał wreszcie uciekać. Postanowił, że najpierw skontaktuje się z braćmi, którzy byli już dorosłymi mężczyznami, a nie małymi chłopcami z poobijanymi kolanami, jak ich zapamiętał, i poprosi o pomoc. Jeśli chodzi o matkę, zamierzał błagać ją o wybaczenie i modlić się, by była silna, ale nie chciał być dłużej zakładnikiem jej strachu.

Wynajmie najlepszego obrońcę, jakiego będzie mógł znaleźć. Kogoś spoza przesiąkniętego korupcją hrabstwa we wschodnim Teksasie, w którym dorastał. Jeżeli okaże się, że będzie musiał iść do więzienia, to pójdzie. Chętnie podejmie to ryzyko, jeżeli istniała jakakolwiek szansa na to, by resztę życia spędził jako uczciwy człowiek.

Musiał dowiedzieć się, kim jest i uwolnić się od niewidzialnych krat, które otaczały go z każdej strony. Mógłby wtedy odszukać Rachel, jeżeli byłaby jeszcze wolna i zechciała go przyjąć. Jeżeli do tego czasu o nim nie zapomni.

Wyniósł na zewnątrz pudełko z narzędziami. Kiedy stawiał je na otwartej klapie pikapa, usłyszał hałas dobiegający z zagrody koni.

Przesunął pudełko głębiej i sięgnął do kieszeni po scyzoryk, który często nosił przy sobie. Nie była to może najlepsza broń, by walczyć z intruzem - czy to człowiekiem, czy dużym kotem, ale ponieważ nie miał pistoletu ani strzelby, musiał wystarczyć. Pamiętając o tym, co przytrafiło się Gusowi, schował się w cieniu i ruszył w kierunku, z którego dobiegało nerwowe rżenie i stukot końskich kopyt.

- Cii, cii. Cicho, wszystko w porządku - usłyszał czyjś szept.

Był to kobiecy szept. Nie rozpoznał głosu, ale wydawała się zdenerwowana. Zbliżył się jeszcze bardziej i zobaczył oświetloną blaskiem księżycy sylwetkę, która zdecydowanie należała do kobiety. Niskiej, krępej i, jeżeli wzrok go nie mylił, nieco zaokrąglonej.

Kobieta ruszyła w stronę budynku, który przez tyle lat był jego domem. Ciężko oddychała, tak jakby przebyła już długą drogę. A może po prostu dawało o sobie znać wzburzenie.

Co nie musiało znaczyć, że jest nieuzbrojona. Jaka kobieta zakrada się nocą na prywatny teren, na dodatek oddalony od jakichkolwiek zabudowań, bez żadnego zabezpieczenia? I co ona tu w ogóle robi, bez latarki, zdana jedynie na blask księżycy?

Poruszając się bardzo ostrożnie, Zeke podszedł bliżej, ale żwir pod jego stopami zachrząścił na tyle głośno, że kobieta zamarła.

- Kto tam jest?

Wydawała się przerażona, a kiedy nic nie odpowiedział, rzuciła się biegiem w kierunku starej fabryki. Biegła tak szybko, że w końcu się potknęła. Krzyknęła i upadła, a Zeke chwycił ją za ramię i postawił na nogi.

Drugą ręką obejmował jej klatkę piersiową, a do szyi przystawił stalowe ostrze scyzoryka.

Zaczęła się szamotać i piszczeć zbyt przerażona, by ukryć strach. Zeke złapał ją jeszcze mocniej.

- Bądź cicho albo naprawdę zrobię ci krzywdę, a nie potrzebuję więcej kłopotów. Chcę tylko usłyszeć kilka odpowiedzi.

Nie wiadomo, czy sprawił to ton jego głosu, czy jego słowa, ale kobieta zamarła i wyszeptała:

- Chcę... chcę cię tylko ostrzec.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Nie chcę tego robić, ale nie mam wyboru.

- Co ty wyprawiasz? - Jej głos podniósł się o kilka tonów, gdy dotknął jej brzucha i talii, a potem przejechał dłońmi wzdłuż rąk i nóg.

- Przepraszam. - Puścił ją - Musiałem upewnić się, czy nie jesteś uzbrojona. Ale nie myśl nawet o tym, by uciekać. Mam wrażenie, że nasze zapasy by ci się nie spodobały.

Tym bardziej że jak podejrzewał, był od niej o jakieś trzydzieści kilogramów cięższy.

- Nie ucieknę - powiedziała drżącym głosem i odwróciła się w jego stronę. Jej sylwetka pogrążona była w ciemnościach. - Chciałam ci tylko coś zostawić. Miałam to włożyć pod wycieraczkę samochodu, żebyś mógł łatwo znaleźć.

Usłyszał szelest papieru, który kobieta wyciągnęła z kieszeni i podała mu. Był to kawałek gazety, ale w słabym świetle niewiele widział.

- No więc masz mnie przed sobą - zaczął. - Powiedz mi o co tu chodzi? I kim, do diabła, jesteś?

- To artykuł o tobie i twoje zdjęcie - powiedziała kobieta. - Z gazety, którą znalazłam w jej pokoju w motelu.

- Czyim pokoju? - zapytał zupełnie skołowany.

- Mojej matki. Matki Williego. Ona wie, kim jesteś i gdzie jesteś. Wszystko jest w tym artykule. Wszystko, czego potrzebowała, żeby cię odnaleźć.

Zeke spojrział na nieczytelny druk i nagle wszystko zrozumiał. Został rozpoznany, tak jak się obawiał. Przez to cholerne zdjęcie, które przysporzyło mu nie tylko irytujących klientów i ich głupich zamówień. Ostrzegała go, ale czemu? Czemu siostra Williego miałyby ryzykować i zakradać się tu ciemną nocą, chcąc ostrzec domniemanego zabójcę brata przed swoją matką? Dlaczego po prostu nie zadzwoniła na policję i nie kazała go aresztować? Poczul, że w głowie wirują mu tysiące pytań, ale zdołał zadać tylko jedno.

- Marlene? Jesteś Marlene Tyler?

Ale w odpowiedzi usłyszał jedynie odgłos szybko oddalających się kroków. Kobieta wykorzystała moment jego nieuwagi i uciekła, by skryć się w ciemnościach pustyni.

- Zbierz swoje rzeczy, Rachel. - Ton ojca ostrzegł ją, że nie zamierzał na ten temat dyskutować. - Dziś wieczorem zostaniesz u nas. Przygotowaliśmy już pokój gościnny.

Rachel pokiwała tylko głową, zbyt wyczerpana emocjonalnie, by mogło ją obchodzić, gdzie miała spać. Marzyła tylko o tym, by się położyć. Poza tym wciąż miała w pamięci płonąca furgonetkę, co stanowiło wyraźny dowód na to, że jej prześladowca nadal był w Marfie. Zeke też prosił ją, by została u ojca, Zeke, którego pewnie już nigdy nie zobaczy...

- Posłuchaj, Wiewióreczko - odezwał się ojciec, gdy szli w stronę wozu. - Może ty poprowadzisz, co? Bolał mnie oczy, musiałem zatrzeć je płynem do czyszczenia. I tak oberwałem od Patsy, że sam dzisiaj jeżdżę.

Rachel westchnęła. Nie chciała zdradzić się z tym, że przyłapała go na kłamstwie, ale nie miała już siły udawać. Jeżeli go nie przycisnie, ojciec zrobi sobie albo komuś krzywdę.

- Tato, chyba najwyższy czas przebadać wzrok. Bardzo ci się ostatnio pogorszył, prawda?

- Już ci mówiłem... - Pokręcił głową. - Musiałem czymś zatrzeć oczy. Słuchaj, jest już późno i jestem zmęczony.

Kolejne wymówki. Jak te, które wymyślał, dlaczego nie czyta. Coraz bardziej polegał na Lili, Bobbym i Rachel i nie chodziło już tylko o papierkową robotę, ale również o latanie. Jednak najwyraźniej nie był jeszcze gotowy odejść. Może nigdy nie będzie, bo praca była całym jego życiem.

- Zadzwonimy do okulisty, tego samego, do którego chodziła babcia. To może być coś, co da się wyleczyć. Mogę cię zawieźć. Albo Patsy... - Dotknęła jego ręki i próbowała zachować spokój, gdy się odsunął.

- Do diabła. Ja wiem, co to jest. Poprowadzisz ten cholerny samochód czy nie?



- Jasne, tato - zamilkła, a ojciec rzucił jej kluczyki w taki sposób, że z trudem je złapała. Dom znajdował się zaledwie parę przecznic dalej i przez całą drogę milczeli.

Kiedy dojechali, Rachel zobaczyła, że w białym bungalowu, w którym dorastała, pała się światła. W oknie poruszył się jakiś cień. Zobaczyła oświetloną sylwetkę, która wyjrzała przez okno, gdy wjeżdżali na podjazd. Przez chwilę Rachel wydawało się, że widzi swoją matkę. Matkę...

- Patsy na nas czeka - powiedział ojciec z wymuszoną wesołością.

Ale Rachel poczuła, że coś ściska ją w gardle. Pochyliła głowę, a J. D., który wskoczył jej na kolana w trakcie drogi, polizał ją po policzku. Od jak dawna winię Patsy za własne problemy? - zastanawiała się.

Przecież macocha nie spowodowała udaru, który uszkodził mózg Jane Copeland. Nie popełniła żadnego grzechu poza tym, że wyciągnęła ojca z głębokiej depresji. A jeżeli dojdzie do najgorszego i Walter Copeland będzie musiał zrezygnować z latania, to Patsy pomoże mu przez to przejść, tak jak na swój sposób zawsze pomagała Rachel.

Rachel zamrugła powiekami, by powstrzymać łzy i przypomniała sobie słowa Zeke'a: „Ta kobieta cię kocha, tylko boi się do tego przyznać. Boi się, że ją odrzucisz”.

- Wszystko w porządku? - zapytał ojciec.

- Tak - odparła Rachel, z całych sił pragnąc, by była to prawda. Dla dobra jego i Patsy oraz ich wspólnej przyszłości jako rodziny.

Rodziny, do której nigdy nie będzie należał kochany przez nią mężczyzna.

Zeke poszedł po latarkę. Oświetlił teren i zaczął szukać kobiety, która, jak sądził, była Marlene. Wciąż nie mógł uwierzyć, że pokonała taki szmat

drogi, jakieś dziesięć czy jedenaście godzin jazdy samochodem z miasteczka we wschodnim Teksasie, w którym oboje dorastali, tylko po to, by ostrzec go przed swoją matką.

To nie miało sensu, chyba że matka Williego i Marlene, dobrze ubrana kobieta, członkini trójki klasowej, którą zapamiętał za jej sympatię i czekoladowe ciasteczka, kompletnie oszalała z powodu swojego odkrycia. Przypomniawszy sobie podejrzenia Rachel dotyczące matki Kyle'a i jej pogroźki i zastanawiając się, jak silna musiała być rozpacz zdolna zniszczyć matczyną miłość i przekształcić jej łagodną naturę w coś tak okrutnego.

Zeke usłyszał odgłos zapalającego silnika i dostrzegł tylne światła samochodu, które za chwilę zniknęły mu z oczu. To musiała być Marlene. Pewnie zaparkowała gdzieś w pobliżu, ale tak, by nie zdradzić swojej obecności. Ale dlaczego? Dlaczego po prostu nie podjechała pod sam dom, nie przekazała ostrzeżeń twarzą w twarz? A może poczułaby się niełojalna, że rozmawia z „zabójcą” brata?

Chociaż ukryta za wzniesieniem autostrada była niewidoczna, Zeke dostrzegł blade światła samochodu zmierzające na południe w stronę miasta. Ale nie chciał jechać za nią i tracić więcej czasu. Wszedł do środka, by dokończyć pakowanie. Pomyślał, że zanim matka Williego zadzwoni do szeryfa albo, w co nie chciał wierzyć, zdecyduje się na bezpośrednią konfrontację, jego już dawno nie będzie.

Spakował wszystkie niezbędne rzeczy - narzędzia, ubrania i kilka książek, które zdążył już parę razy przeczytać. Sprawdził okładkę jednej z nich, by przekonać się, czy list od matki nadal tam jest.

Nie chciał zabierać niczego, co przypominałoby mu o Rachel Copeland. Chciał zachować w pamięci jedynie jej propozycję wspólnej

ucieczki i świadomość, że postąpił słusznie, nie przyjmując jej. Było to marne pocieszenie, ale musiało mu wystarczyć... przynajmniej w najbliższym czasie, a pewnie i na całe życie.

Skończył przygotowania i po raz ostatni usiadł przy swoim stole. Zostawił instrukcje dotyczące zwierząt i czek na ich utrzymanie. Na zewnątrz ciemna pustynna noc otaczała jego dom niczym kokon. Pomyślał o tych wszystkich latach, które tu spędził, o przejażdżkach po pustyni, dzikich zwierzętach, które tak chętnie obserwował, o tym, ile przyjemności dawała mu jego praca. Przez tyle czasu takie życie całkowicie mu wystarczało. Na nic więcej nie zasługiwał. Ale niezależnie od tego, czy sądził, że jego życie jest puste czy pełne, najwyższy czas je zmienić. Czas ruszyć naprzód, tylko na chwilę przymknie jeszcze oczy...

Obudził się kilka godzin później. Zdając sobie sprawę, że zrobiło się widno, głośno zaklął. Co za głupiec przesypia własną ucieczkę?

Szybko umył się, a potem nakarmił i напоił zwierzęta. I wtedy przyszła odpowiedź. To głupiec, który tak naprawdę wcale nie chce wyjeżdżać. Który jest zbyt przywiązany do swojego życia i kobiety, która w nim jest, by z tego zrezygnować.

W końcu Zeke wsiadł do swojej starej furgonetki i ruszył przed siebie, modląc się w duchu, by nie było za późno.

Marlene też się obudziła. Była zaskoczona, gdy zdała sobie sprawę, że śpi w wynajętym samochodzie. Ale jeszcze bardziej zdziwił ją dźwięk telefonu. Nie pamiętała, by wkładała z powrotem baterię. Rozpoznała dzwonek męża, który nie odzywał się już od kilku dni. A Marlenę bała się do niego zadzwonić. Bała się, że znowu zaczną się kłócić, a nie miała już na to sił.

Chwyła telefon i poczuła poranny przyływ nadziei. Miła odmiana, jako że od kilku tygodni odczuwała jedynie wyrzuty sumienia. Na zewnątrz dostrzegła różowy wschód słońca, którego blask rozświetlał równinę, gdzie w porannej rosie pasło się stado czerwono-białych krów i cielaków. Pomiedzy kępkami trawy jaśniały jakieś żółtawe kwiaty.

- Dan, tak mi przykro, że się posprzeczaaliśmy. - Uniosła się do pozycji siedzącej i odgarnęła z oczu pasmo popielatych włosów. – Ty i chłopcy jesteście całym moim życiem, a jeśli chodzi o matkę, cóż, tata zrozumiałby, że zrobiłam, co mogłam. On pierwszy kazałby mi wrócić do domu i...

- Też mi przykro, Marlene. Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć, to nie są dobre wieści.

- Chłopcy. - Słyszając jego zbolący głos, poczuła, że serce w niej zamiera. Czula, że wydarzyło się coś strasznego. Boże, a jeśli stało się coś złego, ponieważ wyjechała, opuściła swoją rodzinę, żeby zająć się tym diabelskim pościgiem. - Czy Josh i Taylor...

- Chłopcom nic nie jest, Mar.

A więc Dan złożył pozew o rozwód, pomyślała. I nikt nie mógł go za to winić, nawet jej siostra.

- Chodzi o twoją matkę - rzekł Dan.

- Znaleźli ją? Tutejszy szeryf ją znalazł?

- Kochanie, twojej matki nie ma w Teksasie. Facet, który przekazał wiadomość, dzwonił z Tulsy, z biura lekarza sądowego.

- Nic nie rozumiem. Z Tulsy? - Krew uderzyła jej do głowy. Czy policja odkryła kradzież samochodu i śmierć przyjaciela jej brata? Czy wiedzieli o pozostałych, o całej serii brutalnych morderstw? - Przecież mama wyjechała z Tulsy kilka tygodni temu.

- Nie, Marlene, nie wyjechała. Nigdy nie opuściła Oklahomy.

- O czym ty mówisz? Oczywiście, że wyjechała. Pojechałam za nią do Albuquerque. Rozmawiałam z ludźmi, którzy ją tam widzieli. — Widziałam mężczyznę, którego przejechała niedaleko placu budowy, ale tę myśl zachowała dla siebie. Wciąż miała nadzieję, że może matce jakoś pomóc bez angażowania policji. - A co ze zdjęciem zrobionym przy bankomacie, pamiętasz? Tym, na którym był jeep commander.

- Mówiłem ci już, że zdjęcie było kiepskiej jakości. Może myślałem, że to twoja matka, bo chciałem ją zobaczyć. Ale to nie mogła być ona, ponieważ wcześniej policja w Tulsie znalazła jej ciało...

- Nie, Dan — upierała się Marlene. - Moja matka użyła wtedy swojej karty, żeby podjąć gotówkę. Kto jeszcze mógł znać jej PIN? Chyba nie jakiś przypadkowy przechodzień, który akurat miał na sobie jej kapelusz?

- Zidentyfikowali ciało twojej matki. Marlene, tak mi przykro. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Znaleźli ją... znaleźli jej ciało wepchnięte do kontenera na śmieci obok motelu, w którym się zatrzymała. Na twarzy miała ranę postrzałową. Kula przebiła jej mózg. Osoba, która dzwoniła, twierdziła, że śmierć była natychmiastowa, zanim zdążyła poczuć jakikolwiek ból. - Mówił bardzo szybko, rzucając kolejne ciosy, nie dając jej czasu, by mogła dojść do siebie. - To dość niebezpieczna okolica. Policja bada sprawę serii napadów. Myślę, że mogła zostać zastrzelona, gdy otworzyła komuś drzwi. Ludzie widzieli dwóch uciekających mężczyzn ubranych w stroje roznosicieli pizzy.

- Nie. - Marlene pokręciła głową, czując, jak ogarnia ją niepokój. Przecież była w tym starym motelu, osobiście rozmawiała z kobietą z recepcji. - Matka nie otworzyłaby nikomu drzwi. Wiesz, jaka była. Od

śmierci brata zrobiła się bardzo podejrzliwa. Bała się ludzi, szczególnie obcych. To wszystko jest niemożliwe. Ona nawet nie lubi pizzy. A kobieta, z którą rozmawiałam w motelu, nie mówiła, że znaleźli jakieś ciało. Powiedziała, że matka zapłaciła gotówką i zostawiła klucz w pokoju, kiedy wyjechała.

- Może znaleźli ją dopiero po twoim wyjeździe. Albo recepcjonistka dostała instrukcje, żeby nikomu nie mówić o strzelaninie, w końcu to niezbyt dobra reklama dla motelu.

- Może... - przyznała Marlene, chociaż wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Czy osoby, z którymi rozmawiałaś, faktycznie widziały, jak matka wyjeżdża? - zapytał Dan.

Marlene już miała powiedzieć „oczywiście”, ale nie wykrztusiła ani słowa. Kobieta, z którą rozmawiała, nie powiedziała tego wprost, jednak Marlene przyjęła, że...

- Ten facet, z którym rozmawiałeś, ten lekarz sądowy - odezwała się. - Masz jego dane i numer telefonu? Muszę do niego natychmiast zadzwonić i powiedzieć mu, że to nie matka. Zresztą skoro została postrzelona w twarz, jak mogli ją rozpoznać?

- Sprawdzili kartotekę dentystyczną, zanim do nas zadzwonili. Chcieli mieć pewność.

- Ale może jej... - Marlene zaczęła głęboko oddychać, aż poczuła, że od nadmiaru tlenu robi jej się słabo - zęby też zostały zniszczone? Posłuchaj, zaszała jakaś pomyłka. Bo to nie może być ciało mojej matki.

- Wiem, że to dla ciebie ogromny szok, Marl. Wiem i jest mi strasznie przykro.

- A co z moją siostrą? Dzwoniłeś do niej?

- Ee, rozmawiałem z Bryce'em, ale... Wiesz, że znowu są w separacji? Ale tym razem to Kathy uciekła.

- Co takiego? - Marlene zakreśliło się w głowie. - Kiedy?

- Nie wiem. Coś wydarzyło się u niej w pracy, Szef oskarżył ją o malwersację. Kiedy Bryce próbował z nią o tym porozmawiać, ona...

- To nie może być prawda. Powiedziałyby mi. Dopiero co z nią rozmawiałam... - Nagle w jej głowie zrodziło się straszliwe podejrzenie. - Czy ty mnie oszukujesz, Dan? Starasz się nakłonić tymi sztuczkami, żebym wróciła do domu? Bo jeśli tak jest...

- Stephanie przyjeżdża dziś wieczorem - powiedział sucho Dan. Stephanie była jego przyrodnią siostrą i mieszkała jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od ich rodzinnego miasteczka. - Zostanie z chłopcami przez kilka dni. Jadę po ciebie, Marlene. A potem zawiozę cię do Tulasy

I zabiorę cię i twoją matkę do domu.

- To niemożliwe. Wiem o tym. - Marlene dotknęła czoła, czując zawroty głowy. - Bo jeśli nie jadę za matką to kogo tyle czasu ścigam? Ducha, który żąda zemsty?

## *Rozdział 30*

*Kiedy biorę do ręki gazetę, żeby ją przeczytać,  
nam wrażenie, że między wierszami pełzają upiory.  
Po całym kraju snują się upiory, jest ich tyle, ile piasku w morzu.  
Zresztą wszyscy jesteśmy żalotnymi tchórzami,  
którzy lękają się światła.*

Henryk Ibsen *Upiory*, przeł. Jacek Fruhling

Obserwatora zbudził sen, koszmarna wizja ciasnej, brudnej kryjówki, w której skrył się po wczorajszej ucieczce. Wczorajszego wieczoru Rachel Copeland miała zniknąć na zawsze, ale zamiast tego pojawił się on i obserwator musiał uciekać i chować się jak zwierzę.

Jak kiedyś szukające po omacku, zrozpaczone Dziecko.

Chociaż wczorajsza kryjówka znajdowała się pod werandą sąsiada, wyraźny odór kociego moczu przypomniawszy obserwatorowi królestwo pajaków pod przyczepą której dawno już nie było. (Jak wspaniale płonęła, gdy światła zaprowadziły Dziecko do starej szopy, gdzie znajdował się kanister z benzyną i tak beztrąsko porzucone pudełko zapalek. Pożar furgonetki nie mógł się z tym równać. Nikogo nie było w środku, nikt nie krzyczał. Nie było Innych, którzy przeklinali, płakali i umierali, próbując wydostać się na zewnątrz - wszyscy, z wyjątkiem tego jednego, który był niewinny). A kiedy pojawiły się osy (czy tym razem były prawdziwe?) poczuł ukłucie paniki, która ogarnęła jego ciało i duszę.



Dzisiaj był bezpieczny. Myśl ta była równie pocieszająca jak dotyk czystej pościeli w dokładnie wydezynfekowanym pokoju, jak szkarłatny blask wschodzącego słońca widoczny za firanką.

Ale nagle słońce zaczęło unosić się w górę i opadać w dół. Obserwator czuł jednocześnie podziw i przerażenie, gdy zamigotało tuż za oknem, a potem stało się płaskie jak kartka papieru i wślizgnęło do pokoju, gdzie przybrało poprzedni kształt. Najpierw było łososiowe, potem różowe, a w końcu oślepiająco białe. Kula ziemskiego słońca urosła, by po chwili przeobrazić się w świetlisty rój, który ułożył się w kształt podkowy unoszącej się nad łóżkiem. Migocząc, zaczęły poruszać się coraz szybciej, aż cały pokój wypełnił się ich szumem i brzęczeniem, jakby tysiące wściekłych oszykowało swoje żądła.

Obserwator krzyknął, podnosząc do góry rękę, by schronić się przed oślepiającym blaskiem. Ale światło ominęło tę lichą przeszkodę i przedarło się przez cienką skórę mocno zaciśniętych powiek. Przekazało wiadomość, której nie można było zignorować.

Czas ukrywania się, chowania w cieniu i ucieczki właśnie się skończył. Światła nie będą dłużej tolerować banalnych intryg, które miały zmusić mordercę do ucieczki z miasta.

Tym razem, właśnie dzisiaj, to nieludzkie pragnienie mogła ugasić jedynie ludzka krew. Jeśli zawiedzie, jego krew znakomicie posłuży temu celowi.

Rachel wystukała drżącymi ze zdenerwowania palcami numer, który otrzymała od swojej prawniczki. Wciąż miała w głowie jej ostrzeżenie: „Moim obowiązkiem jest przekazanie ci tej wiadomości, ale radzę ci nie dzwonić do tej kobiety”, powiedziała dzisiejszego ranka Marianne

Greenberg. „Od czasu śmierci syna Sylvia Underwood znajduje się pod opieką lekarzy i sama mówiłaś, że podejrzewasz ją o to, że cię prześladowuje. Możesz tylko pogorszyć sprawę, zamiast pomóc. Poza tym to może być jej ostatnia próba zmuszenia cię do tego, byś powiedziała coś, co mogłoby ci zaszkodzić”.

Rachel rozumiała jej punkt widzenia. Ale jeżeli jeden telefon mógł zakończyć tę sprawę, jeżeli ona i jej rodzina mogli uniknąć kolejnych rozpraw... Rozmowa na pewno będzie koszmar, ale przynajmniej nie będzie jej kosztować dziesięciu milionów dolarów.

Taką przynajmniej miała nadzieję. Kiedy uzyskała połączenie, poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić. Wytarła spoconą rękę o dzinsy. Dobrze, że siedziała przy kuchennym stole, bo kolana trzęsły jej się tak mocno, że nie dałaby rady stać.

- Halo? - Usłyszała w słuchawce kobiecy głos. - Mówi Sylvia. Nastąpiła chwila ciszy, w trakcie której J. D. przyczłapał do kuchni, trzymając w pysku but ojca. Powinam się rozłączyć i zabrać mu ten but, pomyślała Rachel. To najlepsze buty taty, jego ulubione...

- Czy to... czy to Rachel Copeland?

Matka Kyle'a wydawała się zdenerwowana, ale to nie był głos kobiety, która do niej wydzwaniała. Poza tym przypomniawszy sobie Rachel, skoro Sylvia Underwood nigdy nie opuściła Pensylwanii, nie mogła dzwonić z Marfy ani podpalić jej samochodu wczoraj wieczorem.

To musiał być ktoś inny. Przed oczami stanęła jej okrągła twarz Terri Parton-Zavali. Czy ta kobieta mogła jej aż tak nienawidzić?

- Tak, tu Rachel Copeland - usłyszała własny głos. - Moja prawniczka przekazała mi pani wiadomość.

- Pani Copeland. - Kobieta oddychała z trudem, a głos jej drżał. - Czekałam na tę rozmowę od bardzo dawna.

- I czekałaby pani jeszcze dłużej, gdyby moja prawniczka miała w tej sprawie coś do powiedzenia.

- Rozumiem. Przez cały czas panią obwiniałam. O całe zło, które się wydarzyło. Ale teraz już wiem, zrozumiałam, że robienie z pani kozła ofiarnego do niczego nie prowadzi. Wykorzystałam panią, bo byłam wściekła. Na siebie, na lekarzy mojego syna i jego terapeutów, na nauczycieli, dyrektorów szkół i wszystkich, którzy powinni byli to przewidzieć. I nie wiedziałam, co zrobić z całą tą nagromadzoną złością, nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić, poza...

Poza tym, że urządziłaś mi niezłe piekło, pomyślała z goryczą Rachel. Ale po chwili poczuła empatię. Od sprawy minął ponad rok, a w głosie Sylvii Underwood wciąż słychać było prawdziwy ból.

- Te wszystkie rzeczy, które o pani opowiadałam - ciągnęła kobieta. - Wiem, że postąpiłam źle, szczególnie że robiłam to publicznie. Nie przewidziałam, jak mogą zareagować niektórzy moi widzowie. Policja rozmawiała ze mną, gdy zaczęła pani odbierać telefony z pogrózkami, ale wtedy potrafiłam myśleć tylko o swoim cierpieniu.

- To zrozumiałe - powiedziała ostrożnie Rachel.

- Chciałam pani tylko powiedzieć, że żałuję, jeżeli sprawiłam pani ból. Gdybym była sobą, może mogłabym coś powiedzieć, wydać jakieś oświadczenie, żeby zmniejszyć wyrządzone zło. Ale nie mogłam myśleć o niczym innym jak... - głos jej się załamał i zaczęła cicho szlochać. - Gdy tylko zamykałam oczy, widziałam, jak pociągasz za spust i kończysz wszystko na zawsze.

- Żałuję, że musiało do tego dojść - powiedziała Rachel. - Nie ma dnia, w którym bym tego nie żałowała.

- Życzenia i modlitwy niczego nie zmieniają. Nie zwrócą mi syna, mojego pięknego dziewiętnastoletniego syna, i nie zwolnią pani ani kogokolwiek innego od odpowiedzialności.

Rachel skrzywiła się, słysząc jej wściekły głos. Co ją, do diabła, naszło, jak mogła zignorować ostrzeżenia prawniczki? - zaklęła pod nosem. Może ta kobieta potrafiła zmieniać głos i jednak wykonała te wszystkie telefony? Doszła jednak do wniosku, że skoro zdobyła się na tę rozmowę, musi wziąć się w garść i jeszcze raz spróbować.

- Nie chcę porównywać naszego bólu, ale kiedy niedawno zmarła moja babcia, też byłam wściekła. Na siebie, na moją rodzinę, a nawet na babcię, że przyczyniła się do własnej śmierci.

Zaległa cisza, a Rachel zastanawiała się, czy nie czeka ją przypadkiem kolejny pozew, tym razem żądający stu milionów dolarów i jej głowy. W końcu kobieta odezwała się:

- Czasami jestem taka wściekła na Kyle'a, że mogłabym go udusić. - Po tym wyznaniu głos Sylvii Underwood przeszedł w cichy, urywany szept, aż w końcu słyhać było jedynie szloch.

Słyszając jej płacz, Rachel uspokoiła się i powstrzymała kielkującą w niej złość.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro - powiedziała szczerze ze łzami w oczach. - Od tak dawna chciałam to powiedzieć. Przykro mi z powodu pani straty i wiem, że starała się mu pani pomóc. Niezależnie od tego, jakie miał problemy, co zrobił mnie czy komukolwiek innemu, był pani dzieckiem. Pani chłopcem i kochała go pani. To się nigdy nie zmieni.

Sylvia Underwood szlochała jeszcze głośniej. Ale po kilku minutach w końcu złapała oddech.

- Mój syn... tak. Dziękuję. Dziękuję, pani Copeland.

- Rachel, proszę.

- Naprawdę tak uważasz, prawda, Rachel? To nie twoja prawniczka powiedziała ci, co masz mówić?

Śmiech Rachel był oschły i głuchy jak cykady pozbawionej swej wieczornej pieśni.

- Pani żartuje? Moja prawniczka nieźle by się wkurzyła, gdyby usłyszała „przepraszam” wychodzące z moich ust.

Sylvia roześmiała się także.

- Prawnicy... Ale masz rację. Kyle był moim dzieckiem i zawsze będzie. Bez względu na to, jak bardzo to boli i jak bardzo mi przykro z powodu tych rzeczy, które zrobił tobie i tym innym kobietom.

- Wiem - wyszeptała Rachel, zdając sobie sprawę, że to jedyne wyznanie, na jakie może liczyć ze strony Sylvii Underwood na temat jej gwałtu. Czuła, że odrzucając złość, która była częścią jej smutku, ma szansę usunąć przeszkody z drogi, która kiedyś, z czasem mogła ją zaprowadzić tam, gdzie warto było pójść.

Nawet jeśli podróż będzie bolała jak diabli.

Gdy Zeke dojechał już do Fort Davis, oddalonego o pół godziny jazdy na północ od Marfy, wskaźnik paliwa pokazywał, że bak jest niemal pusty. Ponieważ następna stacja benzynowa znajdowała się daleko za miastem, postanowił zatankować wóz od razu. Wiedział, że to ryzykowne, że ktoś mógłby potem o niego pytać, a mężczyzna jego wzrostu rzuca się w oczy. A jeśli zauważyłaby go osoba, która widziała zdjęcie wykonane przez Rachel,

identyfikacja byłaby jeszcze szybsza. Castillo od razu by się domyślił, w którym kierunku zmierza. Zwłaszcza jeśli udało mu się powiązać Zeke'a z uznanym za zaginionego uciekinierem Johnem Charlesem Langleyem.

Zeke wiedział, że to możliwe. Marlene mogła od wczoraj zmienić zdanie i powiadomić policję. Ale jeżeli zdecydowała się milczeć, bez względu na to, czy robiła to dla dobra matki, czy też nie, powinien jak najszybciej opuścić zachodni Teksas. Potem znajdzie jakieś spokojne miejsce, gdzie zatrzyma się na dłużej i poszuka prawnika. Wtedy odda się rękę sprawiedliwości. Ale na pewno nie zrobi tego w Dogwood we wschodnim Teksasie, gdzie pomimo upływu czasu mógł nawet nie doczekać procesu. Szczególnie że jego zeznania mogły zaszkodzić synom miejscowych notabli, którzy może nadal mieszkali w okolicy i trzęśli całym miasteczkiem.

Gdy jednak wyszedł ze sklepu, gdzie płacił za paliwo, jego plany nagle uległy zmianie. Dostrzegł mężczyznę, który tankował ciemnozieloną furgonetkę. Był to ten sam facet, którego widział na lotnisku i w punkcie widokowym.

Zeke poczuł nagły przyływ adrenaliny. Stojąc z boku, uważnie przyglądał się mężczyźnie, by mieć pewność, że to on. Te same brązowe włosy, przyprószone lekką siwizną, szczupła budowa ciała i wąska, dziwnie znajoma twarz. Pomimo unoszących się wokół oparów benzyny mężczyzna trzymał w dłoni papierosa. Pod nosem mruczał starą piosenkę Dire Straits, która dolatywała z otwartego okna furgonetki. Nie widział Zeke'a i wydawał się całkowicie spokojny.

Zeke zakradł się bliżej, próbując nie rzucać się w oczy. W tym momencie mężczyzna nie wyglądał groźnie. Trzymany w ustach papieros

poruszał się w rytm piosenki *Money for Nothing*. Jednak Zeke postanowił zająć go od tyłu. Nieznajomy mógł mieć przy sobie broń, tę samą, z której strzelał do niego na parkingu w pobliżu tarasu widokowego.

Pompa trzasnęła na znak, że należy skończyć tankowanie i odwieść końcówkę dystrybutora. Gdy jednak mężczyzna odwrócił się i dostrzegł Zeke'a, wąż wypadł mu z ręki, a oczy rozszerzyły się ze strachu. Wypuścił z ust papierosa, który upadł tuż obok powiększającej się kałuży z benzyną.

Zeke rzucił się do przodu, by ugasić tłący się niedopałek. Ale ta chwila nieuwagi kosztowała go cios w szczękę.

Poczuł przeszywający ból i zachwiał się na nogach. By zachować równowagę, zrobił krok do tyłu. Tyle wystarczyło napastnikowi, który otworzył drzwi wozu i wskoczył do środka.

Zeke zobaczył, jak sięga do schowka, gdzie na pewno miał ukrytą broń. Chwycił go za nogi i wyciągnął z powrotem na zewnątrz. Mężczyzna krzyknął i wypadł z furgonetki, uderzając głową o stopień samochodu.

Zaczął jęczeć i przestał się opierać. Pocierał głowę i mamrotał pod nosem:

- Cholera, stary.

- Przepraszam za to - powiedział Zeke, nie zwracając uwagi na bolącą go szczękę. - Muszę z tobą pogadać, a nie chciałbym zarobić kulki.

W głośniku przy pompie paliwowej odezwał się roztrzęsiony kobiecy głos:

- Co się tam dzieje? Wzywam policję. Szeryf zaraz tu będzie.

- Wszystko w porządku - odezwał się Zeke. - To tylko małe nieporozumienie. Już po wszystkim.

Pomógł mężczyźnie wstać, ale cały czas trzymał go mocno za rękę. Zniżył głos i dodał:

- Jeżeli nie chcesz trafić do więzienia i wolisz porozmawiać ze mną, lepiej uspokój tę panią.

Mężczyzna zmrużył ciemnobrązowe oczy i popatrzył na Zeke'a, jakby rozważał, która opcja jest dla niego lepsza. Albo obmyślał plan ucieczki. Po chwili pokiwał głową na znak, że się zgadza.

- Nie, on ma rację, wszystko w porządku - krzyknął głośno do interkomu.

Przesunął ręką po głowie i spojrzał na smugę krwi widoczną na palcach.

- Do diabła. Nie musiałeś rozwalać mi głowy - zaklął.

- Ty też nie musiałeś mnie bić. A teraz daj mi swoje kluczyki -rozkazał Zeke. Po chwili wahania dodał jeszcze: - Chcę się tylko upewnić, że nie uciekniesz albo nie sięgniesz po broń. Spróbujesz to zrobić, a przysięgam, że ten maleńki guz na twojej głowie był jedynie grą wstępną.

- Dobra, w porządku. Nie musisz się już tak wkurzać.

- Sam zacząłeś, dupku - powiedział Zeke i schował kluczyki do kieszeni. - A teraz włącz do mojego wozu, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

- Chyba żartujesz, stary. - Mężczyzna wyglądał na przygnębionego. - Głowa mi pęka z bólu. Potrzebuję lekarza.

- Przeżyjesz - zapewnił go Zeke. - Jeżeli tylko będziesz współpracował. A teraz włącz tam i postaraj się nie zabrudzić mi całej tapicerki.



Kiedy Zeke skierował wzrok na mężczyznę, znowu wydało mu się, że skądś go zna. Nie wiedział tylko, czy rzeczywiście już wcześniej spotkał go, czy tamten tylko przypominał mu kogoś. Otworzył drzwi od strony pasażera i spojrzał wymownie, aż w końcu nieznajomy zrobił to, co mu kazano.

- Siedź tu, a ręce połóż na kolanach, żebym mógł je widzieć. I nie waź się ruszyć - ostrzegł go Zeke, po czym wsiadł do wozu i odpalił silnik.

- Gdzie mnie zabierasz? - Mężczyzna spojrzał na niego spanikowanym wzrokiem, ale uważał, by nie zmienić pozycji. - Chyba nie zamierzasz mnie gdzieś wywieźć i zastrzelić?

- Nie mam takich planów. - Zeke ruszył z powrotem w kierunku, z którego przyjechał. - Tamtej nocy, na tarasie widokowym, dlaczego zacząłeś uciekać?

- Tak nagle na mnie skoczyłeś. Jesteś dużym facetem, o wiele większym ode mnie. A ja nie lubię konfrontacji.

- Jasne - drwił Zeke - i dlatego zacząłeś strzelać. Bo jesteś takim pieprzonym pacyfistą.

- Nie strzelałem do ciebie. Nawet nie mam broni. Jeżeli mi nie wierzysz, sprawdź mój wóz. W schowku mam ukryty telefon. Nic więcej, przysięgam.

- Nie widziałem tamtego wieczoru żywej duszy. Wszyscy odjechali, a na parkingu został tylko mój samochód. Jeżeli nie ty strzelałeś, to kto?

- Może kobieta, z którą się wtedy umówiłem.

- Kobieta? Jaka kobieta?

- Miała po mnie przyjechać.

- Kto? Kim ona jest? - zapytał Zeke.

- Daj spokój, stary. Jestem żonaty, ale wiesz, jak to jest. Lubię od czasu do czasu spróbować czegoś na boku. Zacznę ci teraz sypać imionami i będzie po wszystkim.

- Kim ona jest? I kim ty, do diabła, jesteś? - naciskał go Zeke. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, dodał: - Jak sobie chcesz. Jedziemy z powrotem do hrabstwa Presidio. Pogadasz sobie z szeryfem. I z federalnymi. Ekipa z Rady Transportu na pewno będzie ciekawa, co masz do powiedzenia na temat tej usterki, którą znaleźli.

To była czysta spekulacja, jedyna myśl, jaka przyszła Zeke'owi do głowy, która tłumaczyłaby, dlaczego mężczyzna tak szybko uciekł po wypadku Rachel i dlaczego wziął nogi za pas, gdy zobaczył go na tarasie.

Może i był to strzał w ciemno, ale twarz mężczyzny zrobiła się blada jak ściana i zaczął się jękać.

- To był jej pomysł, przysięgam. Nie zamierzam brać za nic odpowiedzialności. Miałem tylko patrzeć, to wszystko.

Zeke zacisnął ze złości zęby, a jego zakładnik zaczął się trząść.

- Nie chcesz mnie chyba skrzywdzić? Ja nic nie zrobiłem, przysięgam, to nie ja. Nie mam z tym nic wspólnego...

- Zaraz będziesz miał o wiele większe kłopoty niż zdradzanie żony. A jeżeli dowiem się, że miałeś coś wspólnego z tym, co się stało Rachel Copeland...

- To twoja kobieta? - W głosie mężczyzny pojawił się strach. - Do diabła, stary, nie miałem pojęcia.

Zeke zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma do Rachel żadnych praw, ale nie prostował słów mężczyzny.

- Dlatego najlepiej będzie, jak podasz mi nazwisko tej kobiety, póki jeszcze możesz. Znam tu mnóstwo odosobnionych miejsc, gdzie mógłbym wyrzucić twoje ciało i to zanim dojedziemy do biura szeryfa. Niewiele mam do stracenia.

Zeke nie miał zamiaru nikogo zabijać, pozwolił jednak, by w jego głosie zabrzmiała prawdziwa furia, chcąc nastraszyć mężczyznę i skłonić do wyznań. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Okazało się to dobrą strategią, bo facet zaraz wyjąkał: - To Lili. Lili Vega. Chciała pozbyć się Rachel, żeby przejąć interes Waltera Copelanda, gdy ten straci licencję.

Kobieta za kierownicą uśmiechnęła się. Wreszcie miała go w zasięgu wzroku. W całej okazałości. Wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu, które uważnie przestudiowała. Zdjęciu, które Opatrzność umieściła w jej rękach, a dzięki Sprawiedliwości mogła go rozpoznać.

Poczuła, że sprzyja jej szczęście. Dobrze, że zrobiła się bardziej czujna i kupiła policyjny skaner za pieniądze, które wyjęła wtedy z bankomatu. Miły, młody człowiek, który pracował w sklepie Radio Shack Carlsbad w Nowym Meksyku, sprawdził dla niej w Internecie częstotliwości policyjne i ustawił skaner. Kiedy odmówił przyjęcia napiwku, przytuliła go, ponieważ przypominał jej syna.

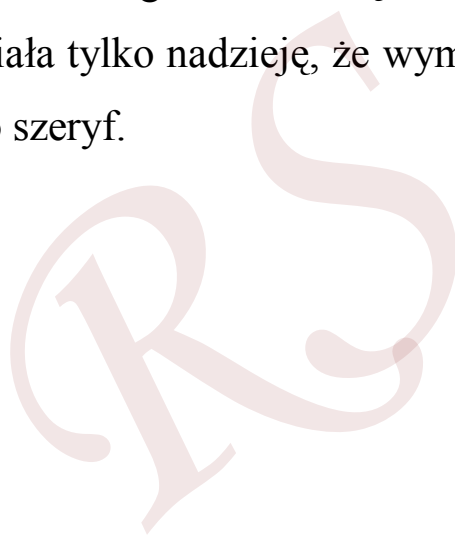
Potrzebowała ostrzeżenia, gdyby szeryf hrabstwa Presidio zaczął jej szukać. Nie sądziła, że radio pomoże jej odnaleźć mężczyznę, którego wcześniej straciła z oczu.

Gdy tego ranka zatrzymała się przy tej żalostnej ruderze, w której się ukrywał, odkryła, że jego rzeczy i ubrania zniknęły. I to całkiem niedawno, domyśliła się, bo zostawił zwierzęta. Zaczęła wyc złości, myśląc, że ktoś

musiał go ostrzec, odbierając jej ostatnią szansę, by wreszcie to zakończyć. By spłacić dług przelanej krwi i cierpienia i odkupić grzech, który zniszczył już tyle istnień.

Czekała całe dwadzieścia lat, a jej rodzina cierpiała. I chociaż pierwszy z tak zwanych „przyjaciół” Williego wszystko jej opowiedział, gdy błagał, by darowała mu jego żalosne życie, i podał jej nazwisko prawdziwego zabójcy, nie zamierzała żadnemu z nich odpuścić. Szczególnie temu, który dostawał pieniądze za to, by chronił Williego. Temu, który zniknął i na zawsze wszystko zmienił.

A potem usłyszała w radiu zgłoszenie i się uśmiechnęła. Wiedziała już, gdzie może go złapać. Miała tylko nadzieję, że wymyśli jakiś sposób, by go zatrzymać, zanim zrobi to szeryf.



## *Rozdział 31*

*Niesprawiedliwość stosunkowo łatwo znieść;  
to co boli najbardziej to sprawiedliwość.*

Henry Louis Mencken *Upředzenia*

Obserwator był zbyt przerażony, by znowu wczłgać się pod werandę. Na myśl o tym, że mógłby zostać tam uwięziony, dławiąc krzyki, by nikt go nie znalazł, poczuł, jak oblewa go zimny pot, a serce wali jak oszalałe.

Na szczęście wiedział, gdzie jeszcze można znaleźć gniazda, szczególnie jedno, które całkiem niedawno pojawiło się w jednym z hangarów w oddalonej części lotniska. Nie było to gniazdo os, a raczej pewnego gatunku pszczoł. Gdyby ktoś inny je zauważył, na pewno obawiałby się, że pszczoły mogą pochodzić z groźnej odmiany afrykańskiej i nakazałby je zniszczyć, zanim owady zdążą zrobić komuś krzywdę.

Niezależnie od tego, jaki to był gatunek, pszczoły były wyraźnie rozzłoszczone, gdy wraz z gniazdem zostały bezceremonialnie wrzucone do grubej, brązowej, papierowej torby. Obserwator czuł, jak serce podchodzi mu do gardła i czym prędzej ją zawiązał.

- Chryste. Tak.

Odetchnąwszy z ulgą, łowca pszczoł roześmiał się, słysząc wściekle bzyczenie nagle rozbudzonych stworzeń. Zamknięte w niewielkiej przestrzeni były całkowicie bezbronne. Niech małe dranie poczują, jak to jest.

- Ale się nie martwcie. Już niedługo będziecie wolne.

Przecież Jaśnie Pani właśnie dzwoniła, żeby sprawdzić grafik i dowiedzieć się, czy będzie dla niej jakiś szybowiec i wolny holownik. Jej ojciec zrobił sobie tego dnia wolne, ale ona zapowiedziała, że niebawem się pojawi. Gdy słońce będzie już wysoko na niebie, a warunki do lotu idealne.

Upał na pewno ożywi pszczoły ukryte w cienkim kokonie pod sterem. Papier powinien rozerwać się tuż po tym, jak Rachel wyruszy w swój ostatni lot.

Po zaparkowaniu samochodu, który pożyczyła od ojca, Rachel skierowała się w stronę hangaru z szybowcami.

- Cześć Lili, co słychać? - Próbowała ukryć swój ból pod maską fałszywej wesołości, ale chyba nie najlepiej jej poszło, bo w ciemnych oczach młodszej koleżanki dostrzegła troskę.

- Siostro, wyglądasz jak własny cień. - Lili odgarnęła kosmyk włosów, który dzisiaj nie był już różowy, a jaskrawopomarańczowy. Kolejny miał kolor turkusowy.

Rachel wskazała ręką na jej włosy i próbowała zmienić temat.

- Niezły efekt, tropikalny. Podoba mi się.

- Dzięki. - Uśmiech Lili trwał zaledwie kilka sekund. - A tak na poważnie, co się stało?

- Nic czego nie można naprawić lataniem. - Z wymuszonym uśmiechem odparła Rachel.

Gdyby to faktycznie było takie proste. Tej nocy mało spała i cały czas próbowała nie myśleć o tym, jak daleko od Marfy znajduje się już Zeke. Poza tym czuła się podle z powodu porannej kłótni z ojcem. W końcu ubłagała go, by pozwolił się zapisać do okulisty. A gdy przekonała recepcjonistkę, by wcisnęła ojca na wizytę jeszcze tego samego dnia,

dopełniła „zdrady” i zadzwoniła do Patsy, która pomimo wydarzeń z wczorajszej nocy od samego rana była w barze, i poprosiła ją, by po południu zawiozła ojca do Alpine.

„Z przyjemnością - odparła macocha. - Od miesięcy suszę mu o to głowę. Teraz ty możesz odgrywać rolę złego policjanta, a on będzie mógł wypłakać się na moim ramieniu, jaką to okropną ma córkę”.

„Mnie to pasuje”. Rachel odetchnęła, słysząc w jej głosie coś na kształt aprobaty. Wątpiła, by tym jednym sprytnym posunięciem całkowicie zakończyła ich zimną wojnę, ale prosząc Patsy o pomoc przy ojcu, na pewno ociepliła ich wzajemne relacje.

Lili posłała jej znaczące spojrzenie.

- Mogę się założyć, że chodzi o faceta. Jestem w tych sprawach ekspertem. Latanie to faktycznie najlepsze lekarstwo. Bobby i ja wyciągnęliśmy dla ciebie blanika, a holownik jest zatankowany i gotowy. Jeśli chcesz, mogę cię dzisiaj pociągnąć nieco wyżej, będziesz mogła dłużej polatać.

Pomysł wydawał się niezły. Dzień robił się coraz cieplejszy, a słońce znajdowało się niemal w zenicie, jednak najlepsze prądy miały pojawić się później. Im wyżej polecą, tym więcej będzie miała czasu, zanim wyląduje.

- Na to, co mnie gryzie, może pomóc jedynie bardzo wysoki lot, więc daj z siebie wszystko.

Tak właśnie myślała, chociaż rano okazało się, że ma o jedno zmartwienie mniej. Zadzwoniła jej prawniczka i oświadczyła, że to już oficjalna wiadomość. Sylvia Underwood wycofała pozew. Ojciec i macocha będą mogli odzyskać nawet sporą część zaliczki, gdyż pani Greenberg nie zdążyła jeszcze poświęcić sprawie zbyt wiele czasu.

Lili się roześmiała.

- W takim razie lepiej szykuj maskę z tlenem. Żartuję. Ale może chcesz pożyczyć mój odtwarzacz, rozweselisz się trochę?

Z kieszeni lotniczej kurtki wyciągnęła MP3, niewiele większy od paczki gum. Po uporaniu się z różnymi przyciskami i rozplataniu słuchawek z uśmiechem przekazała go Rachel.

- Mam tam taką specjalną składankę do latania, jest niewiarygodna. Spodoba ci się, zobaczysz. Gwarantuję, że wylądujesz z uśmiechem na ustach. Albo zwrot pieniędzy.

- Okej, czemu nie. - Rachel wzięła odtwarzacz, choć wątpiła by ta muzyka mogła przypaść jej do gustu, w końcu bar, w którym dziewczyna pracowała, nie tylko cieszył się wątpliwą reputacją, ale znany był również z głośnej rockowej muzyki. Dziwna była także jej nagła życzliwość. Prawdopodobnie chciała być wspaniałomyślna, uważając, że odniosła zwycięstwo i Rachel nie była już dla niej przeszkodą w jej wymyślonym romansie z Zekiem.

Dlaczego miałabym nie wykorzystać jej dobrego nastroju? - pomyślała.

Bez problemu mogła wyobrazić sobie dzień, w którym Lili będzie ją jeszcze obwiniać o to, że złamała Zeke'owi serce i „wygoniła” z miasta.

Z pobliskiego hangaru na wózku golfowym nadjechał Bobby Bauer. Pracował przy dziwnym małym samolocie i wydawał się niezwykle szczęśliwy. Od dawna Rachel nie widziała go w tak dobrym nastroju.

- Gotowa, żeby trochę poszybować? - zapytał. - Jestem wprawdzie trochę zajęty, ale mogę poświęcić kilka minut na pracę na płycie.



Rachel zmrużyła oczy i spojrzała na pomalowany w patriotyczne czerwono-biało-niebieskie barwy samolot, przy którym pracował.

- Niezła robota. Czyj to samolot? A może raczej powinnam zapytać: co to jest?

Bobby uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To samolot mój i brata. Wspaniały, prawda? To jeden z tych metalowych zestawów do składania. Ale włożyliśmy do niego przerobiony silnik z mazdy.

Rachel się uśmiechnęła. Cieszyła się, że jest w tak dobrym nastroju. Najwyraźniej odnowienie kontaktów z rodziną zrzuciło z jego pleców spory ciężar.

Lili zmarszczyła brwi.

- Włożyłeś silnik samochodowy do samolotu? Nie łatwiej byłoby po prostu...

- Cały czas ci powtarzam, dziewczyno, że w życiu nie chodzi tylko o to, by było łatwiej.

Rachel pomyślała, że babcia Lili powinna dać jej taką samą radę w sprawie randek, ale przełknęła tę niemiłą uwagę i wskazała ręką na chmury.

- Mogą być dziś całkiem niezłe prądy. Gotowi?

Sprawdziła jednoosobowego blanka. Był to idealny szybowiec na loty przełajowe, którym często latał jej ojciec. Pomimo że maszyna miała zaledwie parę lat, Rachel zwróciła szczególną uwagę na zawiasy w kabinie i wszystkie zatrzaski. Awarie może i nie zdarzały się zbyt często, ale za każdym razem, gdy przypominała sobie tamten wypadek, robiło jej się słabo.

Ale wszystko wyglądało idealnie, a radio było sprawne. Wsunęła się więc do kabiny, co zawsze, bez względu na to, jakie miała w życiu problemy, wywoływało u niej przyjemny dreszczyk. Zapięła pasy, czując, że uda jej się odpocząć, a może nawet odnaleźć spokój, którego tak bardzo potrzebowała w tym pierwszym, najtrudniejszym dniu bez Zeke'a.

„W tych małych samolotach najlepsze jest to, Wiewióreczko - powtarzał jej ojciec - że nie ma w nich miejsca na zmartwienia”.

Jednak wkrótce Rachel miała się przekonać, jak bardzo tym razem się mylił.

Zanim Zeke dostrzegł migoczące w tylnym lusterku światła policyjne, jego pasażer popadł w uporczywe milczenie. Zeke atakował go pytaniami i próbował wyciągnąć z niego jakieś odpowiedzi, ale mężczyzna uparcie milczał. Nie chciał podać ani swojego imienia i nazwiska, ani żadnych szczegółów dotyczących romansu z Lili Vegą.

W końcu szeryf włączył syrenę, by zwrócić ich uwagę. Gdy Zeke zjechał na pobocze, poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Biorąc pod uwagę, jak podejrzliwy był Castillo poprzedniego wieczoru, czy w ogóle zechce go wysłuchać?

Szeryf szedł w ich kierunku z nieodgadnionym wyrazem twarzy ukrytym za ciemnymi okularami słonecznymi. Ze sposobu, w jaki się poruszał i skrzywienia głowy, Zeke domyślał się, że jest niezłe wkurzony.

Otworzył więc okno i próbował powstrzymać nadchodzącą burzę.

- Przywiozłem ci faceta, z którym powinieneś porozmawiać. Przyznał się do udziału w spisku zaplanowanym przez Lili Vegę. Chodzi o ten wypadek, który miała Rachel Copeland.

Mężczyzna siedzący obok niego zaczął gwałtownie zaprzeczać.

- Wcale nie powiedziałem, że to zrobiłem. To Lili. To był jej pomysł.

- Lili Vega? - Harlan poczerwieniał, najwyraźniej zbity z tropu, po czym pokręcił głową jakby chciał wziąć się w garść. - Wysiadać z samochodu. Obaj.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Castillo kazał im stanąć z tyłu wozu, by nie przeszkadzały im nielicznie przejeżdżające samochody. Znajdowali się daleko od granic Marfy i jedynymi świadkami tej sceny były pasące się nieopodal krowy, które nawet na nich nie spojrzały.

- Ręce na furgonetkę, chłopcy.

Zeke zacisnął zęby, ale pozwolił, by szeryf go sprawdził. Podobnie uczynił drugi mężczyzna. Gdy Castillo nie znalazł przy nich broni, zażądał dokumentów.

- Moje zostały w samochodzie - powiedział szczupły mężczyzna, wskazując głową na Zeke'a. - Ale ten dupek kazał mi go zostawić

I zmusił mnie, bym z nim jechał. To się chyba nazywa porwanie, prawda? Powinien go pan aresztować.

- To był areszt obywatelski - poprawił go Zeke i podał Castillowi swój portfel. - Poza tym on uderzył mnie pierwszy.

Szeryf otworzył portfel, a Zeke wstrzymał oddech, przypominając sobie dzień, w którym kupił swoje prawo jazdy od fałszerza w El Paso. Facet podrabiał dokumenty dla nielegalnych imigrantów.

- Nieźle - przyznał Castillo. - Gdybym nie wiedział, że to podróbka, z pewnością bym się nabrał.

Zeke nie zaprzeczył, a jedynie wolno wypuścił powietrze, czekając na kolejny ruch szeryfa. Castillo wyjął prawo jazdy i oddał Zeke'owi portfel z pozostałą zawartością.

- Na razie to zatrzymam, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy. -Castillo schował podrobiony dokument do kieszeni pod odznaką i tabliczką z imieniem i nazwiskiem. - Dzwonił ktoś z hrabstwa Jeff Davis.

Sprzedawczyni ze sklepu na stacji powiadomiła tamtejszego szeryfa zaniepokojona incydem przy dystrybutorze. Szeryf dotarł tam już po waszym odjeździe, ale świadek wskazał pozostawiony wóz i twierdził, że jedziecie w tę stronę, do granicy hrabstwa. Gdy opisał samochód, coś mi zaświtało...

- Zatrzymałem się, żeby zatankować i zobaczyłem tego faceta - powiedział Zeke. - Nie mogłem go tak zostawić, ten facet strzelał do mojej furgonetki. Jest mi winien przynajmniej za szybę, którą musiałem wymienić.

- Już ci mówiłem, ja do ciebie nie strzelałem - bronił się mężczyzna. - Nawet nie mam broni. Szeryf może to sprawdzić.

- Będzie łatwiej - Castillo spojrzał na niego twardo - jeżeli powiesz mi, jak się nazywasz.

- Nazywają mnie Sy - powiedział. - Od Simonton. Gideon Simonton.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, a szeryf uważnie przyglądał się mężczyźnie.

- Czy przypadkiem jacyś Simontonowie... nie mieszkali gdzieś obok Shafter? - Castillo pokręcił głową na myśl o niemal całkowicie wymarłym miasteczku. - Nie jesteś chyba jednym z nich?

Simonton najeżył się i zaczął się bronić:

- Miałem wtedy zaledwie dziewięć lat. To nie ma nic wspólnego z tym, kim teraz jestem.

- Okropna tragedia - mruknął Castillo. - Tylko to miałem na myśli. To się wydarzyło, zanim zostałem szeryfem, ale i tak słyszy się o takich rzeczach. Tyle osób wtedy zginęło.

- O co chodzi? - zapytał Zeke.

- Nie twój interes - warknął Simonton.

- Sam wlałeś w moje życie, więc to jest mój interes.

- To był pożar. - Castillo zwrócił się do Zeke'a. - Zginęło wtedy jakieś pięć, sześć osób, które były w przyczepie. Mieszkała tam rodzina z całą gromadką obszarpanych dzieciaków, które żywiły się Bóg wie czym i...

- Zostaw ich w spokoju. - Głos Sy przeszedł w błagalny ton, a potem niemal w szept. - Minęło prawie trzydzieści lat, a ja wciąż pamiętam...

- To żaden grzech, że przeżyłeś - wtrącił Castillo. - Poza tym dzieciak nie ma wpływu na to, w jakiej rodzinie przychodzi na świat.

Jego głos sugerował, że wie o nieszczęściu, które wyjaśniałoby nagły wstyd w oczach Simontona. To był pewnie ten rodzaj biedy, zgadywał Zeke, o wiele gorszej od tej, którą znał z własnego doświadczenia. Zaniedbanie, przemoc to demony, które najmocniej ranią duszę.

- Opowiedz mi lepiej o Lili - odezwał się szeryf. - Jak ją poznałeś? W Psychodelicznym Skorpionie?

Być może Zeke tylko to sobie wyobraził, ale wydało mu się, że usłyszał w głosie szeryfa nutkę intymności, która zdradzała, że doskonale zna bar. Tamtejsze bójki często gościły na łamach lokalnej gazety. Czy szeryf znał Lili z powodu swoich interwencji w lokalu, czy raczej, pomimo dużej różnicy wieku, wiązały ich bardziej osobiste relacje? A może żadna z tych możliwości. W tak niewielkim mieście jak Marfa ludzie mieli różne powiązania. Poza Zekiem, który nie miał żadnych.

Sy pokręcił głową. Wzrok utkwił w pojedynczym, postrzępionym kwiatku, który rósł przy drodze.

- Nie, do diabła. To miejsce jest trochę zbyt niebezpieczne jak na mój gust. Poznałem ją na tańcach na Festiwalu Świąteł Marfy zeszłej jesieni. Lili to niezła sztuka. I lubi mężczyzn. Nie przeszkadzają jej drobne problemy natury technicznej.

- Chodzi mu o to, że nie przeszkadza jej to, że facet jest żonaty- wymamrotał Zeke i przypomniał sobie historię Castilla i jego pierwszej żony, Patsy, i cenę, jaką przyszło jej zapłacić za jego zdradę. - Ale do rzeczy. Mówiłeś wcześniej, że Lili chciała się pozbyć Rachel, żeby przejąć interes Waltera Copelanda po tym, jak straci licencję. Chodzi ci o licencję pilota?

Sy wzruszył ramionami.

- Ona jest pewna, że ją straci z powodu problemów ze wzrokiem. Jednak odkąd wróciła Rachel, widać, że Walter szykuje ją do przejęcia interesu.

Zeke pokręcił z niedowierzaniem głową.

- I Lili myślała, że jeżeli zabije albo przestraszy Rachel, pan Copeland pozwoli jej przejąć firmę?

Nie pasowało mu to do tego, co słyszał przez te wszystkie lata. Walter lubił Lili i zawsze pochlebnie wyrażał się o jej zdolnościach. Ale Zeke nie wyczuł między nimi żadnych relacji typu ojciec córka ani tym bardziej niczego niewłaściwego. Nie widział nic, co mogło dać Lili jakakolwiek nadzieję, że może zastąpić Rachel. Ale z drugiej strony on sam też nie robił nic, by zwrócić na siebie uwagę Lili, a według Rachel młoda kobieta ostrzegała ją przed nim.

Lili była flirtiarą, a niektórzy określiliby jej zachowanie jako zbyt swobodne. I mogła robić sobie jakieś fałszywe nadzieje, ale czy zdobyłaby się na morderstwo?

- Próbowwała dzwonić - wyjaśnił Sy. - Ale Rachel jeszcze bardziej umacniała swoją pozycję.

Castillo zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że to Lili cały czas prześladowała Rachel? Sy pokiwał głową.

- A jaka była twoja rola? - naciskał szeryf.

- Ja niczego nie zrobiłem.

- Więc tak po prostu wspomniała ci o swoich planach? - zapytał Zeke.

- Pomogłeś jej uszkodzić tamten szybowiec, prawda?

- Co jeszcze planuje? - Castillo zapytał ponuro. - Ma jakieś pomysły na pozbycie się Rachel, skoro nie udało jej się za pierwszym razem?

Zeke zadrżał na samą myśl o tym i spojrzał na Simontona, który cały czas gapił się na niebieski kwiatek.

Nie mógł dłużej czekać. Nie mógł znieść myśli, że nawet w tej chwili dziewczyna może coś planować, by skrzywdzić Rachel.

- Odpowiedz mu, do cholery.

I wtedy usłyszeli warkot samolotu startującego z pobliskiego lotniska.

## *Rozdział 32*

*O człeczce, na lot stworzony wysoki,*

*Przecz cię z nóg ścina lekkie wiatru wianie.*

Dante Alighieri *Boska komedia*, przeł. Edward Porębowicz

Szybowiec wzbijał się coraz wyżej, a Rachel nie mogła wyjść z podziwu. I to nie z powodu znajomych widoków, które rozpościerały się poniżej ani też nieskończenie błękitnego nieba. Była zaskoczona tym, że Lili Vega miała tak niesamowity gust muzyczny.

Rachel podkreśliła muzykę głośniejsze, żeby słuchawki wypełniły się majestatycznymi tonami utworu Aarona Coplana *Fanfare for The Common Man*, pozwalając muzyce rozświetlić wyblakłą pustynię, aby mogła odkryć ją na nowo.

Odkryć na nowo. Ta myśl poszybowała w górę jak modlitwa niesiona prądem powietrza. Spraw, bym zaczęła od nowa. Chcę być nowa i cała. Nietknięta, bez blizn. Niezłamana, czysta i na tyle silna, by...

Zobaczyła w myślach zdjęcie Zeke'a i przypominała sobie sposób, w jaki poruszał się przy pracy. Przypominała sobie szczęście malujące się w jego pochmurnych oczach po tym, jak się kochali.

Na tyle silna, by pozwolić mu odejść...

Zadowolona z osiągniętego pułapu, przekazała Lili wiadomość przez radio i odczepiła linę holowniczą. Lili zrobiła kółko i zaczęła schodzić w dół. Przez ułamek sekundy Rachel mignęła twarz dziewczyny, ale jej wyraz pozostał niewidoczny, ukryty pod daszkiem czapki. Rachel dostrzegła jeszcze blask słońca na skrzydle holownika, który spiralnym ruchem



podchodził do lądowania. Kiedy wreszcie umilkł warkot jego silnika, znalazła się kilometr nad ziemią, cudownie sama, otoczona jedynie szumem wiatru.

Szeryf pozwolił Zeke'owi prowadzić samochód w drodze na lotnisko. „Pod warunkiem że nie będziesz próbował żadnych głupich sztuczek”.

Powiedział to, obrzucając znaczącym spojrzeniem stertę pudełek załadowanych z tyłu samochodu. Zeke dał mu słowo i ruszył za SUV-em, w którym obok szeryfa siedział zakuty w kajdanki Simonton.

Zeke był zaskoczony, że Castillo również jego nie zamknął w swoim wozie. Może szeryf odpuścił mu ze względu na Rachel. A może Castillo, pomimo swoich podejrzeń, wcale nie miał pewności i chciał, by jeszcze bardziej się pograżył i ukrecił sznur na własną szyję?

Ale Zeke miał gdzieś jego motywy. Chciał tylko zobaczyć, jak Castillo aresztuje Lili Vegę, żeby Rachel mogła wreszcie być bezpieczna. Kiedy jednak wysiedli z szeryfem z samochodów, nie zobaczyli na lotnisku nikogo z Copelandów, chociaż w pobliżu hangaru stał zaparkowany samochód Waltera. Był tam także żółty hatchback Lili i duży ford Bobby'ego Bauera, który pracował przy małym samolocie.

Strach ścisnął Zeke'owi serce. Czyżby złapał Simontona za późno?

Szeryf zdjął swój szeroki kapelusz i pomachał do Bobby'ego. - Możesz na chwilę do nas podejść? - zawołał.

Zanim Bobby podjechał wózkiem golfowym, holownik zdążył już wylądować. Zeke spoglądał w niebo, szukając szybowca. Bobby wydawał się zmieszany i mocno zaniepokojony.

- O co chodzi? Coś się stało?

- Szukamy Lili - odparł Castillo. - Mamy do niej kilka pytań.

- Gdzie jest Rachel? - zapytał Zeke, nie mogąc ukryć niepokoju.

- Lili jest tam. - Bobby wskazał na holownik, z którego właśnie wychodziła. - A Rachel przed chwilą poleciała szybowcem. Mam się z nią skontaktować, chcecie, żeby wróciła?

Lili podeszła do nich. Wyglądała bardziej na zaciekawioną niż zaniepokojoną.

- O co chodzi, Harlan?

Zeke zwrócił uwagę na to, że nazwała go po imieniu. Czy szeryf wciąż nie zmienił nawyków i latał za spódniczkami jak dawniej?

- Muszę zabrać cię do biura, Lili. - W jego głosie słychać było żal. - Mam do ciebie kilka pytań.

- Jakich pytań? - zapytała, a jej ciemne spojrzenie przeskoczyło z Zeke'a na Bobby'ego i znowu na szeryfa. Cały czas pocierała dłonie jak dziecko, które myje ręce. - Ja nie... jeżeli czyjaś żona mówiła coś o mnie...

- Tu nie chodzi o niczyją żonę - zapewnił ją Castillo. - Raczej o niejakiego Gideona Simontona. Podobno nazywają go Sy. Zamknąłem go w swoim samochodzie. Twierdzi, że miałaś coś wspólnego z wypadkiem szybowca Rachel Copeland z szóstego marca.

Lili stała w osłupieniu, a jej twarz stała się biała jak płótno. Ale Zeke zauważył też inną reakcję, która zaskoczyła go bardziej niż ta pierwsza. Na dźwięk nazwiska Simonton, Bobby Bauer wyraźnie drgnął. Zrobił krok do tyłu w kierunku samochodu szeryfa i sięgnął po coś do kieszeni.

Zeke rzucił się na niego, złapał od tyłu i wytrącił z rąk niewielki pistolet, po czym obaj upadli na ziemię.

- To Bauer! - Zeke krzyknął w stronę szeryfa. - To Bauer. Zabierzcie mu broń.

Z twarzą przyciśniętą do ziemi, Bauer wykrztusił:

- Do diabła, wypuście Gida. Wypuście mojego brata. Zejdź ze mnie, muszę pomóc Gidowi.

Zeke odsunął się, cały czas trzymając ręce mężczyzny, a Castillo założył mu kajdanki. Podnieśli pilota na nogi.

- Gideon Simonton jest twoim bratem? - zapytał Castillo.

W oczach Bauera było szaleństwo.

- Nie możecie trzymać go w klatce. Nie możecie. On niemal spłonął w... gdybym nie wyciągnął go przez okno... On nie był taki jak inni. On nie... on nigdy... nigdy mnie nie skrzywdził tak jak oni. Przynosił mi jedzenie. I wodę. I nigdy nie nazywał mnie bękartem.

- Bobby? - Śliczna twarz Lili skrzywiła się od nagromadzonych emocji. - Co tu się, do diabła, dzieje? I kim jest Gideon?

- Nie zamykajcie Gida w klatce - błagał Bauer. — Wszystko wam powiem, tylko błagam, nie zamykajcie go. To jego żona dzwoniła do Rachel, a on pomógł mi przy... to ja uszkodziłem ten szybowiec. Ja tylko chciałem...

- To ty majstrowałeś przy tamtym szybowcu? - Lili rzuciła się na niego i zaczęła walić go na oślep pięściami, dopóki Castillo jej nie odciągnął. Ale ona dalej się rzucała, krzycząc: - Mogłeś zabić córkę Walta. Po tym wszystkim co dla ciebie zrobił? Ty niewdzięczny draniu. I chcieliście rzucić winę na mnie, tak? Jeżeli nas złapią, to zrzucimy wszystko na tę małą kurewkę z baru, co?

- Uspokój się - odezwał się Castillo. - Odsuń się, do diabła. Już go mamy. Ani przez chwilę nie uwierzyłem w tę bajeczkę. Przysięgam, Lili, nigdy bym nie uwierzył, że mogłaś...

- Idź do diabła, Harlan.

- Niech ktoś skontaktuje się z Rachel! - krzyknął Zeke. - Niech ktoś sprowadzi ją na ziemię. Musimy wiedzieć, czy nic jej nie jest.

Na widok niechcianego pasażera, Rachel wzięła głęboki wdech. Żółtoczarny owad wściekle obijał się o osłonę kabiny. Przetykając głośno ślinę, mówiła sobie, że to żaden problem. Jeśli nie będzie jej ruszać, nic jej nie zrobi.

Po chwili dostrzegła w małej kabinie drugą i trzecią pszczołę i natychmiast zrzuciła z uszu słuchawki. Usłyszała głośne i wściekle bzyczenie wydobywające się gdzieś spod siedzenia.

I wtedy zdała sobie sprawę, że jej „przyjaciółka”, tak nagle serdeczna Lili Vega, zaplanowała jej śmierć.

Zanim zdążyli się z nią skontaktować, usłyszeli przerywany pisk radia Bauera. Najpierw zakłócenia, a potem przerażony kobiecy głos: „Próbuję wylądować, nie dam rady dolecieć do lotniska. Jestem jakieś półtora kilometra na południowy zachód. Bobby, szukaj mnie. Pośpiesz się, jestem ranna i potrzebuję pomocy”.

Zeke spojrzał na niebo, a Castillo wyciągnął radio z kieszeni Bauera i, naciskając jakieś przełączniki, krzyczał:

- Rachel? Tu szeryf. Gdzie dokładnie jesteś?! Nastąpiła cisza, po czym szeryf podał radio Lili.

- Może coś źle wcisnąłem? Ty ją wezwij. Dowiedz się, gdzie dokładnie jest i co jej się stało...

Zeke czuł, że głowa mu za chwilę eksploduje i nie słyszał dalszej części rozmowy. Chwycił Bauera.

- Co ty, do diabła, zrobiłeś? Co zrobiłeś z tym szybowcem? Głowa mężczyzny kiwała się do przodu i do tyłu jak u dziecka, które szuka pocieszenia.

- Nie zasłużyła na to wszystko. Wyciągnęła z Waltera wszystkie pieniądze, jego zdrowie. Nie zrobiła nic, by zasłużyć na tę firmę, którą wspólnie budowaliśmy przez tyle lat. Którą mogłem prowadzić razem z Gidem...

- Nic mnie to nie obchodzi! Powiedz mi, co zrobiłeś, albo przysięgam, że wybiję ci wszystkie zęby...

- Uspokójcie się, do cholery. - Castillo chwycił go za ramię i odciągnął do tyłu. Jak na kogoś jego wzrostu był zaskakująco silny. -W ten sposób wcale nie pomagasz. Lili, możesz się z nią skontaktować?

- Rachel? To ja, Lili. Odezwij się.

Ale nie usłyszeli żadnej odpowiedzi, jedynie szum i zakłócenia. Zeke, Lili i szeryf patrzyli na pusty horyzont.

## *Rozdział 33*

*Ale psychoanaliza nauczyła nas,  
że umarli, na przykład umarli rodzice,  
mogą się nam wydawać bardziej żywi,  
mocniejsi i bardziej przerażający niż ci, którzy żyją.*

*Mówimy o duchach.*

Jacques Derrida „New York Times Magazine”, 23 stycznia 1994

Trzy ukąszenia, cztery. Kiedy kolejna pszczoła użądliła ją w powiekę, Rachel krzyknęła tak głośno, że swoim krzykiem wypełniła całą kabinę.

Nie mogła teraz myśleć o bólu, musiała skoncentrować się na tym, by wylądować w jednym kawałku i jak najszybciej wydostać z tego piekła. Leciała w dół spiralnym ruchem, od którego kręciło jej się w głowie. Ale z powodu zdenerwowania i strachu zupełnie straciła orientację i zbyt późno zdała sobie sprawę, że znajduje się za daleko od lotniska i zmuszona będzie lądować awaryjnie.

Próbowała skontaktować się z Bobbym, ale kolejna pszczoła właśnie użądliła ją w szyję, a szybowiec runął niebezpiecznie w dół. Skup się na lądowaniu, napomniała się w myślach, próbując wyrównać skrzydła i zwolnić szaleńczy lot. Skup się, a potem możesz oszaleć ze strachu. Skup się, bo inaczej nie będzie żadnego potem.

W tle usłyszała, jak Lili, ta stuknięta dziwka, próbuje się z nią skontaktować, ale wyłączyła radio. Musiała pokonać ból, złość i ogarniającą ją panikę. Nie mogła poddać się instynktom, które nakazywały jej otworzyć

osłonę kabiny i wyskoczyć na zewnątrz. Zamiast tego próbowała zebrać w sobie resztki odwagi i umiejętności.

Ziemia była coraz bliżej i wtedy ostatnia myśl przedarła się do jej świadomości. Jestem przecież córką Waltera Copelanda. Nie umrę w ten sposób.

- Weź samolot i leć jej szukać - Castillo rozkazał Lili. - Gdy tylko ją znajdziesz, daj nam znać, gdzie wylądowała.

Lili pobiegła w stronę holownika, a szeryf zwrócił się do Zeke'a:

- Jedź swoim wozem. Zaraz do ciebie dołączę, muszę najpierw zamknąć Bauera ze Simontonom i zadzwonić po pomoc.

- I karetkę - powiedział Zeke, wsiadając do furgonetki. - Nie zapomnij o karetkce dla Rachel.

„Próbuję wylądować, nie dam rady dolecieć do lotniska”. Słyszając jej zdesperowany głos, bał się, że w trakcie lądowania mogła zniszczyć delikatny pancierz szybowca, który był jej jedyną ochroną. Nie chciał o tym myśleć i ruszył w kierunku, który podała, jakieś półtora kilometra na południowy zachód. Zastanawiał się, gdzie mogła wylądować i gdzie znaleźć jakieś miejsce, z którego mógłby się rozejrzeć po okolicy.

„Pośpiesz się - mówiła Bobby'emu - jestem ranna i potrzebuję pomocy”.

Co to znaczy ranna? Przecież nawet nie wylądowała. Czy to możliwe, zastanawiał się Zeke, że źle ją zrozumiał? Może, kiedy dzwoniła, była już na ziemi? Mocniej przycisnął pedał gazu, nie zwracając najmniejszej uwagi na narzędzia, które z hukiem wysypały się na podłogę z tyłu samochodu.

Ku zdumieniu Rachel udało jej się przeżyć lądowanie, chociaż maleńki szybowiec wściekle podskakiwał na pokrytej chwastami równinie. Jeszcze się nie zatrzymał, gdy otworzyła osłonę i zanurkowała w piasku.

Kolejne uządlenie. Pszczołom najwyraźniej nie spodobało się twarde lądowanie. Musiała wstać, by czym prędzej zamknąć osłonę i uwięzić w środku jak najwięcej owadów. Pszczoły nie spodziewały się chyba takiego posunięcia, bo po paru minutach udało jej się zabić pozostałe (kosztowało ją to jeszcze jedno uządlenie w dłoń). Te, które ocalały, były zbyt wyczerpane, by atakować dalej.

Chwiejąc się na nogach, odeszła jakieś dwadzieścia metrów od szybowca i zatrzymała się. Cała się trzęsła i próbowała złapać oddech. Każdy centymetr jej ciała wył z bólu. Ile razy została ukąszona? Tuzin? Piętnaście? Więcej?

Prawe oko było całe spuchnięte i zastanawiała się, czy te zastrzyki antyalergiczne, które brała, gdy miała dwadzieścia parę lat, wystarczą. Nie mogła sobie przypomnieć, czy leczenie obejmowało również jad pszczoł. Jeśli do organizmu dostała się zbyt duża dawka trucizny, i tak nie miało to większego znaczenia.

Wciąż czuła krążącą w żyłach adrenalinę. Wytarła zakrwawiony nos i położyła się na żółtej trawie, zwijając w kłębek. Powinnam do kogoś zadzwonić, pomyślała, ale gdy dotknęła kieszeni, stwierdziła, że zgubiła telefon. Pewnie został w szybowcu. Nie miała jednak zamiaru otwierać osłony i wystawiać się na drugą rundę z rozwścieczonymi pszczołami.

Muszę chociaż ruszyć w stronę lotniska, pomyślała, może spotkam po drodze Bobby'ego. Gdy lądowała, zauważyła nieopodal jakąś gruntową drogę, ale wiedziała, że jej skąpe wskazówki nie mogły być zbyt pomocne.



Jednak kiedy próbowała wstać, nie mogła skoordynować ruchów, a kiedy spróbowała podnieść głowę, poczuła, że czarna fala zmęczenia przewraca ją na plecy.

RS

## *Rozdział 34*

*Zemsta, choć z początku słodka,*

*Lecz z czasem nabiera goryczy*

*I zawróciwszy uderza mściciela.*

John Milton *Raj utracony*, przeł. Maciej Słomczyński

W tylnym lusterku Zeke dostrzegł światła samochodu terenowego, który zawrócił za nim na autostradzie. Ignorując go, nagle zahamował i tak gwałtownie skręcił w gruntową drogę na poboczu, że przez chwilę był pewien, że samochód się przewróci. Przyśpieszył i przejechał przez kratownicę dla bydła, zabezpieczenie, którego zwierzęta nie mogły sforsować.

Spojrzał na niebo, próbując zlokalizować holownik, ale dostrzegł jedynie chmury.

- Znajdź ją, Lili. Gdzie, do diabła, jesteś?

Jakieś czterysta metrów dalej dostrzegł w końcu mały samolot Lili. Czy skręcił za wcześnie? Może **powinien** pojechać następną drogą? Ale Lili nie dawała żadnych znaków, więc trzymał się swojego kursu, rozglądając nerwowo na boki, podczas gdy samochód skakał po wyboistej drodze.

W tylnym lusterku dostrzegł rosnącą chmurę kurzu. To pewnie Castillo. Na pewno pojechał za nim, również myśląc, że tą drogą najszybciej dotrą do miejsca, gdzie mogła wylądować Rachel.

Miejsca wypadku. Przed oczami zamigotały mu obrazy, które pamiętał jeszcze z czasów, gdy oglądał telewizję. Płonące wraki samolotów, migoczące czerwone światła, ciała wynoszone na noszach. Umysł podpowiadał mu, że szybowce nie potrzebowały paliwa; nie będzie żadnego

dymu i wybuchu. Ale świadomość, że chodzi o Rachel, jego Rachel, nie sprzyjała logicznemu myśleniu.

Jeżeli znajdę cię w jednym kawałku, za nic w świecie nie pozwolę ci odejść.

Kątem oka zauważył jasne światło odbijające się od skrzydła zawracającego samolotu. Lili zaczęła nisko krążyć nad miejscem, które znajdowało się po jego prawej stronie. Modląc się, by jego stara furgonetka to wytrzymała, skręcił koła i ruszył na skróty przez trawę.

Pierwszy dźwięk, jaki do niej dotarł, gdy się ocknęła, był rykiem cielaka wołającego matkę, a zaraz potem usłyszała warkot silnika małego samolotu. Dźwięki zaczęły się oddalać, aż w końcu zniknęły w ciemnej otchłani.

Minęło trochę czasu. Kilka sekund? Kilka godzin? Nie miała pojęcia, a potem usłyszała kolejny odgłos. Trzask metalu, może drzwi? I głośny, niecierpliwy krzyk. Ale ten dźwięk był znajomy i dawał poczucie bezpieczeństwa.

Rachel знаła ten głos. Ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- Rachel. Rachel, odezwij się! - krzyczał.

To Zeke. A może nie? Zdała sobie sprawę, że właśnie śnił jej się jakiś koszmar z Kyle'em. Czuła swoją spoconą dłoń zaciśniętą na pistolecie. Czuła, jak naciska spust.

I ten jeden strzał, który ją uratował. Strzał, którego już nie żałowała. Skończyła z tym, bo w przeciwnym razie jaki sens miałyby to, że przeżyła?

Kiedy próbowała się podnieść, tamte obrazy oddaliły się. Pozostał jedynie głos Zeke'a. Nie koszmar. Nie sen. To się działo naprawdę. I to był cud.

Odezwiąj się, rozkazała sobie. Ale język miała tak spuchnięty, że ledwo mogła oddychać. Mogła lekko poruszyć rękoma i nogami, ale nic więcej.

Jednak wciąż słyszała jego głos i czuła jego strach. Biegł w kierunku szybowca, a nie miejsca, w którym leżała ukryta za wiosennymi trawami. Szybowca, gdzie w zamkniętej kabinie czekał rój rozwścieczonych pszczoł. Poczwała, jak oblewa ją zimny pot i nie zwróciła uwagi na kolejny pojazd, kolejny trzask drzwi.

- Nie otwieraj. - Próbowała go ostrzec, ale z jej ust wydobył się tylko stłumiony bełkot, który sama ledwo słyszała. - Odwróć się. Odwróć się i znajdź mnie. Jestem tuż obok, musisz się tylko odwrócić...

- Co u licha? - Usłyszała jego krzyk. - Co... Rachel! Gdzie jesteś?

- Tutaj - wymamrotała, próbując otworzyć choć jedno oko i wkładając w to jedno słowo resztki swoich sił. Cisza. Krzyk ptaka, szum wiatru wśród skąpej roślinności.

- Rachel? Czy to... - zapytał Zeke, a potem dodał - kim, do diabła, jesteś?

Usłyszała pojedynczy strzał, który zniweczył wszelkie jej nadzieje. Wystrzał, który wydawał się jeszcze głośniejszy z powodu własnych wspomnień. Czuła, że robi jej się niedobrze i drgnęła, czekając na gorący deszcz krwi i mózgu, który powinien pochłapać jej skórę. Ale nic takiego nie poczuła.

Ponieważ to nie była migawka z przeszłości. To nie było wspomnienie wydobyte z przeszłości przez strach. Usłyszała Zeke'a, który z okrzykiem zdziwienia i bólu upadł i z całej siły uderzył w szybowiec. Gryzący smród, który pustynny wiatr przywiał w jej stronę, wystarczył, by wyrwać ją z odrętwienia. Poczwała silny przyływ adrenaliny.

Ktoś właśnie strzelił do Zeke'a i musiała sprowadzić dla niego pomoc.

- Co się, do diabła, dzieje? - zapytał Zeke, przyglądając się kobiecie, która szła w jego stronę, trzymając w dłoniach wycelowany w niego pistolet. Jej oczy były szkliste, a spojrzenie niewyraźne. Była brudna i rozczochrana, a jej jasne dawno niemyte włosy posklejane były w strąki. Podeszła bliżej.

Aż cud, że go nie zabiła. Nawet go nie drasnęła tym pierwszym strzałem. Zeke był tak zaskoczony, że rzucił się do tyłu, uderzając plecami o szybowiec, po czym osunął się na ziemię.

Nie wykazał się zbyt szybkim refleksem, ale troska o Rachel uspiła wszystkie inne zmysły. Zapomniał o ostrzeżeniu, które otrzymał zeszłej nocy.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Mogła mieć około czterdziestki, była niewysoka i cała się trzęsła. Była zbyt młoda jak na matkę Williego. Ale wyglądała jak... czy to mogła być ona?

- Ty nie jesteś panią Tyler. To niemożliwe, więc kim... Marlene?

To nie miało sensu. Przecież to Marlene próbowała go zeszłej nocy ostrzec. Po co miałyby to robić, jeśli chciała go zabić?

- Zniszczyłeś mi życie, wiesz o tym? - powiedziała drżącym ze złości głosem. Podeszła jeszcze bliżej. - Przez cały ten czas matka myślała tylko o tobie. Tej nocy, gdy umarł Willie, przestała mnie kochać. Przestała nas wszystkich kochać. Odtąd nieważne, co bym zrobiła, nigdy nie mogłam... Nic nie mogło jej zmusić, by choćby na nas spojrzała.

- Przykro mi - powiedział Zeke, ale kobieta mówiła dalej, jakby wcale go nie słyszała.

- I mój ojciec, mój biedny tatuś. Tak się o nią troszczył. Chociaż ona przestała go kochać. Obiecałam mu, obydwie obiecałyśmy, że się nią zaopiekujemy. Bez względu na wszystko.

W Marlene najwyraźniej coś pękło.

- Byłem totalnym idiotą, zabierając twojego brata na tamtą imprezę - przyznał. - Nie wiedziałem, że te dupki chciały mnie tylko wykorzystać i że mogą go skrzywdzić...

- Oni wszyscy nie żyją. Wiesz o tym? Wszyscy oprócz ciebie. - Popatrzyła na niego pustym wzrokiem, a kącik jej ust uniósł się w ledwo widocznym uśmiechu. - Ona to zaczęła. Moja matka. Najpierw znalazła Sama Hendersona. Tamtą część Nowego Orleanu jest bardzo niebezpieczna, nic takiego, po prostu kolejny martwy turysta.

- Zabiła Sama? - Zeke poczuł lodowaty ucisk w klatce piersiowej. Marlene pokiwała głową.

- Brał w tym udział. Tak jak wy wszyscy. W Tulsie znalazła Aarona... Zeke nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Aarona Lyncha? Jego też zabiła?

Wprawdzie ci chłopcy zniszczyli mu życie, ale Zeke już dawno przestał ich nienawidzić. Byli wtedy bardzo młodzi tak jak on. Ze strachu popełnili mnóstwo grzechów i przez całe życie musieli żyć z tą świadomością.

A teraz przez to zginęli.

- Tam ją znalazłam. W Tulsie. W tamtym motelu i... - Głowa Marlene kołysała się w tył i w przód, a w jej niebieskich oczach malowała się rozpacz. - Chciałam ją tylko powstrzymać, zabrać do domu, żeby ktoś mógł jej pomóc, tak jak obiecałam ojcu przed jego śmiercią...

- Gdzie jest twoja matka, Marlene?

- Ja nie chciałam, ale wycelowała we mnie pistolet... Mam męża i dwóch synów, jej wnuków, na miłość boską. A moja własna matka... Zastrzełiłaby mnie jak jakiegoś bezpańskiego psa.

- Musiałaś ją zabić, tak?

Marlene pokręciła głową i otworzyła usta, z których wydobył się krzyk rozpaczny.

- Nie mogłaś nic innego zrobić, prawda? - powiedział Zeke. - Nie zostawiła ci wyboru.

- Zmusiła mnie - wyszeptała Marlene, a po jej brudnych policzkach polały się łzy. - Zmusiła. I nawet później nie dała mi spokoju. Kiedy zasypiałam, ona znowu zabijała. Ciało Aarona Lyncha znalazłam przy moim błotniku i...

- Teraz też śpisz? Ona cię do tego zmusza? Wczoraj wieczorem próbowałaś mnie ostrzec. Pamiętasz?

Marlene popatrzyła na niego. Łzy podkreślały pustkę w jej niebieskich oczach. Pokręciła głową.

- Nie mam siły, by ją powstrzymać - powiedziała. - Musimy to wreszcie skończyć.

Zeke zaniepokojony słowem „musimy” kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Domyślił się, że to Rachel, która za chwilę znajdzie się w samym środku sytuacji, z której nie mogła wyjść cało.

- To co zrobiłem było złe i głupie! - krzyknął. - Ale nie zabiłem twojego brata. Musisz wiedzieć, że nigdy nie podniosłem na Williego ręki...

- Wiem o tym. To Aaron go uderzył. Sam mi powiedział. Przyznał się i błagał o wybaczenie. Błagał o życie, zanim ja, zanim ona go zabiła.

- Ale skoro wiesz, że nie zabiłem Williego, dlaczego szukałaś mnie i pozostałych?

- Wszyscy braliście w tym udział. Gdybyś nie zabrał go ze sobą, gdybyś nie uciekł i nie ukrył prawdy, nie cierpielibyśmy tak długo. Nie...

Zeke zrobił krok do przodu.

- Marlene, to szaleństwo.

Ty jesteś szalona, dodał w myślach.

- Zatrzymaj się, natychmiast się zatrzymaj - rzuciła ze złością i, wykrzywiając usta w dziwnym grymasie, uniosła wyżej pistolet. Szykowała się, by go zabić, tak jak robiła to wcześniej.

Zeke przemówił łagodniejszym głosem, jakby próbował uspokoić niebezpiecznego, ale przestraszonego konia.

- Co mogę zrobić? Co chcesz ode mnie usłyszeć?

- Przepraszam - powiedziała drżącym z wściekłości głosem. - Chciałabym, żebyś powiedział przepraszam. Za każde zapomniane urodziny. Za ślub, na który nie przyszła. Za narodziny moich synów, które zignorowała. Za to, że zrobiła z mojego głupiego brata jakiegoś boga. Za to, że musiałam złamać obietnicę złożoną ojcu i że cały czas o niej myślałam i...

- Nie! - krzyknęła Rachel, pojawiając się nagle obok Zeke'a. -Nie, proszę, nie możesz...

Kobieta z pistoletem odwróciła się w jej stronę, a Zeke natychmiast skoczył do przodu. Ale nie dość szybko, by powstrzymać strzał. Zbyt późno, by powstrzymać Rachel przed upadkiem. Na jej klatce piersiowej zauważył szkarłatną plamę.

Rzucił się na Marlene z tak ogromną siłą, że poczuł, jak z jej płuc eksploduje powietrze i usłyszał trzask łamanych kości, prawdopodobnie



żeber, które pękły pod jego ciężarem. Pomimo ogromnego bólu, kobieta odwróciła się w jego stronę i uniosła do góry pistolet. Przystawiła broń do jego głowy.

Instynktownie chwycił ją za nadgarstek, nie zważając na to, że może go złamać. Nie zwracając uwagi na nic. Chciał ją tylko powstrzymać i unieruchomić, by mógł zająć się Rachel. Ale Marlene była zbyt szybka i ponownie nacisnęła na spust.

Eksplozja była tak głośna, że zaszumiało mu w uszach. I zanim jego mózg zarejestrował dźwięk wystrzału, był już świadomy gorącego, mokrego zapachu krwi i dymu z pistoletu.

Ale to nie była jego krew. Trzymając w ramionach jej bezwładne ciało, zdał sobie sprawę, że zamiast poddać się czy ponieść odpowiedzialność za popełnione morderstwa, Marlene Tyler, siostra Williego, wołała odebrać sobie życie.

Uwolnił się spod jej ciała i, nie zważając na spływającą po nim krew, pobiegł do Rachel, która leżała na ziemi. Dzięki Bogu oddychała. Ale z trudem chwytiała powietrze, a jej twarz wykrzywiał dziwny grymas.

- Rachel - krzyknął, szukając śladu po kuli na jej zakrwawionej bluzce.

-Czy jest bardzo źle... ?

- Nie zostałam postrzelona - wydusiła. - Tylko ukąszona. I to chyba zbyt wiele razy.

Popatrzył na spływającą z jej nosa strużkę krwi i pomyślał, że musiała się zranić przy lądowaniu. Ale po chwili zrozumiał, że jego ulga była przedwczesna, gdy dostrzegł spuchnięte oko i wściekle czerwone ślady na twarzy, szyi, ramionach. Przypomniał sobie o pszczołach, które zauważył w środku szybowca, zanim pojawiła się Marlene.

Ten cholerny psychopata, Bobby Bauer, musiał umieścić je w samolocie.

- To był Bobby - powiedział. - Został już aresztowany. Chciał przejąć firmę twojego ojca.

Zeke usłyszał nadjeżdżający na sygnale samochód.

- To pewnie Harlan - powiedział. - Zaraz wezwie karetkę i wreszcie będziesz bezpieczna. Oboje będziemy, bo ta szalona kobieta nie żyje i...

Rachel z trudem zamknęła oczy.

- Już po wszystkim. Nareszcie koniec.

Wziął ją w ramiona i wyszeptał do jej ucha przysięgę:

- Nawet tak nie myśl. Bo dla ciebie to dopiero początek, Rachel. Bóg mi świadkiem, już ja się o to postaram.

## *Rozdział 35*

*W ciszy dusza odnajduje swoją drogę w jaśniejszym świetle,  
a to, co nieuchwytnie i pozorne, staje się przejrzyste i zrozumiałe.*

Mahatma Gandhi

Środa, 26 marca

Przysięgam, że on wróci - szeptała Rachel, gładząc Chollę po złocistej szyi. - Wiem, że wróci.

Wielki koń zarżał na znak poparcia. Nie tyle dla Zeke'a, który został dziś aresztowany i przewieziony do wschodniego Teksasu, ile dla wiadra z paszą, które niosła Rachel.

Gdzieś nieopodal zahukała sowa, witając przepiękny zachód słońca. Czy Zeke widział w tej chwili niebo, czy był zamknięty w jakimś pomieszczeniu bez okien? Czy tam, dokąd jechał, był bezpieczny, czy może zniszczy go własna przeszłość, która w końcu dopadła go pod postacią szalonej kobiety z pistoletem?

Przynajmniej ona nie stanowiła już zagrożenia. Rachel współczuła jej rodzinie, ale nie zawahałaby się zabić Marlene, gdyby to miało uratować Zeke'a.

Zeke...

Rachel mocowała się z bramą i czuła, że łyzy ciekną jej po policzku, gdy przypomniła sobie, jak do jej szpitalnej sali bezlitośnie wkroczyli policjanci, by go aresztować. Przypomniła sobie spojrzenie, jakie jej posłał ponad ramieniem. Nie przestraszone, ale zdecydowane. Kazał jej wrócić do łóżka.

- Uważaj na siebie. I na ojca, i Patsy, i na moje konie. Bo wrócę po ciebie jako wolny człowiek. Albo wcale.

Cholla grzebał kopytem w ziemi i znowu rżał, najwyraźniej zniecierpliwiony, że jest ostatni w kolejce do jedzenia.

- No dobra, już dobra. - Rachel postawiła mu jego wiadro i zamknęła bramę. Poruszała się powoli, bardziej z powodu smutku niż faktycznego bólu. Smutku, którego przyczyną było nie tylko aresztowanie Zeke'a, ale również odkrycie, że ktoś, kogo znała i komu ufała, człowiek, któremu ojciec tak bardzo pomógł, nienawidził jej tak bardzo, że próbował ją zabić.

„To nie tylko chciwość i nienawiść - powiedział im szeryf Castillo. - On ma coś nie tak z głową. To musiało się zacząć wiele lat temu. Jego przyrodni brat, który ma własną kryminalną przeszłość, twierdzi, że Bobby był kozłem ofiarnym. Ojciec myślał, że jest bękartem, że matka miała kochankę, więc na okrągło go lał i diabli wiedzą, co jeszcze mu robił. Cokolwiek to było, nieźle skrzywiło mu psychikę. Cały czas gada, że te cholerne światła wysyłają mu różne sygnały i mówią, co ma robić”.

„Światła?” - zapytała.

„Tak, światła Marfy. - Ton Castilla był poważny. - Nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że wymyślił sobie te światła, by mieć wymówkę dla swoich działań. Czuł, że to mu daje prawo do wszystkiego”.

Rachel przełknęła głośno ślinę. Według zeznań Bobby, pragnąc pozbyć się Rachel z miasta, doprowadził do śmierci jej babci. Nie chciał jej zabić, jak powiedział Harlanowi, a jedynie nastraszyć Rachel, wysyłając jej przesyłkę podpisaną imieniem Kyle'a.

- Samolubny drań - powiedziała.

Nie była w stanie mu wybaczyć. Nieważne, czy był w dzieciństwie wykorzystywany, czy nie, zamierzał okraść jej ojca i był gotów zrobić wszystko, zaangażował nawet swojego przyrodniego brata i popełnił morderstwo, by przejąć firmę Waltera Copelanda.

Firmę, którą zamierzała teraz sama prowadzić z ojcem przy boku. Wykorzystując jego doświadczenie i wiedzę, chciała odnawiać stare szybowce. Ojciec będzie odgrywał ważną rolę w tym przedsięwzięciu bez względu na to, czy rozumie to teraz, czy też nie. Będzie wiódł ciekawe, satysfakcjonujące życie pomimo zwyrodnienia plamki żółtej, przez co jego wzrok tracił ostrość.

J. D. warknął i rzucił się biegiem w kierunku srebrnego range rovera, który jechał gruntową drogą. Rachel nie była w nastroju na wizyty. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy będzie w stanie zdobyć się na jakąkolwiek uprzejmość.

Elegancka jak zawsze Antoinette Gallinardi wyślizgnęła się z samochodu, trzymając na markowej smyczy swojego małego ujadającego pieska.

- Cicho, Coco - skarciła go.

Po chwili pojawił się J. D. Sierść miał zjeżoną i warczał. Psy zaczęły się obwąchiwać. Antoinette wyglądała na zakłopotaną.

- Twój ojciec powiedział, że pewnie cię tu znajdzie.

- No i znalazłaś. Po co? Czy Terri dała ci jeszcze kilka wskazówek, jak mnie skopać, gdy już leżę? - Rachel doskonale wiedziała, że to asystentka Gallinardi wpłynęła na decyzję Fundacji Czyste Płótno, by wyrzucić Rachel z pokazu. I to wszystko z głupiej zazdrości i zadawnionej urazy z powodu jakiegoś lidera zespołu, o którym dawno już nikt nie pamięta.

- Terri Zavala już dla mnie nie pracuje. - Antoinette Gallinardi spojrziała na psy, ale widząc ich machające ogony, wyraźnie się uspokoiła. - Przykro mi, że pozwoliłam na to, by jej... uprzedzenia wpłynęły na decyzję rady i, co przyznaję ze wstydem, moją. Przyszłam zapytać, czy mi kiedykolwiek wybaczysz?

Rachel popatrzyła na nią, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Chciała ją trochę potrzymać w niepewności. W końcu rzuciła:

- Jasne, mogę ci wybaczyć. Szkoda mi energii, by się dalej wkurzać. Jeżeli Gallinardi nie podobał się jej język, to trudno. W tej chwili

Rachel jeszcze zbyt cierpiała, by przejmować się delikatną naturą kobiety art deco.

- Tak się cieszę - powiedziała Antoinette głosem szczerym jak u uczennicy. - Myślę, że mogę ich przekonać, by ponownie cię zaprosili i jeszcze bardziej nagłośnili całe wydarzenie, zaprosili krytyków sztuki z całego kraju, może nawet ze świata, albo...

- I rzeczywiście chodziłoby o moje prace, moje i pozostałych artystów z Marfy?

- Ależ tak. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że w tym momencie jakiegokolwiek wzmianki o... o tych mrocznych wydarzeniach z twojej przeszłości nie wpłynęłyby zbyt dobrze na opinię o fundacji wśród lokalnych mieszkańców. Musimy się skupić na twoim talencie, który, wierzę mi, potrafi się sam wybronić.

Rachel próbowała rozbudzić w sobie ciepłe uczucia, słysząc pochwały, które jeszcze niedawno sprawiały jej tyle radości. Ale wyjazd Zeke'a rzucił na wszystko cień, szczególnie w tym miejscu, gdzie w każdej chwili spodziewała się go zobaczyć.

- Uważam - powiedziała przez zaciśnięte zęby Gallinardi - że jeżeli nie dojdzie już do kolejnych przykrych incydentów i nikt nie będzie nas wiązał z... pewnymi niechcianymi elementami, będę w stanie ich przekonać.

- Mówiąc „niechciane elementy” - zapytała Rachel - co lub kogo konkretnie masz na myśli?

- Mam na myśli pewnego zbiega oskarżonego o przestępstwo - powiedziała sucho Antoinette. - Wiem, że to może być dla ciebie trudne, ale gdybyś mogła się w jakiś sposób zdystansować od pana Pike'a czy też Langleya, rada poczułaby się pewniej, udzielając ci wsparcia. Szczególnie biorąc pod uwagę nasze zobowiązania pedagogiczne.

Rachel popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Więc, mówisz, że jeśli...

- Rachel, mam sporo znajomości. I chętnie ich użyję, by wypromować osobę, która ma talent i która kieruje się uczciwością. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to może być twoja jedyna szansa, by wyrwać się z tego błędnego koła amatorskich zleceń i rozwinąć talent, którym niewątpliwie zostałaś obdarzona. Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt i przyjemność... Ale obawiam się, że jeżeli będziesz kontynuować znajomość z mężczyzną, któremu grozi więzienie, nie będę mogła nic zrobić.

Rachel wyobraziła sobie, jak paraduje na pokazie fundacji w diamentowej obroży wokół szyi przyczepionej do smyczy kobiety art deco. Zdążyła się już przekonać o ogromnych wpływach Antoinette. Jeżeli będzie z niej zadowolona, Rachel zrealizuje wszystkie swoje marzenia; jeżeli nie, Gallinardi może użyć tych samych wpływów, by na zawsze wykluczyć swoją „niewdzięczną” protegowaną ze świata sztuki. Mogła również, choć w mniejszym stopniu, zaszkodzić interesom ojca, który tyle lat pracował na

swój sukces. Jego firma była przecież głównym źródłem dochodów całej rodziny.

Rachel ostrożnie rozważyła te argumenty, biorąc pod uwagę to, co podpowiadało jej serce. Kiedy szala przechyliła się na jedną stronę, poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

Poczuła żal, że wszystko, co wartościowe, ma swoją cenę. I czasami, niech Bóg ma ją w swojej opiece, ceną tą była miłość złożona w krwawej ofierze na ołtarzu.

Środa, 2 kwietnia

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Zeke patrzył z niedowierzaniem na swojego młodszego brata, który siedział naprzeciwko niego w małym pokoju obok celi. Była to sala zarezerwowana specjalnie na spotkania prawników i ich klientów, pomalowana na standardowy zielony kolor i wyposażona w stare, uszkodzone, metalowe meble. W pokoju panował mróz, aby zwiększyć „komfort” jego użytkowników.

Jason uśmiechnął się szeroko i w tym momencie przypomniał Zeke'owi zmarłego ojca, który chyba przewróciłby się w grobie, gdyby dowiedział się, że jego drugi syn został prokuratorem hrabstwa Preston i miał na sobie szary garnitur i krawat. „Ktoś musi pilnować porządku - wyjaśnił mu Jason - a przynajmniej robić wszystko, by te dupki zachowywały się uczciwie”.

- Mówię o tym - powiedział Jason - że jesteś wolnym człowiekiem. Shane Drake wybudził się ze śpiączki i jest gotów zeznać, że to Aaron Lynch zabił Williego, a potem zagroził pozostałym, że będą mieli kłopoty, jeśli wyjawią, co się naprawdę stało.



- Wcale im nie groził. Nie musiał. Bardzo chętnie zgodzili się na to, by zwalić wszystko na Langleya, jeżeli tylko miało to oddalić od nich podejrzenia.

- On nie chce, by to wyszło w sądzie. Zeke pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

- Kto nie chce?

- Prokurator okręgowy. Mój szef. - Jason pochylił się nad stołem, a na jego szczupłej przystojnej twarzy pojawił się przebiegły wyraz. -Który tak przypadkiem jest bratem matki Shane'a Drake'a.

- Aha, rozumiem - odparł Zeke. - Wujaszek woli wypuścić Langleya, niż narazić swojego siostrzeńca na zarzuty.

- To też - powiedział Jason. - Ale również ze względu na zbliżające się wybory. Po raz pierwszy ma jakąś konkurencję i wierz mi, wolałby nie otwierać tej puszkę Pandory.

- I to wszystko? Po tych wszystkich latach będę wreszcie wolnym człowiekiem, jeżeli tylko nie pisnę słowa?

- Jesteś wolny - odparł Jason. - I będziesz trzymał buzię na kłódkę, nawet gdybyśmy obaj z Nate'em musieli użyć taśmy klejącej, by zakleić ci usta. Dla dobra mamy, oczywiście.

Zeke przypomniał sobie krótkie spotkanie, które brat zorganizował, wykorzystując swoje znajomości. Oczywiście zaszyły mu mgłą, zgoda, więcej niż mgłą, na widok matki, która owszem, wyglądała starzej, ale była również silną i pełną życia kobietą i szlochała podczas całego tego słodko-gorzkiego spotkania.

- Dla dobra mamy - zgodził się Zeke. - Poza tym myślę, że te obrażenia czaszki i kręgosłupa, których doznał Shane, są dla niego wystarczającą karą. Tym bardziej że w końcu się za mną ujął.

- I co teraz? - zapytał Jason, gdy znaleźli się na zewnątrz. Zalało ich przefiltrowane przez sosny zielone ciepłe światło teksańskiego poranka. Trawnik wokół budynku otaczał baldachim z sosnowych igieł. Kilka krzewów dereniowych, od których miasteczko wzięło swoją nazwę, rozłożyło białe, przypominające flagi gałęzie, jakby w geście poddania wobec panującej wokół korupcji.

- Chyba najpierw zjem śniadanie. Po tym jak wyciągnąłem z więziennego chleba kilka chrząszczy, straciłem jakoś apetyt.

Szli przez rynek, który prezentował się całkiem okazale z uroczymi sklepikami z pamiątkami i antykami, kafejkami, księgarniami. W ciągu tych ostatnich dwudziestu lat i tu zaszły jakieś zmiany. Przynajmniej na tyle, że Zeke nie czuł się już jak w domu.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek odnajdzie swoje miejsce na ziemi, teraz gdy wszystko się zmieniło i nie był już ani Zekiem Pikiem, ani Johnem Langleyem, tylko tym nowym, obcym mężczyzną Wolnym człowiekiem, wolnym od wszystkiego, oprócz ciężaru tragedii, do której się kiedyś przyczynił, tragedii, która zniszczyła rodzinę Williego Tylera. Zeke był tak pogrążony w myślach, że nie słyszał nadjeżdżającego samochodu, który omal w niego nie wjechał.

- John- krzyknął brat, odpychając go od jaskrawoczerwonego sportowego wozu, który wyjechał zza rogu i nagle przyspieszył. Jego silnik warczał jak dziki kot.

Samochód wyhamował z piskiem opon. Wskoczyła z niego kobieta, która rzuciła się Zeke'owi na szyję i pocałowała go tak mocno, że cały wschodni Teksas przestał nagle istnieć. I wtedy zobaczył przed oczami obraz prawdziwego domu, a jego dusza poszybowała wysoko w chmury.



## *Epilog*

*Miłość nie jest pocieszeniem. Jest światłem.*

Friedrich Nietzsche

Osiem miesięcy później

Jednej rzeczy żałuję - powiedział Zeke, gdy manewrowali w stronę pary drapieżnych ptaków, mając nadzieję, że złapią korzystne prądy powietrza. Słońce szybko chyliło się ku zachodowi, była to więc ostatnia okazja.

Rachel odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię.

- Wiem, że jest ci przykro z powodu Williego. I z powodu Marlene i jej biednej rodziny i wszystkich tych osób, które skrzywdziła. Ale musisz o tym zapomnieć, Zeke, tak jak ja zapomniałam o tym, czego nie mogę zmienić.

Uśmiechnął się. Zaczynała mówić jak terapeuta, do którego chodzili w Alpine. I choć Zeke wiedział, że te spotkania bardzo im obojgu pomogły, nie przyznałby się do tego nawet pod groźbą tortur.

- Nie o tym mówię - wyjaśnił. - Żałuję, że nie było mnie przy tym, gdy kazałaś Gallinardi iść do diabła.

- A, o to chodzi. - Rachel się roześmiała. - Nie ujęłam tego w ten sposób. Przynajmniej niezupełnie.

Wysokościomierz piał się w górę, a Zeke zawrócił maszynę, by złapać kolumnę ciepłego powietrza. Poczul ogromną radość i dumę z powodu tej wciąż nowej umiejętności.

- Spokojnie - upomniała go Rachel, gdy zaczęli wznosić się spiralnym ruchem. - Właśnie tak. Dobrze, masz naprawdę niezłe wyczucie.

- Jestem ekspertem, jeśli chodzi o wyczucie. — Pochylił się do przodu i delikatnie dotknął jej ramion, chociaż nie mógł dostać się tam, gdzie chciał.

Rachel klepnęła go w rękę.

- Powtarzam ci, to jest kabina tylko z nazwy. Skup się więc na lataniu, żebyś był gotowy na swój pierwszy samodzielny lot.

Po chwili podmuch zamarł i Zeke skierował szybowiec w stronę domu. Dostrzegł różowy blask zachodu słońca i zapytał:

- A ty, Rachel, żałujesz czegoś?

- Tak, żałuję, że nie uparłam się i nie zamówiłam tego cytrynowego tortu na nasze wesele. Patsy jest kochana, ale ten jej truskawkowy koszmar...

- Udała, że się dławi.

Zeke pokręcił głową pamiętając, jak dzielnie walczyli z dziełem Patsy, nie chcąc zranić jej uczuć. I jej bladą, przerażoną twarz, gdy zdała sobie sprawę, że ze zdenerwowania dosypała więcej soli niż cukru do pierwszego robionego przez siebie tortu weselnego. Musiało minąć wiele miesięcy, zanim mogła wraz z nimi śmiać się ze swojej pomyłki, którą żartobliwie nazwali „freudowską pomyłką kulinarną”.

- Chodzi mi o to, że odrzuciłaś ofertę Gallinardi i fundacji -odparł.

Gdy Rachel odrzuciła ponowne zaproszenie na wystawę, ludzie ze świata sztuki zaczęli ją ostentacyjnie ignorować.

- Do licha, nie - odpowiedziała Rachel bez chwili wahania. - Interesy może nie idą najlepiej, ale coraz bardziej podoba mi się latanie i ojciec

wydaje się szczęśliwszy. Poza tym mogą mnie nie wpuszczać na swoje pokazy i trzymać z dala od prasy, ale nie mogą mi zabronić robienia zdjęć.

- Lepiej, żeby Gallinardi tego nie słyszała, bo jeszcze gotowa i tego ci zakazać.

Znowu się roześmiała.

- Wiesz, o czym mówię. Robienie zdjęć sprawia mi radość, nie obchodzą mnie żadne zaszczyty. A dzięki tobie sprzedaję mnóstwo zdjęć ludziom, którym naprawdę się podobają. Zwykłym ludziom, którzy przychodzą do naszej pracowni, żeby oglądać twoje rzeczy.

- Powoli wieści się rozchodzą Rachel. Coraz więcej ludzi przychodzi oglądać twoje zdjęcia, a nie moje meble. I wydaje mi się, że część z nich to poważni kolekcjonerzy sztuki, którzy szukają czegoś nowego.

- A może szukają pewnego zdjęcia mojego seksownego męża? - przypomniała Zeke'owi o jedynym zdjęciu, którego nie chciał trzymać w pracowni. I chociaż oryginał wisiał u nich w sypialni, starannie omijał je wzrokiem.

Schodząc w dół w stronę lotniska, Zeke zmienił nagle temat.

- No i co, myślisz, że będzie ze mnie jeszcze przyzwoity pilot? A przynajmniej bezpieczny?

Rachel zawahała się, zanim odparła:

- Myślę, że będziesz doskonałym pilotem. Sądzisz, że gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości i uważała, że latasz niebezpiecznie, ryzykowałabym życie całej naszej trójki i pozwoliła ci sięść za sterami?

Zeke pomyślał, że musiał się przesłyszeć. To na pewno przez ten wiatr wydawało mu się, że usłyszał „całej trójki”. Po chwili zapytał:

- J. D. chyba nie leci z nami na gapę?

Spojrzała na niego przez ramię i posłała mu szeroki uśmiech.

- Nie - odparła z błyszczącymi oczami. - Ale ktoś inny owszem. To już jakieś sześć tygodni, tak przynajmniej mówi lekarz.

- Lekarz? - powtórzył Zeke, a potem zrozumiał i roześmiał się z całego serca.

Tuż pod nimi z zalanej różowym blaskiem pustyni wystrzeliło w górę pojedyncze światło. Ale jego blask nie mógł równać się z tym, jaki niosła w sobie przyszłość.

RS

## Podziękowania

*Wizyty w uroczym, małym miasteczku Marfa w Teksasie sprawiały mi ogromną przyjemność. Marfa to ojczyzna tajemniczych światel i plan Olbrzyma - ostatniego filmu nakręconego przez Jamesa Deana, zaś za sprawą artysty Donalda Judda i jego następców - legendarny cel podróży wszystkich miłośników sztuki. Miasteczko opisane w książce ma wiele wspólnego z prawdziwą perłą pustyni, jaką jest Marfa, jednak pewne fakty zostały zmienione, przerysowane lub dodane, aby dostosować geograficzny gospodarczy i społeczny krajobraz miasta do potrzeb powieści.*

*Chciałabym podziękować Burtowi Comptonowi z firmy Marfa Gliders, która znacząco różni się od firmy lotniczej opisanej w powieści, za to, że podzielił się ze mną wiedzą na temat szybownictwa. Jeżeli będziecie kiedyś w zachodnim Teksasie, koniecznie do niego zajrzyjcie, by przeżyć wyjątkową przygodę. Mona Garcia, właścicielka uroczego pensjonatu Arcon, była tak miła, że zabrała mnie na wycieczkę do starego Fort Russell, który powoli staje się zupełnie nowym i wyjątkowym miejscem dzięki wysiłkom Międzynarodowej Fundacji Kobiet. Chciałabym również podziękować Johnowi Boorsowi z Alternate Pest Control w Alpine za odpowiedzi na pytania dotyczące lokalnie występujących insektów.*

*Moje zainteresowanie szybowcami zawiodło mnie również do Klubu Szybowcowego Houston w Waller w Teksasie. Pragnę podziękować członkom klubu, którzy nieustrudzenie odpowiadali na moje pytania, a w szczególności pilotom: Douglasowi R. Courville'owi, Davidowi Martinowi, Miguelowi Lavalli, Edowi Tooheyowi oraz Anne Berry. Mam również dług wdzięczności wobec pilota Sylvii Szafarczyk za pomoc w odkryciu, jak ze stosunkowo bezpiecznego hobby uczynić zajęcie ekstremalnie ekscytujące.*



*Ale przede wszystkim dziękuję Glennowi Giddensowi za to, że podzielił się ze mną swoją wiedzą i zabrał mnie w mój dziewiczy lot szybowcem.*

*Chciałabym również podziękować mojej agentce Karen Solem oraz Jennifer Schober ze Spencerhill Associates za wyrazy otuchy i wsparcia. Dziękuję redaktorce Alicji Condon oraz pozostałym pracownikom wydawnictwa Dorchester Publishing za wszystko, co robią, by moje książki trafiły do rąk czytelników.*

*Podziękowania należą się również pierwszym czytelniczkom książki, Barbarze „Bobbi” Sissel, Joni Rodgers i Jo Anne Banker za ich nieocenioną pomoc oraz pozostałym Położnym z mojej grupy krytyczek: T. J. Bennett, Wandzie Dionne i Annie Slade. Nie napisałabym tej książki bez waszych wnikliwych uwag i sugestii, jak również bez wsparcia ze strony moich przyjaciół z RWA.*

*Na koniec chciałabym również podziękować moim bliskim, Mike'owi i Andrew, za ich troskliwe wsparcie. A także Zippy'emu i Jewelowi, moim czworonożnym przyjaciółom, zawsze gotowym bawić się lub przytulać, o ile nie inspirują mnie akurat swoimi psimi figlami.*